

KATHERINE
STONE

Godzina Kopciuszka

Prolog

Quail Ridge, Illinois
25 grudnia
dwadzieścia trzy lata temu

Miała osiem lat i była tu nowa.

On skończył jedenaście i przez całe swoje nikomu niepotrzebne życie mieszkał w tym uroczym mieście na północ od Chicago.

Snow Ashley Gable znalazła go w śnieżne gwiazdkowe popołudnie w zalesionym wózku za swoim nowym domem. Usłyszała go, zanim zobaczyła. Dobiegły ją powtarzający się głuchy łomot i cichy, udręczony jęk.

Jakieś ranne zwierzę, pomyślała. I ktoś się dalej nad nim znęca.

Pobiegła w stronę tych odgłosów, nie mając pojęcia, co znajdzie, ale zdecydowana ratować ranne stworzenie.

Stworzenie okazało się chłopcem; wiedziała, jak się nazywa, chociaż go nigdy wcześniej nie spotkała. Ostrzegano ją zresztą, że powinna się od niego trzymać z daleka.

To Leigh, jej matka, tak ją napominała po wizycie Beatrice Evans.

Pani Evans wystąpiła jako samozwańczy, jednoosobowy sąsiedzki komitet powitalny. Pojawiła się uśmiechnięta, z koszykiem smakołyków na Boże Narodzenie i zapewnieniem, że Pinewood to najprzyjemniejsza dzielnica w całym Quail Ridge.

Pinewood mogło się też pochwalić największą w mieście powierzchnią działek mieszkalnych - to znaczy, pomijając posiadłości w okolicach Hilltop. Nawet gdyby w to grudniowe popołudnie nie panował tak

przejmujący chłód i nawet gdyby, mając czterdzieści cztery lata, pani Evans nie „była w całkiem niezłej formie”, i tak przejechałaby samochodem ze swojego domu na Meadow View Drive do domu wynajętego przez Leigh na Dogwood Lane, bo odległości między posesjami były bardzo duże.

Snow od razu polubiła panią Evans. I natychmiast zaczęła się bać, że matka zachowa się niegrzecznie. Ale kiedy Leigh zaprosiła panią Evans do środka i zaproponowała herbatę, Snow przypomniała sobie, że przecież matka się zmieniła.

Zmiany zaczęły się w maju. Leigh ubrana w nowy kremowy kostium i kapelusz, pojechała taksówką do Lake Forest na przyjęcie ślubne w Deerpath Inn. Wróciła pełna energii, a nie wykończona, jak zwykle po powrocie z randek, na które wkładała sukienki przypominające raczej halki. Tego wieczoru, czekając, aż telefon się odezwie, wertowała kolumny towarzyskie w poszukiwaniu informacji o innych przyjęciach weselnych, na które mogłaby się wybrać.

W zaniedbanych mieszkankach, w których zazwyczaj się gnieździły, telefon dzwonił często. Postaci, które udawała Leigh - Scarlett, Tara, Melanie - dostawały telefony o wszystkich porach dnia i nocy. Krótkie rozmowy oznaczały, że dzwoniąca -jakaś kobieta - umówiła Leigh na kolejną randkę. Dłuższe - że ktoś prosił o rozmowę z Leigh, na co ona najpierw musiała wyrazić zgodę. Dzwoniąca kobieta informowała Leigh, jak ma na imię zainteresowany rozmową mężczyzna i kim ona ma dla niego być, a potem Leigh rozmawiała z nim, udając kogoś innego, zgodnie z jego życzeniami.

Był taki czas, że Leigh przeprowadzała te swoje rozmowy, kryjąc się za zamkniętymi drzwiami - w spiżarni albo w łazience, jedynych odosobnionych miejscach w ich mieszkaniu. Nie mogła być pewna, czy jej córeczka nie wypali: „Wcale nie jesteś nagrzana!”, kiedy wspólnie kuliły się z chłodu pod kocami - albo czy nie przestraszy się łub nie roześmieje z dziwnych dźwięków, które czasem wydawała z siebie Leigh.

Kiedy Snow dorosła na tyle, że zaczęła rozumieć, że te telefony to tylko udawanie i można już było jej zaufać, że zachowa się cicho, na ogół w trakcie rozmów Leigh siedziała w tym samym pokoju. Snow czytała albo odrabiała lekcje, a Leigh opilaływała paznokcie przed zbliżającą się randką lub gotowała makaron na obiad albo ze zmarszczonym czołem przerzucała stos niezapałconych rachunków, trzymając w dłoni słuchawkę telefonu, paląc jednego papierosa za drugim i popijając piwo.

Snow zawsze wolno było odbierać telefon. Mężczyźni, którzy bawili się w te udawane rozmowy ze Scarlett, Tarą albo Melanie, nigdy nie dzwoniли bezpośrednio. Snow odbierała też te nowe telefony do Leigh, od mężczyzn poznanych na przyjęciu ślubnym. Oni mogli dzwonić do niej bezpośrednio i prosili o rozmowę, używając wyłącznie jej nowego nazwiska, Leigh Ashley Gable - nazwiska wdowy z Atlanty, która miała małą córeczkę Snow.

- Możesz zapomnieć o Tarze Butler, Snow. Ona już nie istnieje. Scarlett Wilkes też gryzie ziemię. - Podjąwszy decyzję, Leigh szybko zaczęła działać. Już chciała pociąć karty kredytowe Tary Marschall Field - oraz Melanii Jewel-Osco - ale zdażyła zmienić zdanie. Nie będzie niszczyć swoich poprzednich wcieleń. - Kto wie? Może któregoś dnia przydadzą się Leigh. Wiesz, nie dlatego, że to, co teraz zaplanowałam, się nie uda. Ale może Leigh będzie potrzebowała kilku kont bankowych na różne nazwiska. Pękających w szwach kont bankowych. Będziemy miały teraz masę pieniędzy.

- Naprawdę? - Miło byłoby nie marznąć od października do kwietnia. I znaleźć jakieś mieszkanie, w którym Snow czułaby się bezpiecznie pod nieobecność matki. Snow nie dbała wcale o pieniądze. Najbardziej liczyła się dla niej Leigh. Jeśli większa suma - masa pieniędzy - sprawi, że matka przez cały czas będzie taka szczęśliwa...

- Naprawdę, Snow. Zobaczysz. Ale będę potrzebowała twojej pomocy. Dobrze?

- Dobrze!

- No to świetnie. Posłuchaj, co masz mówić, jeśli ktoś zapyta. Twój tata umarł, zanim się urodziłaś...

- No przecież umarł. Był dzielnym policjantem, który zginął, ratując życie innej małej dziewczynce.

- No właśnie. Będziemy musiały mówić jeszcze inne rzeczy i chcę, żebyś wszystko zapamiętała. Liczę na ciebie, Snow. Czy mogę na ciebie liczyć?

- Tak!

- Dobrze. Słuchaj mnie uważnie. Od urodzenia mieszkałaś w Atlancie, nie w Chicago. Twój tata i ja poznaliśmy się w Atlancie, zakochaliśmy się w sobie także w Atlancie i tam się pobraliśmy. Ja pracowałam w butikach z sukniami ślubnymi, w Atlancie, od czasu jego śmierci. Zdecydowałam się przenieść do Chicago, bo moja współlokatorka z akademika ze studiów, i moja najlepsza przyjaciółka, chce, żebym

jej pomogła otworzyć firmę organizującą ślubne przyjęcia. Nadażasz za mną?

Snow pokiwała głową. Od razu zapamiętała tę historię i mogła ją powtórzyć na zawołanie.

- Nazywamy się Gable. Przy odrobinie szczęścia to już ostatnie nazwisko, jakiego będziemy potrzebowały. Na pierwsze i drugie imię możesz mieć, jak chcesz. Nie musisz wybierać imion z *Przeminęło z wiatrem*.

Snow, tak samo jak matka, znała *Przeminęło z wiatrem* na pamięć. W przeciwieństwie do matki, przeczytała też książkę. Chciała znaleźć jakiś powód, żeby polubić i tę historię, i jej bohaterkę. Nie znalazła go. Nienawidziła niewolnictwa i chociaż rozumiała, dlaczego musiało dojść do wojny secesyjnej, tej wojny też nienawidziła.

Snow nie rozmawiała z Leigh o takich trudnych sprawach. Nie chciała denerwować matki. I zastanawiała się, jak Leigh mogła podziwiać kogoś tak mało sympatycznego jak ta Miss O'Hara z książki.

Snow tłumaczyła sobie, że to tylko tamte ulubione powiedzenia Scarlett przemawiały do Leigh. „Pomyślę o tym jutro” i „Już nigdy nie będę głodna” rzeczywiście były ulubionymi powiedzeniami Leigh.

Snow bardzo poważnie potraktowała sprawę wyboru nowego imienia. Wszystko zresztą traktowała bardzo poważnie. Skoro Leigh podsunęła jej taki pomysł, zastanawiała się nawet, czy nie zrezygnować z imienia Snow, które nosiła od urodzenia. „Snow” rzeczywiście było kłopotliwe. Jej nauczyciele i szkolni koledzy marszczyli brwi na sam dźwięk takiego imienia.

Wszyscy marszczyli brwi.

Mogła sobie wybrać jakieś nowe imię z *Przeminęło z wiatrem*. Ale nie umiała zrezygnować ze starego. Trochę jej było przykro, że Leigh tak lekko to traktuje. Zapomniała już, dlaczego jej córka ma na imię Snow?

Snow na drugie imię wybrała sobie Ashley, tak samo jak Leigh. Zawsze lubiła w książce postać Ashleya.

Leigh miała jeszcze jedno nowe imię. Matka. Scarlett tak właśnie zwracała się do swojej mamy. Chociaż brzmiało dużo poważniej niż „mamusia” - jak mówili o swoich mamach jej koledzy ze szkoły - Snow i tak była zachwycona. Przedtem zawsze zwracała się do Leigh po imieniu i zawsze było to imię, pod którym Leigh płaciła swoje bieżące rachunki - czy raczej ich nie płaciła.

Im więcej telefonów dostawała Leigh po tym przyjęciu, tym mniej chętnie odbierała telefony do swoich innych wcieleń. Zanim lato się

skończyło, Scarlett, Tara i Melanie - oraz ich niedbałe stroje - zupełnie zniknęły.

Dzięki pomocy ośmioletniej córki Leigh zarzuciła też cały swój repertuar przekleństw. Snow spisała słowa, które podyktowała jej Leigh, tłumacząc, że to właśnie ich zdecydowanie nie chce już używać. Snow ich pisownię tylko zgadywała, a co do samego znaczenia - parę znalazła w szkolnych słownikach. Ale nawet wtedy miała tylko niejasne pojęcie, czego dotyczą.

Niektóre ze słów na liście Leigh zdziwiły Snow. Słyszała je do tej pory tak często, że do głowy by jej nie przyszło, że nawet takie damy z Południa, jakimi miały zostać ona i jej matka, mogły je uważać za przekleństwa. Ale „bydlak” trafił na listę. Tak samo „sukinsyn” i „diabli nadali”. Nawet jedno ze słów, jakie Rett wypowiedział do Scarlett - „cholera” - też się tam znalazło.

Snow dziwiła się też, że niektórych słów na liście brakuje. Najwyraźniej „seks” nie był słowem brzydkim, mimo że Leigh zwykle używała go z innymi zakazanymi słowami - i mimo że większość zakazanych słów miała z seksem coś wspólnego... Czymkolwiek ten seks był.

Snow miała upominać Leigh za każdym razem, kiedy ta zaklnie. Snow robiła to bardzo sprawnie. Ale dopiero kiedy Leigh wyznaczyła sobie jednodolarową karę, wypłacaną Snow za każde wykroczenie przeciw zasadzie, jej język zaczął się poprawiać.

Tara Butler i Scarlett Wilkes wybuchałyby gniewem, zmuszone do rozstania się choćby z centem, ale „Zakłętaś!” stało się wspólną zabawą matki i córki. To była też jedyna zabawa, w jaką się w ogóle razem bawiły. Leigh śmiała się, sypiąc w dłoń córki codziennie deszcz jednodolarowych banknotów i powtarzała, jak bardzo jest jej wdzięczna za taką czujność.

Snow nie chciała, żeby ta zabawa kiedyś się skończyła. Ale kiedy tak się stało, pogodziła się z losem. Leigh była tak podekscytowana ich nowym życiem i tak chętnie ćwiczyła swoje nowe słownictwo - oczyszczone z przekleństw - że rozmawiała z przyjemnością. I często.

Lubiła rozmawiać ze Snow.

Leigh wyrobiła sobie nową filozofię dotyczącą pieniędzy. Uważała teraz, że aby je zarobić, trzeba je najpierw wydać. I czy nie cudownie się składa, że tak ciułała wszystkie te swoje mizerne zarobki z poprzednich lat?

Ta informacja zdziwiła Snow. Jeśli Leigh miała pieniądze w skrytce bankowej - a naprawdę je miała - to czemu uciekały z jednego

wynajmowanego mieszkania po drugim, zagrożone wyrzuceniem za za-
leganie z czyszczem?

Leigh powiedziała jej, że jeśli ten nowy interes odniesie taki sukces,
jak powinien, to nieprędko będą się znów gdzieś przeprowadzały.

Snow wiedziała, że matka przecież nie mogła planować otwarcia fir-
my organizującej śluby i wesela z przyjaciółką ze studiów. Leigh nigdy
nie studiowała. I nie miała żadnych przyjaciółek.

Snow nie była całkiem pewna, jak ten nowy interes ma wyglądać
ani co właściwie Leigh robiła poprzednio. Ale to się jakoś wiązało jedno
z drugim. Na tym przyjęciu ślubnym byli jacyś mężczyźni. Leigh wy-
jaśniła, że tym razem zabiera się do wszystkiego jak należy, pozbywając
się pośrednika, dyktując własne warunki, rozwijając samodzielną dzia-
łalność.

Żałowała jedynie, że nie wpadła na ten pomysł już dawno temu.
Pomyśleć tylko, ile pieniędzy mogła zarobić i zaoszczędzić. Już te,
których nie wydałaby na piwo i papierosy, same w sobie stanowiły
majątek.

- Och, cóż! - powiedziała ze śmiechem, opróżniając nietknięty
szęściopak piwa do kuchennego zlewu. - Lepiej późno niż wcale.

Snow ucieszyła się, że papierosy i piwo znikają. Leigh robiła się nie-
przyjemna, kiedy piła. A kiedy zaczynała palić ponad paczkę papierosów
dziennie, najmniejsze drobiazgi wyprowadzały ją z równowagi.

Bez względu na to, czy Leigh paliła papierosy, czy nie, zawsze ła-
two się irytowała. Niecierpliwiła ją ciekawość sąsiadów i robiła się nie-
grzeczna, kiedy pukali do drzwi, chcąc podzielić się nowinami.

Co prawda, te nowiny często bywały ponure i dotyczyły tego, kto
dostał odsiadkę za narkotyki, kradzież czy napad albo wyjaśniały powód
wrzasków, odgłosów strażaków i syren wozów policyjnych, które na pew-
no musiały wyrwać je ze snu poprzedniej nocy.

Ale to Snow, nie Leigh, budziła się, słysząc odgłosy przemocy - na-
wet w te noce, gdy Leigh była w domu. Kiedy tylko kończyły się jej
spotkania i telefony na dany wieczór, Leigh piła, póki nie zasnęła.

Snow zawsze budziły te nocne hałasy. Po pierwszej przespanej
od wieczora do rana nocy w Pinewood zastanawiała się, jakim cudem
w ogóle mogła spać w tych strasznych miejscach, w których kiedyś
mieszkały z Leigh.

Dziwiły ją potem, widziane w telewizji relacje świadków prze-
stępstw. Jak ktoś może pomylić odgłos wystrzału z rury wydechowej

ze strzałem z rewolweru? Dla Snow różnica była równie wyraźna jak ta pomiędzy „trach, trach, trach” a „śmierć, śmierć, śmierć”.

Właśnie przez tę niechęć Leigh do wścibskich sąsiadów Snow obawiała się, że matka będzie nieuprzejma wobec pani Evans.

Ale Leigh nie wychodziła z narzuconej sobie roli damy ze stanu Georgia, z takim wdziękiem i zdziwieniem przyjmując zachwyty pani Evans nad jej głosem, jakby nikt nigdy nie powiedział jej żadnego komplementu.

Tego, że Leigh Ashley Gable była piękna, nikt nie musiał mówić głośno. Snow już dawno uznała, że właśnie dlatego wszyscy zamiast urodę Leigh, chwala jej głos. Bo miała piękny głos, a przy tym niezwykły. Miękki i niski, a do tego mocny... Albo też delikatny, jeśli chciała, żeby taki był.

Tym swoim miękkim, zdradzającym wrażliwość głosem, Leigh opowiedziała pani Evans swoją historię. A kiedy skończyła snuć ten fałszywy gobelin, zaczęła nalegać, żeby pani Evans opowiedziała im coś o osobach mieszkających w sąsiedztwie ich domu, do którego z taką radością się przeprowadziły. Tak, w Chicago rzeczywiście jest chłodniej niż w Atlancie, a kiedy przyjeżdża się tu zimą, to już prawdziwy szok, przyznała Leigh, zanim pani Evans zaczęła. Ale przyjaciółka już zebrała dla nich obu zamówienia na organizację przyjęć ślubnych na całą wiosnę i lato.

Poza tym, dodała Leigh, obito jej się o uszy, że szkoły w Quail Ridge są świetne i naprawdę nie może się doczekać, kiedy będzie mogła zapisać na zajęcia swoją „niezwykle uzdolnioną” córeczkę.

Ta „córeczka” chwyciła Snow za serce i mocno w nie zapadła. Córeczka, nie żaden „dzieciak”. Ciepłe i czułe słowo tkwiło w jej sercu, kiedy Snow zastanawiała się nad resztą słów matki. Rzeczywiście obchodzą ją, jakie są szkoły w Quail Ridge? I czy naprawdę zdawała sobie sprawę, że nauczyciele uważają Snow za bystrą uczennicę?

Szkoły są wprost rewelacyjne, potwierdziła pani Evans. Szkoły, Pine-wood, całe to miasto!

W Quail Ridge mieszka część najbogatszych rodzin z Chicago. Ci średnio bogaci też tu mieszkają. A także tacy, dodała pani Evans, którzy zamożni wcale nie są. To jest właśnie jedna z kolejnych wspaniałych cech tego miasta. Nie ma tu żadnego wywyższania się bogatszych nad biedniejszymi ani nawet samego podziału na bogatszych i biedniejszych.

- Wszyscy tu zgodnie twierdzą, że nikt nie jest lepszy niż pozostali. Niektórzy są tylko nieco lepiej sytuowani.

Według pani Evans wykształcenie uważało się w Quail Ridge za rzecz najważniejszą. Założyciel miasta, Edwin Larken, w taki właśnie sposób to zaplanował. Każda dzielnica ma własną doskonałą szkołę podstawową i gimnazjum. A jeśli chodzi o ostatnie trzy lata przed studiami, każde dziecko z Quail Ridge trafia do znanego w całym kraju Liceum Larkena.

Pani Evans dobrze znała miejscowy system szkolnictwa. Przez ostatnich piętnaście lat pracowała jako szkolna pielęgniarka, dzieląc czas między podstawówki w Pinewood i w Hilltop. - Dzieci w naszym mieście są takie zdrowe, tak zadbane przez rodziców, że w żadnej z tych dwóch placówek nie jestem potrzebna na cały etat.

Do szkoły w Hilltop, dorzuciła, chodzą dzieci z najbogatszych rodzin z Quail Ridge. Podstawówka, razem z mieszczącym się obok niej Gimnazjum Hilltop, otoczona parkiem, mieści się wśród posiadłości zbudowanych na wzgórzu, od którego wzięła nazwę ta część miasta.

Liceum Larkena leży za to w samym środku doliny, wszyscy uczniowie mają więc do niego łatwy dojazd. W liceum Snow będzie mogła poznać dzieci z tych najbogatszych rodzin. Jeśli pani Evans się nie myli, to Snow i Miranda - czyli Mira - Larken zaczną chodzić do liceum w tym samym czasie. Czy dobrze słyszała od dyrektorki Pinewood, że nowa uczennica z Atlanty przyjdzie teraz do trzeciej klasy?

Snow potwierdziła skinieniem głowy, a pani Evans wysunęła kolejny wniosek. Snow i Mira zostaną zatem przyjaciółkami.

- Mira Larken, mówi pani? - zastanowiła się na głos Leigh.

- Tak. Ojcem Miry jest Edwin Larken III, to znaczy Trey, bo tak go tu nazywają od urodzenia. Trey, czyli trzeci - wyjaśniła pani Evans, zwracając się do Snow. - Sama się zastanawiam, jakie przezwisko nosiłby syn Treya. Quattro, jak sądzę, albo coś podobnego, żeby było jasne, że to Edwin Larken IV. Ale Trey ma tylko córki, Vivian i Mirę.

- Jaka jest Vivian? - zadała następne pytanie Leigh.

- Jest dobrze wychowaną młodą damą. I w niej, i w Mirandzie bardzo wyraźnie widać geny Larkenów. Ponieważ Mira jest dość duża jak na swój wiek, a Vivian z kolei filigranowa, często obcy mylnie biorą je za bliźniaczki. A jeśli chodzi o osobowość - no cóż, ze świecą szukać dwóch bardziej różniących się charakterów. Vivian jest teraz w szóstej klasie, o trzy lata wyżej niż Mira - i Snow. Zanim Snow znajdzie się

w Liceum Larkena, Vivian już skończy szkołę. Ale będzie tam Mira - powtórzyła pani Evans takim tonem, że Snow nabrała prawdziwej ochoty, żeby poznać Mirę Larken.

Snow pomyślała też, że chociaż ta miła pani Evans nigdy by tego nie powiedziała głośno, z dwóch siostr Larken właśnie Mirę uważa za właściwszą kandydatkę na koleżankę Snow.

- Trey to ich ojciec - odezwała się Leigh. - A matka?

Snow zastanowiła się, czy pani Evans dosłyszała nagły ostrzejszy ton w głosie Leigh, lekkie poirytowanie, które ostrzegało, że za moment nastąpi wybuch gniewu.

Leigh chciała posłuchać czegoś na temat państwa Larkenów. Natychmiast. Nawet nie rozumiejąc powodów, Snow wiedziała, że Leigh wybrała Quail Ridge na ich nowy dom - i miejsce nowej działalności - właśnie ze względu na tutejsze zamożne rodziny.

Pani Evans chętnie spełniła tę prośbę. Małżeństwo Edwina Larkena III i Marielle DuMonde to był przyjemny temat. Ci dwoje są dobrze dobraną parą, a Marielle ma równie świetne pochodzenie, jak jej mąż, na dodatek kochają się - i to do tego stopnia, że codziennie zgodnie razem pracują.

Larkenowie nie musieliby zajmować się pracą, bo majątek rodzin Larkenów i DuMonde'ów jest „olbrzymi”. Ale i Trey, i Marielle pochodzą ze starych zamożnych rodzin o wciąż żywej etyce pracy, no i trzeba przecież zarządzać firmą Larken & Syn. Dom aukcyjny założony przez Edwina Larkena to godny rywal dla Bonhams & Butterfield z San Francisco oraz Christie's & Sotheby's z Nowego Jorku. Wielu uważa Chicago za miasto drugiej kategorii, ale ci, którzy się na tym znają, wiedzą, że to w każdym calu pierwsza liga.

Edwin był pierworodnym synem swojego ojca. Po narodzinach własnego pierwszego dziecka - też syna - ustanowił zasadę, że firma Larken & Syn przetrwa dopóty, dopóki w następnych pokoleniach będzie się rodził pierworodny syn, i tylko on może ją odziedziczyć. Pewnie to żyłka hazardzisty kazała Edwinowi tak zdecydować. A może to takie wyzwanie rzucone przez typowego macho pozostałym mężczyznom z rodziny Larkenów. Mnie się udało najpierw spłodzić syna, czy wy też zdołacie powtórzyć ten sukces?

Pani Evans nie ukrywała swojej dezaprobaty dla takiego rozwiązania. Jako pielęgniarzka zna się przecież na sprawach prokreacji i wie bez cienia wątpliwości, że płeć dziecka nie ma nic wspólnego z męską sprawnością ojca.

„Prokreacja” i „męska sprawność” to były dla Snow nowe określenia. Będzie musiała poszukać ich później w słowniku. Ale widziała wyraźnie, że pani Evans uważa decyzję Edwina Larkena za bardzo niemądrą - zwłaszcza że Vivian jest taka bystra, iż poradziłaby sobie z prowadzeniem domu aukcyjnego równie dobrze jak każdy mężczyzna.

- A może nawet lepiej! Ale wątpię, żeby do tego miało dojść. Nic nie zapowiada, że Trey zerwie z rodzinną tradycją i przekaze ster firmy Larken & Syn w ręce córki. Może to i lepiej. Vivian może zostać, kim tylko zechce. Ale sam pomyśl, że tylko dlatego nie będzie zarządzać firmą, że jest córką, a nie... Na litość boską! - zawołała pani Evans, dostrzegłszy na ulicy za oknem jakiegoś chłopca. Szedł pod wiatr, zmagając się z lodowatymi podmuchami, które szarpały jego czarną czupryną. - A Lucas Kilcannon co tu robi? I dokąd on się wybiera?

Odpowiedź na jej drugie pytanie wydawała się oczywista. Szedł w stronę zalesionego wąwozu.

- Ten wąż nie jest bezpieczny - powiedziała. - Mógłby się tam zranić albo zgubić i nikt by go nigdy nie znalazł. Dlaczego, na Boga, on tam w ogóle chce chodzić?

Powody, jakimi kierował się chłopak, pozostały jego tajemnicą. Ale że do wąwozu iść chciał, widać było wyraźnie. Szedł zdecydowanym krokiem, jakby zamierzał ostrzec wszystkich, żeby go nie zaczepiali. Ostrzeżenie to było tak czytelne, że pani Evans, już gotowa zrywać się i biec do drzwi, żeby go zaprosić na herbatę i ciasteczko, nie ruszyła się z miejsca.

Snow też nic nie zrobiła, chociaż również miała ochotę zaprosić chłopca do środka. Ale zapytała:

- Kto to jest?

- Mój sąsiad z przeciwnej strony ulicy - odparła pani Evans. - Nie znam zbyt dobrze ani tego chłopca, ani jego ojca.

Miała taki wyraz twarzy, jakby mogła na ten temat powiedzieć znacznie więcej. Zmarszczone brwi zdradzały, że zastanawia się, czy powinna podzielić się z nowymi sąsiadkami tym, co wie.

- A on nie chodzi do pani szkoły?

- Do twojej szkoły, Snow. Owszem. Luke jest w szóstej klasie w szkole podstawowej Pinewood.

- Co robi jego ojciec? - spytała Snow.

Zadawała to pytanie, żeby dowiedzieć się jak najwięcej, zanim Leigh znów skieruje rozmowę na właściwe tory. Snow dostrzegła, że Leigh,

zadowolona z opowiadań pani Evans o życiu i związkach najbogatszych mieszkańców Quail Ridge, złości się, że zajmują się teraz jakimś chłopcem zza okna. Ale odpowiedź pani Evans ułagodziła Leigh - bo znów pojawiło się nazwisko Larken.

Kiedy drużyna pływacka Liceum Larkena potrzebowała nowego trenera, Trey Larken, wtedy prezes szkolnego zarządu, przypomniał sobie pływaka, z którym kiedyś rywalizował, bo sam też pływał w szkolnej reprezentacji. Jaredowi Kilcarmonowi swego czasu wrócono wielką sportową przyszłość - może nawet złoto olimpijskie - aż do wypadku motocyklowego, w którym strasznie pogruchotał sobie mięśnie ramienia. Niedawno nazwisko Jareda znów się pojawiło. Pracował jako trener w jakiejś podrzędnej szkole w głębi stanu. Trey chwycił za telefon, a reszta to już historia. Pod kierownictwem Jareda Kuguary z Liceum Larkena z ostatnich miejsc awansowały do czołówek.

- A Luke pływa? - spytała Snow.

- Nie jestem pewna, czy jeszcze to robi. Kiedyś pływał. Słyszałam plotki... Ale cóż, wiesz, co mówi się o takich półprawdach, Snow? Pół prawdy to jak całe kłamstwo.

Snow nigdy wcześniej nie słyszała tego powiedzenia i nie chciała zastanawiać się zbyt głęboko nad jego znaczeniem. Leigh tworzyła swój świat, ich świat, opierając się - w najlepszym wypadku - na półprawdach.

- Ale co to ma wspólnego z tym, czy Luke pływa?

- Plotki to takie właśnie półprawdy, zgodzisz się? A czasami prawdy jest w nich nawet mniej niż pół. Słyszałam plotki związane z pływaniem Luke'a, czy raczej z tym, że przestał pływać, ale nie mam pojęcia, która z tych plotek jest prawdziwa, jeśli w ogóle któraś jest. Niech wystarczy, że powiem, że z jakiegoś powodu pływanie nie należy już do ulubionych zajęć Luke'a.

- Czy Jared i Larkenowie są ze sobą blisko? - zapytała Leigh.

- Nie wiem. Zresztą, skąd miałabym wiedzieć. Larkenowie obracają się w zupełnie innych kręgach towarzyskich niż ja - to raczej dość zamknięte środowisko. Wiem za to, że Jared stał się jednym z najbardziej popularnych obywateli w mieście. W Quail Ridge pływanie jest bardzo ważne. Nie mamy drużyny futbolowej i właśnie pływanie jest tu ulubionym sportem. Wiem też, że przez ostatnich kilka lat Jared udzielał latem między innymi prywatnych lekcji pływania w Hilltop Country Club.

- Między innymi?

- Jak słyszałam, świetnie gra w golfa. To wszechstronny sportowiec. Lekcji golfa też udziela i grywa z członkami klubu, ilekroć potrzebują kogoś, żeby skompletować czterech graczy do partii.

- Z kobietami też grywa czy tylko z mężczyznami?

- Tego nie wiem. Jestem pewna, że gdyby grywał, byłoby zachwycone. To bardzo przystojny mężczyzna, o wielkim uroku.

- Jego żona na pewno nie jest zbyt szczęśliwa, że paniom z Hilltop Country Club cieknie ślinka na jego widok.

- Och! Zapomniałam ci powiedzieć. Jared samotnie wychowuje dziecko, Leigh. Tak jak ty. Ale w przeciwieństwie do twojego dzielnego męża policjanta, żona Jareda - matka Luke'a - nie umarła. Po prostu odeszła.

- Odeszła?

- To było okropne. Pewnego wieczoru, sześć lat temu, ona i Jared zapakowali rzeczy do jej samochodu i ona odjechała. Patrzyłam na to, chociaż wtedy nie rozumiałam, co się dzieje. Myślałam, że wybiera się na jakąś wycieczkę z Lukiem. On też pomagał wkładać rzeczy do samochodu. Pamiętam, jak stał na podjeździe, trzymając jakieś pudło, czekając aż mu powiedzą, gdzie je postawić. To pudło było dla niego o wiele za duże i za ciężkie. Miał tylko pięć lat. A on je tak trzymał i trzymał, kiedy jego rodzice rozmawiali ze sobą. A potem Suzanne wreszcie odebrała od niego pudło, wstawiła je do samochodu i odjechała. - Pani Evans westchnęła ciężko. - Luke machał jej na pożegnanie. Nie odmachwała mu. Nawet się za siebie nie obejrzała.

- Dlaczego?

- Dlaczego Suzanne Kilcannon odeszła? Nie mam pojęcia, Snow. Jared zawsze zachowuje się jak dżentelmen, kiedy o tym mówi. Małżeństwo się nie udało. On jej życzy wszystkiego dobrego. Miała własne problemy, które musiała rozwiązać. Tego typu rzeczy. I zawsze powtarza, że to on miał szczęście. Bo mógł zatrzymać ich syna.

Drżenie w głosie pani Evans zastąpił wyraźny smutek. Dawna Leigh nie zwracałaby uwagi na ponury nastrój swojego gościa, lecz teraz matka Snow pochyliła się i nakryła dłońmi ręce pani Evans. Gest ten przypominał Snow, w jaki sposób Scarlett udawała, że pociesza swoją główną rywalkę, Melanię.

Pani Evans dodał jednak otuchy, tak samo jak Melanii.

- O co chodzi, Beo? - Leigh po raz pierwszy zwróciła się do pani Evans po imieniu. - Co się stało?

- To dotyczy raczej mnie niż Jareda czy Luke'a.

- Chętnie cię wysłuchamy - powiedziała Leigh z takim przekonaniem, że Snow musiała uwierzyć, że matka mówi szczerze. - Jeśli będziesz chciała nam o tym opowiedzieć.

- Mnie jest po prostu tak strasznie trudno wyobrazić sobie, że jakaś matka mogłaby zostawić własne dziecko. Z moim byłym mężem tak bardzo staraliśmy się o dziecko. Zachodziłam w ciążę, a po paru tygodniach roniłam. Oczywiście, poronienia w pierwszym trymestrze ciąży to częste zjawisko, skutek anomalii rozwojowych. Wiem o tym jeszcze ze szkoły pielęgniarzkiej. Poronienie to sposób Matki Natury na okazanie miłości, nie okrucieństwa.

- Ale ty to odbierałaś jako okrucieństwo - szepnęła Leigh.

- Tak, rzeczywiście. Jeszcze bardziej okrutne wydawało mi się to, że potem już w ogóle nie mogłam zająć w ciążę. Wtedy zniknęła do końca szansa na dziecko. Mąż pragnął dzieci tak samo jak ja. Ma teraz trójkę, z kolejną żoną. - Westchnęła. - Nasze małżeństwo rozpadało się mniej więcej wtedy, kiedy Suzanne opuściła Jareda i Luke'a. Martwię się, że może gdybym była dla nich lepszą sąsiadką, gdybym znalazła dla Suzanne więcej czasu i mniej skupiała się na własnych problemach, to może Luke nie zostałby dzieckiem bez matki.

- Nie możesz za to winić siebie.

- Chyba nie powinnam. - Pani Evans wyprostowała się na krześle i wysunęła dłonie z uścisku Leigh. - Wystarczy już tego uzalania się nad sobą! Nie mam powodów do narzekań. Na szczęście pracuję wśród wszystkich moich zastępczych dzieci, a one dają mi tyle radości. Tylko żałuję, że nie mogę bardziej pomóc Luke'owi.

- A co z nim jest nie tak? - zapytała Snow.

- Nic, kochanie. Jest zupełnie w porządku. To tylko odludek, nic więcej.

Leigh wyrobiła sobie własną opinię na temat Luke'a i podzieliła się nią z córką po wyjściu nowej znajomej, najpierw jednak powiedziała, co myśli o pani Evans.

- Istna Polyanna - stwierdziła Leigh. - Niczym pełnoprawna członkini klubu wyznającego zasadę, że jeśli nie możesz powiedzieć o kimś czegoś miłego, to lepiej nie mów o nim wcale.

Leigh chętnie posłuchałaby nieco bardziej dosadnych plotek i pewna była, że Beatrice Evans takie plotki zna. Ale i tak popołudnie trudno było nazwać kompletną katastrofą.

- Założę się, że Jared Kilcannon ogromnie uszczęśliwia te panie z klubu. Ciekawe, ile pobiera za swoje usługi.

Snow pomyślała, że tata Luke'a na pewno dostaje dobrą pensję w Hilltop Country Club. Bo niby z jakiego innego powodu chciałby całe lato spędzać z dala od syna? I przecież to jego zadanie - dbać, żeby członkowie klubu byli zadowoleni, prawda?

Ale uśmiech Leigh sugerował, że chodzi o coś więcej, że kryje się w tym jakiś sekret, a Snow jest jeszcze za młoda, żeby go zrozumieć. A to, co powiedziała potem, zabrzmiało jeszcze mniej sensownie.

- Cieszę się, że Kilcannonowie mieszkają te cztery długie przecznice od nas. Nasze ścieżki nigdy nie będą się musiały przecinać.

Snow jednak chciała, żeby jej ścieżki przecięły się ze ścieżkami Luke'a.

- Dlaczego?

- Bo ci ludzie to nic dobrego, Snow. I ojciec, i syn. Kobieta nie porzuca własnego dziecka bez jakiegoś ważnego powodu. Myślę, że Luke jest bardzo podobny do ojca, tak samo arogancki jak Jared - i tak samo podły.

- Arogancki i podły? Skąd wiesz?

- Co do Jareda? Czarujący mężczyźni zwykle tacy bywają. A poza tym nie zapominaj, że zostawiła go żona. Nawet się za siebie nie oglądając. Zapamiętaj, co mówię, Snow. Jared Kilcannon to nie jest dobry człowiek. I można się założyć, że jego syn też nie. Słuchaj mnie uważnie. Jeśli chodzi o mężczyzn, jestem ekspertką.

Od tego dnia, kiedy przechodził za ich oknem, Snow przez cały tydzień nie widziała Luke'a. Nie zobaczyła go nawet wtedy, kiedy wracał z lasu, chociaż wyglądała przez okno przez całe popołudnie. Został tam do zmroku? A może coś mu się stało?

Nie, tłumaczyła sobie. Szukaliby go. Pani Evans i pan Kilcannon na pewno podnieśliby alarm.

Snow postanowiła wybrać się do wąwozu w dzień Bożego Narodzenia. Luke na pewno świętował w domu, z ojcem, a Leigh siedziała w swojej sypialni i rozmawiała przez telefon z kimś, kogo poznała na tamtym ślubnym przyjęciu.

Snow nie wsłuchiwała się w słowa Leigh, ale zwróciła uwagę na ton jej głosu. Kiedyś w głosie matki pojawiało się czasem coś nieprzyjemnego, kiedy rozmawiała z mężczyznami, którzy dzwoniли do Scarlett,

Melanii czy Tary. Ale Leigh nigdy nie bywała nieprzyjemna dla tych, którzy dzwoniли do niej tu, w Quail Ridge.

Snow wzięła garść ciasteczek od pani Evans i wyruszyła w gęsto śpiącym śniegu.

Dzieci z sąsiedztwa bawiły się gdzieś niedaleko. Snow mogła do nich dołączyć, ale to była jedyna okazja, żeby zobaczyć wąwóz.

Kiedy schodziła w dół po śliskim, zaśnieżonym zboczu, pomyślała, że rozumie, czemu Luke tu przychodzi. Las wydawał się przyjazny, wcale niegroźny i miało się wrażenie, że jest w nim ciepło - jak w jakimś pachnącym sosnami, przytulnym kokonie, chociaż dzień przecież był mroźny.

Panowała tam jasność taka, jakby kryształki śniegu zamieniły się w diamenty i świeciły swoim wewnętrznym blaskiem, który opisywała jej kiedyś Leigh.

A może ten las jest zaczarowany? Skoro Snow już raz wpadła na taki pomysł, uznała, że to na pewno prawda. Wierzyła w zaczarowane miejsca i w to, że równie dobrze jak każdy może na takie miejsce trafić. Czytała przecież o zwykłych dziewczynkach, które nagle znajdowały się w niezwykłych sytuacjach.

Ulubioną bohaterką Leigh mogła sobie być Scarlett O'Hara.

Ulubioną bohaterką Snow była Wendy Darling. Uwielbiała tę historię o dziewczynce, która przyszyła Piotrusiowi Panu oderwany cień, a potem poleciała z nim do Nibylandii.

To mogła być jej własna Nibylandia. Nibylandia Luke'a. Płatki śniegu to dobre wróżki, a nie diamenty. Nieskończoność Dzwoneczków.

Żaden Kapitan Hook nie mógłby tej Nibylandii terroryzować. Tutaj nie będzie krokodyli z budzikami w brzuchach. Snow nie umiałaby sobie wyobrazić w tym miejscu nic groźnego - ale zmusił ją do tego pewien okropny odgłos.

W tym miejscu brzmiał zupełnie niesamowicie - zresztą, w każdym miejscu tak by zabrzmiał. Żadne żywe stworzenie nie powinno musieć znosić takiego bólu, a poza tym, jaki potwór umiałby taki ból zadawać?

Snow pobiegła w stronę tych strasznych dźwięków, myśląc wyłącznie o tym, co zrobić, żeby to cierpienie przerwać. Las z przyjaciela zmienił się we wroga. Potykała się o jakieś zwalone gałęzie, w śniegu traciła grunt pod nogami.

Mogłaby poszukać pomocy. Wystarczyłoby wrócić po własnych śladach - jak w historii o Jasiu i Małgosi, po wysypanej okruszkami ścieżce

- ale okazało się, że na to już za późno, jej ślady zniknęły, zasypane śniegiem.

Pani Evans ostrzegęła, że w wąwozie można się zgubić. I nigdy nie zostać znalezionym.

Za późno sobie o tym przypomniała. Już się zdążyła zgubić, przejęta swoją misją- a tuż przed nią, na polance między drzewami stał Luke.

Luke... To on był jednocześnie ofiarą, i tym, kto się nad nią zęcał.

A ten rytmiczny odgłos? Śnieżki, którymi uderzał w drzewo. Ale kiedy brał garść śniegu, zbijał go w kulę i walił z całej siły w drzewo, nie było w tym żadnej radości. Luke wcale sobie przy tym nie wyobrażał, że zostaje gwiazdą jakichś przyszłych mistrzostw świata.

Każdemu potężnemu uderzeniu towarzyszyła nie radość, tylko chęć ukarania. Ukarania siebie, tego śniegu i drzewa.

Chłopiec cierpiał, ale mimo to Snow zauważyła w jego ruchach wdzięk. Ten widok coś jej przypominał. Może jakiś balet, oglądany w telewizji? Nie, niezupełnie. Przypomniało jej się coś innego, coś okropnego - taki niepokojący film o niewolnikach.

Akcja toczyła się w starożytnym Egipcie, nie w czasie wojny secesyjnej w Stanach. Niewolnicy budowali grobowiec dla faraona, a kiedy mozolnie wciągali na ściany piramidy wielkie ociosane bloki skalne, jeden po drugim, ciągle ich bito.

- Przestań!

Obrócił się na pięcie i przywitał Snow aroganckim spojrzeniem, potwierdzając co do joty opinię Leigh o Kilcannonach. To był jego las i nie życzył tu sobie żadnych intruzów.

Do tego Luke Kilcannon wydał się Snow wredny. A przynajmniej jego głos tak zabrzmiał.

- A ty kim, do diabła, jesteś?

- Zakląłeś! - wyrwało jej się z przyzwyczajenia, jak w tej zabawie z matką, i pożałowała natychmiast, kiedy zobaczyła, jak Luke krzywi się z lekceważącym grymasem. To był odruch, Snow protestowała zawsze, gdy tylko słyszała słowa „do diabła”, a teraz Luke uzna ją za idiotkę. Nie jest przecież jej Piotrusiem Panem, tak jak ona nie jest jego Wendy. Nie zapraszał jej do tego swojego zaczarowanego świata. Zrobiło jej się przykro, że teraz będzie ją uważał za głupie małe dziecko. Snow zaczęła kusić, żeby wyrecytować całą długą listę zakazanych słów Leigh. Zapamiętała je w kolejności, w jakiej je zapisywała - w tej samej kolejności, w której te słowa przypominały się Leigh. Ale skąd miała wiedzieć,

jakiego znaczenia nabiorą słowa, których nie rozumie, kiedy ich użyje w zdaniu? Kto by to w ogóle mógł wiedzieć? Coś w tych zielonych oczach Luke'a podpowiadało jej, że on zrozumie każde brzydkie słowo i że nawet zna, i rozumie słowo seks. Snow jednak nie ustąpiła pod niemiłym spojrzeniem Luke'a.

- A ty kim jesteś, do diabła?!

Na aroganckiej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Luke.

- Bardzo miło mi cię poznać. Ja jestem Snow.

- Snow? - Luke ścisnął trzymaną w dłoni śnieżkę. Rozsypała się na kryształki, w których gorzał blask ognia. -A co to za imię?

- Romantyczne.

- Naprawdę?

- Tak. A chcesz wiedzieć, dlaczego?

Była pewna, że powie: „Nie”, widziała, jak pcha mu się na usta równie odruchowo, jak jej przyszło tamto: „Zakłąłeś!” A potem, w ostatniej chwili, zaskoczył ich oboje.

- Czemu nie?

- No dobrze. Padał śnieg, kiedy moi rodzice... mnie zrobili. Tata umarł, zanim się urodziłam. Był dzielnym policjantem. I kochał śnieg.

- To właśnie opowiedziała jej Leigh. Nie opowiedziała jej zresztą nic więcej. Snow dodała coś, w co zawsze wierzyła: - Kochał moją mamę i mnie też by kochał, i na pewno bardzo by mu się podobało moje imię.

- Ile ty masz lat, Snow?

Nie odpowiedziała. Tym razem wymówił jej imię tak, jakby zrozumiął, jakie jest piękne i ważne, a jej aż dech zaparło.

Nie mogła przemówić, ale mogła się poruszyć. Osłonięta przed padającym śniegiem konarami sosny stała na skraju lasu. Luke był w samym środku polanki. Chciała się znaleźć tam, gdzie on. Też wewnątrz tej kuli wypełnionej sypiącym śniegiem.

Zatrzymała się na odległość ramienia. Jego ramienia, nie jej.

- W walentynki skończę dziewięć lat.

- Moje gratulacje. I wszystkiego dobrego. Idź już sobie.

Na twarzy poczuła topniejące płatki śniegu.

- Dlaczego tak robiłeś, żeby to drzewo skrzywdzić?

Zobaczyła, że płatki śniegu topnieją i na jego twarzy.

- Nie krzywdziłem drzewa.

- No to krzywdziłeś śnieg.

Krzywdziłeś siebie, pomyślała.

- Ja nie mam zwyczaju krzywdzić, Snow.

- To dobrze. Ja też nie. Chcesz ciasteczko?

- A ty go nie chcesz? - zapytał, ale widać było wyraźnie, że jest głodny.

- Nie. Mam całą garść. Możesz zjeść wszystkie. Przyniosłam je tylko na wszelki wypadek, gdybym się zgubiła i potrzebowała jedzenia, zanim znajdę drogę do domu.

- Albo zanim ktoś cię stąd nie wyratuje.

Wzruszyła ramionami, strząsając płatki śniegu z drobnych ramion na ziemię.

- Chyba umiałabym sama trafić z powrotem. - Sięgnęła do kieszeni kurtki i podała mu garść ciasteczek. - Ale teraz ty możesz mi pokazać drogę.

Tego pierwszego dnia Snow przekupiła go jedzeniem. Dziewczynka z ciasteczkami i wygłodniały chłopiec. Potem przyciągała go, przekupując jego serce, już ona sama. Był wygłodniały jej przyjaźni, jej bajek, jej samej.

Ukrywali tę przyjaźń.

Snow nie wolno było rzucić choćby przelotnego spojrzenia w jego stronę na korytarzach podstawówki Pinewood. Tak musi być, zapowiedział Luke, nie tłumacząc, dlaczego.

Snow nie prosiła go o wyjaśnienie. Ona też wolała trzymać to w sekrecie. Leigh pomyliła się co do Luke'a, ale lepiej nie nakłaniać jej do zmiany zdania.

Poza tym w ten sposób jej przyjaźń z Lukiem stawała się czymś jeszcze bardziej szczególnym i trudniejszym. Snow zdarzało się podsłuchiwać w szkole rozmowy na temat Luke'a, uczniowie powtarzali to, co usłyszeli od rodziców. Jared Kilcannon to świetny facet, zgadzali się jej koledzy i koleżanki z klasy. Czy to nie tragedia, że ma takiego okropnego syna? Nic dziwnego, że Suzanne Kilcannon odeszła. Musiała się zorientować, że kłamstwa i kradzieże są tylko czubkiem góry lodowej sprawek Luke'a. Może odkryła, że znęca się nad zwierzętami albo że podkłada ogień. A może ten kandydat na seryjnego mordercę próbował i ją zaatakować.

W Quail Ridge zgodnie uważano, że rodzice Luke'a uznali, iż ojciec sam łatwiej sobie z synem poradzi - a dla bezpieczeństwa Suzanne lepiej będzie, jeśli wyjedzie.

Jared próbował jakoś okiełznać swojego krnąbrnego syna. Zbudował nawet dla Luke'a basen na tyłach domu. Tak jak Jared, Luke był uzdolnionym sportowcem - i pływakiem. Ale kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia dowiedziało się o tym chyba całe miasto, Luke oświadczył, że już nigdy nie będzie pływał. Według tego, co Jared powtórzył innemu trenerowi z Liceum Larkena, między synem a ojcem wywiązała się kłótnia, po której Jared spuścił wodę z basenu, młotkiem potłukł jego szklaną pokrywę, a w dnie nawiercił otwory, żeby deszczówka mogła swobodnie odpływać.

Nikt nie widział tego zdemolowanego basenu. Piętrowy dom przy Meadow View Drive był schowany za wysokim, trzymetrowym parkanem. Ale musi tam się znajdować pod oknem sypialni Luke'a, niczym wypełniona szkłem trumna, ten symbol świadczący, że chociaż Jared usilnie próbował, nie mógł sobie poradzić z synem rzezimieszkiem.

Koledzy Snow traktowali Luke'a z pogardą tak, jak ich rodzice. Ale dziewczyny z szóstej klasy, do której chodził Luke, miały odmienne zdanie. Luke to niesłychanie seksowny chłopak. Naprawdę liczyły, że przyjdzie na jedną z weekendowych imprez, na które zapraszały chłopców pod nieobecność rodziców. Chciały poczuć jego dotyk, chciały, by je całował.

Snow nie cierpiała tych fałszywych oskarżeń rzuconych pod adresem jej przyjaciela. Co do opinii, że jest seksowny, też nie dawało jej to spokoju.

Snow miała pewność, wierząc Luke'owi na słowo, że nie byłby zdolny skrzywdzić żadnego zwierzęcia. Ani podłożyć ognia. Ani skłamać. A jeśli chodzi o kradzieże, czy raczej o ich brak, na ten temat wiedziała najlepiej.

Luke, choćby nawet bardzo potrzebował pieniędzy, nie kradł. Szukał monet zgubionych na parkingach w Quail Ridge i zbierał puszki i butelki, które w punkcie skupu wymieniał na gotówkę.

Swoje oszczędności trzymał w znalezionym słoju, który chował w zwałonym pniu drzewa. Snow próbowała oddawać mu dolarowe banknoty wygrane od matki, kiedy grały w „Zakłętaś!”, ale Luke nie chciał ich przyjmować.

Zamiast pieniędzy Snow dawała mu jedzenie. Zwierzył jej się z tego głodu i z jego przyczyny. W dniu, w którym zdecydował, że nie będzie pływał, ojciec przestał go karmić. Luke nigdy nie powiedział, co Jared by mu zrobił, gdyby uszczknął coś z jedzenia, które ojciec kupował dla

siebie. Powiedział tylko, że jeśli chce jeść, musi sam sobie zapewnić jedzenie.

Kiedy chodził do szkoły, było mu łatwiej. Jedyny posiłek w te dni - lunch - miał za darmo. Podczas weekendów i w święta, jak wtedy, kiedy poznali się w czasie bożonarodzeniowych ferii, grzebał po śmietnikach pod fast foodami i w kontenerach na odpadki za sklepami spożywczymi. Musiał uważać, przeszukując śmieci. Jared zabroniłby mu wychodzić z domu, gdyby się dowiedział.

Luke starał się nie naruszać swoich oszczędności ze słoika, żeby kupić coś do jedzenia. Ale kiedy organizm domagał się czegoś więcej niż to, co udawało mu się znaleźć, kupował sobie masło orzechowe. Właśnie masło orzechowe przynosiła mu Snow. Słoik za słoikiem.

Dzięki jej pomocy rósł nie tylko Luke, ale i jego oszczędności.

- Chcesz uciec - stwierdziła w połowie kwietnia, kiedy patrzyła, jak dokłada do słoja zdobycze tego popołudnia: osiem jednocentówek i jedną dziesięciocentówkę.

- Chcę odejść.

Proszę, nie odchodź! - krzyknęła w myślach.

- Kiedy?

- Kiedy dorosnę na tyle, że będę mógł mieszkać sam i nie wzbudzać niczyjej ciekawości.

- Aż tak nienawidzisz tego wszystkiego tutaj?

- Nienawidzę niektórych rzeczy... aż tak. - Luke spoglądał właśnie na jedyną część swojego życia, której nie nienawidził.

- Nienawidzisz swojego ojca.

- Tak.

Snow też nienawidziła Jareda Kilcannona. Za to, że głodził syna. Za to, że przez niego Luke tak bardzo chce odejść. To nie brak jedzenia kazał mu się zdecydować na ucieczkę. Głód był czymś nowym, a przecież Luke zbierał pieniądze od lat.

- Dlaczego, Luke?

- Po prostu tak jest, Snow. I nic więcej ci o tym nie powiem.

- Czy to dlatego nikt się nie może o nas dowiedzieć?

- Tak.

- Rozumiem, że nikt nie może o nas wiedzieć. Ale czasem, kiedy przez parę dni nie ma cię w szkole, kiedy tracisz wszystkie te lunchy, mam ochotę iść do ciebie do domu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku.

- Snow, nie wolno ci nigdy przyjść do mnie do domu. Mówię serio. Nie wolno ci przychodzić i nie wolno ci dzwonić. Musisz mi obiecać, że nigdy tego nie zrobisz.

- Ale kiedy nie widzę cię kilka dni...

- Nic złego się ze mną nie dzieje. Nie martw się o mnie. Ale musisz obiecać, że nigdy nie przyjdiesz do mnie do domu. Dobrze?

- Obiecuję. - Przerazały ją te rzeczy, o których nie chciał jej opowiedzieć. Jeszcze bardziej przerażało ją, jak szczelnie zamykał się w sobie, kiedy zadawała mu pytania, na które nie chciał odpowiadać.

Były też takie pytania, których nigdy nie odważyła się mu zadać. Dlaczego opuszczał szkołę, i to po kilka dni z kolei? I dlaczego w te dni nie spotykał się z nią w lesie? Gdyby poświęcał ten czas na grzebanie w śmietnikach, na pewno pokazałby jej, co znalazł.

I czy chodził na te weekendowe imprezy? I dotykał tych dziewczyn, które pragnęły tego dotyku?

Snow nie do końca rozumiała, o co chodzi starszym dziewczynom z tym dotykiem. Ale sama też pragnęła jakiegoś fizycznego kontaktu z Lukiem. Czytała coś o braterstwie krwi i zaproponowała mu, żeby zostali takimi przyjaciółmi połączonymi więzami krwi.

Przedstawiła ten swój pomysł w formie wyzwania.

- Boisz się skaleczyć? - zapytała Luke'a, kiedy zmarszczył brwi.

Czy się bał? Jasne. Ale nie skaleczeń na rękach. Wiele razy zastanawiał się, czy sobie nie podciąć nadgarstków aż do kości - i zawsze ogarniał go wtedy spokój. Teraz zaś bał się tylko, że choćby jedną kroplą krwi Jareda, tej krążącej w jego żyłach trucizny, zaszkodzi Snow.

- Jesteś pewna, że chcesz mieszać swoją krew z moją?

- Całkowicie!

Zło Jareda może i jest dziedziczne. Ale przecież nie zaraźliwe. Luke uznał, że Snow nic nie grozi.

Chłopiec wyzbyty nadziei zawarł przymierze krwi z dziewczynką bajki. Snow opowiadała mu o tych wyimaginowanych światach znanych większości dzieci, jemu jednak obcych - także o swoim ulubionym Piotrusiu Panu.

Snow byłaby idealną Wendy Darling, zszywającą naddarte cienie, stwarzającą dom dla zagubionych chłopców. Ale Luke nie nadawał się na Piotrusia. Był chłopcem tylko z wyglądu i nie mógł się już doczekać, kiedy dorośnie. Krokodyle z budzikiem w brzuchu i piraci z hakiem zamiast dłoni, takie zagrożenie nie przerażało go - i było banalne w porównaniu z jego sadystycznym ojcem.

Snow opowiedziała też Luke'owi prawdę o swoim życiu z Leigh.

Zaniepokoiło go to opowiadanie, pomyślała Snow, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Nie podobały mu się opisane przez Snow interesy Leigh i chciał się dowiedzieć, gdzie mieszkali rodzice Snow - i dokąd podróżowali - w ciągu tego roku, zanim Snow się urodziła. Kiedy powiedziała, że nigdy nie wyjeżdżali z Chicago, spojrzął na nią tak, jakby w jej odpowiedzi kryło się coś znaczącego, co ona powinna rozumieć.

Luke zainteresował się też, co robiła Leigh, zanim poznała ojca Snow. Dziewczynka, zainteresowana tym, sama zapytała matkę. Leigh streściła jej swoje dzieje zaledwie w trzech zdaniach. Urodziła się w południowym Illinois, przeniosła do Chicago w wieku szesnastu lat. Jej rodzice - a później matka i ojczym - mieli za dużo dzieci i za mało pieniędzy. Powiedziała, że na pewno im ulżyło, kiedy odkryli, że zniknęła.

Snow zrobiło się przykro, gdy pomyślała, że rodzina Leigh mogła się ucieszyć, mając o jedną gębę mniej do wyżywienia. To w pewien smutny sposób wyjaśniało, dlaczego Leigh przysięgała, że już nigdy nie będzie chodziła głodna.

Luke dopytywał się też, czy Leigh zażywa narkotyki.

- Kiedyś piła piwo i paliła papierosy. Ale teraz już tego nie robi. A czemu o to pytasz?

- Tak tylko - odparł. Ale Snow znów miała wrażenie, że on wie o czymś niepokojącym, czego ona nie rozumie... I że nie ma najmniejszego zamiaru tego jej wyjaśnić.

Nie naciskała, bała się naciskać, bo nie chciała, żeby się przed nią zamykał. Ten lęk nie dał się porównać ze strachem, jaki ją ogarniał zawsze, kiedy Luke'a nie było w szkole. Czy to właśnie ten dzień wybrał sobie, żeby odejść? Dopiero kiedy biegła do wawozu i znajdowała słoje pełne monet, strach zniknął - do końca tego dnia.

Snow nie powiedziała Luke'owi, że nie chce, by wyjeżdżał z Quail Ridge. Nie prosiła też, żeby odłożył wyjazd do czasu, aż ona dorośnie na tyle, żeby mogła z nim pojechać. Ale wymusiła na nim obietnicę, że uprzędzi ją, zanim zniknie.

Ojciec, który nie dawał Luke'owi jedzenia, nie chciał też pozwolić, żeby chłopiec na swoje jedzenie zarobił. Nie było mowy o żadnym rozwożeniu gazet ani odchwaszczaniu ogrodów sąsiadów czy podlewaniu trawników. Ale ponieważ Luke już nie pływał, miał mnóstwo czasu na wypełnianie domowych obowiązków, które ojciec zlecił mu na lato.

Snow uznała, że zupełnie bezpiecznie może pomóc Luke'owi. Przecież Jared jest w Hilltop Country Club od świtu do zmierzchu.

Snow była pewna, że pani Evans nie powie Jaredowi, że ona tam przychodzi, jeśli poproszą o dyskrecję. Może nawet upiecze dla nich ciasteczka, a oni w zamian mogliby wypielić chwasty w jej ogrodzie.

Luke natychmiast zaprotestował i zażądał, by Snow nigdy nie zbliżała się do domu przy Meadow View Drive.

Mimo zajęć Luke'a, lato minęło przyjemnie. Zaczynając od dwóch przeciwnych stron parkingów, rozglądali się po chodnikach i szukali monet, rzucając sobie ukradkowe spojrzenia, gdy coś znaleźli. Zbierali też puszki i butelki. A pewnego jasnego pogodnego dnia weszli do Banku Quail Ridge i wymienili swój cenny ładunek monet na świeżutkie banknoty.

Najlepsze chwile spędzali w lesie. Wspaniałe chwile, chociaż też niepozbawione pochmurniejszych momentów. Luke podciągał się na gałęziach drzew z taką samą zaciętością, z jaką rzucał śnieżkami w dzień Bożego Narodzenia - góra, dół, znów i znów, z tym samym gniewnym wdziękiem. Snow nie liczyła tych podciągnięć, nie chciała. Ale w jakimś momencie przykazywała mu:

- Przestań. Proszę.

Ulegał ze śmiechem. Lubił czuć, że jest silny. Nie można być za silnym. Wtedy przerzucał się na pompki na jednej ręce albo zawisał zaczepiony o gałąź nogami i robił brzuszki.

Koniec lata przyniósł jej przedsmak życia w Quail Ridge po wyjeździe Luke'a. Mimo częstych nieobecności w szkole udało mu się zdać do siódmej klasy gimnazjum Nathan Hale, które mieściło się trzy kilometry dalej.

Teraz znikła nawet nadzieja, że rzuci na niego okiem gdzieś na korytarzu. Snow też już chciała być w Nathan Hale. I miała się tam znaleźć - kiedyś. Ale gdyby przeskoczyła piątą klasę, trafiłaby do siódmej, kiedy Luke będzie w dziewiątej. Przez rok chodziliby też wspólnie do Liceum Larkena.

Nauczyciele poparli pomysł, aby Snow miała indywidualny tok nauczania. Już i tak wyprzedzała resztę klasy. Leigh nie stawiała przeszkód i podpisała zgodę na intensywniejszy plan zajęć, nie pytając Snow, skąd taki pośpiech.

Snow nie powiedziała Luke'owi, że spotkają się w gimnazjum. Nie chciała usłyszeć jego odpowiedzi - że znajdzie się daleko od Quail Ridge na długo przedtem, zanim ona zda do siódmej klasy.

Luke już powoli zaczynał odchodzić. W lesie spotykał się z nią rzadziej, a kiedy raczył się zjawić, wydawał się odległy.

Pierwszego listopada wymówił słowo, którego się bała:

- Wyjeżdżam.

Nie, zaprotestowała w duchu.

- Kiedy?

- Jutro rano.

- Dlaczego?

Bo mój ojciec o tobie wie, pomyślał zrezygowany.

Latem zrobili się nieostrożni. Luke zrobił się nieostrożny. A poprzedniego wieczoru z beztroską, której fałsz był dla Luke'a oczywisty, Jared zapytał:

- Słyszałem, że masz przyjaciółeczkę, niejaką Snow.

Nie próbuj zaprzeczać, mówił ton głosu ojca. Nie wmawiaj mi, że to tylko taki dzieciak, który snuje się za tobą w ciepłe letnie dni.

Luke nie miał pojęcia, ile ojciec wie o Snow i Leigh. Ale Jared bez trudu dowie się wszystkiego. Jak drapieżnik, któremu rzucono kość, zgryzie ją aż do szpiku, pochłaniając wszystko, co najlepsze.

Jared cieszyłby się, że zada Luke'owi ból, nie przejmując się zupełnie, kogo skrzywdzi przy okazji.

Luke powinien wyjechać z Quail Ridge już wczoraj wieczorem. Ale obiecał Snow, że się z nią pożegna. Trudno, wyjedzie jutro.

Potrzebował trochę czasu, żeby przygotować się na resztę życia, w którym już jej nie będzie.

- Dokąd pojedziesz? - zapytała.

- Nie wiem. Gdziekolwiek.

- Ale któregoś dnia wrócisz.

- Nie wrócę, Snow. Nigdy.

- Jadę z tobą!

- Nie możesz!

- Mogę.

- Nie chcę, żebyś ze mnajechała.

- Przecież jesteśmy przyjaciółmi!

- Snow, znajdziesz nowych przyjaciół, a o mnie zupełnie zapomnisz.

- Nigdy o tobie nie zapomnę! Nie chcę.

- Musisz. Zapomnisz o mnie, a ja zapomnę o tobie.

- Dlaczego jesteś taki wredny? - Snow pożałowała tego pytania, kiedy tylko je zadała. Luke nie był wredny. To oskarżenie mogło tylko zranić jego uczucia... i zraniło je. - Przepraszam!

- Nie masz mnie za co przepraszać. Zapamiętaj to sobie.

O co mu chodziło? Snow wiedziała, że on jej tego nie wyjaśni, a poza tym były jeszcze inne, ważniejsze sprawy.

- Będziesz do mnie pisał, prawda?

- Nie.

- To jak ja się dowiem, czy u ciebie wszystko w porządku?

- Będzie w porządku.

- Co ja złego zrobiłam, Luke? Proszę, powiedz mi!

- Nic złego nie zrobiłaś, Snow. Absolutnie nic złego, psiakrew. Tylko, że już czas, żebyśmy sobie powiedzieli do widzenia.

Ja nie mogę powiedzieć ci do widzenia, Luke. Ja tego nie zrobię.

Milczała bezsilnie. Odchodził, z jej pożegnaniem czy bez.

Nie chciała, żeby odszedł. Ale nawet nie wiedząc, dlaczego odchodzi, rozumiała, że odejść musi. A przede wszystkim chciała, żeby podróżował bezpiecznie. Był już w połowie polanki, kiedy dotarło do niej, że może być inaczej. Mogła nie przypominać mu o pieniądzech, zmusić go, żeby wrócił po nie do Quail Ridge, do niej... I do ojca, którego nienawidził.

- Luke! Zapomniałeś słoika!

Luke odwrócił się do niej twarzą, ale nie ruszył się w stronę zwalonego pnia drzewa.

- Pieniądze są twoje, Snow.

- Co?

- Są dla ciebie w razie, gdybyś ich kiedyś potrzebowała.

- Po co miałabym ich potrzebować?

Luke nie odpowiedział i po chwili zniknął jej z oczu.

Później, jeszcze tego samego wieczoru, Snow znalazła odpowiedź na pytanie, którego nigdy głośno nie zadała.

Basen pod oknem sypialni Luke'a rzeczywiście pełen był gwoździ i szkła. Jeszcze więcej szkła wpadło tam wieczorem, kiedy Luke wyskoczył przez okno, żeby uciec przed płomieniami.

Rozdział 1

**Klinika Weterynaryjna Pinewood
Meadow View Drive
Quail Ridge, Illinois
sobota, 29 października, 17.45**

No proszę. - Bea Evans zerwała się na równe nogi z kanapy w salonie, gdzie siedziała, sprawdzając wieczorny program telewizyjny. - Wyglądasz cudownie!

Mira Larken, lekarka weterynarii, przyjęła ten okrzyk z uśmiechem przesadnej skromności.

- Beo, wyglądam po prostu inaczej.

- Po prostu cudownie. - Emerytowana szkolna pielęgniarka obróciła dłonią, a kiedy ubrana w liliową suknię wieczorową Mira posłusznie okręciła się wokół własnej osi, Bea dodała: -I to z każdej strony.

- Dzięki. W razie czego wiesz, gdzie jestem.

- Sala Balowa Starlight w hotelu Wind Chimes. Mam tu pod ręką numer.

- Zabieram też pager.

- Po co? Nic nie usłyszysz na balu, będzie hałas.

- Przetawiałam go na wibracje.

- Gdzie go masz?

Mira wskazała atłasową szarfę sukni. Pager był cieniutki, a wyrzucenie w tym miejscu ledwie widoczne. Ale Bea za nic nie chciała się na to zgodzić.

- Proszę mi to oddać, doktor Larken. Jeśli będziesz mi potrzebna, znajdę cię. Poza tym naszej dziewczynce się polepsza.

Trzydzieści sześć godzin po zabiegu usunięcia woreczka żółciowego „ich dziewczynka”, trójkolorowa kotka Agatha, dochodziła do siebie na tyle, że Mira miała nadzieję wypisać ją z kliniki następnego dnia w południe.

Ale na razie Agatha była rzeczywiście „ich dziewczynką”. A Bea najlepszą asystentką weterynaryjną, jaką Mira kiedykolwiek miała - i najlepszą matką.

Biologiczna matka Miry, Marielle, bawiła się świetnie w Palm Beach. Tak samo jak Bea, pochwaliłaby wieczorową suknię Miry z Pearl Moon, ale z zupełnie odmiennych powodów - czułaby ulgę, że jej lekceważąca modę córka ubrała się odpowiednio na bal charytatywny.

Dla Marielle DuMonde Larken liczyły się wyłącznie pozory.

Dla Beatrice Evans pozory były nieistotne. Cieszyła się wyłącznie ze względu na Mirę. Bea po prostu miała nadzieję, że Mira spędzi przyjemny wieczór poza domem.

Mira nawet nie zdawała sobie sprawy, że czegoś jej ze strony matki brakuje, dopóki pielęgniarka, którą po raz ostatni widziała, gdy chodziła do podstawówki Hilltop, nie wybrała się na Meadow View Drive, żeby przywitać w Pinewood Mirę - i zobaczyć jej klinikę weterynaryjną.

To było trzy miesiące temu. Od tego dnia Bea matkowała i Mirze, i leczonym przez nią zwierzętom. Bea miała rację. Agatha dochodziła do siebie. Poza tym, gdyby trójkolorowa kotka chociaż ruszyła wąsikiem, Bea natychmiast by się nią zajęła.

Mira położyła swój pager na wyciągniętej dłoni Bei.

- Nie jestem pewna, o której wrócę do domu.
- Wrócisz, kiedy Vivian będzie gotowa wrócić i ani sekundy wcześniej. Ani później.

W uwadze Bei nie było śladu krytyki - w odpowiedzi Miry zresztą też. Tak wyglądały fakty.

- Masz rację. Chyba że Blaine zechce zostać do samego końca, a wtedy Vivian się zgodzi. Może się i tak zdarzyć, w końcu impreza jest organizowana przez szpital, a to już jego ostatnie dni w roli dyrektora. Vivian zawsze chętnie przystaje na to, czego chce Blaine, pod warunkiem że dzięki temu są razem.

- Myślisz, że ci kiedykolwiek podziękuję za to, że ją przedstawiłaś mężczyźnie jej życia?

- Nie. I nie ma sprawy. Poza tym ja mu jej nie przedstawiałam, chciałam się z nią spotkać zawodowo. I prawdę mówiąc, kiedy Blaine spytał mnie, czy Vivian mogłaby mu udzielić porady prawnej, której wtedy potrzebował,

nawet mi do głowy nie przyszło swatanie tych dwojga. Wiedział, że Vivian specjalizuje się w prawie rodzinnym, i właściwie mógł się z nią skontaktować bez mojego pośrednictwa. Nigdy bym nie przypuszczała, że się w sobie zakochają- a jeszcze mniej, że stanie się to od pierwszego wejrzenia.

Mira nie знаła zbyt dobrze tych dwojga gruchających gołąbków - ani pięćdziesięciodwuletniego lekarza psychiatry po rozwodzie, ani własnej, dwukrotnie zaręczonej ale ani razu zamężnej, trzydziestoczte-roletniej siostry.

Ale cieszyła się bardzo z tej szaleńczej miłości Vivian do równie w niej zakochanego Blaine'a Prescottta - chociaż radość nie mąciła jej trzeźwego osądu.

- No więc nie przejmuj się-powiedziała Bea.-Zobaczymy się, jak wrócisz. Jeśli zrobię się senna, zdrzemnę się w pokoju gościnnym. Co mam zrobić, jeśli zadzwoni, sama wiesz, kto? Chętnie bym mu nagadała od siebie.

- Wiem, że miałabyś na to ochotę, Beo. Pomyślałam, że najlepiej będzie włączyć sekretarkę, żeby nagrywała wszystkie telefony. Może zostawi wiadomość, coś, co policja będzie mogła, w razie potrzeby, wykorzystać. Chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Bea miała minę współczującą, ale i stanowczą. Ten człowiek uprzedzał, że zadzwoni znowu.

- Masz porozmawiać o tym z Blaine'em i Vivian.

Tak, mam, pomyślała Mira.

- Dobrze, porozmawiam.

Godząc się na propozycję Vivian, żeby do Chicago pojechali razem, Mira nie liczyła, że siostra i szwagier poświęcą jej więcej uwagi. Zresztą w pierwszym odruchu nawet odmówiła - tego na pewno spodziewała się po niej Vivian.

To była jedna z tych czysto grzecznościowych propozycji, takich jak wtedy, kiedy człowiek zaprasza znajomych na obiad, wiedząc, że i tak mają inne plany. Docenią twoje zaproszenie, ale na pewno ci nie grozi, że naprawdę z niego skorzystają.

Gwarancją, że Mira odmówi udziału w Balu Jesiennego Księżycy, była nie tyle ta konkretna impreza charytatywna, ile sam fakt, że okazja wymagała wieczorowego stroju. Dla siostry Vivian ubrać się odświętnie znaczyło włożyć dżinsy zamiast lekarskiego fartucha.

Przez wiele lat, prosząc o anonimowość, Mira robiła szczodre dotacje na rzecz szpitala Grace Memorial. W tym roku, o czym nie wiedziała,

dopóki nie dostała pocztą programu przewidzianej na wieczór aukcji, Blaine dodał jej nazwisko do listy licytujących Chagalla, którego on i Vivian wystawili na sprzedaż. Obraz, kupiony w południowej Francji w czasie pierwszego miesiąca miodowego Blaine'a, nie znalazł miejsca w jego małżeństwie z Vivian.

Mira nieco się zirytowała, kiedy odkryła, że jej nazwisko zostało tam umieszczone bez jej zgody. Ale zdecydowała, że nie będzie się z tego powodu awanturować. Blaine miał jak najlepsze intencje. Widocznie uznał, że łącząc nazwiska jej i Vivian w programie aukcji, zachęci siostry do bliższych kontaktów.

Albo chodzi o to, myślała Mira, albo też jako psychiatra, znany ze swoich działań na rzecz zdrowia psychicznego kobiet, zainteresował się zawodowo specyficznym związkiem tych dwóch sióstr.

Jednak bez względu na to, czy kierowały nim motywów altruistyczne, czy zawodowe, Blaine'a czekało rozczarowanie.

Nie istniało tu żadne, nigdy przez nikogo nieodkryte, zadawnione nieporozumienie, żadne odbicie od normy tak głębokie, że należało je dodać do listy ciekawych dla psychiatry zjawisk. Ot, ścieżki życia dwóch sióstr Larken rzadko się przecinały, a kiedy już się tak działo, ich kontakt bywał najzwyczajniej w świecie powierzchowny, żadnej stronie nie czyniąc szkody.

Z tego samego powodu raczej nie groziło im w przyszłości nawiązanie bliższych kontaktów. Trudno przecież zbliżyć się do kogoś, kto człowieka po prostu nie interesuje.

Jeśli dawno temu zdarzało się, że mała Mira wyciągała ręce do swojej trzyletniej siostry i stykała się z odrzuceniem, to nic takiego nie zapamiętała - nie miała w ogóle żadnych wspomnień związanych z tęsknotą za siostrą, która zawsze była gdzieś od niej daleko.

Odległa siostra. Odległa matka. Odległy ojciec. Tak wyglądała rodzina Miry. Najważniejsza rodzina w Quail Ridge. Larkenowie zbierali się wszyscy razem tylko na sesje fotograficzne - co roku na Gwiazdkę, z okazji, gdy Marielle dostawała kolejny tytuł Matki Roku, albo z powodu równie częstych sukcesów szkolnych Vivian.

Stwarzanie pozorów rodziny idealnej nie przeszkadzało Mirze. Ani to, że zauważała, iż to tylko pozory. Jej rodzina taka już po prostu była, a jako dziecko Mira wcale nie czuła się nieszczęśliwa. Poza tym stworzyła sobie własną rodzinę złożoną z okolicznych psów. Te pogodnie stworzenia obdarzyły ją bezwarunkowym uczuciem, którego brakowało

w wielkim domu Larkenów. Mira odwzajemniała je szczerze. I chociaż nie miewała jakichś głębokich, mrocznych sekretów, psi przyjaciele stanowili wystarczająco uważną publiczność, kiedy chciała im się z czegoś zwierzyć. To właśnie swoim machającym ogonami przyjaciółom Mira zwierzyła się najpierw z radosnych planów na dalsze życie. Spędzi je wśród zwierząt i zwierzętami - takimi jak one - będzie się zajmowała

Mira nie sądziła, że brak jej matki, dopóki nie poznała Bei.

Siostry też jej nie brakowało... Czy rzeczywiście? A jeśli nawet brakowało, to nauczyła się z tym żyć. I ona, i Vivian.

O czym Blaine na pewno sam się przekona.

A tymczasem, jeśli będzie miał taką ochotę, może myśleć, że właśnie dzięki temu, iż wpisał jej nazwisko do programu aukcji obok licytowanego przez niego Chagalla, zgodziła się wziąć udział w Balu Jesiennego Księżyca. Blaine nie musi wiedzieć - nawet Bea nie miała o tym pojęcia - że Mira zmieniła zdanie z zupełnie innego powodu.

Snow Ashley Gable wróciła do Chicago.

Snow Ashley Gable. Kobieta, która złamała serce Luke'owi Kilcannonowi.

Rozdział 2

Pozory były bardzo ważne dla najstarszej córki Marielle Larken. Ulga, jaką odczuła Vivian na widok sukni Miry, tak bardzo pomogła rozluźnić atmosferę w lexusie Blaine'a, że Mira zdecydowała się na razie nie mówić nic na temat telefonów od zbrojeńcy, który do niej wydzwaniał.

Jeśli nic nie powie, nikt o nim nie będzie wiedział. Tylko z Beą rozmawiała o tych telefonach. Nie wspomniała o nich nawet Luke'owi. Zbierała się, żeby mu o nich opowiedzieć, ilekroć wiedziała, że natychmiast poradzi jej, aby wyprowadziła się z tego domu. A kiedy dostała program aukcji, pojawiła się dodatkowa, przynębiająca konieczność poinformowania go, że Snow wraca do domu.

Wtedy to Mira musiałaby udzielić rad. Przypomni mu, że przyjaźń to dwukierunkowa ulica, jeśli on zareaguje milczeniem na informację o Snow. Skoro ty masz prawo udzielać mi rad na temat mojego życia, Luke, to ja mogę udzielać ci rad na temat twojego.

Luke pewnie by się tylko zamyślił i uśmiechnął z wdzięczności, doceniając jej troskę niezależnie od tego, czy zamierzał skorzystać z jej rady, czy nie.

Znając Luke'a... Mira rzeczywiście go znała. Nawet zwierzył jej się kiedyś, ale poznać się pozwolił tylko Snow. A Luke znał Mirę - lepiej, jak mu raz powiedziała, niż którekolwiek ze wszystkich dwunożnych stworzeń.

Poznali się pięć lat temu, kiedy Luke zgłosił się do Kliniki Weterynaryjnej Hilltop z czekoladowej maści labradorem, którego uratował z jakiegoś trzęsawiska. Chciał, żeby Mira oceniła stan psa - ubłoconemu szczeniaku nic nie groziło - a wkrótce potem, tuż przed zamknięciem kliniki na noc, pojawili się wdzięczni właściciele zwierzaka.

Luke zaprosił Mirę na drinka. Oboje zamówili kawę, potem kolejną, siedzieli i rozmawiali. Pięć lat później nadal rozmawiali, nadal dzielili się różnymi przeżyciami, najczęściej przez telefon późnym wieczorem, kiedy kończyli długi dzień pracy, ale byli jeszcze za bardzo nakręceni, żeby zasnąć.

Na razie rozmowy z Lukiem musiały czekać na lepszy moment. Jak każdy inny dyspozycyjny strażak walczył z powodziami w południowo-zachodnim Illinois.

Poza tym, z okazji powrotu Snow Mira wpadła na pewien pomysł. Gdyby Luke znał jej plan, zabiły ją - mówiąc w przenośni. Wbrew temu, co mogli sobie wyobrażać niektórzy mieszkańcy Quail Ridge, nie wyłączając siedzącej w tym samochodzie siostry Miry, Lucas Kilcannon nie jest zdolny do zabójstwa.

- Miro, to jakaś ponura myśl. - Blaine zerknął na nią w lusterku wstecznym. - Podzielisz się nią z nami?

Zdecydowała się natychmiast.

- Chętnie. W zeszłym tygodniu dostałam dwa telefony od jakiegoś zbrojeńca.

- No świetnie - wtrąciła Vivian. - Ale czego ty się spodziewałaś, Miro, wprowadzając się akurat tam?

- Spodziewałam się dokładnie tego, co znalazłam. Uroczego domu, przyjemnego sąsiedztwa i idealnej lokalizacji dla mojej przychodni.

- Uroczego domu - powtórzyła Vivian tonem dokładnie przypominającym ton Luke'a, kiedy Mira mu powiedziała, że kupuje nieruchomość, na której terenie mieszkał do czasu tamtego nocnego pożaru.

Mira umyślnie użyła wtedy słowa „nieruchomość”. Dom Kilcannonów spłonął doszczętnie. Przedsiębiorca budowlany usunął wszystkie

ślady wcześniejszych zabudowań, wylał nowe fundamenty i postawił obszerny, parterowy bungalow dość daleko od miejsca, w którym kiedyś stał piętrowy dom w stylu American Craftsman.

A potem zasypano basen, a na jego miejscu zasadzono róże.

Trzy rodziny, jedna po drugiej, mieszkały w nowym domu przy Meadow View Drive. W tym czasie nie doszło tam do żadnego tragicznego wypadku. Ani nawet do jakiegokolwiek drobnego wypadku. Ale i tak te rodziny wcześniej czy później wyprowadzały się... Jakby sama ziemia była cmentarzyskiem nawiedzonym przez duchy.

Po śmierci Jareda Kilcannona nie dało się zarobić na tej działce. Każdy nowy nabywca kupował dom za grosze, a potem sprzedawał jeszcze taniej.

Luke nie chciał, żeby Mira kupiła ten dom. Stwierdził, nie wdając się w szczegóły, że to zły pomysł. Vivian równie stanowczo sprzeciwiała się temu pomysłowi i otwarcie wyjaśniła siostrze, dlaczego. Odejście z Kliniki Weterynaryjnej Hilltop, żeby otworzyć prywatną praktykę, to jedno, przejaw niezależnego ducha, który zawsze Mirę charakteryzował. Ale przeprowadzka z Hilltop do Pinewood - i to do tego domu - jest czymś równie głupim, jak niewłaściwym.

Trudno się dziwić, że kiedy Vivian usłyszała o telefonach od jakiegoś zbroczeniaka, zareagowała stwierdzeniem: „A nie mówiłam?”

- Jakim cudem przeprowadzka Miry do Pinewood ma się logicznie łączyć z otrzymywaniem obscenicznych telefonów.

Dzięki, Blaine, pomyślała Mira, kiedy Vivian odpowiadała:

- To nieciekawa okolica. Zawsze tak było.

- To nieprawda, Vivian. Pinewood to wspaniała okolica.

Vivian lekceważąco pokręciła modnie ostrzyżoną głową.

- Mimo że jakiś młodociany chuligan z Pinewood bawi się w takie telefony?

- Szczeniackie wygłupy - mruknęła Mira. Wygłupy jakiegoś nastolatka. Nie wierzyła w taką możliwość. Pewna powściągliwość w obrzydliwie pornograficznych sugestiach, samokontrola - mimo niedwuznacznego języka, jakiego używał dzwoniący - kazały jej dojść do wniosku, że to dorosły człowiek... Traktujący to wszystko śmiertelnie poważnie.

- Chciałabym, żeby tak było.

- Powiedz nam coś więcej o tych telefonach - powiedział Blaine.

- Masz jakies sugestie na temat ich autora?

- Mnóstwo, ale żadna z nich nie jest specjalnie miłosierna.

Blaine się uśmiechnął.

- Chodziło mi o jakieś domysły dotyczące jego cech charakterystycznych, takich jak wiek, wykształcenie czy akcent.

- Niewiele. Wydaje mi się, że zmienia głos elektronicznie. Myślałam, że dostęp do technologii umożliwiających modyfikację barwy głosu mógłby stanowić jakąś wskazówkę, dopóki nie odkryłam w Internecie, jak łatwo takie technologie są dostępne. Trudno określić jego wiek, jak sądzę, ale jeśli oprzeć się na treści jego... uwag, wydaje mi się, że to ktoś dorosły. Wyraża się poprawnie, tylko słownictwo ma takie... Dozwolone od lat osiemnastu. Jeśli mówi z akcentem, ukrywa go dzięki temu urządzeniu.

- Cały czas mówisz: on.

- Tak. Kobieta nie robiłaby tego typu anatomicznych aluzji, którymi on się posługuje.

- Chyba że dzwoni, kierując się pozaseksualnymi pobudkami.

- Na przykład?

- Aby cię nękać za to, że się umawiasz z jej byłym chłopakiem czy mężem.

- Nie umawiam się z nikim i naprawdę wierzę, że to dorosły mężczyzna.

- To na pewno najbardziej prawdopodobna możliwość i jeśli właśnie coś takiego podpowiada ci instynkt, pewnie masz rację.

- Mogę coś powiedzieć? - odezwała się Vivian.

Mira dostrzegła uwielbienie w oczach Blaine'a, który spojrzał na żonę.

- Oczywiście - odparł.

W czasie tej króciutkiej chwili, w której ci dwoje spoglądali na siebie z miłością, Mira zastanawiała się, czy jej siostra nie będzie miała na temat telefonów jakichś uwag jako prawniczka. Vivian po ukończeniu prawa - z wyróżnieniem - nie została prokuratorem. Nie interesowała jej prawo kryminalne - a konkretniej kryminaliści. Ale na pewno miała za sobajakieś obowiązkowe kursy dotyczące postępowania w takich sytuacjach jak ta, w której znalazła się Mira.

- To brzmi tak, jakbyś słuchała tego, co on do ciebie mówi.

No i tyle, jeśli chodzi o błyskotliwy prawniczy komentarz Vivian.

- Tak.

- Na litość boską, po co? Na twoim miejscu odkładałabym słuchawkę i dzwoniła na policję.

- On mi grozi, jeśli zrobię którąś z tych dwóch rzeczy.

- Jak ci grozi?

- Mówi, że zacznie dzwonić w ten sam sposób do moich znajomych.

- Wymienia ich z nazwiska? - spytał Blaine. - Wymienił nas?

- Nie.

- Czy powiedział coś, co mogłoby wskazywać, że wie, kim jesteś i gdzie mieszkasz?

- Nie. To dobrze, prawda?

- Być może. Coś jeszcze?

- Na przykład?

- Ktoś cię śledzi? Chodzi za tobą?

Czy ktoś mnie śledzi? - zastanowiła się Mira.

- Nie. A przynajmniej, nie zauważyłam.

Trudno to było uznać za stuprocentowe zapewnienie. Mira, tak jak większość kobiet, nawet kiedy płaciła za zakupy spożywcze, myślała już o swoich kolejnych obowiązkach - zakładając, że w ogóle uruchamiała umysł, załatwiająco coś szybko w sklepie, banku, bibliotece czy na poczcie. Właściwie wcale nie odrywała się wtedy myślą od kliniki, przejęta losem kolejnego powierzonego jej zwierzęcia.

Czy doktor Mira Larken zauważyłaby, że ktoś ją obserwuje?

Bardzo wątpliwe.

- Zakładam, że policji jeszcze nie zawiadomiłaś?

- Nie.

- A trzeba - powiedział Blaine. - To może być poważna sprawa, Miro. I musisz ją traktować poważnie. Z tego wszystkiego co na razie wiadomo, te rozmowy może przeprowadzać ktoś z Quail Ridge. Im więcej danych będzie miała policja, tym bardziej prawdopodobne, że go złapią.

- Dobrze. Masz rację. Zawiadomię ich.

- Możemy zmienić temat? - spytała Vivian.

- Za chwilę - obiecał Blaine. - Zapamiętaj jak najwięcej z tego, co on powiedział, Miro, i w jaki sposób to mówił. Zapisuj sobie wszystko, a potem pokażesz to policji.

- Urocze.

To słowo obie siostry wypowiedziały jednocześnie.

- Ale konieczne - odparł Blaine. - Jego język jest jak odciski palców.

- I? - odezwała się Mira, kiedy takie niedopowiedziane „i” zawisło w powietrzu.

- I - ciągnął Blaine - jego język może też wyjaśnić, jakie mu dokucają urojenia.

- Urojenia związane ze mną?
- Możliwe. Tak.
- I policja będzie w stanie to stwierdzić?
- Powinni, do diabła. Nie wiem, kto zajmuje się medycyną sądową w policji Quail Ridge. A ty wiesz, Vivian?

- Nie mam pojęcia.
- Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek pytania, chętnie zerknę na materiały, który przygotujesz. Właściwie i tak powinienem do tego zerknąć, Miro. Jeśli coś, co ten człowiek mówi, będzie dowodziło jakiegokolwiek formy psychozy, pokażę twoje zapiski najlepszemu specjalście od medycyny sądowej, jakiego znam.

- To bardzo miło z twojej strony, Blaine.
- Ale czujesz się niezręcznie?
- Trochę. Wiem, że to z mojej strony niemądre. Jesteś specjalistą w swojej dziedzinie. Zajmujesz się takimi sprawami. Ale... To, co on mówił jest naprawdę niedwuznaczne.

- Myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy, Miro. Ale to już zależy od ciebie. Jutro przez cały dzień będę pracował w domu. Jeśli zmienisz zdanie, prześlij mi e-mailem to, co zapiszesz, a ja tą samą drogą prześlę ci swój komentarz. Dobrze?

- Tak. Dziękuję...

Przerwała podziękowania, słysząc, że Vivian nagle wciąga głośno powietrze. Idąc za jej wzrokiem, dostrzegła jasno oświetlony billboard.

„WCHM wita w domu, w Chicago, fenomen radiowy, Snow Ashley Gable z dumą zapowiada na poniedziałek 31 października debiut swego nagradzanego programu *Godzina Kopciuszka*. Nastawiajcie odbiorniki na 777 AM codziennie wieczorem, od dziesiątej do pierwszej w nocy i odkryjcie to, czym zachwyci się całe Chicago (można słuchać w Internecie pod adresem WCHM777.com/GodzinaKopciuszka.html)”.

- W głowie mi się to nie mieści - syknęła Vivian. - Jak ona śmie?
- Kto i co śmie? - Blaine nie zauważył billboardu. Ruch na autostradzie Edens w sobotni wieczór wymagał, żeby nie odrywać oczu od drogi.
- Na imię ma Snow i najwyraźniej będzie prowadziła jakiś nowy program radiowy dla WCHM.

- Ale co takiego ośmieliła się zrobić?

- Nie powinna pokazywać swojej twarzy w okolicach Chicago.

Na tym billboardzie jej twarzy nie było.

- Powiedziałaś, że pracuje w radiu.

- A cóż innego mogłaby robić z taką figurą i głosem osóбки zatrudnionej w sekstelefonie?

Blaine popatrzył na Mirę we wstecznym lusterku.

- Nic dziwnego, że zostałeś weterynarzem, Miro. Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, że twoja siostra ma w sobie tyle cech kotki. Podzielasz uczucia Vivian co do tej Snow?

Mira, podobnie jak Vivian, nie darzyła Snow sympatią. Luke kochał kiedyś Snow, a ona głęboko go zraniła. Mira miała wystarczająco wiele powodów, żeby nie lubić kobiety, która tak okrutnie potraktowała jej przyjaciela. Ale zdumiała ją reakcja Vivian - to znaczy fakt, że Vivian w ogóle zareagowała na imię Snow.

- Nie znam jej - odparła Mira.

- Ja też nie - powiedziała Vivian. - Niezbyt dobrze. Była w pierwszej klasie, kiedy robiłam maturę. Tylko przez jakieś pół roku razem chodziliśmy do szkoły. Ale to wystarczająco długo. Snow przyniosła hańbę Quail Ridge. I Liceum Larkena. Jej wyjazd był ulgą... A teraz wraca. W głowie mi się to nie mieści.

- Chicago to wielkie miasto, kochanie. Jestem pewien, że jeśli się postarasz, uda ci się jej unikać.

- Blaine, to wcale nie jest zabawne.

- Owszem, jest. Zabawne i fascynujące. Dostrzegam w tobie zupełnie mi nieznane cechy.

Prawą dłonią dotknął twarzy Vivian. To była męska dłoń. Blaine był przystojny i bardzo męski... I nosił na małym palcu złoty pierścionek.

Kiedy Mira po raz pierwszy zobaczyła Blaine'a, nawet nie zauważyła tego pierścionka. Ale przyjaciółka i partnerka w interesach Vivian, Lacey Flynn, dostrzegła ten szczegół. W czasie lunchu dla druhen panny młodej wzniosła toast za ten pierścionek.

- I kto by pomyślał - powiedziała, unosząc wysoko smukły kieliszek szampana - że trzeba będzie faceta z pierścionkiem na małym palcu, żeby nasza Vivian się zakochała? Za pierścionki na małych palcach i za ogierów, którzy je noszą! - dodała Lacey.

Vivian przyjęła ten toast z wdziękiem. Wychodziła za mąż za mężczynę, którego kochała. Później wyjaśniła, że ten pierścionek należał kiedyś do siostry Blaine'a, zmarłej ponad trzydzieści lat temu, w wieku dwudziestu trzech lat.

- Nie martw się - powiedział Blaine. - Podoba mi się ta twoja kocia strona, Vivian. Kocham cię.

Vivian wyciągnęła do niego lewą dłoń z siedmiokaratowym brylantem, który Blaine jej podarował, na moment zbita z tropu demonstracją ich wzajemnej miłości. Ale tylko na moment.

- Co tam napisali na tym billboardzie, że kiedy jej program - ta *Godzina Kopciuszka* - startuje? W poniedziałek wieczorem? Blaine, ty znasz różnych ludzi z WCHM. Tyle czasu poświęciłeś występom w ich programach. Mógłbyś im wytłumaczyć, że popełniają kardynalny błąd. Zapraszanie Snow do jakiegoś ich show jest poniżej poziomu, do którego ta stacja aspiruje - ciągnęła gwałtownym tonem. -A sam program... Co to w ogóle ma niby być? Radiowy odpowiednik *Joego Milionera*? Kandydatki na Kopciuszka będą dzwonić, żeby rywalizować o względy jakiejś namiastki księcia z bajki? No już bardziej kiczowatego pomysłu mieć nie mogli.

- Moim zdaniem to chyba program innego typu. Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, zgodziłem się być gościem *Godziny Kopciuszka* we wtorek wieczorem.

- Co?!

- Poproszono mnie o to wczoraj po południu. Louise odebrała szczegółowe informacje na temat programu i oddzwoniła do nich z moją odpowiedzią. Prezenterka programu była w podróży, jechała z Atlanty, ale producentka chciała, jak najwcześniej się dało, potwierdzić, czy wezmę udział w części programu poświęconej depresji poporodowej. Prezenterka programu - Snow - ma całkowitą kontrolę nad jego redakcją i zgodnie z ustaleniami miała przyjechać do miasta już tydzień temu. Nie zdążyła ze względu na depresję poporodową którejś ze swoich znajomych. Aby jej pomóc - i, jak rozumiem, żeby ją godnie przywitać w Chicago - ludzie z WCHM zarezerwowali dla niej gości na pierwszy tydzień programu, znane i lubiane osobistości. Wytrąciła ich z równowagi, domagając się umieszczenia też tematu tak poważnego i potencjalnie zniechęcającego słuchaczy, jak problem depresji poporodowej. Szczerze mówiąc, uważam, że to odważne z jej strony.

- *Godzina Kopciuszka* to talk show?

- Tak. I tu kolejne złe wieści, bardzo szanowany talk show. - Uśmiechnął się. - Zasady ma podobne jak wiele innych programów nadawanych w porze, kiedy ludzie jadą z pracy do domu, i porusza tematykę od sportu do psychoz, w zależności od decyzji producenta - czy, jak w tym przypadku, prowadzącej. A jak już wspomniałem, to ta twoja przyjaciółka dyktuje warunki.

- To nie jest żadna moja przyjaciółka.

- Widzę to jasno i wyraźnie. Nie rozumiem tylko, dlaczego.
- Wyjaśniłam ci.
- Niezupełnie. Nie dość sensownie.
- Nie chcę o tym rozmawiać. I chciałabym, żebyś wycofał się z udziału w tym programie.

- Bardzo cię kocham, Vivian, ale nie zrobię tego bez jakiegoś uzasadnionego powodu. Nie wystarczy, że po prostu nie chcesz, żebym wystąpił. Chętnie korzystam z każdej możliwości podzielenia się z ludźmi wiedzą na temat katastrofy psychicznej, której da się zapobiec. Wiesz o tym, Vivi. Wiem, że to rozumiesz. Takie pięć minut mogłoby uratować życie jakiejś matce, jakiemuś noworodkowi, jakiejś rodzinie.

- Wiem, Blaine. Wiem. Dla mnie to też ważne. Tylko doprowadza mnie do szału to, że ona wykorzysta ciebie, żeby sobie podnieść wskaźniki popularności.

- Może wykorzystuje w tym celu ten temat. Ale nie mnie. A ty musisz przyznać, że to dla niej ryzykowne podejmować temat depresji okołoporodowej w czasie pierwszego tygodnia emisji programu. Władze z WCHM gorliwie poprzestawiały plan show, żeby się dostosować do jej oczekiwań. Są pewni, że ona wie, co robi i że będzie prowadziła dyskusje na tematy, którymi będzie się pasjonowało całe Chicago. Swoją popołudniowy program w Atlancie wywindowała tak, że przesunięto go na porę największej słuchalności - to był taki sukces, jak mówiła ta producentka Louise, że Snow odciągała nawet publiczność sprzed telewizorów. W WCHM zakładają się, że tutaj ten sukces powtórzy. Vivian?

- Tak?

- Ani razu w ciągu tych ośmiu miesięcy, odkąd cię poznałem, nie złapałem cię na słuchaniu radia wieczorem. Prawda?

- Prawda. I może nikt inny w Chicago nie będzie go słuchał, a ona czmychnie stąd z podkulonym ogonem. Znowu.

- A może zostanie bożyszczem Wietrznego Miasta. A jeśli tak się stanie, co z tego? Przecież ona nie ma nic wspólnego z tobą ani z nami, prawda?

- Prawda. Pomijając to, że będziesz się z nią spotykał.

- Niemożliwe, żeby niepokoiło cię coś takiego. Nawet gdyby studio radiowe stanowiło najromantyczniejsze miejsce pod słońcem, którym przecież nie jest, nie mam zamiaru dać się oczarować Snow... Ani nikomu innemu. Chociaż - przyznał Blaine - zdecydowanie zwiększyłaś moje zainteresowanie nią.

- Przestań! Proszę, Blaine. Trzymaj się od niej z daleka. Proszę, obiecaj mi to.

Ta prośba była tak niepodobna do Vivian, która zwykle świetnie nad sobą panowała, że Blaine natychmiast przestał się z nią przekomarzać.

- Udzielę jej wywiadu przez telefon. Obiecuję. Ale ty też musisz mi coś w zamian obiecać. W tej historii kryje się coś więcej. To jasne dla nas obojga, dla nas wszystkich. Musisz zrozumieć, dlaczego nadal tak bardzo przejmujesz się Snow, i odpuścić to sobie. Z największą radością ci w tym pomogę. I jestem pewien, że Mira też chętnie ci pomoże. Czy nie mam racji?

- Oczywiście.

Odpowiedź Miry była czysto automatyczna, ale szczerą. Chętnie pomoże Vivian w każdej sprawie i w każdej chwili. Tyle, że Vivian nie przyszłaby do niej z żadną, najdrobniejszą nawet osobistą sprawą, a co dopiero z taką, która zmieniała ją w osobę o wiele bardziej bezradną, niż Mira mogła to sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Mira mogła za to przemyśleć własne plany związane ze Snow. Mogła... Ale nie chciała. Rzykowała jedynie to, że narazi się na gniew Luke'a i Vivian.

Nie zamierzała zmieniać swoich planów ani trochę, tak jak Blaine nie zamierzał zrezygnować ze swojego udziału w *Godzinie Kopciuszka*.

Doktor Blaine Prescott z wielkim oddaniem dzielił się z całym Chicago wiedzą z zakresu psychiatrii.

Sprawa, która leżała na sercu Mirze, miała może nieco mniejszą wagę. Chciała podzielić się ze Snow własną wiedzą. Wiedzą na temat Luke'a.

- Vivian? - spytał Blaine, kiedy tylko Mira przytaknęła jego sugestii, że Vivian powinna rozwiązać te swoje nierozwiązane problemy dotyczące Snow.

- Obiecuję - odparła. - To niemądre, że pozwalam, by mnie ta sprawa przygnębiała, i rzeczywiście warto byłoby się zastanowić nad tym, dlaczego tak jest. Poświęcę jakieś miłe niedzielne popołudnie głębszej refleksji, podczas gdy ty i Mira będziecie wymieniać e-maile na temat szaleńca, którym akurat naprawdę należałoby się przejmować - to powinno wystarczyć. Chyba że...

- Chyba że co?

- Musiałyby zmienić sobie głos, a ta osoba, która dzwoni do Miry, przecież to robi.

- Sugerujesz, że to Snow dzwoni do Miry?

- Mówię tylko, że to mogłaby być ona. To żaden sekret, że miała obsesję na punkcie Luke'a Kilcannona i posunęłaby się bardzo daleko, żeby go tylko jakoś omotać. Może sobie wyobraziła, że Luke mieszka tam, gdzie za czasów dzieciństwa i że Mira, kobieta, która odbiera telefony, to jego żona. Albo... Albo może po prostu dzwoniąc, chce tylko połączyć się z tym numerem, i własną przeszłością.

- Bez obrazu, Vivi, ale musiałyby mieć ostre urojenia, żeby nękać jakiś adres, nie mówiąc już o nękanii przeszłości. Tego typu zaburzenia czynnościowe nie dają się pogodzić z życiowym sukcesem, jaki osiągnęła. I chociaż można by stworzyć z tego imponujące studium przypadku, to obawiam się, że taką publikację odrzucono by jako zwyczajną fikcję literacką. Poza tym Snow jest znana właśnie z tej swojej umiejętności trzymania ręki na pulsie spraw aktualnych dla jej słuchaczy. Nie pozostaje mi nic innego, jak wierzyć, że gdyby chciała się dowiedzieć, gdzie mieszka Luke Kilcannon, to natychmiast by sprawdziła w Internecie.

- Może on też dostaje takie obsceniczne telefony.

- Może dostaje. Jeśli tak jest, policja się tym zajmie. A tymczasem, Viv, ty powinnaś zastanowić się nad swoimi uczuciami do Snow.

- Zrobię to.

- Grzeczna dziewczynka. Kto wie, może Snow uzna, że jej słuchacze powinni się dowiedzieć, co nowego słychać w dziedzinie prawa rodzinnego i sama zostaniesz gościem jej show.

- Nie. - Głos Vivian zabrzmiał szorstko, chociaż widać było, że stara się nad nim zapanować. - To znaczy, doktorze, nie rozpędzajmy się aż tak. Zapewniam cię, jako zupełnie zdrowa psychicznie osoba, że nigdy więcej nie spotkam się ze Snow Ashley Gable. Nigdy tego nie zechcę i... nigdy się z nią nie zobaczę.

- Snow Ashley Gable?

- Brzmi jak pseudonim sceniczny, prawda?

- A to nie jest pseudonim?

- Nie. To znaczy, jej matka była taką trochę aktorką, można by to chyba tak określić. Możliwe, że przy jakiejś okazji wymyśliła to nazwisko dla Snow. Ale właśnie takiego Snow używała, zanim stąd wyjechała. Widać zdecydowała się nie zmieniać go potem.

Mira niezupełnie nadażała za rozmową, usiłując zrozumieć to, co Vivian powiedziała wcześniej. Nienawiść Vivian do Snow była wyraźnie widoczna - i zaskakująca. Równie zaskakujące - i mylne - było twierdzenie Vivian, jakoby Snow miała obsesję na punkcie Luke'a. Ale

najbardziej zaskoczyło Mirę, że Vivian w ogóle miała coś do powiedzenia na temat Snow. Albo Luke'a.

Tak jak Vivian, Luke był w maturalnej klasie Liceum Larkena, kiedy Snow chodziła do pierwszej klasy. Ale Mira nie przypominała sobie, żeby do dzisiejszego wieczoru Vivian choćby słowem wspomniała o Luke'u.

Luke oczywiście mówił, że zna Vivian ze szkoły. Całe Liceum Larkena znało Vivian. To była taka rzucona od niechcienia i całkiem naturalna uwaga. Vivian wodziła rej w Liceum Larken. A Harrison Wright, jej chłopak z klasy maturalnej - pierwszy z jej dwóch narzeczonych - był kapitanem drużyny pływackiej.

Mira chętnie siedziałaby sobie i rozmyślała na tylnym siedzeniu, ale słysząc zapewnienie Vivian, że nigdy już nie zobaczy się ze Snow, uznała za stosowne się odezwać.

- Vivian, nie jestem pewna, jak to będzie z tym niewidywaniem się ze Snow.

- A ja jestem.

- Ona może tam być dziś wieczorem. Na Balu Jesiennego Księżyca.

- Skąd wiesz?

- Bo jednym z przedmiotów dzisiejszej aukcji jest gościnny występ w nowym, sławnym talk show radia WCHM.

- W jej programie?

- Tak, w *Godzinie Kopciuszka*. Pamiętam, że zastanowiła mnie ta nazwa.

Mira rozmyślała nad czymś jeszcze, nad możliwością, której nie brałaby pod uwagę, gdyby przed chwilą nie widziała na własne oczy, jak rozpada się pozór niewzruszonej pewności siebie Vivian.

Czyżby Vivian nawet nie spojrzała na program tej aukcji? Bo aż tak bardzo bolesne jest dla niej wspomnianie jedynej rzeczy, której w życiu pragnęła, a której jej odmówiono?

Vivian od bardzo młodych lat powtarzano, że firma Larken & Syn nigdy na nią nie przejdzie. Nie była pierworodnym synem Treya. Sprawa zamknięta. Dynastia prowadząca dom aukcyjny na Treyu się zakończy.

Ale Vivian zignorowała te zapewnienia. Na studiach w Stanford specjalizowała się z historii sztuki, zrobiła też dyplom z zarządzania. Zaczęła pracę w Larken & Syn, żeby dowieść, że może przejąć ster firmy. Nie ukrywała swoich zamiarów, Trey równie jasno utrzymywał, że do tego nigdy nie dopuści. Tydzień po tym, jak Vivian otrzymała dyplom Stanfordu, zapowiedział, że pod koniec roku przejdzie na emeryturę - i zamknie interes.

Firma Larken & Syn zanotowała wyraźne ożywienie w czasie ostatnich miesięcy działalności. Wszyscy, którzy planowali skorzystanie z jej usług, żeby sprzedać dzieła sztuki, biżuterię czy pamiątki, zdali sobie sprawę, że zrobią to teraz albo nigdy.

Vivian przez te miesiące pracowała w domu aukcyjnym... Czy miała nadzieję, że Trey zmieni zdanie?

Mira tego nie wiedziała. Była na studiach w czasie tej wartej miliard dolarów łabędziej pieśni domu aukcyjnego Larken & Syn. Kiedy kilka razy w ciągu tego roku widziała Vivian, siostra miała obojętną minę - jakby nie odbierała zamknięcia domu aukcyjnego jako policzka.

Ale może jednak Vivian właśnie tak to odbierała. I może dlatego odrzuciła propozycję pracy w Sotheby's i zapisała się na prawo.

Pewnie dlatego nawet nie zerknęła do broszury aukcji z okazji Balu Jesiennego Księżyca.

- Blaine - szepnęła Vivian. - Ja nie mogę się z nią spotkać.

Nie trzeba było specjalistycznego psychiatrycznego wykształcenia, żeby dosłyszeć w głosie Vivian rzeczywiście głębokie cierpienie.

- Dobrze - uspokoił ją mąż. - Wszystko w porządku. Nie musisz tam iść. Ale to charytatywna impreza na rzecz szpitala. Nie mogę się tam nie pokazać.

- Wiem. Tylko zrozum, proszę, że ja nie mogę.

- Rozumiem. I niepokoją mnie powody, jakimi się kierujesz. Wszystkim będzie cię tam brak, Vivi, ale Mira i ja jakoś cię wytłumaczymy. Powiemy, że dopadła cię nagła grypa i że mamy nadzieję, że z niej szybko wyjdiesz. Kiedy pojedziemy pod hotel, załatwię limuzynę, która odwiezie cię do domu.

- Dziękuję.

- Być może poznam jądzisz wieczorem - dodał spokojnie Blaine. - Jeśli ona tam będzie i jeśli ktoś z WCHM mnie zauważy, można zakładać, że nas sobie przedstawią. Może nawet nadarzy się okazja, aby porozmawiać o moim występie w jej programie we wtorek wieczorem. W porządku?

Vivian zrezygnowana odpowiedziała kiwnięciem głowy i właśnie w tej chwili podjechali pod wejście do hotelu. Mira została z Vivian w samochodzie, kiedy Blaine załatwił dla żony transport z powrotem do Quail Ridge.

Po ponad trzydziestu latach względnego oddalenia życie obu sióstr Larken zderzyło się na przecięciu dróg Luke'a i Snow. I nie była to żadna lekka stłuczka. Vivian sprawiała wrażenie kompletnie rozbitej. Gdyby

chodziło o nieznaną poszkodowaną w wypadku, Mira w tej samej chwili, w której Blaine wysiadł z samochodu, zaproponowałaby jej swoją pomoc. Ale znając Vivian od trzydziestu lat, trzymała się na dystans od tej pewnej siebie kobiety sukcesu - Vivian zresztą tego dystansu nie próbowała zmniejszyć. Wszystko w jej postawie sygnalizowało: tylko proszę mi dać święty spokój.

Mira zastanawiała się, czy zastosować się do ostrzeżenia, czy też pójść za zupełnie odmiennym odruchem - to twoja siostra, ona cię potrzebuje - kiedy Vivian nagle się odezwała:

- Zastanawiam się, czy Luke...
- Czy Luke co, Vivian?
- Nic.
- A jednak.

Vivian westchnęła.

- Zastanawiam się, czy on ma pojęcie, że kobieta, która złamała mu serce, wróciła do Chicago.

- Skąd wiesz?
- Skąd co wiem?
- To, że Snow złamała Luke'owi serce.

- Wszyscy to wiedzą. Nie zachowała się subtelnie. Kiedy Snow zniknęła, Luke zaczął trochę szaleć. To było, zanim jeszcze ktokolwiek choćby wyobraził sobie takie okropne zdarzenia jak masakra w Columbine. Kilkunastoletni chłopcy nie chodzili po ulicach ze strzelbami. Ale ludzie martwili się możliwością podpaień. Bali się tego... I bali się Luke'a. Mogli sobie wyobrazić, że oblewa szkołę - całe miasto - benzyną, a potem zapala zapałkę.

- A ty mogłaś sobie coś takiego wyobrazić?
- To, że Luke popełnia morderstwo? Nie. - Głos Vivian zabrzmiał bardziej miękko. - Luke nigdy by nie mógł nikogo zabić.

Rozdział 3

Kilcannon. - Odbierając telefon, Luke usłyszał znużenie we własnym głosie. W samochodzie miał włączony zestaw głośnomówiący, zawsze tak robił, kiedy prowadził.

Dziś wieczorem Luke rzeczywiście potrzebował obu rąk. Burza, która narobiła takich szkód w południowo-wschodnim Illinois, przemieszczała się w stronę Chicago. Musiał walczyć z podmuchami porywistego wiatru, żeby jego furgonetka nie zjechała z drogi.

Możliwe, że Luke'owi przydałoby się coś więcej niż obie ręce. Wypoczęty mózg też by mu się przydał. I nie zaszkodziłoby kilka szwów tu i tam - może z dziesięć.

Ale teraz ścigał się z burzą, wracając do Chicago. To lekkie szaleństwo, znów zobaczyć Snow w taki wieczór. Ale jaki wieczór byłby lepszy? A poza tym jest w tym jakaś logika. Kiedy po raz ostatni widział się ze Snow, zabierał ją na bal.

- Luke, tu Don Mills. Gdzie jesteś?
- Czterdzieści osiem kilometrów od Chicago.
- Ty naprawdę wyskoczyłeś z helikoptera i wsiadłeś za kółko.
- Myślałem, że skończyliśmy.
- No bo skończyliśmy. Kończymy. Sądziłem tylko, że będziesz chciał wziąć gorący prysznic, zjeść porządny posiłek i przespać parę godzin, zanim ruszysz w drogę.

- Po to tam jadę, Don. Do domu. - Dziś wieczorem jedzenie nie było mu w głowie, a prysznic weźmie zimny. Musi otrzeźwić zmęczony mózg i wyczerpane ciało.

Przebierze się, zanim pojedzie do hotelu Wind Chimes. Bert z Wypożyczalni Smokingów Berta w Quail Ridge obiecał mu, że potrzebne ubranie znajdzie się na jego frontowej werandzie, zanim Luke wróci do domu. Luke nie miał powodu wątpić w te obietnice. Swój pierwszy smoking wypożyczył u Berta na Bal Szklanego Pantofelka w Liceum Larkena, a w ciągu szesnastu lat, które minęły od tego czasu, zdarzały się też inne okazje.

- Nie mogę powiedzieć, że bym cię nie rozumiał. Też bym chętnie znalazł się w domu. Wszyscy do jutra wrócimy już do domów. Chciałem ci tylko podrzucić garść informacji o dziewczynce.

Przez ostatni tydzień Luke brał udział w paru akcjach ratowniczych. Ale wiedział, o której mówi teraz Don. O tej ostatniej.

Nie mów mi, że ona nie żyje, pomyślał Luke, a potem dotarło do niego, że to przecież niemożliwe. Optymizm w głosie Dona zapowiadał lepsze nowiny.

Nagle Luke'owi przyszło do głowy, że może lepiej byłoby dla tej małej, gdyby nie przeżyła. Gdyby nie był tak wykończony, nigdy nie pozwoliłby sobie na podobne refleksje.

Kiedyś Luke w taki sposób myślał o samym sobie. To było takie uporczywe przekonanie, jego stały towarzysz aż do pewnego śnieżnego gwiazdkowego popołudnia. Kiedy poznał Snow, wtedy przysiągł sobie, że nieważne, jak mu źle -już nigdy nie będzie sam sobie życzył śmierci.

Pokazała mu zupełnie inny świat.

Chciał stać się częścią tego świata, nawet jeśli miał tylko z zewnątrz zaglądać do środka.

Luke wcale nie wierzył, że dla dziewczynki, którą dziś uratował, byłoby lepiej, gdyby umarła. Ale obawiał się, że przyjdzie taki moment, kiedy ona sama zacznie w ten sposób myśleć. Była już za duża, żeby kompletnie wyprzeć ten uraz ze świadomości. Luke miał jak najdokładniejsze wspomnienia własnej udręki zaznawanej w tym samym wieku, kiedy miał cztery lata.

Wendy Hart zapamięta ten dzień.

Wendy. Zabolało go zmęczone serce. „Wydaje mi się, że to będzie dziewczynka” - powiedziała mu Snow całe wieki temu. - „Nasza dziewczynka. To chyba będzie Wendy”.

Luke siłą oderwał się od wspomnień o dziecku, które umarło, i wrócił myślami do dziewczynki, którą dzisiaj uratował. Od Wendy Kilcannon do Wendy Hart.

Słyszał już o niej, zanim ją poznał. Jej ojciec, Daniel, należał do miejscowych ochotników. Jego farma dyni była położona dość wysoko, ponad granicą wylewu i zebrał plony ze swoich pól przed nadejściem deszczów, rozsyłając wszystkie zbiory przed świętem Halloween.

Ziemia i środki utrzymania Daniela nie były zagrożone. Zgłosił się na ochotnika, żeby pomóc sąsiadom, którzy bardzo go szanowali, chociaż mało kto znał go dobrze. To żona Daniela, Eileen, była w tym związku osobą towarzyską.

Cztery lata temu Daniel i będąca w szóstym miesiącu ciąży Eileen zdecydowali się spędzić weekend w Chicago. Tak jak i teraz, sprzedali już wtedy cały jesienny plon dyni. Trzeba to było jakoś uczcić. Chcieli jechać na romantyczny weekend i poszaleć po sklepach, żeby skompletować wyprawkę dla dziecka.

Kiedy spacerowali Michigan Avenue, jakiś samochód wjechał na krawężnik. Pijany kierowca odniósł lekkie obrażenia, Eileen natomiast na dobrą sprawę zabił.

Błyskawicznie przewieziono ją na oddział intensywnej terapii szpitala Grace Memorial i podłączono do aparatury podtrzymującej życie

- żeby przedłużyć dziecku okres przebywania w macicy matki, dopóki jego organizm nie będzie miał szansy przetrwać samodzielnie.

Daniel został wdowcem tego samego dnia, którego urodziła się jego córka. Prowadził spokojne życie, zajmując się Wendy i swoją farmą - i pomagając sąsiadom w potrzebie.

Daniel pracował z Lukiem ręką w rękę przy budowaniu osłon z worków z piaskiem dla zagrożonych domostw, przy pilotowaniu łodzi, które wyruszały po odcięte od świata rodziny, przy przeprowadzaniu bydła na bezpieczniejsze pastwiska. Wendy też pomagała, w sali gimnastycznej miejscowego centrum sportowego, niosąc pociechę zatroskanym powodzianom, kiedy czekali, aż wody się cofną.

Luke widział wypadek z pewniej odległości. Betonowa płyta, z tych, które miały kierować wodę z dala od domów, spadła z ciężarówki, raniąc oba ramiona Daniela. Lekarze powiedzieli, że kości się zrosną. Mieli zdjąć Danielowi gips z obu rąk w porę, żeby zdążył przygotować glebę pod kolejny plon przeznaczony na latarnie i placki z dyni na Halloween.

Ale w najbliższych miesiącach Daniel miał nosić gips od ramion aż po nadgarstki. Ktoś z ochotników przewiózł Daniela i Wendy na farmę, na której powinni być bezpieczni.

Stało się jednak inaczej. Ostatnio dokonane ludzką ręką zmiany w wododziałach - parking przy wielkim centrum handlowym, przedłużenie dwupasmowej drogi - zmieniły zwykły bieg wezbranych rzek.

Nikt nie przewidział, że powódź runie właśnie w tę stronę ani że to się wszystko potoczy tak szybko.

Dom na farmie Hartów niemal momentalnie zamienił się w maleńką wysepkę pośrodku szalejącego żywiołu. A woda się podnosiła. Daniel wezwał pomoc przez telefon komórkowy, a potem rozbił oba gipsowe opatrunki na łokciach, co mu umożliwiło poruszanie rękoma w stawach. Musiał przygotować ich do transportu - musiał przygotować Wendy i przenieść ją na dach domu.

To Daniel uratował Wendy. Daniel, nie Luke.

Owszem, Luke upierał się, żeby go opuścili na linie z helikoptera - i do diabła z wichurą. Ale to Daniel stał na tym fragmencie dachu ponad wodą i podniósł Wendy, podając ją Luke'owi.

Kiedy Luke już mocno chwycił dziewczynkę, drugą rękę wyciągnął do Daniela. Luke miał wystarczająco dużo siły, żeby go utrzymać. Ale Daniel musiał też mocno się złapać. To była dla nich jedyna szansa.

Nie mieli czasu, żeby podciągnąć Wendy do wnętrza śmigłowca i znów opuścić Luke'a, żeby uratował Daniela.

Jedyna szansa. Chyba, że Luke zamieniłby się miejscami z Danielem.

Luke był wytrzymałym pływakiem. I nie przerażało go zanurzenie pod wodę tak długie, że człowiek zaczyna tonąć. To była jedna z ulubionych tortur, jaką Jared stosował wobec syna tak wiele razy, zanim Luke skończył choćby cztery lata - i wbiła mu się w pamięć wyraźnie, raz na zawsze.

Luke wiedział, jak się poddawać bez walki, jak oszczędzać każdą odrobinę tlenu. Mógł przetrwać w wodach rozszalałej rzeki, na jej powierzchni czy pod nią, znacznie dłużej niż Daniel. A dzięki innej z tortur Jareda Luke potrafił też znosić zimno.

Jared bardzo lubił zmuszać Luke'a do pływania tak długo, aż chłopak zupełnie opadał z sił - i jeszcze dłużej. A poza tym Jareda nie wzruszało, że syn dygotał z zimna, aż wargi mu zupełnie siniały. Ani że błagał, by mu pozwolić wyjść z wody. Jared obiecywał, że zaraz koniec. Jeszcze tylko dwa baseny, mówił. A potem, kiedy Luke wykonywał niemożliwe do spełnienia polecenie, śmiał się i kazał mu przepłynąć kolejne dwa.

Jeśli ktoś mógł poradzić sobie w wodach powodzi, to właśnie Luke. W ryku wichury i hałasie śmigłowca Luke wykrzyczał tę sugestię do Daniela - który odmówił, kręcąc głową.

Może Daniel wyczuwał, że nawet w tych gipsowych opatrunkach jego połamane kości nie pozwolą na powietrzną akrobatykę konieczną, żeby dokonać takiej zamiany miejsc - i że przy okazji może wypuścić z rąk córeczkę. A może tak czy inaczej by odmówił. Dlaczego Luke miałby ginąć za niego?

Życzenie Daniela było wyraźne: uratuj moje dziecko.

Daniel zobaczył, jak to życzenie się spełnia. Czekając na swój los, patrzył, jak córka bezpiecznie dociera do kabiny śmigłowca.

Luke przytulił Wendy twarzą do swojej piersi. Już i tak będzie miała okropne wspomnienia, nie musi na dodatek obserwować śmierci swojego ojca. Luke widział ten moment. Daniel skinieniem głowy wyraził mu podziękowanie - i akceptację - a potem stracił grunt pod nogami, bo porwała go woda.

- Luke? Jesteś tam?

- Jasne. Jak ona się czuje?

- Jest przemarznięta. Doznała szoku. Ale lekarze mówią, że dochodzi do siebie. Rozgrzewa się. Nic jej nie będzie, Luke... I kociakowi też nie.

- Jakiemu kociakowi?

- Temu, którego miała w kieszeni plecaka. Zapiętej, z wyciętymi dwiema dziurami. Pewnie Daniel to zrobił, żeby kot mógł oddychać.

Daniel nie puszczał Wendy z rąk jak długo się dało, trzymał ją za ramiona, brzuszek, kolana, palce nóg. Dopiero kiedy już znalazła się poza zasięgiem jego rąk, wykrzyczał do Luke'a swoje ostatnie słowa.

„Uważaj na ten plecak” - krzyknął. - „W środku jest list, do kogo zadzwonić, kto się zajmie...” - Ostatnie słowa uniósł wiatr.

- W plecaku miał być jakiś list - powiedział Luke.

- Też go znaleźli. Jest zaadresowany do prawnego opiekuna Wendy, jakiegoś lekarza z Chicago. Nikt nie otwierał koperty, ale szukają już tego człowieka.

- Ona nie ma żadnej rodziny w okolicy?

- Żadnej rodziny nigdzie.

Luke miał cholernie wielką nadzieję, że ten lekarz z Chicago nie chce od życia nic więcej, tylko zostać ojcem osieroconej dziewczynki. Zaczynał odczuwać ból, którego nie czuł już od bardzo dawna, na samą myśl, że Wendy mogłaby nie mieć tyle szczęścia.

- Dzięki, że dałeś mi znać, Don.

- Nie ma sprawy. To ja dziękuję, Luke, za całą pomoc.

Luke nadal cierpiał tak, jak mu się to od dawna nie zdarzyło. I tyle mu zostało z wiary, że zapomniał o emocjach związanych ze Snow.

Strażacy nie noszą płonących pochodni - tak przynajmniej głośniły niektóre naklejki na zderzakach samochodowych.

Ale ten strażak taką pochodnię nosił w sobie. Specjalną pochodnię, którą będzie jej świecił prosto w twarz, póki mu nie powie tego, czego chciał się dowiedzieć: dlaczego go opuściła, dlaczego kłamała, dlaczego wyjechała z Quail Ridge - tak jak on kiedyś zamierzał - bez jednego spojrzenia za siebie.

A kiedy już Luke uzyska te odpowiedzi? Wtedy płomieniem tej wewnętrznej pochodni spali wszystkie wspomnienia po Snow, wzniciając taką pożogę, że zostaną już tylko roznoszone wiatrem popioły, jak te puszyste płatki śniegu w dzień Bożego Narodzenia, kiedy się poznali.

Ale teraz, jadąc przez burzę, nie mógł opędzić się od wspomnień - poczynając od listopadowego dnia, kiedy powiedział Snow, że wyjeżdża...

Luke zmusił się, aby wyjść z lasu, chociaż nogi stawiały mu opór - odszedł od niej, wspominając, jak ojciec zmuszał go do pływania, dopóki w mięśniach nie miał takich zakwasów, że zaczynał tonąć.

Jeszcze dwa kroki. I jeszcze dwa. Dwa więcej. W stronę domu, który był więzieniem, nie domem.

Luke miał nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczy Jareda, że to będzie jeden z tych wieczorów, kiedy Jared wróci po północy, a Luke zniknie - na zawsze - zanim ojciec następnego dnia się obudzi.

Zdarzyło się jednak inaczej.

Jared na niego czekał, zupełnie jakby wiedział, co Luke sobie zaplanował. I podjął temat przerwany poprzedniego wieczoru, zadając pytania i rzucając różne insynuacje pod adresem Snow i Leigh.

Insynuacje, które stały się faktami.

- Wszyscy wiedzą, kim jest Leigh Gable i za co jej się płaci. Gliniarze nie chcą jej ruszyć. Bo jej klienci, jej fagasi, to najzamożniejsi ludzie w Quail Ridge. Ale telefonu do Biura Ochrony Praw Dziecka nie dałoby się już zignorować. Zacznie się śledztwo. Leigh będzie musiała wyjechać z miasta. Osobiste sprawy to jedna rzecz, ale publiczny skandal to coś zupełnie innego. Snow trafi do opieki społecznej. Tak się zastanawiam, może po sąsiedzku mógłbym się nią zająć. Ona zostałaby w Pinewood, a wtedy wszyscy troje moglibyśmy się razem trochę pobawić.

Luke'a aż coś ścisnęło za pusty żołądek, kiedy słuchał sugestii Jareda, zapowiadających dobrze mu znane perwersje. Ręce też zacisnęły w pięści, ale udało mu się je rozluźnić na myśl o tym, jaką przyjemność sprawiłby Jaredowi widok tych pięści gotowych do walki - świadczących, że jego szyderstwa sięgnęły celu.

- Mam lekcje do zrobienia.

Jared napełnił dwie szklanki szkoeką i jedną podsunął Luke'owi.

- Czas, żebyś nauczył się pić.

- Nie, dzięki.

- Nalegam. Jeden drink, Luke, a potem możesz iść na górę.

Luke wiedział o alkoholu wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę, że ta spora szklaneczka, którą nalał mu Jared, to więcej niż jeden drink. Wiedział też, że Jared już sobie przedtem wypił.

Kiedy Jared pił, robił się jeszcze bardziej podły. A wyrażanie sprzeciwu w takiej sytuacji było najpewniejszym sposobem, żeby podłość zamieniła się w przemoc.

- Tylko jeden - zgodził się Luke. - Naprawdę mam dużo lekcji.

- Wypij. Do dna. Już!

Luke posłuchał. Nie miał wyboru. Niemal od razu szkocka zaczęła uderzać mu do głowy.

- Smakuje ci?

Luke walczył sam ze sobą o zachowanie przytomności umysłu. Wobec Jareda był bezbronny. Niezależnie o tego, jak bardzo się starał wyćwiczyć mięśnie, ojciec ciągle przewyższał go siłą. Luke modlił się, żeby nigdy nie wykazać się takim okrucieństwem, jakie napędzało Jareda. Nad pijanym Jaredem miewał tylko jedną przewagę - umysłową - to pozwalało mu odczytywać nastroje ojca, nie prowokować go i ławiej ułagodzić.

Szkocka jednak pozbawiła Luke'a nawet i tej jednej, mizernej przewagi.

- Nie wiem.

- Mnie smakuje. A wiesz, czemu? Bo wyzwala prawdę. A więc, Luke, porozmawiajmy o twojej małej przyjaciółeczce. Snow. Sądziś, że ja też ją polubię?

- Ty chory bydlaku.

Jared się roześmiał.

- No i co ci mówiłem? Sama prawda.

- Powiniennem donieść na ciebie na policję.

- No i na tym właśnie polega twój problem, chłopcze. Wszyscy mnie uwielbiają. Jestem bohaterem, zapomniałeś? A ty... Ty się kojarzysz z kłopotami, Luke. Masz poważne problemy. Patologicznie kłamiesz. Całe miasto o tym wie. Sam o to zadbałem. Wszyscy mi współczują i podziwiają za to, że cię nie odesłałem. Rozumiesz, Luke? Nie uwierzą w ani jedno twoje słowo. Podczas gdy każde moje słowo jest dla nich na wagę złota.

Luke wiedział, że nie uda mu się uciec przed atakiem. Jared do tego zmierzał i chciał go za wszelką cenę sprowokować.

Jared podpuszczał go, aby zrobił pierwszy - głupi - krok. Luke nigdy nie dał się sprowokować. Koncentrował się na tym, żeby przetrwać to, co zwykle następowało później.

Ale jeszcze nigdy Jared nie prowokował Luke'a w sprawie, która była dla niego najważniejsza - w sprawie Snow. I nigdy wcześniej Luke nie czuł, że naprawdę nie ma już nic do stracenia.

Nawet gdyby tego ostatniego wieczoru w Quail Ridge ojciec nie upił się, Luke pewnie by się na niego rzucił; zbyt późno dostrzegając nóż w dłoni Jareda.

Luke był przekonany, że Jared chciał go zabić. Ale kiedy jedno cięcie po drugim raniło go do krwi, nie zanurzając się na groźną dla życia głębokość, do Luke'a zaczęło docierać, że to dla Jareda jakaś nowa gra, że ojciec zamierza zachować równie niesprawiedliwą przewagę w walce, jak zawsze.

Walka przeniosła się na schody prowadzące do sypialni Luke'a.

Własny pokój nie zapewniał synowi Jareda ani schronienia, ani prywatności. Jedyne drzwi znajdował się po zewnętrznej stronie drzwi. A zabite gwoździami okna wychodzące na wysypy tuczonym szkłem basen nie dawały możliwości ucieczki.

Luke zatrzasnął drzwi, których nie mógł zamknąć za sobą na klucz, i czekał, aż Jared przekręci klucz w zewnętrznym zamku, więząc go w środku, albo sam wejdzie do środka.

Jared nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Ze śmiechem ruszył na dół po schodach.

Ten nóż to było coś nowego. Alkohol - dla Luke'a - też był czymś nowym. Ale tę pogoń aż do drzwi pokoju, a potem śmiech Jareda, Luke znał bardzo dobrze.

Na tę noc ataki mogły się już skończyć, ale nie musiały.

Luke mógł tylko czekać... I planować, jak zabije ojca.

Często zastanawiał się nad tym, bo myśli o zabójstwie w takie noce jak ta były dla niego pociechą. Mogę to zrobić, mówił sobie. Miał taką siłę.

Jeśli nie zabijał Jareda, to dlatego że podejmował taki świadomy wybór. Luke za każdym razem sam decydował, że go nie zamorduje.

Ale tej nocy przed swoją planowaną ucieczką z Quail Ridge, kiedy Jared zagroził zniszczeniem jedyne go świata, który Snow kiedykolwiek poznała, zarysował się przed nim inny wybór. Bo Luke nie wiedział, nie mógł wiedzieć, czy Jared rzeczywiście nie zrealizuje swoich gróźb, kiedy on już stąd wyjedzie.

Może Jaredowi będzie brakowało niewinnej ofiary jego zabaw i zdecydowanie się zawrzeć znajomość ze Snow? Gdyby chciał, mógłby to zrobić. Miał wystarczająco dużo uroku. Powiedziałyby jej, że nie ma do niej pretensji za to, że go nie lubi. Albo, że mu nie ufa. Przecież zasłużył sobie na to. On też sam siebie nienawidzi. Ale kochał Luke'a, naprawdę go kochał, a jeśli ona mu pomoże odnaleźć zaginionego syna, to on resztę swojego życia poświęci na udowodnienie Luke'owi, jak bardzo wszystkiego żałuje.

Luke musiał Jareda zabić. Tylko w ten sposób mógł zapewnić Snow bezpieczeństwo. I wcale nie ucieknie, kiedy go zabije. Przyzna się do winy i nie będzie się usprawiedliwiał.

Zrobiłem to, wyzna policjantom, którzy są przyjaciółmi Jareda. Ale sam akt zabójstwa go przerażał. Przez całe życie tak bardzo starał się nie być synem własnego ojca.

Niemniej tym właśnie był. Synem potwora. Wybawi od niego świat - tylko jak?

Luke próbował sobie to jakoś wyobrazić.

Wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa.

Tchórz! - prowokował sam siebie tak, jak zrobiłby to Jared, ale bez skutku. Ciągłe słyszał jeszcze inny głos - głos Snow - który powtarzał, że Luke wcale nie jest tchórzem... I że on nigdy nie potrafiłby zabić.

Jakiś dźwięk za drzwiami ostrzegł go, że Jared wrócił. Luke czekał, aż drzwi się otworzą.

Ale Jared przekręcił klucz w zamku, nie poruszając klamką, a spod drzwi do pokoju zaczął przesączać się jakiś płyn, zalewając podłogę.

Szkocka? Nie, zrozumiał nagle Luke, kiedy rozpoznał zapach oparów.

Jared oblewał drzwi benzyną.

Kałuża.

Potem cała sadzawka.

Jezioro płomieni. Jego ojciec roześmiał się za zamkniętymi drzwiami.

A potem zaklął.

A potem Luke usłyszał najpierw krzyk, potem odgłos upadku, i Jared Kilcannon zamilkł.

Tymczasem w pokoju Luke'a rozpętało się hałaśliwe piekło. Płomienie trzaskały, goniąc go w stronę okna, które Jared zabił gwoździami.

Luke zobaczył w szybie swoje odbicie - chłopca, który uciekał przed płomieniami.

Silnego, dobrze zbudowanego chłopca, który mógłby ulecieć w górę. Jak Piotruś Pan.

W chwili, gdy Luke skoczył i leciał, poczuł wolność i błogosławiony chłód nocnego listopadowego powietrza.

Zanim stracił przytomność, poczuł jeszcze coś. Gwoździe przebijające ciało. I usłyszał jakiś dziwny dźwięk, kiedy łamały się jego kręgosłup i kości nóg.

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą sanitariuszy i patrzących na niego z góry gapiów.

- Jared nie żyje - usłyszał czyjś głos.
- Jared? Nie!
- Tak. Jest w domu. Martwy.

Wokół basenu zgromadził się spory tłumek. Sąsiedzi z Pinewood. Nauczyciele z Liceum Larkena. Panowie z Hilltop, z którymi Jared grał w golfa. Panie z Hilltop, z którymi Jared sypiał.

Ta ława przysięgłych złożona była ze znajomych Jareda, nie Luke'a, a kiedy Luke leżał w dole, na dnie basenu - ukrzyżowany gwoździami i szkłem - ława zdecydowała, że Luke winien jest wszystkich stawianych mu zarzutów.

- Luke go zamordował, dokładnie tak jak Jared zawsze się obawiał.
- Czy on też nie żyje?
- Dużo mu chyba nie zostało. Popatrz na tę krew.
- I dobrze. Dobrze.

Luke nie rozpoznawał tych głosów. Ale wiedział, kto mu śmierci nie życzył - a przynajmniej, kto zdecydowanie próbował go ratować. Sanitariusze usiłowali go pocieszać, a pani Evans też zeszła na dno basenu.

A potem...

- Luke!
- Snow.

Po raz pierwszy od chwili odzyskania przytomności Luke podniósł wzrok znad swojego połamanego ciała w stronę smug dymu, które zasnowały księżyc. Twarze ludzi życzących mu śmierci widniały gdzieś w górze.

I twarz tej jednej osoby, która mu tego nie życzyła.

- To nieprawda! - krzyknęła w stronę ludzi z miasta, którzy już wydali na niego wyrok. - Luke nie zabił swojego ojca. Luke nie mógłby nigdy nikogo zabić!

Mylisz się, chciał jej powiedzieć. Planowałem, że go zabiję. Chciałem to zrobić. Luke nie wypowiedział tych słów ani tych innych, pełnych rozpacz. Przytul mnie, Snow. Tak bardzo się boję. Nie czuję własnych nóg. Nie zostawiaj mnie!

Kiedy nawet pani Evans nie zdołała powstrzymać Snow przed zejściem na dno basenu, a dziewczynka ukłękła na potłuczonym szkłe u jego boku, Luke powiedział do niej tylko:

- Odejdź, Snow. Odejdź stąd.

Rozdział 4

Wind Chimes Towers
Chicago, Illinois
sobota, 29 października, 18.45

Snow nie musiała spoglądać na zegarek, żeby wiedzieć, że już czas iść na Bal Jesiennego Księżycy - zjechać tych parę pięter z jej mieszkania w Wind Chimes Towers do hotelu Wind Chimes.

Nie musiała też zerkać do lustra, żeby wiedzieć, że na twarzy ma wypisaną obawę. Zmarszczyła brwi. Dokuczały jej napięte mięśnie karku. A kiedy wmasowywała korektor w cienie pod oczami, czuła, jak zakończenia nerwowe protestują przeciwko zbyt małej ilości snu.

Kiedy skończyła nakładać makijaż i czesać włosy, spróbowała się nawet uśmiechnąć. Lustro nie dało się oszukać. I jak to gadatliwe lustro z bajek, którymi się kiedyś zaczytywała, miało dla niej nawet parę rad.

Uważaj, czego pragniesz, bo możesz to naprawdę dostać.

Powrót do Chicago był jednak decyzją, nie pragnieniem, i to decyzją, którą zrealizowała z przekonaniem. Musiała wrócić do domu, żeby rozwiązać sprawy, które pozostały nierozwiązane. Niezupełnie. Nie było takich spraw. Chyba że przyzna, iż mieszkając gdziekolwiek poza Chicago, wciąż ucieka przed przeszłością.

Nie czekały na nią żadne upiory Wietrznego Miasta. Odnalezienie spokoju ducha w Atlancie to jedno. Musi jeszcze odnaleźć spokój w tym miejscu, gdzie zakochała się i gdzie straciła córeczkę - i gdzie to ukochane przez nią dziecko leżało uśpione w swoim ukrytym grobie.

Spokój wiążący się z jakimś miejscem? Owszem.

I pojednanie z pewnym mężczyzną.

Musiała zobaczyć się z Lukiem, pożegnać się z nim twarzą w twarz, tak jak mu to obiecała szesnaście lat temu. A jeśli on zapomniał o tej obietnicy albo po prostu nie dbał już o to, że ona jąźłamała? Też dobrze. Może nawet lepiej.

Luke mieszkał w Quail Ridge. Biuro numerów podało jej telefon, ale nie adres. Nie pozwoliła sobie na nic więcej niż sprawdzenie najbardziej podstawowych faktów. Dla jej misji nie miało znaczenia, co Luke robi ani gdzie mieszka, ani z kim jest żonaty - z tą kobietą, którą sobie znalazł, żeby donosiła jego dzieci do końca ciąży.

Może nawet ożenił się z Vivian.

„Luke kocha się we mnie” - powiedziała jej Vivian tego poranka po Balu Szklanego Pantofelka. - „Zawsze tak było. Ja go lubię, Snow, i martwię się o jego przyszłość. Ale niezależnie od tego, jak Luke mnie pragnie, nie ma dla nas żadnej wspólnej przyszłości”.

Może Luke'owi udało się namówić Vivian do zmiany zdania.

Snow życzyła Luke'owi dobrze, pragnęła szczęścia dla tego chłopaka, którego znała, i mężczyzny, którym się stał.

Jeśli się zatem ożenił z Vivian, niech i tak będzie. Czy Vivian kiedykolwiek ją okłamała?

Snow poczuła skurcz żołądka, który przypomniał jej o ciąży, kiedy nosiła dziecko Luke'a. Źle się czuła w czasie tych radosnych miesięcy, ale była tak przepełniona nadzieją, tak bardzo zakochana.

Weź się w garść, upomniała samą siebie. Jesteś tu, bo zdecydowałaś się tu przyjechać.

Sama uznałaś, że tak trzeba. WCHM szukało dla swoich słuchaczy czegoś nowego, innego. *Godzina Kopciuszka* będzie właśnie takim programem. Ten układ idealnie odpowiadał i Snow, i stacji - zupełnie jakby się wsunęło stopę w zgubiony pantofelek. Znalazła nawet w Towers mieszkaniu, blisko radia, w którym będzie pracowała.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, Bal Jesiennego Księżycy miał się odbyć na tydzień przed debiutem jej programu i w dodatku był to bal na cele dobroczynne: zbierano fundusze dla szpitala, w którym kiedyś uratowano Luke'a. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności WCHM postanowiło wykorzystać okazję i przedstawić ją szefom różnych firm, które być może zapłacą za czas reklamowy w trakcie jej programu.

Snow brała już wcześniej udział w takich imprezach. Wyglądała wtedy i zachowywała się jak profesjonalistka. Lubiła poznawać ludzi - w Atlancie. Czy zawieranie nowych znajomości w Chicago okaże się równie przyjemne?

Snow nie przypominała swojej matki z wyglądu. Ale z czasem, dorastając, stała się bardzo kobieca. Na widok Snow Ashley Gable mężczyźni uśmiechali się z uznaniem, a kobiety marszczyły brwi. Niechęć kobiet pogłębiała się - a męskie uznanie rosło - kiedy Snow zaczynała mówić. Głos miała identyczny jak głos Leigh.

Wśród nieznanym na Balu Jesiennego Księżycy mogą się pojawić mężczyźni, którzy znali Leigh, którzy z nią sypiali i którzy za tę przyjemność płacili niebываłe pieniądze. I mogą się też znaleźć ich żony, które będą traktowały Snow tak, jak traktowały Leigh - jako zagrożenie.

Żadnych upiorów? Pełna sala balowa upiorów z przeszłości, całe miasto takich upiorów - włącznie z ojcem, którego według Leigh Snow miała nigdy nie poznać.

Snow nie wiedziała, w tamtą noc pożaru przy Meadow Drive View, że jej własny ojciec żyje.

Wiedziała tylko, że nie żyje ojciec Luke'a, który tak okrutnie go traktował - i że zdaniem większości mieszkańców Quail Ridge to Luke zabił Jareda.

Ta opinia utrzymała się mimo orzeczenia wydanego przez śledczego do spraw podpaleń, Noaha Williamsa.

Noah nie żywił żadnych wcześniejszych uprzedzeń ani wobec Jareda, ani wobec Luke'a, a nawet gdyby takie uprzedzenia miał, nie pozwoliłby, żeby wpłynęły na jego analizę sytuacji.

Dowody, stwierdził, są jasne. Jared wznicił pożar, chciał zabić chłopca. Luke, zamknięty w swoim pokoju, miał zginąć albo w pożarze, albo skacząc z okna, kiedy by usiłował uciec przed pożarem uciec.

Wysoki poziom alkoholu we krwi prawdopodobnie ocalił Luke'owi życie. Spadł tak, jak spadają pijacy, tak mało dbając o konsekwencje upadku, że jakimś cudem udaje im się wyjść cało z opresji.

Z kolei upojenie alkoholowe Jareda kosztowało go życie. Potknął się na schodach, kiedy usiłował uciec przed płomieniami. Lekki uraz głowy pozbawił go przytomności na dość długo, a dym dokonał reszty dzieła.

Orzeczenie Noaha, ogłędnie mówiąc, nie cieszyło się popularnością. Nawet ci, którzy przyjmowali je do wiadomości, wzbogacali je o rys heroizmu - Jared zdecydował się raz na zawsze uwolnić miasto od zagrożenia, jakim był Luke. Ale jako człowiek szlachetny, nie potrafiłby żyć z tym, co miał zamiar zrobić. Kiedy już podłożył ogień, wypił trochę szkockiej, czekając również na własną śmierć w płomieniach.

To było morderstwo połączone z samobójstwem - a przynajmniej byłoby nim, gdyby Luke też zginął. Niestety, ostatnie poświęcenie Jareda poszło na marne.

Inni mieszkańcy miasta, przede wszystkim bywalcy Country Club, wierzyli, że Noah się po prostu pomylił. Można to zrozumieć. Niedawno stracił żonę, z którą przeżył pięćdziesiąt lat. Żal zmącił jego zdolność oceny sytuacji. Burmistrz nie powinien zwracać się do niego, żeby mimo emerytury zajął się zbadaniem sprawy pożaru u Kilcannonów. Poprosił go o to w odruchu życzliwości, chciał, aby Noah zajął się czymś pożytecznym i dobrze mu znanym.

Nikt nie mógł wiedzieć, że ta decyzja przyniesie zupełnie niezamierzony skutek.

I tak to, co Noah Williams mówił, nie miało żadnego znaczenia.

Luke Kilcannon nie krążył po ulicach Quail Ridge w poszukiwaniu następnego domu, który mógłby podpalić. Wiadomości ze szpitala Grace Memorial były dość przygnębiające. Nawet jeśli kilkunastoletni podpalacz przeżyje, dni włóczenia się po mieście ma za sobą. Będzie sparaliżowany od pasa w dół.

Taką karę dla Luke'a przyjaciele Jareda mogli ewentualnie znieść.

W Quail Ridge plotki mieszały się z okruciami prawdy. Powtarzano je, czasem nieco ubarwiając, podczas przerw w szkole podstawowej Pine-wood. Plotki o tym, że Luke, mimo że sparaliżowany od pasa w dół, ciągle atakuje lekarzy i pielęgniarki na oddziale intensywnej terapii. Nogi miał beużyteczne, ale ręce nadal silne.

Według tych samych plotkarzy Luke przyznał się do zabicia Jareda. Jeszcze się tym przechwalał. Przyznał się też, że zabił matkę. Jej kości mają znaleźć pod fundamentami basenu. To dlatego Luke przestał pływać. Zmęczyło go przepływanie kolejnych basenów nad jej grobem.

- Ale pani Evans widziała, jak matka Luke'a odjeżdżała! - przekonywała Snow. - Widziała, jak ona zabierała od Luke'a jakieś ciężkie pudło, i że potem nawet nie pomachała na pożegnanie.

Koledzy Snow nie byli zainteresowani tym tłumaczeniem. Bajki o Luke'u Kilcannonie wydawały im się o wiele ciekawsze niż fakty.

Snow zamilkła i wycofała się w świat swojego wielkiego zmartwie-
nia. Ukrywała rozpacz przed Leigh, wiedząc, że matce nie spodobałby się jej powód. Ale przed panią Evans się nie kryła. I pani Evans na prośbę zatroskanej Snow, w jej imieniu dzwoniła do szpitala.

Snow nie mogła odwiedzać Luke'a na oddziale intensywnej terapii. Nawet gdyby była jego krewną, dzieci w jej wieku nie wpuszczano na ten oddział. Ale pielęgniarki z OIOM-u w Grace Memorial powiedziały szkolnej pielęgniarkce z Quail Ridge, że Luke przeżyje. I, dodały w zaufaniu, to nie jest całkowity paraliż. Luke porusza trochę palcami stóp.

Snow usłyszała te radosne nowiny na długo przedtem, zanim rozniosły się po szkole.

Kiedy już było wiadomo na pewno, że Luke przeżyje, wszyscy zaczęli rozmawiać wyłącznie o tym, co się z nim stanie. Nie miał żadnej rodziny. Jego matka już dawno zniknęła bez śladu. A dziadkowie Kilcannonowie, których nigdy nie poznał, od dawna nie żyli. Quail Ridge

mogło mu zaoferować schronienie. To był pewien rodzaj noblesse oblige, którym szczylicili się najzamożniejsi mieszkańcy miasta. Ale elita z Hilltop, pod przewodnictwem samego Treya Larkena, całą moc swoich wpływów zwróciła przeciwko Lucasowi Kilcannonowi.

Jeśli Noah się mylił - a z całym szacunkiem dla pogrążonego w żałobie wdowca, Trey o jego pomyłce był przekonany - to Luke jest zabójcą, który morduje z zimną krwią. Jeśli zaś Noah miał rację, Luke jest takiego zabójcy synem.

Tak czy inaczej, perspektywy były niewesołe. Miejsce Luke'a jest w poprawczaku. A jeśli, co bardzo prawdopodobne, popełni jakieś przestępstwo, kiedy zostanie tam osadzony, będą go mogli sądzić jak pełnoletniego i raz na zawsze zaniknąć w więzieniu.

Dom poprawczy wybrany dla Luke'a mieścił się tak daleko od Quail Ridge jak tylko się dało bez opuszczania granic stanu Illinois. Podpisując się własnym nazwiskiem, ale adresem domowym pani Evans, Snow pisała do swojego przyjaciela list za listem - ale wszystkie wracały, nieotwierane i opieczętowane napisem: „Adresat odmówił przyjęcia przesyłki”.

Snow, i tak chuda, jeszcze schudła, i to sporo. Nie mogła jeść ani spać. Przez całą dobę, na okrągło, rozmyślała w takt ciągle przyspieszonych uderzeń serca. W szkole też zaczęła gnać przed siebie, zmierzając do przyspieszonej promocji do siódmej klasy, zupełnie jakby Luke wciąż miał chodzić do gimnazjum Nathan Hale, kiedy ona się tam pojawi.

Snow wiedziała, że go tam nie spotka. Tak samo, jak wiedziała, codziennie spiesząc do ich lasu, że tam na nią nie będzie czekał... I że szaleństwem jest nadal napełniać ten ich wspólny szklany słój znalezionymi monetami.

Luke'a nie było. „Zostaw mnie” - powiedział do niej. - „Odejdź”.

Wreszcie zaczęła znów potrzebować snu i jedzenia. Snow odkryła, że te dwie rzeczy są ze sobą nierozłącznie związane. Jadła, żeby zasnąć, tak samo jak w czasie ich poprzedniego życia w ubogiej części Chicago, Leigh przed snem piła piwo za piwem.

Jedzenie stało się pigułką nasenną Snow. Tak jak w przypadku wielu leków, żeby osiągnąć skutek, trzeba zażywać coraz większą dawkę. Tak Snow zamiast jednego słoika masła orzechowego zjadała przed snem dwa albo trzy słoiki.

Snow była najmłodszą siódmoklasistką w gimnazjum Nathan Hale, i najtęszą. Większość koleżanek i kolegów ją ignorowała. Ale niektórzy przyglądali jej się uważnie. Nauczyciele też. Snow zaczęła się domyślać, że gapią się na nią nie tylko ze względu na jej tuszę. Miała wrażenie,

jakby oni znali na jej temat jakiś sekret, którego ona sama nie znała... Ten sam sekret, który znał Luke, ale nigdy się nim z nią nie podzielił.

Snow nie miała żadnych przyjaciół. Przyjaciel, z którym łączyło ją przysiężenie krwi, porzucił ją i po skończeniu szkoły podstawowej Pine-wood Snow została tylko jedna przyjaciółka - pani Evans. Mogła odwiedzać panią Evans u niej w domu. Była tam bardzo mile widzianym gościem. Ale wstydziła się, że pani Evans tyle dla niej robiła - podtrzymując kontakty z pielęgniarkami z Grace Memorial i opiekunem z poprawczaka - a Luke ciągle te gesty odrzucał.

Snow znalazła ucieczkę w nauce, a kiedy kończyła pracę domową, czytała stopy książek wypożyczonych z biblioteki.

Zwykle wybierała do czytania literaturę faktu. Nie miała już ochoty na wymyślone historie. Im więcej czytała o prawdziwym świecie, tym więcej miała do powiedzenia - i nikogo, komu mogłaby to wszystko opowiedzieć.

Pod wpływem impulsu graniczącego z desperacją Snow Ashley Gable zapisała się do Klubu Dyskusyjnego Nathan Hale.

Potem czekały ją kolejne zderzenia z rzeczywistością... Także z rzeczywistością jej własnego domu. Ze smutkiem, nie z gniewem, Snow powiedziała Leigh, że nareszcie zrozumiała, na czym polega biznes, którym zawsze zajmowała się Leigh - czyli prostytutka. I że opierając się na tym, co przeczytała, doszła do wniosku, że Leigh jako dziewczynka musiała być seksualnie molestowana.

- To dlatego uciekałeś, kiedy miałeś szesnaście lat i zająłeś się seks-telefonem i tymi "randkami" z nieznanymi facetami. To nie twoja wina. Nie miałeś innego wyjścia.

Leigh spojrzała w szczerą, pulchną twarz swojej córki i wybuchnęła śmiechem.

- Jasne, że miałam! Powiedziałam ci prawdę o swoim odejściu z domu. Za dużo dzieciaków, za mało pieniędzy. Nie byłam molestowana seksualnie, Snow. Nie ukrywam żadnego strasznego sekretu. Pamiętam wyraźnie, kiedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że mogę żyć z tego, co ktoś mi zapłaci za seks. Miałam wtedy czternaście lat i interesowali się mną starsi chłopcy. Zabierali mnie na obiad i do kina, a potem robiliśmy to, na co mieli od samego początku ochotę. Mówiłam im, że jeśli mi zapłacą tyle, ile musieliby wydać na naszą randkę, możemy sobie darować te wstępy. Przestałam się czuć bezsilna i nabrałam przekonania, że sama też w życiu przetrwam. Nie żałuję swojego wyboru.

- Nie cierpiałeś tego, co robiłaś w Chicago.

- To dlatego, że nie miałam nad tym kontroli. To nie ja wybierałam.

- A teraz wybierasz?

- Oczywiście. Nie jestem żadną ofiarą, Snow. Nikt nie jest tu ofiarą. Ani ci mężczyźni, którzy mi płacą, ani ich żony. Wierz mi, ich żony też dbają o własne przyjemności. Jestem raczej kimś w rodzaju kochanki czy kurtyzany. Nie jestem prostytutką. Nie zadaję się z mężczyznami, których nie znam, ani z takimi, którzy mi się nie podobają.

- Ale to jest nielegalne!

- Niezupełnie. Nie tutaj. Nielegalne było to, co robiłam w Chicago. Tamci to byli obcy mężczyźni. Ale moi klienci z Quail Ridge to po prostu moi zamożni przyjaciele, którzy dają różne prezenty pewnej wdowie z Atlanty, pomagając jej w trudnej sytuacji - zwłaszcza odkąd pomysł z organizowaniem ślubów nie wypalił. Oni chcą mi płacić, Snow, i płacą mi dobrze. Ci bogaci mężczyźni wierzą, że liczy się tylko to, za co zapłacisz. Im więcej coś kosztuje, tym więcej jest warte.

- Ale oni są żonaci!

- Tkwią w układach. Pieniądze żenią się z pieniędzmi. Ci mężczyźni to wiedzą. Ich żony też to wiedzą. One wcale nie cierpią, Snow. Te żony. Zdziwiłabyś się, ile z nich ma własne udane romanse. Jared Kilcannon nie żyje, ale w klubie jest nowy seksowny trener golfa.

Jared Kilcannon. Luke Kilcannon. Ten ból, tkwiący zawsze tuż pod powierzchnią, przedarł się na wierzch. Kiedy matka bez cienia wzruszenia mówiła o sprawach, które powinny być święte, Snow zrozumiała, że Luke przez cały czas wiedział, czym zajmuje się Leigh.

Kim jest Leigh.

Te życiowe wybory Leigh martwiły Luke'a. Budziły jego niepokój.

- Ludzie wiedzą.

- Wiem o tym - przyznała Leigh. - Ale nie ode mnie. Plotkują sami mężczyźni, zwłaszcza takich czterech, którzy mieszkają na Hilltop niedaleko posiadłości Larkenów. Trey Larken się do nich nie zalicza. Albo naprawdę świata nie widzi poza Marielle, jak wszyscy twierdzą, albo rozrywki szuka sobie gdzie indziej. Ale przyjaciele Treya rywalizują o wszystko, także o mnie. Spodziewałabym się raczej, że wiedząc, że się mną dzielą, będą mnie mniej cenić. Tymczasem sprawdza się coś wręcz przeciwnego. Mężczyźni mają nieprawdopodobne ego, kiedy chodzi o seks. To taka ciekawostka, matczyzna rada, która może ci się pewnego dnia przydać. A skoro już o tym mowa, mężczyźni chcą seksu. Koniec, kropka. Jeśli masz ochotę uwieść mężczyznę, możesz to zrobić. Bez trudu. Tak łatwo, że to aż

śmieszne. Czterech nieprzyzwoicie bogatych facetów rywalizuje o moje względy. Ciągłe dopytują, który z nich jest najlepszym kochankiem? Albo którego wolę? Ja nigdy nie opowiadam się jasno. To taka gra, w którą gramy wszyscy razem. Ale to ja - nie, inaczej, my dwie, Snow - my wygrywamy. Wierz mi, nasza przyszłość jest już zabezpieczona.

- Ale to niewłaściwe.

- Właściwe czy nie, to bez znaczenia. Jest jak jest. Ci mężczyźni wdawali się w romanse niezależnie od tego, czy bym się tu przeprowadziła, czy nie. A dla nich o wiele lepiej jest zadawać się ze mną niż z jakąś naciągaczką, której zależałoby na obrączce. Ja raczej pomagam ich małżeństwom przetrwać, niż narażam je na rozpad. Ja w ciążę nie zajdę. I nie zamierzam się zakochiwać.

- Po raz kolejny.

- Po raz kolejny?

- Nadal kochasz mojego ojca.

Leigh uśmiechnęła się do córki.

- Tak, właśnie. A ci mężczyźni kochają swoje życie. Nie chcieliby rozwodami narażać na szwank pozycji społecznej, i połączonych kont bankowych, którymi się cieszą. Ja nie rozbijam żadnych domów, Snow, a dzięki tym mężczyznom prowadzimy wygodne życie. Nieprawdaż?

Co miała odpowiedzieć? Było jej ciepło, miała ubrania, jedzenie, dach nad głową, czuła się bezpieczna. Cieszyła się też luksusami, z których nawet nie korzystała - luksusami, o jakich inne nastolatki tylko marzą - własną linią telefoniczną, własną kartą kredytową, szufladą pełną gotówki, jeśli skończyła się jej tygodniówka. I chociaż szesnaste urodziny miała obchodzić dopiero za dwa lata, mogła mieć samochód, gdyby tylko chciała. Leigh nie prowadziła samochodu, wolać wygodę taksówek i splendor limuzyn.

- Snow?

- Tak. Prawda. - Snow chciała się podnieść, tak jak Leigh, która w ten sposób dawała sygnał, że rozmowa matki z córką dobiegła końca. Jednak aby wstać, Snow musiała podeprzeć się obiema dłońmi. Popatrzyła na matkę, zanim ruszyła się z kanapy w salonie. - Zauważyłaś, że mam nadwagę?

- Oczywiście, że tak.

- I co o tym myślisz?

- O twojej wadze? Sądzę, że schudniesz, kiedy tylko coś stanie się dla ciebie ważniejsze niż jedzenie.

Od każdego członka klubu dyskusyjnego wymagano, aby potrafił trafnie argumentować za i przeciw tej samej tezie. Snow zamierzała zrobić taką prezentację na temat legalizacji prostytucji. Najpierw argumentowałyby za nią, potem przeciwko. Ale w obu przypadkach należałoby na okazywanie współczucia tym osobom, które wskutek molestowania w dzieciństwie pozwalają się później seksualnie wykorzystywać.

W końcu zmieniła temat i wypowiadała się za i przeciw legalizacji narkotyków. Nie mogła się przekonująco zająć prostytucją, nie z obydwu punktów widzenia, tak jak powinien każdy porządny mówca. Mogłaby to zrobić, gdyby Leigh była taką wykorzystywaną seksualnie uciekinierką. Ale nią nie była. Poza tym Snow wierzyła, że to, co robi Leigh, jest złe - i tak samo nieuczciwe jak decyzje, które często podejmowała ulubiona bohaterka Leigh, Scarlett.

Jako członkini klubu dyskusyjnego Snow zyskała w gimnazjum uznanie. W Liceum Larkena też chętnie włączono ją do debat. Urzędnik odpowiedzialny za rekrutację do liceum powiedział jej to wprost podczas wiosennego, stanowego konkursu klubów dyskusyjnych, kiedy kończyła gimnazjum. Zrobił też jakąś uwagę na temat jej głosu, który miał się kiedyś tak bardzo upodobnić do głosu Leigh.

To silny głos, powiedział, i taki niezwykły przez swój emocjonalny zasięg. Ludzie będą Snow słuchali. Powinna być odpowiedzialna za to, co im powie.

Snow nie mogła się doczekać debat w liceum. Samej nauki w liceum też. Będzie w Liceum Larkena najmłodszą uczennicą - i czy okaże się najteższą z dziewczyn?

Być może.

Ale przysięgła sobie, że trochę schudnie.

Zanim lato dobiegło końca, pozbyła się dwudziestu z trzydziestu pięciu kilogramów, które postanowiła zrzucić. Wyglądała lepiej, czuła się lepiej i po raz pierwszy, odkąd zabrakło Luke'a, ogarnął ją optymizm co do rysującej się przed nią przyszłości.

Wprowadzenie dla uczniów pierwszej licealnej zorganizowano w piątkowe popołudnie, tuż przed rozpoczęciem szkolnych zajęć i prowadziła je przewodnicząca Klubu Dziewczyn Liceum Larken, Vivian Larken. Vivian nie była sama na podium auli. Stały obok niej cztery dziewczyny z władz klubu - wszystkie, jak wyjaśniła Vivian, jej przyjaciółki od czasów przedszkola.

Vivian przedstawiła całą czwórkę. A kiedy skończyła, skarbniczka klubu, Lacey Flynn, przedstawiła samą Vivian.

- Nasza nieustraszona przewodnicząca jest świetna we wszystkim, po prostu ją naśladowujcie! Żartuję. Vivian to najlepsza przyjaciółka, jakiej ktoś mógłby sobie życzyć. I najbardziej bystra. Tak się też składa, że chodzi z tym niesamowicie seksownym ciachem...

- Które musi wracać do domu przed północą - przerwała Vivian.
- Och, cóż zrobić.

Wiele lat temu pani Evans przewidywała, że Snow i Mira Larken poznają się - i zaprzyjaźnią - w Liceum Larkena. Może i tak się stanie za rok. Ale na razie to Vivian oszołomiła Snow i jak się zdawało, umiała czytać w jej myślach.

- Moja młodsza siostra, Mira, jest dopiero w dziewiątej klasie. Jeśli nie zawalę wiosną matury, nigdy nie będę miała szansy wprowadzać jej w tajniki szkolnego życia.

- Viv, prymuska naszej klasy - wtrąciła Lacey - maturę zda na pewno.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - odparła Vivian. - A więc, jeśli nie macie nic przeciwko temu, przeleję na was swoją siostrzaną opiekuńczość - i może dam wam parę dobrych rad? Pytajcie mnie, pytajcie nas, o wszystko. Naprawdę! Liceum Larkena to mogą być trzy najlepsze lata waszego życia. Ale to się nie zrobi samo. Musicie się angażować, brać udział we wszystkim, co daje ta szkoła. I nie mówię tylko o świetnych lekcjach. Chcę, żeby wszystkie dziewczyny obecne w tej auli przysięgły sobie tu i teraz, że przyjdą na Bal Szklanego Pantofelka. Niektóre z was już wiedzą, co to za impreza. Macie w rodzinie osoby, które chodziły do Liceum Larkena. Tym, które nie wiedzą, wyjaśniam, że Bal Szklanego Pantofelka to nasz zimowy bal dla dziewczyn z pierwszej klasy - i dla tych wszystkich, których one zaproszą. To jedna z najstarszych szkolnych tradycji, wprowadzona jeszcze przed II wojną światową. Nasze śmiałe babki zdecydowały, że na ten bal to dziewczyna zaprasza chłopca i że każda dziewczyna dostanie podczas balu breloczek w kształcie szklanego pantofelka. Rozumiecie, dlaczego to było takie świetne? Takie nowoczesne?

Pytanie należało do retorycznych. Każda z zachwyconych uczennic wiedziała, że zaraz usłyszy odpowiedź. Nawet te, które na pytanie mogły odpowiedzieć same, nie zabierały głosu.

Bo odpowiedź zabrzmiała jeszcze lepiej, kiedy padnie z uśmiechniętych ust Vivian.

- Kiedy Kopciuszek ucieka z balu, musi czekać na właściwy moment, żeby Księżę wsunął na jej stopę zgubiony pantofelek. Ale wasz breloczek, ten pantofelek, należy do was. I symbolizuje fakt, że nigdy nie

będziecie musiały kuśtykać w jednym buciku, czekając, aż mężczyzna waszych marzeń pojawi się i was wyratuje. Nie mamy nic przeciwko mężczyznom. Nic podobnego! My tylko nie potrzebujemy, żeby spełniali każde nasze marzenie. Prawda?

Kiedy oczarowana widowia wyszeptwała, że prawda, Vivian uniosła delikatny nadgarstek, żeby mogły się przyjrzeć. Podobnie zrobiły jej cztery przyjaciółki. Wszystkie miały złote bransoletki z breloczkiem.

- Jak widzicie, nie rozstajemy się z naszymi pantofelkami Kopciuszka. I jak te z was, które siedzą w pierwszym rzędzie, mogą zaświadczyć, pantofelek nie musi być nawet szklany. Nasze są złote, na szpilce. Każda pierwsza klasa sama może sobie zaprojektować własny pantofelek. Ale dostajecie breloczek tylko wtedy, gdy pojawicie się na balu. Żadnych wyjątków. Breloczek jest przypięty do balowego karneciku. Chcę, żeby wszystkie dziewczyny obecne w tej sali przyszły na bal. Dobrze? Chłopak wcale nie musi być waszym wymarzoną księciem. Możecie nawet przyjść bez chłopaka. W końcu jesteśmy nowoczesnymi Kopciuszkami.

- A już zwłaszcza Vivian - zażartowała Lacey. - Jak już powiedziała, szlaban o północy dotyczy nie jej, ale wymarzonego księcia.

- A wiesz, że to zadziwiające - odezwała się Vivian do Lacey, ale dość głośno, żeby słyszały ją dziewczyny w pierwszych rzędach - jakie fajne rzeczy można robić przed dwunastą?

Po chwili znów się zwróciła do zachwyconego grona swoich zastępczych młodszych sióstr:

- Wszystkie zainteresowane pracą w Komitecie Balu Szklanego Pantofelka powinny się tu wpisać. Waszym głównym zadaniem będzie zaprojektowanie breloczka i uzyskanie akceptacji koleżanek z klasy, zanim projekt trafi do jubilera. To my, starsze dziewczyny, zostaniemy waszymi dobrymi chrzestnymi wrózkami. Rozdamy karneciki balowe, szepniemy do ucha, jeśli rozmaże się którejś szminka, będziemy roznosiły bezalkoholowy poncz i odwracały uwagę opiekunów, aby spełnić marzenie waszego partnera o chwili prywatności. Aha, i żadnych Kopciuszków uciekających z balu. Przetkańczycie dwunastą, tańce potrważą aż do pierwszej. Po raz pierwszy będziecie mogły włożyć bransoletki z waszym breloczkiem następnego dnia, w czasie późnego śniadania chrzestnych wrózek, które dla was zorganizujemy. Tradycja mówi, że breloczek przyczepiony jest wstążką do karneciku do momentu powrotu do domu po balu. A więc, siostrzyczki, zaznaczcie sobie w kalendarzach drugą sobotę stycznia. Sala balowa Hilltop Country Club już jest

zarezerwowana. Chcę was tam wszystkie zobaczyć! Jakies pytania? Jeśli nie, to życzę udanego weekendu i do zobaczenia w poniedziałek rano.

Zanim po dwóch dniach zaczęła się szkoła, Snow schudła jeszcze półtora kilograma. Czuła, że wchodzi na wysokie obroty, przepełniała ją ochota do życia.

W niedzielę wieczorem poszła na polankę do lasu. Dotykając blizny na nadgarstku, złożyła obietnicę samej sobie i swojemu odległemu przyjacielowi.

Wszystko się dobrze ułoży, i jej, i Luke'owi też.

Przyjaciel Snow miał się świetnie.

I był całkiem niedaleko.

Luke Kilcannon chodził do maturalnej klasy w Liceum Larkena.

Był też właśnie tym niesamowicie seksownym chłopakiem, z którym chodziła Vivian.

Snow najpierw zauważyła Vivian, jej filigranową sylwetkę, długie brunatne włosy. Vivian opierała się o swojego kochanka, wspartego o ścianę. Kochanek to było właściwe słowo; Snow teraz już takie słowa znała. I chociaż nie miała żadnego doświadczenia w tej kwestii, zauważyła tę szczególną seksualną intymność pomiędzy Vivian a...

- Luke?

Jej pytający okrzyk rozdzielił zakochanych jak interwencja najbardziej pruderyjnej z przyzwoitek.

A kiedy Luke na nią spojrział, kiedy patrzył, nie mogąc oderwać od niej wzroku, zobaczyła, kim się stał - wyrósł i zmężniał. To był mężczyzna w każdym calu.

Gniewny mężczyzna. Doroślejsza, dojrzalsza wersja tego samego gniewnego chłopca, którego zaskoczyła w lesie tamtego dawnego bożonarodzeniowego dnia.

„A kim ty, do diabła, jesteś?” - spytał wtedy ostro.

Teraz jego pytanie zabrzmiało równie ostro:

- A co ty tu robisz?

- Chodzę do pierwszej klasy. Przeskoczyłam jeden rok. A ty jesteś...

Tutaj. W Quail Ridge, dokończyła w myślach. I jesteś tu już na tyle długo, że zdążyłeś się zakochać. Dość długo, żeby mnie chociaż odwiedzić. Ale tego nie zrobiłeś.

„Zapomnij o mnie, Snow” - powiedział wtedy. - „Ja też zapomnę o tobie”.

Luke dotrzymał danego słowa.

- To wy dwoje się znacie? - wtrąciła się Vivian.
 - Z poprzedniego życia - odparł Luke.
 - Aha. - Wyraz twarzy Vivian zdradzał, że wie, o jakim życiu mówił, że wie o tych brzydkich wspomnieniach, które on chciał na zawsze z tym poprzednim życiem pogrzebać. Patrzyła na symbol tego brzydkiego życia. - Znacie się z Pinewood?
 - Tak. - Snow zaczęła się wycofywać. Chciała rzucić się biegiem do ucieczki, zmusiła się jednak do tego, żeby iść powoli. - To było inne życie.
 - Snow...
- Jego głos zabrzmiał miękko, kiedy wypowiedział jej imię tak, jak tylko on to potrafił, jakby była kimś niezwykłym, kogo się pamięta, a nie zapomnianą przyjaciółką, do której się nawet nie pofatygował w odwiedzinie.
- Lepiej już pójde - powiedziała. - Nie chcę się spóźnić na swoją pierwszą lekcję!

Rozdział 5

Luke z Quail Ridge ani nie odszedł spokojnym krokiem, ani nie uciekł biegiem. Jego połamane ciało zabrano stamtąd na noszach.

A wrócił właściwie wpław.

Co do pływania, wyboru nie miał. Odbudowanie mięśni w wodzie, która stawia im opór, to był najlepszy sposób, może jedyny sposób, żeby mógł jeszcze kiedyś chodzić.

Chłopak, który niegdyś ciskał jedną kulą śniegową po drugiej - i podciągał się na gałęzi niezliczoną ilość razy - chociaż zmęczone mięśnie już dawno zaczynały protestować z bólu, zastosował wobec siebie pływacki reżim o wiele ostrzejszy niż ten, który kiedyś narzucił mu ojciec.

Luke nie miał też wyboru, kiedy szło o powrót do Quail Ridge. W poprawczaku stał się wręcz legendą. Rzadko kto miał takie wyniki w nauce w tym środowisku. Ale to dzięki wyćwiczonemu ciału, a nie wynikom w nauce, pozwolono mu wrócić do domu.

W domu poprawczym nie było trenera, ale jego opiekun wiedział wystarczająco dużo na temat pływania, żeby zmierzyć stoperem czas, kiedy Luke pruł przez zbyt mocno chlorowaną wodę basenu.

Opiekun skontaktował się z trenerem drużyny pływackiej z Liceum Larkena, który zadzwonił do Treya Larkena... Pierwsze miejsce w zawodach pływackich było dla niego na tyle ważne, że zapragnął mieć Luke'a Kilcannona w tej drużynie. Zwłaszcza kiedy zapewniono go, że Noah Williams w swoim orzeczeniu prawdopodobnie się jednak nie pomylił.

U Luke'a żadnych psychopatycznych skłonności nie stwierdzono. Wręcz przeciwnie, miał w sobie zadatki na prawdziwego przywódcę. Nawet najbardziej zatwardziali podopieczni tej instytucji darzyli go szacunkiem, mimo że Luke nie był zainteresowany przywództwem. Uczył się. Pływał. A resztę czasu spędzał tak, jakby w przepełnionej placówce był zupełnie sam.

Jeśli Luke wróci, miastu nic nie grozi. Ale gdzie miałby mieszkać?

Pojawiło się dogodne rozwiązanie, jeśli tylko Noah się zgodzi. Emerytowany specjalista do spraw podpaień swoją reputacją ręczył za niewinność Luke'a. Czy zechce zaryzykować własne życie?

Noah wcale się nie bał, że Luke podpali mu dom. A nawet gdyby - co z tego? Dni Noaha były długie i puste, a noce jeszcze gorsze.

Jasne, że dzieciak może się do niego wprowadzić. A skoro meldowanie się w domu przed północą jest jednym z warunków wcześniejszego zwolnienia z poprawczaka, zobaczy, co się da zrobić, żeby to od chłopaka wyegzekwować.

Były jeszcze inne warunki zwolnienia, nakładające zbiorową odpowiedzialność na całe miasto.

Ich podopiecznemu nie wolno ani pić, ani palić, musi utrzymywać dobre wyniki w nauce i przykładać się do pływania z równym zapałem, jak w domu poprawczym.

Luke'a nikt o zdanie nie pytał. Jako nieletni pod stanową kuratelą - nie miał tu nic do powiedzenia. Poza tym to nie do pomyślenia, żeby odmówił ułaskawienia, jakie mu proponowano, albo potraktować je inaczej niż jako ułaskawienie.

Nikt nie brał pod uwagę tego, że Luke może nie mieć ochoty stawać prawie nago przed tłumami, które będą się zbierać, żeby patrzeć jak pływa, i przyglądać się jego bliznom, śladom po ciosach nożem, rozbitym szkłe, gwoździach i połamanych kończynach. Śladom, które zostały mu po tamtej nocy.

Luke musiał pokazywać swoje blizny w poprawczaku. Prawa do prywatności nikt tam nie uznawał.

Jego opiekun, strażnicy i koledzy, którzy traktowali te blizny jak świadectwo honorowych ran, byliby zdumieni, gdyby się dowiedzieli,

z jakim trudem znosił każdą sekundę tego poniżenia i że liczy minuty do czasu, kiedy zamieszka sam, zasłoni czymś tę nagość i nigdy więcej nie będzie musiał pływać.

Luke'a nie uprzedzono, że niedługo wypuszczą go z poprawczaka. Piętnastego czerwca dali mu godzinę na spakowanie rzeczy, a potem przewieźli go furgonetką do domu Noaha w Quail Ridge. Zasady wyłożono mu tego samego wieczoru. Następnego dnia wziął udział w pierwszym z trwających całe lato treningów na niedawno oddanym do użytku, olimpijskich rozmiarów basenie w Hilltop Country Club.

I bez Luke'a treningi drużyny pływackiej przyciągnęłyby tłumy - głównie nastolatki. Ale jego obecność wzmogła zainteresowanie. Bliźni, rysujące się srebrzystymi liniami na już niebezpiecznie atrakcyjnym ciele, również.

Córki zamożnych obywateli z Hilltop były bardzo podekscytowane. Wszystkie. Ale kiedy Vivian wkroczyła do akcji, przyjaciółki zeszyły jej z drogi. Zawsze ustępowały jej miejsca, a poza tym musiały przyznać, że to ona ma najlepsze warunki, żeby sobie zafundować wakacyjny romans z Lukiem. Trey i Marielle polowali na antyki w Europie. Mira pojechała na konie do Jackson Hole. Pomijając dochodzącą gosposię, Vivian miała całą posiadłość dla siebie aż do drugiego tygodnia szkoły.

Teoretycznie Luke miał jakiś wybór: czy chce zostać w Quail Ridge, czy nie. Mógł złamać warunki zwolnienia. Ale musiały to zrobić parę razy i to w sposób rażący. Quail Ridge zdążyło przywiązać się do swojego zwycięskiego zawodnika. Po paru tygodniach trener przewidywał, że z Lukiem Kilcannonem w składzie drużyny Kuguary z Liceum Larkena mają szansę znowu przeżyć dni chwały, jak w czasach, kiedy, o ironio, trenerem był Jared.

Gdyby Luke sądził, że Snow dowie się o jego powrocie, zrobiłby wszystko, żeby go odesłali. Ale dom Noaha leżał wiele kilometrów od Pinewood, tak samo jak Liceum Larkena mieściło się dość daleko od gimnazjum Nathan Hale. I chociaż prawdopodobnie pobije rekord na czterysta metrów motylkiem i zostanie najważniejszym członkiem wszystkich trzech zespołów sztafetowych, prasa poświęci uwagę przede wszystkim jego kolegom - synom bogatych rodzin.

Snow nie orientuje się, że wrócił, a do czasu, kiedy zacznie chodzić do Liceum Larkena, on już zdąży szkołę skończyć i wyprowadzi się gdzie indziej. Walczył z chęcią popatrzeć na nią choćby z daleka, żeby się upewnić, czy jest tak szczęśliwa, jak na to zasługuje.

Nie była szczęśliwa. W ciągu tych paru chwil na korytarzu dostrzegł, jak bardzo jest jej źle.

Znalazł ją po szkole w ich lesie.

Siedziała na pniu drzewa, po jednej stronie stał słoik, po drugiej leżały schludne stosiki monet - poukładane na dawno już przez Luke'a odartym z kory pniu. U stóp miała papierki do owijania monet, „które dostała z banku.

- Snow?

Nie przerwała układania stosików jednocentówek, dziesiątek, ćwierćdolarówek.

- Już dawno nie wymieniałam monet na banknoty. Najwyższa pora. Tak przy okazji, tu jest sporo kasy. Nigdy nie przestałam szukać drobnych. Inflacja pomogła. Ludzie teraz jednocentówki wręcz rozrzucają, czasem trafiają się nawet ćwierćdolarówki.

- Snow?

- Tak sobie jakoś wyobrażałam, że ty też pewnie szukasz monet. Jeżeli możesz. I że robimy to oboje, tylko z daleka do siebie. Głupie, co? Nieźle urojenia.

- Wcale nie głupie - powiedział cicho. -I żadne urojenia.

Nie mógł szukać zgubionych monet w południowym Illinois. Mieszkańcom poprawczaka nie dawano aż takiej swobody. Ale w domu, w którym tak serdecznie go przyjął Noah, cała szuflada biurka pełna była monet, które zebrał przez ostatnie trzy miesiące.

Snow nie chciała na niego popatrzeć. Luke przyklęknął przed nią, zajrzał jej w twarz.

- Jesteś śliczna, Snow.

Łzy spływały jej po policzkach, były to łzy rozpacz - owoc wszystkich tych lat, kiedy za nim tęskniła.

- Nie płacz - szepnął Luke. - Nie płacz.

Nie powinnaś być smutna, pomyślał.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował we włosy, mówiąc coś... Pocięszał ją, chociaż chciał o wiele, wiele więcej. To już nie była mała dziewczynka. A on sam w zasadzie nigdy nie był małym chłopcem.

Ale ona jest niewinna, a on skażony - na długo przedtem, zanim ją w ogóle poznał. Część jego duszy już zdążyła obumrzeć. Jeszcze więcej umarło tej nocy, kiedy zginął Jared.

Snow odpowiadała na jego pocałunki, jakby nie miała pojęcia, jak niewiele z niego zostało.

Luke ją puścił.

- Nie powinniśmy.
- Wiem! Przepraszam. Jesteś zakochany w Vivian.
- Ja, zakochany w Vivian? Nie. Nie. My... - Chciał użyć słowa, które wulgarnie opisywało seks. Oboje z Vivian czerpali przyjemność z tego, że spiąją ze sobą. Nie przejmując się, czy taką samą przyjemność dają temu drugiemu.

Luke wykorzystywał Vivian, a Vivian wykorzystywała jego.

Układ działał dobrze, do tej pory działał dobrze. Ale dla Luke'a skończył się z chwilą, w której zobaczył Snow. Postanowił powiedzieć Vivian po szkole. Uprzedziła go, kiedy jej powiedział, że opuści trening.

- Przecież to pierwszy trening w tym roku szkolnym!
- Przez całe lato nie opuściłem ani jednego.
- Ale dzisiaj wybieracie kapitana reprezentacji. Ty nim powinieneś zostać. Jesteś najlepszym pływakiem w drużynie.

- Wszystko mi jedno, Vivian. Nie chcę być kapitanem. - Ta funkcja dawała prestiż i referencje przydatne w podaniu na studia. Szansę, którą drugi po nim najlepszy pływak wykorzystał w mgnieniu oka. - Już powiedziałem trenerowi, że oddaję swój głos na Harrisona.

- To jakieś szaleństwo - stwierdziła Vivian. - To takie samo szaleństwo jak zrywanie się z treningu. Luke, wyrzuca cię z drużyny i zanim się obejrzyś, odeślą do poprawczaka.

- Jeśli tak, to trudno.
- Jeśli nie przyjdiesz na dzisiejszy trening, oni pozwolą ci może zostać w Liceum Larkena, ale ja nie będę chciała już mieć z tobą nic wspólnego.

- W porządku.

- Zaryzykujesz zerwanie ze mną?

„Zerwanie” sugerowało, że ich związek to coś poważnego. Ale Luke nie miał zamiaru wyklócać się o znaczenie słów.

- Chyba właśnie zerwaliśmy.

Zostawił Vivian zdumioną, powtarzającą w duchu: „Jak on śmiał?” - i poszedł szukać Snow.

A Snow w lesie wyobrażała sobie, że on będzie z Vivian żył długo i szczęśliwie.

- Ty i te twoje baśnie.

- Nie jestem wcale taka niewinna, jak ci się wydaje! Nie myśl tak tylko dlatego, że jestem gruba...

- Nie jesteś gruba, Snow. Jesteś śliczna. -I smutna. Och, Snow, nie bądź taka smutna. -I taka niewinna.

- Nie jestem niewinna, Luke.
- Masz piętnaście lat.
- Prawie szesnaście.
- To jeszcze pięć miesięcy.

Snow bardzo chciała, żeby jej dotknął, żeby ją pocałował, i jeszcze więcej. Więcej. To pragnienie nie było ani powierzchowne, ani kapryśne. Jeśli Luke jej znów nie dotknie, jeśli jej chociaż przez chwilę nie dotknie, to serce jej pęknie... Bez nadziei na to, żeby się miało kiedyś zrosnąć.

Najzwyczajniej walczyła o własne przetrwanie.

I jaką bronią dysponowała w tej nowej dla siebie walce? Słowami matki? „Mężczyźni mają nieprawdopodobne ego, kiedy chodzi o seks” - powiedziała Leigh. - „To taka ciekawostka, matczyzna rada, która może ci się pewnego dnia przydać. A skoro już o tym mowa, mężczyźni chcą seksu. Koniec, kropka. Jeśli chcesz uwieść mężczyznę, możesz to zrobić. Bez trudu. Tak łatwo, że to aż śmieszne”.

Naśladowując zmysłowy głos Leigh, Snow zaczęła.

- Po raz pierwszy kochałam się - powiedziała - w dzień moich piętnastych urodzin. Miał siedemnaście lat i wiedział, co robi. Był o wiele lepszy niż moich następnych dwóch kochanków, ale beznadziejny w porównaniu z tym studentem, z którym chodzę teraz. Ma dziewiętnaście lat i mówi, że pulchne dziewczyny są seksowne. Ale i tak będę mu się podobała, będzie mnie tak samo pragnął, kiedy już schudnę tyle, ile chcę. Jestem dobra w łóżku, Luke. Jestem nieodrodną córką własnej matki. Na pewno uważałeś mnie za idiotkę, że nie rozumiałam, jak ona zarabia.

- Byłaś małą dziewczynką.
- Już nie jestem. Moja matka uwielbia seks i ja też go uwielbiam. Ale nie umiem sobie wyobrazić, że biorę za to pieniądze. Za bardzo to lubię. Chociaż matka twierdzi, że pieniądze jeszcze zwiększają przyjemność - i dla niej, i dla jej faceta.
- Kłamiesz.
- Nie kłamię.
- Jesteś dziewczą, Snow. Nie masz żadnego chłopaka studenta.
- Chciałeś powiedzieć, żadnego chłopaka? To, że ciebie nie pociągam, to jeszcze nie powód, żeby inni mnie nie chcieli! A chce mnie wielu chłopaków, Luke. Bardzo wielu.

- Przestań. - Polecenie Luke'a zabrzmiało jak tamto, które ona mu wydała w Boże Narodzenie, kiedy walił z zapamiętaniem śniegowymi kulami w drzewo.

Teraz ona brała odwet słowami, które karały ich oboje. Zauważyła jego gniew, przerażający gniew i może, może jednak odrobinę zazdrości o tych jej wymyślonych kochanków.

- No to mi przerwij, Luke. Udowodnij, że się mylę... Albo że mam rację.

- A niech cię diabli, Snow.

- Pocałuj mnie, Luke.

Proszę, pocałuj mnie, powtarzała cały czas w myślach.

Znów zaklął i przyciągnął ją do siebie.

Zatraciła się w tej radości.

Luke też się w niej zatracił. W radości i niechęci. Ale nie do niej, ona nie mogłaby go zniechęcić. Zniechęcała go jej wprawa, nie mógł znieść tej pewności, z jaką pragnęła - w tym momencie - jego.

Gdyby nie gorączkowy pośpiech, byłaby to romantyczna scena. Ciepło słońca, miękka trawa, śpiew ptaków unoszony jesiennym wiatrem. Kochankowie mogliby się nawet rozebrać i zrobić sobie posłanie z własnych zrzuconych ubrań.

Stało się jednak tak, że Luke wziął ją szybko - a potem usłyszał jej jęk, poczuł, jakiego szoku doznała.

I zrozumiał, że ci wszyscy chłopcy byli bajką, tak jak myślał na początku.

A jej wprawa? Zbyt późno Luke zrozumiał prawdę. Snow muskała palcami jego blizny, ale nie dotykała ich tak, jak Vivian - ani te inne - niczym wyrzeźbionych w ciele dowodów jego niebezpiecznej natury.

Snow gładziła jego blizny z czułością, wspominając ból Luke'a.

To instynkt, a nie doświadczenie, kazał jej ciału poruszać się w takiej harmonii z jego ciałem.

- Kłamałaś.

- To już nie jest kłamstwo. Luke, nie odchodź! Proszę!

- Zadałem ci ból.

- Nie, nic podobnego! Wcale nie. Następnym razem będzie inaczej.

Łatwiej.

- Nie będzie następnego razu.

- Byłam aż tak beznadziejna?

- Nie, Snow. Wcale nie byłaś beznadziejna. Ale nie możemy tego znów zrobić.

- Gniewasz się na mnie.

- Gniewam się na siebie.

- Za to, że przeze mnie zdradziłeś Vivian.
- Możesz zapomnieć o Vivian? Ciebie zdradziłem, Snow. Twoją niewinność.
- Ale ja tego chciałam!
- Dałem ci się nabrać. - Wydawało się, że od jego głosu ptaki uci-chły, a wiatr wstrzymał oddech.
- Przepraszam.
- To nie twoja wina. Sam zawiniłem. Nie powinienem na to pozwo-lić. To się nie może powtórzyć. To się nie powtórzy.

- Ale...

- Co?

- Możemy być przyjaciółmi?

Zawarli kiedyś przyjaźń przymierza krwi, teraz przez krew złączyła ich miłość. Zabolała ją. Sprawił, że krwawiła. Nie dbała o seks. Niby czemu miała się tym przejmować? Przecież za pierwszym razem nie mogła zaznać żadnej przyjemności. Ale on nadal nie był jej obojętny i nadal chciała być jego przyjaciółką.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

Czas ją wyprowadzić z błędu, pomyślał.

- Muszę ci opowiedzieć o tamtej nocy.

Snow nawet nie zmrużyła oczu.

- Dobrze.

- A gdybym ci powiedział, że Noah się pomylił i że to ja zabiłem ojca, i zorganizowałem wszystko tak, żeby wyglądało, jakby on chciał zabić mnie? Co byś na to powiedziała?

- Twój ojciec traktował cię wrednie. Podle. Głodził cię. A poza tym... On się nad tobą znęcał, prawda? Bił cię.

- Czasami. - Jeśli Luke miał szczęście, Jared nie robił nic poza tym.

- Dlatego czasami nie przychodziłeś do szkoły. Nie mam racji? Bo on cię bił, krzywdził cię.

- Tak. Ale na świecie jest mnóstwo złych ojców. Nie wszyscy giną. Ich synowie ich nie zabijają.

- Tak jak ty nie zabiłeś swojego - stwierdziła Snow. - Chociaż...

- Zasłużył na to? Nie dasz rady tego powiedzieć, prawda?

- Nie. Chyba nie mogę. Tak samo, jak ty nie dałbyś rady tego zrobić.

- Tamtej nocy chciałem go zabić. Myślałem o tym, jak go zabić, kiedy wlewał mi benzynę pod drzwi.

- Ale nie umiałbyś tego zrealizować.
- Nie?
- Nie. Ty nie potrafisz krzywdzić, pamiętasz?

Tak, pomyślał Luke, tylko ciebie potrafię krzywdzić. Chociaż sprawiasz wrażenie całej, nieskrzywdzonej.

- Skąd możesz wiedzieć, że go nie zabiłem?
- Poza prostym faktem, że nigdy nie byłbyś do tego zdolny.

Dla niej to wszystko było takie proste.

- Tak, poza tym?
- Gdybyś to zrobił, musiałbyś sam się zabić. Nieważne, co on ci zrobił, nie umiałbyś sam ze sobą żyć, gdybyś odebrał mu życie.

Czy to prawda? - zastanowił się Luke. Być może. Już sama udręka wspomnienia, jak planował, że zabije Jareda, wystarczy.

Dreńczyło go jeszcze coś innego - martwił się, że gdyby nie mordercze plany Jareda, on by jednak swój zamiar wprowadził w czyn.

Może opatrność interweniowałaby, gdyby nie wtrąciło się zło.

Opatrzność.

Snow.

Jego miłość, jego przyjaciółka.

Wszyscy mogli się przekonać, że tych dwoje to przyjaciele. Świat obserwował tę przyjaźń ze zdziwieniem. Fantastyczny, porzucony przez Vivian chłopak i ta mądrała z nadwagą i seksownym głosem.

W tym związku nie mogło przecież chodzić o seks. To musiało być jakieś dziwaczne bratersko-siostrzane uczucie. To prawda, Luke z nikim się nie umawiał, odkąd Vivian go rzuciła dla kapitana reprezentacji pływackiej, Harrisona Wrighta. Szybko odrzucał dość namolne zaloty innych dziewczyn.

Luke koncentrował się na czymś innym. Na stopniach, na czasach pośrednich, na Snow.

„Mięśniak” z maturalnej klasy i „kloc” z pierwszej nie zaliczali się do szkolnych wyrzutków. Dla ich kolegów i koleżanek z Liceum Larke-na osiągnięcia miały ogromne znaczenie. Jak długo dzięki argumentacji Snow drużyna zwyciężała w debatach, a Luke pływał szybciej niż jakikolwiek inny chłopak w jego wieku w całym stanie, mogli sobie ciągnąć tę swoją dziwną przyjaźń, jak długo im się podobało.

Snow postanowiła zrzucić ostatnie zbędne kilogramy. Zapowiadało się dobrze. Łatwo pozbywała się nadwagi z czystej radości z towarzystwa

Luke'a - i dzięki nudnościom, które zaczęły ją nękać gdzieś tak trzeciego tygodnia szkoły.

Kiedy Snow domowym testem ciążowym potwierdziła przyczynę mdłości, zaczęła się zmuszać do jedzenia. Potrzebowała nadwagi, żeby ukryć sekret znany tylko jej... I którego nikomu nie zdradzi... Póki nie nadejdzie właściwy moment, żeby powiedzieć o tym Luke'owi.

To jeszcze nie był właściwy moment. Luke miał za wiele na głowie. Noah, który głosił niewinność Luke'a, czy ktoś go słuchał, czy nie, dostał nagle zaburzeń mowy i stracił czucie w prawej ręce.

Luke natychmiast zawiózł go na ostry dyżur, stwierdzono u Noaha niewielki wylew. To może być ostrzeżenie przed poważniejszym udarem w przyszłości, wyjaśnił neurochirurg.

Dolegliwości Noaha minęły, brał zapisaną aspirynę i wróciło mu ożywienie, które pojawiło się, kiedy jego samotne życie urozmaiciła obecność tego „młodziaka”.

Noah nie uzależnił się od Luke'a. Odnowił parę zaniedbanych przyjaźni i nawiązał nowe. Ale Luke i tak się o niego martwił.

Luke musiał też podjąć pewną decyzję, gdzie iść na studia, i niektórzy wywierali na niego przy tym presję. Jakakolwiek uczelnię by wybrał, mógł liczyć na stypendium sportowe. Trener namawiał go na Stanford, dyrektor szkoły na Yale, a kumple z drużyny, liczący, że zwiększą w ten sposób własne szanse, podsuwali UCLA, Notre Dame, Purdue.

Ta decyzja miała doprowadzić do wyjazdu Luke'a z Quail Ridge... I rozłąki z nią. Czasami miała wrażenie, jakby już wyjechał. Ale w innych chwilach, w tych cudownych chwilach, patrzył na Snow tak, jakby chciał być tylko z nią.

Snow postanowiła, że powie Luke'owi o dziecku dopiero wtedy, kiedy on już podejmie decyzję co do swojej przyszłości.

- Kogo chcesz zabrać na Bal Szklanego Pantofelka? - zapytał Luke pewnego dnia.

To było na początku stycznia. Wszędzie panowało ożywienie z powodu zbliżającego się balu. Plakaty na korytarzach. Artykuły w gazecie. Bilety sprzedawane w czasie lunchu. A w gablotce, obok pokoju Klubu Dziewczyn, wisiła cała kolekcja breloczków - wypożyczonych od absolwentek - obejmująca okres pięćdziesięciu pięciu lat.

Wystawiono też model tegorocznego breloczka. Koleżanki Snow wybrały tradycyjny pantofelek na szpilce, ze złota, z szafirowymi sztrasami.

- Nie idę.

- Pójdiesz, Snow. Ze mną. Ale musisz mnie zaprosić.

Od Bożego Narodzenia Luke był niedostępny. Bała się, że już w ogóle nie wróci. Ale teraz poświęcał jej całą swoją uwagę.

- A zgodzisz się, jeśli cię zaproszę? - szepnęła.

- Tak.

- Dobrze. Pójdiesz ze mną na Bal Szklanego Pantofelka?... Nie możesz! Ty i Noah będziecie na mityngu pływackim w UCLA.

- Polecimy do Los Angeles wczesnym rankiem w niedzielę rano i dotrzemy tam na dziewiątą, na mój pierwszy start. Obgadałem to już z trenerem. Nie ma nic przeciwko temu. Nie pytałem tylko o ten szlaban o północy, ale jeszcze zapytam. Noah na pewno nie będzie robił trudności, ale trener też musi się zgodzić.

Snow nie zależało na tańcach do pierwszej w nocy. Marzyła tylko o tym, żeby iść na bal z Lukiem. Ona nie ucieknie swojemu księciu, kiedy zbliży się północ.

Wyjdą razem, najpierw Luke odwiezie ją do domu, a potem zdaży wrócić do siebie na czas.

I nie będą z balu uciekać - po prostu z niego wyjdą.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, Luke. Możemy wyjść przed dwunastą.

Rozdział 6

Hilltop Country Club
Bal Szklanego Pantofelka
sobota, 14 stycznia

Snow! Ty wręcz promieniejesz! - zawołała dobra chrzestna wróżka Vivian. - Świetnie ci w tym różowym.

- Dziękuję, Vivian.

- A Luke... W smokingu wygląda olśniewająco.

- Cześć, Vivian.

Vivian teatralnym gestem podała im perłowobiały karnet balowy, przewiązany złotą wstążeczką, na której wisiał przeznaczony dla Snow breloczek.

- Baw się dobrze - powiedziała Vivian.

- Dziękuję - powtórzyła Snow, oszołomiona uwagą poświęcaną jej przez Vivian.

Ale w towarzystwie Vivian każdy czuł się kimś wyjątkowym.

Snow była oszołomiona i rzeczywiście czuła się kimś wyjątkowym już od chwili, kiedy otworzyła drzwi Luke'owi. W miarę jak wieczór mijał, wrażenie to pogłębiało się - w przyprawiającym o zawrót głowy crescendo, którego on był powodem.

Tańczyli tylko wolne tańce, a kiedy orkiestra przyspieszała tempo, obserwowali tylko podrygi innych. Z każdym kolejnym tańcem przysuwali się do siebie coraz bliżej. W pewnym momencie, gdy zaczynał się następny taniec, Luke sprowadził ją z parkietu.

- Luke?

Ucisnął jej dłoń, ale nic nie powiedział, kiedy wychodzili przez przeszklone drzwi na taras sąsiadujący z polem golfowym, gdzie kiedyś grywał Jared - i gdzie tak wiele partii wygrywał.

Powietrze było chłodne, ale nie zimne, a rozgwieżdżone niebo przeczyło prognozom zapowiadającym na następny wieczór atak burzy śnieżnej w okolicach Chicago.

- O co chodzi, Luke? Co się stało?

- Muszę ci coś powiedzieć. Nie miałem zamiaru mówić ci tego dziś wieczorem. Nie chciałem ci psuć zabawy. Ale to chyba właściwy moment. Posłuchaj i zastanów się nad tym, kiedy będę w Kalifornii. Powinnaś o tym pomyśleć, Snow. Poczytać na ten temat. Chcę, żebyś mi obiecała, że powiesz mi szczerze o tym, czego się dowiesz i co w związku z tym będziesz do mnie czuła.

Kocham cię. Tego nic nie może zmienić, pomyślała.

- Obiecuję. Ale mów szybko, Luke. Zaczynam się bać.

- Dobrze. Pamiętasz, co czytałaś na temat uciekających z domu nastolatek?

- Tak. Myślałam, że kiedyś moja matka mogła być wykorzystywana i że to dlatego została... Ale po co ty mnie o to pytasz?

- Bo po tym, co mi powiedziałaś, ja też sobie trochę poczytałem, nawet całkiem sporo poczytałem. Poprosiłem bibliotekę Quail Ridge o zamówienie książek i artykułów z innych bibliotek. Niewiele to zmieniło. Wszystko, czego chcesz się dowiedzieć na ten temat, jest już w naszej bibliotece.

- Wiem, Luke. Też mi się tak wydaje. Ale nie rozumiem. Znalazłeś coś, co przeoczyłam? I dlaczego z tego powodu miałabym... zmienić zdanie na twój temat? Mojej matki nikt nie molestował.

- Nie. Jej nie.
- O co więc chodzi?
- Twoja matka nie była molestowana seksualnie, Snow. Ale ja tak.
- Co?! Och, Luke. Luke. Twój ojciec?
- Mój ojciec.
- Nienawidzę go.
- Ja też. - Luke roześmiał się gorzkim, pozbawionym radości śmiechem. - Tej nocy, kiedy zginął, postanowiłem zapomnieć na zawsze, co mi kiedyś robił. Ale chyba zawsze wiedziałem, że to się nie uda. To, co przeczytałem, potwierdza to, co myślę. Nawet się nie zdziwiłem. Ta groźba, ten strach, to część mojego życia odkąd skończyłem trzy lata.

- Trzy?!
- Mogło się zacząć jeszcze wcześniej, ale to są moje pierwsze wspomnienia. Byliśmy w Disneylandzie. Taka rodzinna wycieczka z okazji moich trzecich urodzin.

- Nie wiem, co powiedzieć. Poza tym że cieszę się, że on nie żyje.
- Nie mów nic. Nie mów nawet tego. Po prostu posłuchaj i zastanów się nad tym... Zastanów się nade mną.

- Ale to nie ma nic wspólnego z tobą!
- Coś jednak ma. To określa, kim jestem, Snow. Kim się mogę stać. Książki dość jasno mówią, kim często zostają chłopcy, którzy byli w dzieciństwie wykorzystywani seksualnie.

Mężczyznami, którzy stosują przemoc i zadają te same cierpienia, które znosili jako niewinne dzieci, innym niewinnym dzieciom.

Luke nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby kogoś skrzywdzić tak, jak sam został skrzywdzony - że kiedykolwiek umyślnie kogoś zrani. Czuł tę przemoc w sobie jako chłopiec - gniew na to, co robił mu Jared, i frustrację spowodowaną własną bezradnością i niemocą. Kiedy gniew domagał się jakiegoś ujścia, rzucał śniegiem, podciągał się na gałęzi. Ten gniew nie umarł razem z Jaredem. Towarzyszył mu w pływaniu - dzień po dniu, basen po basenie - i zaprowadził go z powrotem do Snow... A ona powinna poczytać sobie o chłopakach, takich jak on, i sama zdecydować, jakim mężczyzną, jej zdaniem, stanie się Luke.

Dzięki niej ten chłopak, który nigdy nie był dzieckiem, ośmielił się marzyć. Miał marzenia, dla niej i dla siebie, jeśli tylko ona będzie w niego wierzyła po tym, czego musi się dowiedzieć na jego temat.

- To dlatego matka mnie porzuciła. Weszła do mojego pokoju, zobaczyła, co on mi robił, co my robiliśmy, i uciekła.

- Wyjechała, kiedy miałeś pięć lat. Nie mogła uważać, że ty chcesz być przez niego molestowany. Nie mogła winić ciebie.

- Nie wiem, co myślała. Wiem tylko, że mnie z nim zostawiła, wiedząc, co on ze mną robił. Może zdała sobie sprawę, że tylko w taki sposób zdoła się od niego uwolnić. Jestem pewien, że już od jakiegoś czasu chciała odejść. Wiedziała, że on się spotyka z innymi kobietami. Śmiał się, kiedy żądała, żeby przestał. Gdyby zabrała mnie ze sobą, pewnie próbowałby nas ścigać. Ale gdyby mnie zostawiła...

- Chcesz powiedzieć, że cię poświęciła?

- Czasem tak myślę. - Luke głęboko wciągnął w płuca chłodne nocne powietrze. - Chodzi o to, że za jedno można mnie obwinąć.

- Nie!

- Wysłuchaj mnie, Snow. Proszę. Zanim się urodziłem, on nigdy nie molestował dzieci. Nie było żadnych innych ofiar, oprócz mnie. Poza mną interesował się wyłącznie dorosłymi kobietami.

- Skąd wiesz?

- Bo mi to mówił. Wiele razy. Do szału go doprowadzało, że mnie pożąda. Nienawidził tego pożądanego, nienawidził mnie, a przede wszystkim nie mógł się pogodzić z tym, że nie może przestać.

- To dlatego chciał cię zabić.

- Być może. A może dlatego, że zaczynałem dorastać. Jego ataki na mnie nie słabły w miarę, jak rosłem. Ale coraz rzadziej napastował mnie dla... seksu. Chłopiec, którego pożądał, zaczynał znikać. Chyba robiłem się niepotrzebny. I potencjalnie niebezpieczny. Tej nocy, kiedy zginął, groziłem, że doniosę na niego na policję. Śmiał się. Całe miasto uważało mnie za kłamcę. Już on o to zadbał. Ale i tak postanowił pozbyć się jedyne go świadka perwersji, której nienawidził, ale której nie umiał sobie odmówić...

- Cieszę się, że on nie żyje. A jeśli chodzi o to, co w związku z tym do ciebie czuję...

- Zastanów się nad tym, Snow. Poczytaj na ten temat. Dowiedz się, co to znaczy.

- Nie muszę!

- Tak trzeba. To tak, jakby brakowało mi różnych fragmentów. Ważnych fragmentów. Czuję, gdzie one powinny być, czuję te puste miejsca, które wypełniłem gniewem. Nie wiem, czym są te brakujące fragmenty, ani jak je odnaleźć, ani nawet czy one w ogóle dadzą się uzupełnić.

- Uważasz, że powinieneś z kimś o tym porozmawiać?

Rozmawiam z kimś, Snow. Rozmawiam z tobą, pomyślał.

- Uważam, że całkiem dużo wiem na ten temat.
- Ja wiem. Ale... Och! - Dotknęła swojego podbrzusza. - Och.
- Co się stało?
- Luke... - szepnęła. - Dotknij tutaj.

Dotknął i nie poczuł nic - a jednocześnie poczuł wszystko, poczuł kragłość pod swoimi dłońmi, poczuł jak te puste miejsca w jego duszy nagle się wypełniają.

Te miejsca, które zaczynały się wypełniać, zanim jeszcze westchnęła. Bał się przyznać do tego molestowania, bał się, że przestanie na niego patrzeć jak na znanego sobie Luke'a, że zacznie patrzeć jak na chłopca, którego Jared zmuszał do seksu. Skoro już raz te groteskowe obrazy pojawiają się w jej wyobraźni, czy będzie mogła jeszcze na niego patrzeć tak, jak przedtem?

Tak, uspokajała go, zanim jeszcze skończył swoje zwierzenia.

Ten lęk brał się z brakującego fragmentu duszy, który teraz w sobie odnalazł. Zaufanie.

Ona ufała jemu, a on jej. We wszystkim. Włącznie z...

- Jesteś w ciąży?
- Tak. Chciałam ci powiedzieć. Tylko że... Tyle miałeś na głowie. Tyle, pomyślał Luke. Swoje życie. Ciebie.
- Przepraszam.
- Nic się nie stało. Mam wrażenie, że ona chciała, żebym poczekała i powiedziała ci dopiero dziś wieczorem. Dlatego poruszyła się po raz pierwszy dopiero przed chwilą. To takie uczucie, jakby pływała, Luke, i odbiła się nogami od ścianki, zupełnie jak ty w basenie. Och, znów to zrobiła. Czujesz?
- Nie. - Nie czuję jej. A tak bardzo chciałbym poczuć. - Nadal kopie?
- Nie. Przestała. Pewnie teraz macha nóżkami w wodzie.
- Ona?
- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że to dziewczynka, czuję, że to dziewczynka. Czuję, wydaje mi się, że to będzie Wendy.
- Wendy - szepnął Luke. Nasza Wendy.

Jakiś głos dobiegł na taras, drgnęli wyrwani ze swojego świata - ale nikt nie chciał im zakłócać rozmowy. To lider orkiestry zapowiadał ostatni taniec przed przerwą o jedenastej.

- Musimy już iść.
- Za chwilę - powiedział Luke. - Wyjdiesz za mnie?

- Wyjść za ciebie? - W jej oczach zabłysła zgoda. Ale... - Nie musisz tego robić. Mogę sama się nią zająć.

- To także moje dziecko. Moja Wendy. Chcę się zajmować i nią, i tobą.

Właśnie o tym marzył. Właśnie to chciał zrobić, jeśli ona nie przestanie w niego wierzyć, kiedy już dowie się prawdy o Jaredzie. Jeśli Snow marzy o tym samym, to on pojedzie na jeden z wielu mieszczących się niezbyt daleko uniwersytetów. Już złożył podania, nie informując nikogo z Liceum Larkena, o stypendia naukowe, nie sportowe. Będzie pływał tylko do końca tego roku szkolnego. Musi, bo taki jest warunek zwolnienia z poprawczaka. I ze względu na trenera, i kolegów z drużyny, postara się osiągać jak najlepsze wyniki.

A potem już nigdy nie będzie musiał pływać. Poczekaj, aż Snow skończy Liceum Larken, a potem zaczniesz studia na jakimś świetnym uniwersytecie. Wtedy się do niej przeniesiesz, a potem, pewnego dnia, się pobiorą.

Teraz marzenie samo się spełniało.

Snow nie martwiła się, że Luke stanie się złym mężczyzną. Ale czymś się jednak martwiła, pomyślała. O niego. O jego przyszłość, która rysowała się lepiej, niż mógł to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Pobiorą się już teraz. On i Noah zajmą się Wendy, kiedy Snow będzie chodziła do szkoły. On znajdzie pracę. Kilka prac. Utrzyma rodzinę - swojąrodzinę! I zarobi wystarczająco dużo, żeby starczyło na studia i dla jego błyskotliwej żony, i dla ich małej.

- Poradzimy sobie - powiedział. - Wszystko sobie jutro obmyślimy. Dla nas trojga, Snow. Dla ciebie, dla mnie i dla Wendy.

- Och, Luke.

Przysunęła się do niego, ale on cofnął się o krok.

A potem klęknął przed nią na jedno kolano i wzięła ją za rękę.

- Snow Ashley Gable, czy wyjdiesz za mnie za męża?

- Tak, Lukasiu Kilcannon. Wyjdę. Wyjdę.

- W dzień walentynek?

- Tak, Luke. Och, tak.

Pociągnęła go za rękę. Ale Luke Kilcannon, przyszły pan młody, nie wstał.

Luke Kilcannon, przyszły ojciec, miał jeszcze coś do zrobienia.

Czule, z miłością, ucałował brzuch Snow tam, gdzie spała mała Wendy.

Snow obudziła się z przeczuciem jakiegoś nieszczęścia tego poranka, który powinien być najszczęśliwszy w jej życiu. Przecież Luke chciał się z nią ożenić. W jej brzuchu spała jego córeczka.

Była siódma rano, minęło osiem godzin, odkąd poczuła jej pierwszy ruch, który po paru chwilach ustał.

Wendy nadal spała. Pewnie jej się coś śniło. Albo, jeśli nie spała, poruszała się tak delikatnie, że Snow nic nie czuła.

Wszystko jest w porządku.

Nie ma się czego bać, czeka ją mnóstwo radości, której może niecierpliwie wyczekiwać.

Żadnego powodu, żeby ją ogarniało takie przeczucie straty.

Ale Snow nie mogła otrząsnąć się z lęku. Zastanawiała się nawet, czy nie obudzić Leigh. Muszę z tobą porozmawiać. Raz w życiu - moim i twoim - potrzebuję cię, mamó.

Macierzyństwo nie było dla Leigh tak łatwą rolą jak ta, w którą się wcielała, wkładając sukienkę od drogiego projektanta. Poza tym, o wpół do dwunastej, kiedy Luke odwiózł Snow, żeby zdażyć jeszcze do siebie na dwunastą, Leigh jeszcze nie wróciła w domu. O drugiej, kiedy Snow wreszcie odpłynęła w sen, wciąż jej nie było.

Odpłynęła w sen. Zaledwie parę godzin temu.

Teraz ogarnął ją strach.

Kiedy o dziesiątej zadzwonił telefon, Snow rzuciła się podnieść słuchawkę, modląc się w duchu.

Niech Luke'owi nic nie będzie. Proszę. Niech się nie okaże, że on i Noah mieli wypadek samochodowy po drodze na lotnisko O'Hare. Niech się okaże, że ich samolot wylądował bezpiecznie w Los Angeles. To na pewno Luke dzwoni z LA, wyczuł, że go potrzebuję - chociaż, żeby oszczędzać pieniądze na nasze wspólne życie, zgodziliśmy się, że nie będzie dzwonił przed wieczorem we wtorek.

- Halo?

- Snow? Tu Vivian.

- Vivian.

- Przychodzisz na śniadanie dobrych chrzestnych wrózek?

Snow zupełnie zapomniała o tym śniadaniu po Balu Szklanego Pantofelka - pierwszej okazji, przy której świeżo upieczone Kopciuszki będą mogły zaprezentować swoje breloczki.

Gdzie w ogóle podział się jej breloczek? Zadała sobie to pytanie z nagłym przestraszeniem, a potem poczuła ulgę. Oddała przewiązany

wstążeczką karnet Luke'owi, żeby schował go bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni swojego wypożyczonego smokingu. Bert wiedział, że mistrz pływakki z Liceum Larkena o świcie leci do Los Angeles, i powiedział, że Luke może zatrzymać smoking, bez żadnych dodatkowych opłat, do swojego powrotu.

- Snow?
- Och, ja... Nie, nie przyjdę.

Bo Luke pewnie zadzwoni, pomyślała. Na pewno wyczuje, jak bardzo jest mi potrzebny, jak bardzo obie z Wendy go potrzebujemy. I na pewno przypomni sobie, czego wczoraj nie powiedział, czego żadne z nich nie powiedziało. Słów "kocham cię" - wtedy to wydawało się zbędne.

Snow nagle się przeraziła. Jeśli Luke nie zadzwoni, nie wyczuje tej mojej potrzeby, to będzie znaczyło, że nas nie kocha.

- Musimy porozmawiać.
- Przepraszam cię, Vivian, ale czekam na jeszcze jeden telefon.
- Od Luke'a?
- Skąd wiedziałaś?
- To o Luke'u chcę z tobą pogadać.
- Czy coś mu się stało?
- Ty mi to powiedz, Snow.
- Nie rozumiem?
- Będę pod twoim domem za dwadzieścia minut.

Na rozmowę Vivian wybrała parcelę na Meadow View Drive, gdzie piętrowy dom Kilcannonów spłonął do fundamentów. Nowy dom, parterowy bungalow, czekał na nabywcę już od czternastu miesięcy. W zeszłym tygodniu w poprzek znaku „Na sprzedaż” przyklejono pasek z napisem: „Sprzedane przez Koenig & Strey”.

Vivian zaciągnęła ręczny hamulec srebrnego bmw i wręczyła Snow grubą kopertę.

- Co to jest?
- Starczy z okładem, żebyś mogła podjąć właściwą decyzję.
- Nie rozumiem.
- Oczywiście, że rozumiesz.
- Nie, nie rozumiem! Co to ma wspólnego z Lukiem?
- Wszystko. - Westchnienie Vivian wyraźnie zdradzało niezadowolenie, że musi tłumaczyć rzeczy oczywiste. - Wiem o dziecku, Snow.
- Skąd wiesz?

- Zaufaj mi, nie masz ochoty tego wiedzieć. Po prostu weź pieniądze i zrób, co trzeba.

- Ale ja chcę wiedzieć, Vivian. Muszę. Proszę.

- Och, na litość boską! Dobrze. Chyba mogę się spóźnić parę minut na to śniadanie. Luke odwiózł cię wczoraj, a potem wrócił na bal, żeby się ze mną zobaczyć.

- Miał wracać do Noaha. Kiedy wyszedł ode mnie, zostało mu już tylko pół godziny do północy.

- Ten głupi zakaz? Chyba nie wierzysz, że wyrzuciliby go z reprezentacji za taki drobiazg. Poza tym dostał pozwolenie od trenera. Wszyscy wiedzą, że Bal Szklanego Pantofelka nie kończy się przed pierwszą. Trener zgodził się zrobić dla was wyjątek, nie wiedząc, że Luke nie miał najmniejszego zamiaru zostawać z tobą po północy, skoro wierzył, że może ten czas spędzić ze mną. Zapewniam cię, Snow, nie miałam pojęcia, co planuje Luke, chociaż pewnie powinnam się tego domyślić. Powinnam chociaż podejrzewać, że Luke może chcieć skorzystać z okazji, że mój chłopak jest poza miastem. Harrison poleciał do LA wczoraj z resztą drużyny, a ja odgrywałam tutaj dobrą chrzestną wróżkę. Luke chciał znów zostać moim wymarzonym księciem. Oczywiście, to szaleństwo. Luke wie, że jestem z Harrisonem. Powtarzałam mu to tysiące razy, odkąd zerwałam z nim jesienią. Ale nadzieja umiera ostatnia, prawda? Za każdym razem, kiedy tłumaczyłam Luke'owi, że między nami koniec, on mi powtarzał, że mnie kocha. I właśnie to mi powiedział wczoraj w nocy. Podzielił się też ze mną tymi złymi nowinami. Mówię o dziecku.

Złymi nowinami? O Wendy?

- Luke chce tego dziecka.

- Nie, to nieprawda. Jeszcze nigdy nie widziałam tak zrozpaczonego człowieka jak Luke, kiedy mi o tym mówił. To wyznanie nie przyszło mu łatwo. Czuł się tak, jakby mnie zdradził, będąc z tobą. Powtarzał, jak bardzo żałuje, że to nie ja jestem w ciąży. Ja, Snow, nie ty. Przykro mi. Szorstko to brzmi, prawda? Ale wiesz co? Jestem zła, że mu to zrobiłaś, że go chciałaś w taki sposób usidlić.

- Wcale tego nie chciałam!

- Och, przestań. W dzisiejszych czasach nikt nie zachodzi w ciążę przypadkiem, a już akurat ty doskonale powinnaś wiedzieć, jak jej zapobiegać.

Akurat ja?

- Wiesz, o czym mówię. Naprawdę, Snow, nie próbuj mnie nabierać na te minki niewiniątka. Wiesz, czym się zajmuje twoja matka. Kim

jest. Kurwą z Quail Ridge. Luke zawsze ci współczuł. Litował się nad tobą. A teraz ty go wyrolowałaś. Jaka matka, taka córka. Twoja matka ma przynajmniej tyle klasy, że nie zachodzi w ciążę. O, w głowie mi się nie mieści, że właśnie użyłam słów Leigh Gable i klasa w jednym zdaniu. - Vivian z niesmakiem pokręciła głową. - Pamiętam, oburzałam się kiedyś, że żona nie powinna tolerować romansów męża. Ale kiedy zerwałam z Lukiem, potrzebna mi byłaś po to samo, po co żonom z Quail Ridge potrzebna jest twoja matka - żeby świadczyć usługi seksualne, kiedy one same nie mogą lub nie mają ochoty na takie rzeczy.

- Potrzebowałaś mnie?

Do czegoś takiego?

- Tak. Już wcześniej wiedziałam, że w maturalnej klasie będę chodziła z Harrisonem. Harrison chciał, żebym powiedziała o tym Luke'owi, zanim zacznie się szkoła. Ale ja sobie pomyślałam, że dla Luke'a okaże się lepsze, że to wzmocni jego pozycję w szkole, jeśli przez jakiś tydzień ludzie będą nas widywać razem. Chciałam pokazać im, że naprawdę warto mieć takiego chłopaka. Lubię Luke'a i podziwiam za to, co zdołał osiągnąć. I nigdy nie zapomnę tego seksownego, romantycznego lata, które spędziliśmy ze sobą. Miałam pewność, że Luke nie będzie chciał chodzić z żadną z moich przyjaciółek. Za bardzo by go bolała taka bliskość ze mną. Ale wiedziałam, że znajdzie się wiele dziewczyn, które z radością pomogą mu oderwać się od myśli o naszym zerwaniu - zwłaszcza, kiedy się zorientują, jak świetnie się z nim bawiłam. Dzięki tobie mogłam z nim zerwać już pierwszego dnia szkoły. Zjawiłaś się, cała nim zauroczona. Wydawało mi się to idealnym rozwiązaniem. Uwielbiałaś go wtedy, kiedy tego uwielbienia potrzebował, i tak jak twoja matka, chciałaś zaspokajać go seksualnie, kiedy był na głodzie po tym świetnym seksie ze mną. Przekonywałam go, żeby się tobą zajął. Zakładałam, że niczym mu to nie grozi. Nie miałam pojęcia, że twoja obsesja na jego punkcie sięgnie takich rozmiarów, że z premedytacją zajdziesz w ciążę.

- Nie zrobiłam tego!

- Oczywiście, że zrobiłaś. Obwiniam siebie za to, co się stało, za to, że zrujnowałaś mu życie. Bo zrujnowałaś je, wiesz. I nie mówię tylko o tym, że zostanie ojcem w chwili, kiedy to jest ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę - zwłaszcza że chodzi o twoje dziecko. Myślisz, że jakkolwiek w miarę przyzwoita uczelnia da mu stypendium, kiedy dowiedzą się, że zapłodnił piętnastolatkę?

- Ja...

- No i jeszcze jest sprawa więzienia.

- Węzienia?!

- To się nazywa uwiedzenie nieletniej, Snow. Nie udawaj, że o tym nie słyszałaś. I mimo że jest to niesprawiedliwe, są w tym mieście ludzie, którzy wierzą, że Luke zamordował swojego ojca. To im da - ty im to dasz - świetną okazję wysłania Luke'a tam, gdzie, ich zdaniem, jest jego miejsce. Znam nawet jedną zdradzaną żonę, która jest tak wściekła na twoją matkę, że z radością zrani ją i ciebie, raniąc Luke'a. Zrobię, co się da, żeby matka Lacey, albo sama Lacey, nie zadzwoniła na policję. Ale nie gwarantuję, że mi się uda. Twoja matka zniszczyła małżeństwo pani Flynn i rodzinę Lacey.

Snow zdusiła okrzyk bólu, jeszcze silniejszego niż emocjonalna szarpanina, którą właśnie przeżywała. Ten nagły ból skurczem przejmował to samo miejsce, gdzie jeszcze godzinę przed północą trzepotała radość.

Snow wzięła kilka głębokich wdechów i ból powoli zelżał.

- Możesz jeszcze zwrócić Luke'owi życie, które próbowałaś mu odebrać, Snow. Dlatego tu jestem. Błagam cię, zrób to. Ja nie jestem w nim zakochana. Teraz, kiedy jestem z Harrisonem, zaczynam rozumieć, że nigdy nie byłam. Ale troszczę się o przyszłość Luke'a - dla niego, nie dla siebie. I wierz mi, Snow, zmuszając go, żeby zrezygnował ze wszystkiego, żeby spędzić życie z tobą i swoim niechcianym dzieckiem, raczej nie zapewnisz mu szczęścia.

- A jak miałabym zwrócić Luke'owi życie?

- Przyjmując te pieniądze i robiąc, co trzeba.

Co trzeba, powtórzyła machinalnie w myślach. Skurcz powrócił, jeszcze silniejszy.

- Mam usunąć ciążę? Zabić Wendy? O tym mówisz? Twoim zdaniem to Luke'a uszczęśliwi? Powiedział ci, że chce, żebym to zrobiła?

Vivian się zawahała.

- Nie. Tego mi nie powiedział. Gotowy jest wziąć wszelką odpowiedzialność za popełniony błąd. Ale on wolałby, żeby ta ciąża nigdy się nie zdarzyła... Żeby nie istniała. Bardzo trudno mu było przyznać się do tego nawet przede mną i na pewno nigdy by czegoś takiego tobie nie powiedział. On nie ma pojęcia, że ja postanowiłam z tobą porozmawiać i byłby wściekły, gdyby się dowiedział. Planuje zrobić dla ciebie i dziecka to, co mu nakazuje honor. Luke ciebie lubi. Jest mu ciebie żal. I, pomimo tego, co mu zrobiłaś, nie chce ranić twoich uczuć. Ale zastanów się, jak będziesz się czuła za dwadzieścia lat, jeśli odkryjesz, że przez ten cały czas

Luke ciebie nie chciał, że się nad tobą litował. Niech to zostanie między nami, Snow. Obie troszczymy się o Luke'a. Obie chcemy dla niego jak najlepiej. Nieprawdaż?

Oddychała głęboko. Ból znów zaczął ustępować.

- Tak, ale...

- Weź te pieniądze. Zrób, co należy. Tego, co jest w kopercie starczy, żebyś mogła wyjechać z Quail Ridge, znaleźć jakiś dom opieki dla samotnych matek i oddać dziecko do adopcji, kiedy już się urodzi. Jesteś bystra, Snow. Możesz zwrócić Luke'owi jego życie i sobie też zapewnić jakąś przeszłość.

Snow wyobrażała sobie to trzepotanie... Wendy, pływająca tak jak Luke.

Ale już go nie czuła.

- Muszę już iść.

- Weź pieniądze, Snow. Proszę.

- Nie potrzebuję ich - powiedziała, otwierając drzwi samochodu.

Wendy i ja poradzimy sobie same.

Snow patrzyła za szybko odjeżdżającą Vivian. Wiele minut później, spoglądała na dom po przeciwnej stronie ulicy. Jeśli nawet pani Evans była u siebie w ten niedzielny poranek, to nie wyglądała przez okno.

Snow mogłaby do niej zajrzeć i wyjaśnić, jak strasznie się kiedyś wstydziła, że Luke nie chciał przyjmować jej listów po wszystkim, co pani Evans zrobiła, żeby pomóc je wysłać i dlatego nie chciała już się z nią spotykać, kiedy skończyła podstawówkę w Pinewood. Teraz wraca, po tym, jak znów źle sobie wytłumaczyła uczucia Luke'a. Tym razem dał jej odrobinę wzajemności. Tyle, żeby zaszła w ciążę. Pamiętała smutek pani Evans, kiedy ta opowiadała o dzieciach, których nie mogła mieć. Snow zastanawiała się, czy pani Evans nie zechciałaby teraz adoptować dziecka, którego nie chciał Luke.

Snow uwierzyła w każde słowo Vivian. Te słowa wyjaśniały lęk Snow i to, że Luke wczoraj nie powiedział, że ją kocha, ani dzisiaj nie wyczuł, że ona i Wendy aż tak bardzo go potrzebują.

Ale gdzieś w podświadomości tkwiło wspomnienie uśmiechu Luke'a, kiedy mu powiedziała, że za niego wyjdzie. Zamiast zastukać do drzwi pani Evans, Snow ruszyła drogą, którą tak często chodził Luke, z Meadow View Drive do lasu, gdzie zawarli serdeczną przyjaźń i przymierze krwi, i gdzie tamtego jesiennego popołudnia stworzyli nowe życie.

Vivian powiedziała jej, że Luke nie miał pojęcia, że ona chce porozmawiać ze Snow, że ten plan, tak samo jak pieniądze w kopercie, był wyłącznie jej pomysłem.

To nieprawda. Pieniądze przeznaczone na ucieczkę Luke'a zniknęły. Szklany słoje został opróżniony ze wszystkich monet i banknotów. Kiedy więc Luke pocałował ją w brzuch, pocałował Wendy, żegnał się. Żegnaj, mała Wendy. Kochałbym cię, chciałbym cię, gdybyś była dzieckiem Vivian, nie Snow. Być może, kiedy zabierał te pieniądze, chciał prosić Vivian, żeby razem z nim wyjechała z Quail Ridge. Kiedy się nie zgodziła, wpadł na ten pomysł, który Vivian dzisiaj wprowadziła w życie. Miała udawać, że działa z własnej inicjatywy. W ten sposób, gdyby Snow nie zgodziła się zrobić tego, co „należy” - zmuszając Luke'a, żeby dotrzymał obietnicy małżeństwa i zajął się ich dzieckiem - Snow nigdy się nie dowie, jak bardzo chciał, żeby mu nie rujnowała życia.

Luke powiedział jej, że te pieniądze w szklanym słoju należą do niej. W razie, gdyby ich kiedyś potrzebowała.

Snow nie przyszła tu dzisiaj, żeby ich szukać. Po prostu wyjęła słoje ze schowka jak zawsze, kiedy chciała poczuć się blisko Luke'a, a jego w pobliżu nie było.

Ale musiał tu przyjść wcześniej. Ostatniej nocy. Chociaż słoje został opróżniony ze wszystkich z monet i banknotów, nie był jednak zupełnie pusty. W środku leżał jej balowy karnecik, a przy nim, jak świetlik, jaśniał breloczek...

Baśń przekręcona na opak. Książę uciekł od Kopciuszka. I żeby zdusić wszelkie fantazje, jakie mogłaby snuć na jego temat - że on poświęci całe życie, szukając stopy, na którą będzie pasował zgubiony szklany pantofelek - zostawił go dla niej.

Snow zadygotała, wyjmując breloczek ze słoja. Tak bardzo zmarzła.

Wendy też marzła. I to coraz bardziej.

Snow rzuciła się biegiem, potykając się tak, jak tego odległego bożonarodzeniowego dnia. Wtedy biegła w stronę skrzywdzonego stworzenia. W stronę Luke'a. W stronę miłości.

Teraz to ona była skrzywdzonym stworzeniem, które uciekało z wąwozu. Ale dokąd?

Rozdział 7

**Niedziela, 15 stycznia
szesnaście lat temu, 14.00**

W pierwszej chwili, gdy Snow stanęła w progu salonu w ich domu na Dogwood Lane, ogarnęła ją radość.

Matka postanowiła więc wydać dla niej przyjęcie - przyjęcie dla przyszej panny młodej! Tak pomyślała na widok licznych, ładnie zapakowanych pudełek. Wszystkie były do siebie podobne, miały kształt i rozmiar cegły.

Czyli uciekała tylko po to, żeby trafić tutaj, na przyjęcie-niespodziankę, które Leigh, specjalistka od ślubów i wesel, zorganizowała dla niej. Vivian na pewno odgrywała jakąś rolę w tych przygotowaniach. Miała odciągnąć Snow od domu, kiedy będą się zjeżdżały uczestniczki przyjęcia.

Snow niemal usłyszała głos jednej z zaproszonych dziewczyn, Lacey Flynn: Mój Boże! Co ta Vivian ci naopowiadała? Cokolwiek to było, podziękowało. Ale masz minę!

Lacey zaprzeczy słowom Vivian, jakoby niedługo szykowałam się rozwód spowodowany romansiem jej ojca z Leigh. Żartujesz sobie? Nasze matki to bliskie przyjaciółki. Moja mama jest zachwycona tym, że twoja mama chętnie daje ojcu z seksualnego menu to, czego ona sama za nic w świecie by nie zrobiła.

Ulga Snow, ta jej fantazja, nie trwała długo. Ubrania Leigh nie leżałyby porozrzucane wszędzie, gdyby szykowało się tu przyjęcie dla przyszej panny młodej. A sterta bagażu, z metkami wciąż jeszcze przyczepionymi do walizek, nie piętrzyłaby się obok telewizora. I nie byłoby tych dodatkowych walizek, otwartych na podłodze i czekających na zapakowanie.

Leigh właśnie się pakowała - ale dlaczego?! Teraz odezwał się jej telefon. Wchodząc do salonu, Snow zobaczyła matkę w głębi jadalni. Odbierając telefon, usiadła przy stole, plecami do Snow.

A może to ona do kogoś dzwoniła? Leigh, mówiąc, spoglądała na kartkę, jak aktorka odczytująca tekst ze scenariusza.

Nad głową Leigh wił się dym z papierosa, a Snow dostrzegła, że mówiąc, matka sięga po puszkę piwa, ostatnią z sześciopaka.

Snow nie musiała wsłuchiwać się w ten przygotowany z góry dialog, żeby zrozumieć, że ich życie w Quail Ridge dobiegło końca. Czy Lacey Flynn, albo jej matka, już zawiadomiły policję, czemu Vivian chciała zapobiec? Czy Luke Kilcannon zostanie niedługo oskarżony o uwiedzenie nieletniej?

Jeśli tak, to Leigh zareagowała z wielką wyrozumiałością. Zamiast pozwolić, żeby Luke poszedł do więzienia, a Snow na całe lata pograżyła się w wyrzutach sumienia, matka zamierzała wywieźć z Quail Ridge jedyny dowód, jakim mogłaby dysponować policja - swoją niepełnoletnią córkę.

A więc naprawdę miały wyjechać. Ale słuchając słów Leigh, Snow poznała kolejny, zaskakujący powód ich ucieczki.

- Przez wszystkie te lata był w śpiączce. Jest w Kalifornii, w domu swoich rodziców, ma całodobową pielęgniarską opiekę opłaconą przez zamożną rodzinę tej dziewczynki, której uratował życie. Był przez jakiś czas z nami, w Atlancie, ale z jego rodzicami zdecydowaliśmy, że będzie lepiej dla Snow, jeśli uwierzy, że on nie żyje. Teraz, po tych wszystkich latach, zaczął się ze śpiączki wybudzać. Nie mam pojęcia, co dalej. Nikt tego nie wie. Lekarze nie są w stanie stwierdzić, czy on z tego naprawdę wyjdzie, ani jak wiele będzie pamiętał, kiedy się na dobre obudzi. Ale Snow i ja musimy być przy nim. Chcemy tam być. I nieważne, co się dalej zdarzy, tu już nie wrócimy. Wyjeżdżamy dziś wieczorem, lecimy samolotem, zanim zacznie się ta burza śnieżna. Biegam tu po domu, żeby się przygotować do podróży, ale chciałam jeszcze zadzwonić i dać ci znać. Bardzo miło spędziliśmy razem czas. Wiesz, że dobrze to wspominałam. Tak... Dziękuję ci... Do widzenia.

Nie zdając sobie sprawy z powrotu Snow do domu, Leigh zaczęła wystukiwać kolejny numer.

- On żyje?

Leigh odłożyła słuchawkę i długo się zaciagała papierosem.

- Twój ojciec? Och, tak. Żyje, skurwysyn, jak najbardziej. - Okręciła się na krześle, zwracając do córki twarzą. Na linii szczęki miała ciemne sińce. Symetryczne sińce, po obu stronach, jakby ktoś ścisnął jej twarz imadłem i puścił dopiero wtedy, gdy kości groziły połamaniem. Wyraz twarzy Leigh potwierdzał, że ktoś ją wręcz próbował torturować. - Niestety, nie leży w śpiączce w Kalifornii ani nigdzie indziej. A szkoda. Co się z tobą dzieje? Wyglądasz tak okropnie, jak ja się czuję.

Snow prawie nie zwróciła uwagi na to, że Leigh dopiero teraz dostrzegła wyraz cierpienia na jej twarzy.

- Gdzie on jest?
- O wiele za blisko dla naszego bezpieczeństwa. - Leigh dotknęła szczęki. - Jak sama widzisz.
- On ci to zrobił?
- Tak. - Leigh skrzywiła się, lekko dotykając sińca. - On. Usiłował mnie przekonać do swoich planów. Bydlak.
- Kim on jest?
- Nikim. Nigdy go nie poznasz, a on się nigdy nie dowie, że jesteś jego córką. Dlatego dzwonię do różnych ludzi, żeby podtrzymać bajeczkę jakobyś była córką policjanta z Atlanty, za którego wysłałam za męża.
- On jest policjantem?
- Nie.
- Opowiesz mi o nim?

Leigh obrzuciła wzrokiem leżące za plecami Snow otwarte walizki, porozkładane ubrania. Wyczerpywała ją sama perspektywa tego pakowania. Nie spała, wszystko ją bolało. I nie miała już większego wyboru. Może kilka kolejnych papierosów postawi ją na nogi. Nikotyna ją nakręci. I nie zaszkodzi wypić jeszcze jedno czy drugie piwo.

- Jasne. - Odpaliła nowego papierosa od niedopałka i sięgnęła po nowy sześciopak piwa stojący u jej stóp. - Dlaczego nie? Poznaliśmy się trzy miesiące po moim przyjeździe do Chicago. Pracowałam jako striptizerka na wieczorach kawalerskich. Świetna praca. Łatwe pieniądze. Pijani faceci podziwiali moje ciało i rzucali w moją stronę banknoty. Tego pierwszego piątku w czerwcu to byli bogaci pijani faceci. Panna młoda pochodziła z Highland Park, a jej narzeczony i jego kumple z Bostonu. Wszyscy mieli apartamenty w hotelu Drake. Impreza odbywała się w apartamencie pana młodego. Z mojego punktu widzenia była to czysta rutyna i to płatna lepiej niż wszystkie moje poprzednie występy. Niezwykłe wydawało mi się tylko to, że jeden z kumpli pana młodego nie bardzo chciał się bawić. Zachowywał się tak, jakby go to wszystko nudziło. Nawet nie pił. Przez cały wieczór stał, oparty o ścianę, i mnie obserwował. A kiedy wychodziłam, poszedł za mną na korytarz i zapytał, czy nie jestem zainteresowana występem tylko dla niego. Był atrakcyjny, młody, trzeźwy. Jeśli tylko chciał zapłacić, nie miałam nic przeciwko uprawianiu z nim seksu.

- I zapłacił?

- Och, tak. Z mojego punktu widzenia niesamowite pieniądze. Z jego punktu widzenia, drobiazg. Poza tym częstował mnie kokainą, warta chyba fortunę. To była istna kokainowa burza śnieżna. - Leigh przerwała, jak-

by czekając na jakąś reakcję Snow. Kiedy córka się nie odezwała, zaczęła mówić dalej: - Lepszej kokainy nie dałoby się kupić za pieniądze. Ja nigdy przedtem nie zażywałam kokainy. Później też nie.

- Nie spodobało ci się?

- Na początku, owszem. Może zresztą w ogóle mi się podobało. Nie pamiętam. Właśnie dlatego nigdy więcej jej nie wzięłam. Nie lubię, kiedy nie pamiętam, co robiłam. Nie jestem nawet pewna, czy naprawdę tak bywa po kokainie. Zastanawiałam się, czy przy okazji nie było tam jeszcze jakichś innych narkotyków.

- Czy stało się coś złego?

Poza tym, że zaszłaś w ciążę ze mną?

- Do wczoraj wieczorem powiedziałabym, że nie, chociaż to, co potem robiłam, świadczyło o czymś przeciwnym. Parę dni po tamtym wieczorze kawalerskim rzuciłam pracę striptizerki, przeniosłam się do innego pensjonatu i wybrałam swój pierwszy pseudonim z *Przeminęło z wiatrem*. Musiałam chyba przeczuwać, że ten człowiek jest niebezpieczny, że może okazać się bardzo niebezpieczny. Nie bił mnie wtedy, ale jakoś wiedziałam, do czego może być zdolny, zwłaszcza, jeśli ktoś mu się sprzeciwi.

Leigh uniosła bluzkę, obnażając posiniaczone żebra.

- Poznaj swojego ojca, Snow. Bardziej się już do niego nie zbliżysz. Wyjeżdżamy stąd. Zamówiłam z Main Street Luggage tyle walizek, że starczy dla nas dwóch. Limuzyna przyjedzie o szóstej. Zdecydujemy, jaki lot wybrać, kiedy już znajdziemy się na lotnisku. Dziś chodzi tylko o to, żeby wieczorem być gdziekolwiek poza Chicago.

- A więc on teraz mieszka w Chicago. Nie w Bostonie.

- Tak. Nie wiedziałam o tym, ale mieszka tu już od jakiegoś czasu. Zresztą nawet gdybym chciała, nie mogłabym się tego dowiedzieć. Do wczoraj nie znałam jego nazwiska. Ale oto znaleźliśmy się na tym samym przyjęciu.

- I wściekł się, widząc cię w towarzystwie innego mężczyzny.

- Nie widział mnie w towarzystwie żadnego innego mężczyzny. Greg Flynn chciał, żebym przyszła na to przyjęcie, chociaż on szedł tam z żoną. Ale to bez znaczenia, czy byłabym tam z kimś, a nawet gdybym była mężatką. Twój ojciec - może po prostu mówmy o nim ten psychopata - też by się zachował tak, jakbym była jego własnością. - Leigh zdusiła niedopałek, zapominając zapalić następnego papierosa. - Jakiś miesiąc po naszej wspólnej nocy przyjechał z Bostonu, szukał mnie.

Oczywiście, striptizerka, którą znał jako Candy - czyli ja -już zniknęła. Kiedy mi opowiadał o tym wczoraj wieczorem, był wściekły. Jakbym nie miała prawa zniknąć mu z oczu, ani wtedy, ani teraz.

- A teraz cię znalazł.

- Jeszcze nie ma mojego zastrzeżonego numeru ani naszego adresu. Ale znajdzie je. Ja nie chcę mieć z nim nic do czynienia. Dlatego musimy wyjechać.

- Dlatego ty musisz wyjechać.

- Uważam, że obie powinnyśmy.

- Powiedziałaś, że on nie wie, że jestem jego córką.

- Nie wie. Powiedziałam mu, że tydzień po tym wieczorze kawalerskim przeniosłam się do Atlanty i że wysłałam za mąż za policjanta, a rok później urodziłam dziecko.

- Czyja go przypominam?

- Zupełnie nie. Nie jesteś zresztą podobna do żadnego z nas.

- Mogę więc zostać.

- Mogłabyś, i prawdopodobnie nic by się nie stało. Ale jest jeszcze coś, Snow. Coś, co szesnaście lat temu kazało mi zadbać o to, żeby on już nigdy nie mógł mnie znaleźć. Kiedy go wczoraj wieczorem zobaczyłam, w pierwszym odruchu chciałam uciec przed nim. Ukryć się przed nim. Niestety, zdążył mnie zauważyć. - Leigh pokręciła głową. - Nie mam pojęcia, co zaszło tamtej nocy po kokainie. Zastanawiam się, czy tu chodzi o coś, co on mi wtedy powiedział? Tak musiało być. Kiedy znów usłyszałam jego głos... Krew mi zastygła w żyłach. Naprawdę. Cała zlodowaciałam. Nawet gdybym jakimś sposobem mogła sobie przypomnieć, co on mi wtedy powiedział, nie chcę tego wiedzieć. Wiem, że to niebezpieczny człowiek i tyle. Powinnyśmy się pakować.

- Musiałaś być zmartwiona, kiedy się dowiedziałaś, że jesteś w ciąży ze mną.

- Co?

- Byłaś zmartwiona?

Lekki uśmiech Leigh uniósł sińce po obu stronach jej twarzy.

- Potwornie zmartwiona. Co za idiotka, żeby uprawiać seks bez zabezpieczenia.

- Myślałaś o tym, żeby usunąć ciążę?

- Nie.

- A żeby mnie oddać do adopcji?

- Skąd ci się biorą te pytania? Nie.

- Dlaczego nie?
- Po prostu nigdy o tym nie pomyślałam.
- Przecież nie mogłaś chcieć tego dziecka. Wychowałaś się w rodzinie, gdzie było za wiele dzieci do wykarmienia.
- Masz rację. Nigdy czegoś takiego nie chciałam. No ale stało się. Byłam w ciąży. - Leigh nie wzruszyła ramionami. Powstrzymała ją obojętne żebra. - Po prostu tak już było.

- Ja muszę zostać w Quail Ridge - powiedziała Snow.

Leigh nie odpowiedziała od razu. Nie planowała ani nie chciała zostawić Snow w Quail Ridge. Ale... - Jesteś prawie w tym samym wieku, w którym byłam, kiedy zaczęłam samodzielne życie. Chyba możesz zostać, jeśli tego chcesz. Ale pamiętaj, ja mam znakomity instynkt, jeśli chodzi o mężczyzn. A zwłaszcza złych mężczyzn. Wiedziałam, że trzeba uciekać przed twoim ojcem. Miałam też sto procent racji co do Jareda Kilcannona - i, chyba także, co do Luke'a.

- Nie. Luke nie jest taki jak jego ojciec.

- Dlaczego więc masz taką minę, jakbyś właśnie straciła jedynego przyjaciela? Jeśli chcesz zostać w Quail Ridge ze względu na Luke'a, Snow, to ja cię proszę, nie rób tego.

To była dobra rada. Vivian byłaby nią zachwycona. A Luke? Czy on też? Tak. Luke przede wszystkim. Wszystko jej to mówiło - począwszy od przerażenia, jakie ją ogarnęło, a skończywszy na rewelacjach Vivian i opróżnionym szklanym słoju. Ale Snow nie zamierzała wyjeżdżać, dopóki nie usłyszy prawdy z jego własnych ust... Kiedy do niej zadzwoni, tak jak obiecał, we wtorek wieczorem.

- Nie mogę wyjechać.

- A ja muszę - odparła Leigh. - Już zostawiłam wiadomość agentce od wynajmu, będziesz więc musiała dać jej znać, że zostajesz. Czynnosc jest opłacony do końca miesiąca, a w kopercie, którą zostawiłam na blacie w kuchni, jest dość pieniędzy na pokrycie pozostałych rachunków. Powiedziałam agentce, żeby resztę zatrzymała i żeby wzięła, co zechce, z tych rzeczy, które zostawimy, a resztę przeznaczyła na jakieś cele charytatywne. Możesz jej powiedzieć, żeby wzięła sobie moje ubrania, jeśli sama nie będziesz ich chciała.

- Dobrze.

- A skoro mowa o gotówce, nie będziesz musiała rozbierać się na wieczorach kawalerskich, żeby zarobić na życie. Widzisz te pudełka? W każdym jest dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w studolarowych banknotach.

Ten papier do pakowania ślubnych prezentów jest przyjemny w dotyku, prawda? - Wskazała dłonią pudełka. - Bierz.

- Może wezmę trochę pieniędzy z jednego. Ale nigdy nie będę potrzebowała aż dwudziestu pięciu tysięcy.

- Nigdy nie mów nigdy, Snow. I wiesz co? Chyba zostawię ci wszystkie pudełka poza jednym. Potrzebuję trochę gotówki na podróż. A kiedy już gdzieś osiadę, skorzystam z pieniędzy, które zdeponowałam w różnych bankach po całym kraju.

- Nie mogę przyjąć więcej niż jedno pudełko, a co dopiero...

- Oczywiście, że możesz! Tylko dzięki tobie przeżyłam, zanim jeszcze zostałam moją współniczką w tym interesie, który prowadziłam w Quail Ridge, a przecież stąd się wzięły wszystkie te pieniądze.

- Naprawdę?

- Zdecydowanie. Po tamtej przygodzie z psychopatą byłam naprawdę w złym stanie. Wtedy mi się wydawało, że to przez narkotyki. Teraz sądzę, że chodzi o to, czego w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Ja naprawdę zaczynałam myśleć o samobójstwie - wcale cię nie nabieram - dopóki się nie przekonałam, że jestem w ciąży. Ta ciąża, ty sama, dałaś mi powód do życia. A skoro nie mogłam zarabiać ciałem w czasie ciąży, odkryłam, jakie możliwości zarobku daje sekstelefon. A kiedy zdecydowałam się na samodzielną działalność w Quail Ridge, pomogłaś mi doszlifować słownik i maniery damy z Południa.

- Ale...

- Do diabła, Snow, byłaś moim najważniejszym atutem. Uwiarygodniłaś historyjkę o wdowie z Atlanty. Przy okazji, wszyscy nadal wierzą w tę historię. Mężczyźni, którzy dali mi te wszystkie studolarówki, są przekonani, że musiałam zwrócić się do nich o pomoc, bo nie wypalił mój pomysł z organizowaniem przyjęć ślubnych. Te pieniądze należą do ciebie. Jeśli nie wierzysz, że już na nie zapracowałaś, to możesz zarobić je teraz. Pomóż mi się pakować...

Leigh nie powiedziała Snow, dokąd się wybiera. Sama tego nie wiedziała. A kiedy już gdzieś osiadzie, nie będzie do Snow dzwoniła. Wyjaśniła, że nie może ryzykować, że mężczyzna, przed którym ucieka, trafi przez Snow na jej ślad.

Leigh chciała zadzwonić do niego z lotniska. Opowie mu tę samą co swoim płatnym klientom historię o cudownym przebudzeniu ze śpiączki w Kalifornii. I powie mu, tak jak wszystkim, że nigdy już tu nie wróci.

- Nie wspomnę, że zabieram cię ze sobą- powiedziała Leigh, czekając na przyjazd limuzyny. - Im mniej o tobie wie, tym lepiej. Trzeba unikać niepotrzebnych kłamstw. On założy, że jesteś ze mną. Jutro rano firma telekomunikacyjna odłącza moją linię telefoniczną. Jeśli telefon zadzwoni dziś wieczorem, nie odbieraj. Jeżeli ja będę chciała przekazać ci jakąś wiadomość, zadzwonię na twoją linię. Wątpię, żeby on miał tu dzwonić, tym bardziej wątpię, żeby tu przychodził. Ale jeśli przyjdzie tu mnie szukać, Snow, jeśli ktoś będzie mnie szukał, ktokolwiek i kiedykolwiek, mów, że nie wiesz, dokąd pojechałam i że nie sądzisz, żebym miała się jeszcze z tobą kiedyś skontaktować. Bo to prawda. Tak musi być. Tak będzie bezpieczniej dla nas obu. Dobrze?

- Dobrze.

- I w przyszłości, jeśli będziesz musiała podawać swoją datę urodzenia, mów, że to lipiec albo sierpień, nie luty.

Pierwsze płatki śniegu zaczęły padać godzinę po odjeździe Leigh.

Przed dziesiątą lotnisko zamknięto.

Snow była pewna, że jej podobnej do Scarlett O'Hary matce udało się wydostać z miasta. Leigh była twarda, a jutro będzie kolejny dzień.

Na zewnątrz rozszalała się burza śnieżna, a Snow musiała stawić czoło własnej, wewnętrznej burzy.

Według słów Leigh, została poczęta w czasie kokainowej śnieżnej burzy - w slangu na kokę mówiło się „śnieg”.

Czy Leigh wybrała imię dla córki, kierując się okrucieństwem? Czy jako przestrozę i nauczkę dla samej siebie? Tego Snow nigdy się nie dowie. Wybrała więc własną wersję. Będzie wierzyła, że Leigh wymyśliła tę piękną bajkę - o kochaniu się ze swoim mężem policjantem w czasie, kiedy szalała śnieżycą - żeby bajka pasowała do tego, co zawsze wydawało jej się pięknym imieniem... Jak gdyby kiedyś Leigh wyobrażała sobie również szczęśliwe zakończenia bajek.

Jaka matka, taka córka.

Luke od początku wiedział, że romantyczna wersja historii, którą Snow opowiada o swoim imieniu, nie może być prawdą. Pytał ją, czy rodzice podróżowali gdzieś, zanim się urodziła, i czy jej matka kiedyś zażywała narkotyki. Ośmioletnia Snow nie wiedziała, że od „zrobienia” dziecka do jego narodzin mija dziewięć miesięcy. Ale Luke to wiedział. Dziecko urodzone w dzień walentynek nie mogło zostać poczęte w Chicago

w czasie burzy śnieżnej, chyba że chodziło o ten śnieg, który zażywała jej matka pewnej piątkowej czerwcowej nocy.

I tak to się zaczęło. Litość Luke'a do niej.

Czy zwierzył się Vivian z prawdy o jej imieniu?

Nie. Vivian bez wahania wykorzystałaby tę historię. Jak masz zamiar wyjaśnić swojemu dziecku, zapytałaby ostro, że twoja matka prostytutka nazwała cię jak narkotyk?

Tym bardziej, powiedziałyby, powinnaś zrobić, co trzeba.

Dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Snow po raz pierwszy poczuła ruch Wendy, poczuła ten ruch po raz ostatni.

Tym razem trzepotanie było dość gwałtowne i towarzyszyła mu krew. I stan tak odległy od radości, że Snow zastanawiała się, czy to, co poczuła poprzedniej nocy, to w ogóle było kopnięcie jej dziecka.

Czy Wendy kiedykolwiek radośnie poruszyła się w jej brzuchu?

I kiedy, och kiedy, umarła?

Być może ta śmierć nastąpiła w chwili, w której Luke całował ją na pożegnanie.

Albo wtedy, kiedy spieszył się, żeby być z Vivian - o północy - na balu.

Albo kiedy zwierzał się Vivian, że wolałby, żeby to było jej dziecko.

Albo kiedy dawał Vivian pieniądze wyjęte ze słoja i błagał ją, żeby uprosiła Snow, aby ta zrobiła to, co będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych - poza jego niechcianą córeczką.

Trochę to potrwało, zanim w oceanie krwi - wśród wysp łożyska - Snow znalazła na posadzce łazienki swoje dziecko. Jakże małe była ta mała pływaczka. I wcale nie przypominała wesołej syrenki, którą wyobrażała sobie Snow, dokazującej w morzu płynu owodniowego, przepływającej basen za basenem, jak jej tata - który wcale jej nie chciał.

Była o wiele za mała, za słabo rozwinięta, żeby poruszać ramionkami i młócić wodę nóżkami.

Ale to była ona. To była Wendy.

Jak umarła? Dlaczego?

Może z tego samego powodu co Snow, która czuła, że właśnie umiera. Bo miała złamane serce.

Snow trzymała swoją córeczkę, przytulała ją, szeptała do niej, składając mocno spóźnione obietnice.

Będziesz przy mnie bezpieczna. Zawsze o to zadbam.

Jakimś odległym zakamarkiem umysłu Snow rozumiała, że dzieje się z nią coś niedobrego. Nie myślała jasno. Trudno jej było myśleć. Poruszała się też zupełnie tak, jak jej myśli, w zwolnionym tempie.

Ale po co miała się spieszyć?

Mogła tak trzymać Wendy zawsze, zawsze już ją tak kołysać.

A jeśli Wendy nie chce, żeby kołysała ją matka, która nie umiała zadbać o jej bezpieczeństwo? A jeśli to przerażenie, ogarniające Snow, było przerażeniem Wendy - bo Wendy odkryła, że macica, która powinna ją chronić, jest uszkodzona - może przez tę śnieżną burzę kokainy, w środku której sama Snow została poczęta?

Kiedy już w raz w rozstrojonym umyśle Snow zadomowiła się myśl, że nie umiała zadbać o bezpieczeństwo Wendy, zaczęła obsesyjnie się zastanawiać, gdzie znaleźć takie miejsce, w którym jej dziecko mogłoby zasnąć spokojnie na wieki.

Cmentarz byłby takim miejscem. Snow wiele razy przyjrzała się tej myśli - badała ją godzinami - zanim spojrzała na listę cmentarzy w książce telefonicznej Quail Ridge. Było ich kilka. Zastanawiała się, czy jest wśród nich taki, którego nazwa spodobałaby się Wendy? I jak te cmentarze wyglądają?

Jaki widok wolałaby Wendy?

I jak Snow ma o tym zdecydować?

A jeśli wybierze źle?

Musiałyby obejrzeć wszystkie te cmentarze i wszystkie dostępne miejsca, zanim mogłaby podjąć taką decyzję. Ona i Wendy obejrzają razem. Najlepiej najpierw zadzwonić i umówić się na jakiś termin.

Kiedy podniosła słuchawkę telefonu, linia okazała się głucha. Tak samo wtedy, kiedy ją odłożyła i podniosła znowu. I znowu.

Wreszcie dotarło do niej, że korzysta z telefonu Leigh. Przecież został odłączony.

Ale linia Snow też nie działała.

Przez burzę śnieżną.

Może obdzwonić cmentarze później. Albo wcale. Cmentarze mogą nie chcieć przyjąć Wendy. Jest za mała. Snow zastanawiała się, gdzie pani Evans chowała swoje niedonoszone dzieci. Znowu sięgnęła do telefonu, zanim sobie przypomniała, że nie działa.

Nie mogła zadzwonić do pani Evans. Mogła jednak przejść te cztery długie przecznice w śnieżnej zadymce. Przytuli Wendy do siebie i ochroni ją przed zimnem.

Na koniec zdecydowała, że nie pójdzie do pani Evans. Być może pani Evans nie przeszukiwała strzępów tkanki i kałuż krwi po utracie dzieci. Może roniła w szpitalu albo nawet w domu, ale nie mogąc na to wszystko patrzeć, pozbywała się śladów.

Poza tym, jako mama Wendy, Snow sama powinna znaleźć dla niej miejsce spoczynku.

Oczywiście, miejsce to samo się narzucało.

Wendy spocznie w lesie, w którym została poczęta.

- Cichutko jak myszki pójdziemy i zbudujemy mały śliczny domek dla małej Wendy.

Snow powtarzała to zdanie jak mantrę, szukając po całym domu odpowiedniej trumienki, w której mogłaby złożyć Wendy.

Pomyślała o jednym z opakowanych w papier na ślubne prezenty pudełek Leigh. Mogła wyjąć z niego pieniądze i znaleźć jakąś ładną bibułkę albo miękką apaszkę. To pudełko będzie dla Wendy aż za wielkie, wręcz posiadłość zamiast maleńkiego domku.

Nie, i tak byłoby za małe. Musiało się w nim przecież znaleźć miejsce na pierwsze i ostatnie ubranko Wendy - sukienkę, którą Snow nosiła na Balu Szklanego Pantofelka. Tę decyzję Snow podjęła natychmiast. Wendy będzie szczęśliwa w swojej puchatej, różowej chmurce.

Niepewność wróciła, kiedy Snow zaczęła owijać Wendy sukienką. Składała tę sukienkę i wciąż rozkładała ją na nowo. Chciała, żeby Wendy otaczało piękno, i chciała mieć pewność, że jedwab, tak przecież miękki, ułoży się wygodnie.

Rozmyślając o balowej sukience, przypomniała sobie coś jeszcze. Breloczek Kopciuszka - pantofelek z szafirami, który należało wsunąć między fałdy jedwabiu. Jej córeczka mogłaby któregoś dnia zamarzyć o tańcach. A co powiedziała kiedyś Vivian - Vivian Luke'a - o breloczkach i marzeniach? Snow nie mogła sobie przypomnieć. Ale żeby tańczyć, i może żeby spokojnie śnić, Wendy musi mieć przy sobie ten talizman, który leżał przez parę chwil w kieszeni smokingu Luke'a, tuż przy jego sercu.

Snow zaczęła od nowa rozwijać i składać sukienkę.

A kiedy stwierdziła, że jeden z kufereków na kosmetyki z Main Street Luggage nadawałby się świetnie na domek dla sukni, breloczka i Wendy, zaczęła jeszcze raz.

Kiedy już włożyła do środka jego ceną zawartość, kuferek okazał się idealny.

Ale pojawiły się nowe zmartwienia.

Czy ma go zamknąć na kluczyk? Wendy powinna czuć się bezpiecznie. A jeśli któregoś dnia będzie chciała się stamtąd wydostać?

Zrodzona w jakimś odległym zakamarku myśl przedarła się do świadomości Snow. Straciła poczucie czasu, nic nie jadła, nie spała - i zaczynały ją ogarniać szalone myśli.

Odsunęła od siebie tę iskierkę rozsądku.

Kuferek na kosmetyki miał dwa klucze. Snow jeden włożyła do środka, żeby Wendy mogła z niego skorzystać, jeśli zechce. A żeby ją ochronić przed tymi, którzy chcieliby z zewnątrz zakłócić jej sen, zamknęła kuferek drugim kluczem.

Potem przyszedł czas, żeby zanieść Wendy do lasu.

Snow zabrała więc z garażu małą łopatę i poszła dobrze znaną sobie drogą. Śnieżycą trochę się uspokoiła, chociaż zanosіło się na następną. Spadło już tyle śniegu, że brnęła po uda.

Ale Wendy będzie ciepło na tej polance, na której kochali się z Luke'em. Ciepło, pomimo przemarzniętej ziemi.

Snow kopała przez wiele godzin, zanim uznała, że grób dla Wendy jest już gotowy. Potem złożyła kuferek ze swoim dzieckiem w tym miejscu ostatniego spoczynku.

- Kocham cię, moja Wendy. Zawsze cię będę kochała. Proszę, bądź szczęśliwa. Proszę. Tańcz sobie, moja słodka dziewczynko. I śnij.

Dłońmi zasypała dół, nabierając nimi ziemię garść po garści, tak jak tamtego dnia Bożego Narodzenia Luke garść po garści brał w dłonie śnieg.

Pracowała rytmicznie. Metodycznie.

Śnieg też nagarnęła, żeby zakryć zasypany ziemią grób. I jak matka otulająca kołderką układane do snu dziecko, wygładziła śnieg z wierzchu, żeby puchowa kołderka leżała gładko.

- Tu Snow. Proszę powiedz Luke'owi, że miałam poronienie. Razem z matką wyjeżdżam z Quail Ridge i już tu nie wrócę. Dziękuję.

Kwadrans po tym, jak zostawiła wiadomość na sekretarce Vivian, telefon Snow się odezwał.

- Halo?

- Nareszcie. - Głos, w którym zabrzmiała ulga, ucichł. - Snow? Tu Luke.

- Tak. Wiem.

- Dzwonię od trzech dni.
- Trzech dni.
- I nocy. Od ósmej, twojego czasu, w niedzielę wieczorem.
- Byłam tutaj.
- Ale telefony nie działały. Ani w Quail Ridge, ani w całym Chicago. Nic ci nie jest?
- Nic. Słyszałeś o dziecku?
- Ale o co chodzi?
- Słyszałeś, co spotkało Wendy?
- Nie. Skąd miałem słyszeć. Snow, co się dzieje? Masz taki głos...
- Ona umarła.
- Umarła?
- Tak. Wendy umarła.
- Nie rozumiem. Snow, mów coś do mnie. Proszę. Co się dzieje?
- Miałam poronienie. Nie umiałam jej uratować.
- To nie twoja wina.
- Teraz możesz żyć własnym życiem.
- Co?!
- Nie musisz zajmować się Wendy i mną.
- Ale ja chcę.
- Muszę już jechać.
- Jechać? Dokąd?
- Nie jestem pewna. Nie, zaraz. Do Kalifornii.
- Do mnie.
- Do mojej matki. Mój ojciec żyje.
- On żyje?
- Tak. Żyje i jest niebezpieczny. Wiedziałeś o tym, prawda?
- O tym, że twój ojciec żyje?
- I że jest niebezpieczny.
- Snow, ty mówisz o moim ojcu. A on już nie żyje. Zapomniałaś?
- Oczywiście, że nie. I nie mówię o nim.
- Dobrze, więc opowiedz mi o swoim ojcu.
- To już nieważne. Ale wiedziałeś o moim imieniu, prawda? O tym, że moim imieniem nazywa się kokainę.
- Nie byłem pewien.
- No cóż, miałeś rację. Muszę jechać.
- Dokąd?
- Nie wiem. Po prostu muszę...

- Zaczekaj, Snow. Proszę! Posłuchaj mnie. Jesteś bardzo smutna. Słyszę to. Mnie też jest bardzo smutno. Powinniśmy przeżywać ten smutek razem. Prawda?

- Mógłbyś się smucić z...

- Z kim?

- Z kimkolwiek.

- Ale chcę być smutny z tobą. Dobrze? Wróć do domu jak najszybciej.

- Musisz pływać.

- Muszę być przy tobie. Będę przy tobie. Podobno rano znów otworzą O'Hare. Złapię pierwszy wylatujący samolot. Będę przy tobie jutro po południu. Dobrze?

- To już nieważne.

- Owszem, ważne. Obiecuj mi, Snow, obiecuj mi, że zaczekasz na mnie. Obiecuj, że nigdzie nie wyjedziesz, dopóki nie uda nam się porozmawiać w cztery oczy.

- Możesz tam zostać do końca mityngu.

- Ale będziesz tu, kiedy wrócę?

- Tak.

- Obiecujesz? Snow?

- Tak.

- Gdzie jest twoja matka?

- Już wyjechała.

- Może zadzwoń do pani Evans.

- Po co?

- Żeby dotrzymała ci towarzystwa, póki nie przyjadę.

- Już dzwoniłam do Vivian.

- Do Vivian?

- Tak.

- I zgodziła się zająć tobą?

- Właśnie zostawiłam jej wiadomość. Może nawet teraz próbuje się dodzwonić. Muszę już kończyć.

- Zaczekaj, Snow. Przerażasz mnie.

- Przerażam?

- Mówisz jakoś... inaczej.

- Jestem zmęczona.

- I smutna.

- Smutna. - Snow powtórzyła to ostatnie słowo, jakby go nie rozumiała.

- Niedługo do ciebie wrócę. Poradzimy sobie razem z tym smutkiem. Obiecuję.

Żeby dotrzymać tej obietnicy, Luke Kilcannon poruszyłby niebo i ziemię. Rzeczywiście, znalazł się na pokładzie pierwszego lotu z LAX do O'Hare.

Ale Luke nie mógł tej obietnicy spełnić sam.

Snow musiała dotrzymać swojej części.

Nie dotrzymała jej.

W godzinę po jego telefonie wyjechała z Quail Ridge.

Rozdział 8

Bal Jesiennego Księżycza

hotel Wind Chimes

sobota, 29 października, 19.00

Po powrocie do Quail Ridge, po studiach i szkole weterynaryjnej, Mira odkryła coś, czego sama nigdy by się nie domyśliła i co jej zdaniem na pewno strasznie rozżłościłoby jej siostrę. Ciagle ją przez pomyłkę - z odległości - brano za Vivian.

Mira była od Vivian o piętnaście centymetrów wyższa. Smukła, ale nie filigranowa. I nie wydawała się sama sobie po prostu rozciągniętą jak guma wersją siostry -jakaś powiększoną Vivian.

Włosy wprawdzie miała mniej więcej tak samo długie i obie zwykle zbierały je w kucyk albo upinały. Ale włosy Miry były kasztanowate, nie ciemnobrunatne, a oczy miały inny odcień zieleni.

Z odległości to wszystko było chyba nieważne - tak samo jak to, że Mira stale nosiła dżinsy, a Vivian za nic w świecie nie pokazałaby się w czymś tańszym niż St John... Albo że makijaż dla Miry znaczył małżnięcie szminką tu i odrobinę tuszu tam, a Vivian zawsze malowała się perfekcyjnie i pamiętała o podkładzie.

O wszystkim decydowały najwyraźniej kości Larkenów - infrastruktura, na której zawilości DNA i życia warstwami zbudowały dwie zupełnie różne twarze.

Ale z daleka wszyscy widzieli tylko te arystokratyczne kości.

Mira nie miała pojęcia, czy Vivian kiedyś zdarzyło się usłyszeć z drugiego końca parkingu okrzyk: "Mira!", a po nim dobre nowiny, że Mindy, Księżniczka czy Trufelek bardzo szybko dochodzą do siebie po kłopotach, które stały się powodem ich ostatniej wizyty w klinice weterynaryjnej.

Jeżeli tak, to podobne sytuacje musiały być rzadkie. Z dwóch siostr, o wiele lepiej znano Vivian. To Mira wiecznie musiała zapewniać zażenowanych znajomych Vivian, że chociaż z bliska to się wydaje takie dziwne, ludzie bez przerwy je myślą.

Kiedy z Blaine'em szli do Sali Balowej Stardust, Mira powiedziała mu, że na pewno zdarzą im się takie niezręczne pomyłki.

- Więcej niż zwykle - stwierdziła - skoro jestem tak ubrana i będę się kręcić z tobą w tłumie, który spodziewa się Vivian.

- Tak zwane błędy podstawowe?

- Miliony. Sam się przekonasz.

Przekonał się, i to natychmiast, pomyślała Mira z rozbawieniem, ale bez irytacji czy zdziwienia.

Mimo to po trzecim w ciągu trzech minut: „Vivian! Och...”, stwierdziła:

- Pofruwam teraz solo.

- Tracę kolejną partnerkę do tańca?

- Vivian by mnie zabiła, gdybym z tobą zatańczyła.

- Tak?

- Ona świetnie tańczy, przecież wiesz. A ja... Nie. Zobaczywszy nas z daleka, wszyscy jej znajomi pomyślą, że Vivian upiła się w sztok, i że jest tak pijana, że lepiej do nas nie podchodzić; a poza tym nigdy by się nie połapali w swojej pomyłce. Nie mogę zrobić tego Vivian. Ani tobie. - Chodziło też o coś innego. Mira na samą myśl o tańcu ze swoim szwagrem czuła zażenowanie. Zupełnie jak na myśl o dostarczeniu mu spisanych słowo w słowo obscenicznych telefonów, które odbierała. Nie jakieś rozpaczliwe zażenowanie, stwierdziła. Nie ma tu żadnego głęboko zakorzonego psychologicznego „problemu”, który powinna zgłębić. Ale zawsze to powód, kolejny powód, żeby uwolnić się od Blaine'a.

- Kiedy będziesz chciał wyjść, znajdziesz mnie, pytając wszystko jedno kogo, gdzie po raz ostatni widział twoją żonę.

Mira pomachała mu na pożegnanie, a Blaine z grzecznym uśmiechem witał już jakiegoś kolegę z pracy.

Kierując się znakami, ruszyła do salonu obok sali balowej, gdzie trwała aukcja.

Najnowszą ofertę na każdy z licytowanych przedmiotów wyświetlano na elektronicznej tablicy. Aby przebić tę ofertę, trzeba było dać znać jednemu z pięciorga licytatorów - wszyscy oni pracowali w biurze zbierania funduszy dla szpitala Grace Memorial.

Obecna oferta za półtorej godziny na antenie ze Snow Gable wynosiła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Gwiazdka obok znaczyła, że oferty trzeba składać na piśmie, warunek, z którym Mira się liczyła. Ale nie chciała proponować więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy, zresztą i tak wpadła na inny pomysł. Lepszy pomysł, myślała - dopóki nie dowiedziała się o niechęci Vivian do Snow. Jeżeli ta niechęć jest odwzajemniona, Snow może nie mieć ochoty na spotkanie z kimś o nazwisku Larken.

- Witam - pozdrowiła uśmiechniętą licytatorkę. - Chciałabym złożyć ofertę.

- Świetnie - odparła kobieta. - Potrzebne mi będzie pani nazwisko, adres i numer telefonu.

- Miranda Larken.

- Larken?

Snow może mieć problem z tym nazwiskiem. Licytorka problemu nie miała.

- Tak. Jestem weterynarzem w Quail Ridge. - Mira podała jej wizytówkę, jaką sobie zaprojektowała w Internecie, efekt wspólnych wysiłków jej i Bei. Niebieski napis obok ściągniętego z sieci obrazka dwóch złotych szczeniąt przytulających się do kociaka.

- Śliczne.

- Dziękuję.

- Którym przedmiotem jest pani zainteresowana?

- Chciałam zaproponować nową ofertę. Zapłacę piętnaście tysięcy dolarów za spotkanie ze Snow Gable poza programem radiowym. Nigdy się nie poznałyśmy, chociaż obie jesteśmy z Quail Ridge. Mam nadzieję, że pozwoli mi się zaprosić na lunch. Nie jestem szalona, przysięgam. Ani nie prześladuję sławnych ludzi.

- Jestem pewna, że nie!

- Dziękuję. Możemy się spotkać w miejscu, które sama wybierze. Ma pracować w Towers. Możemy się spotkać tam. Albo tutaj, jeżeli będzie wolała, w restauracji hotelowej.

- Albo w jednym z tych uroczych bistro w Quail Ridge.

- Gdziekolwiek. - Jeśli akurat Luke ani Vivian nie wpadną tam przypadkiem. Albo któraś z licznych przyjaciółek Vivian. Myśląc Mirę

z Vivian, zbiegną się do stolika - a ponieważ wiedzą o Vivian więcej niż Mira, zobaczą, że je lunch z największym wrogiem Vivian, Snow. Lunch w Quail Ridge to nie był dobry pomysł. Ale, żeby nie rzucać licytatorce kłód pod nogi, Mira powiedziała: - Zgodzę się na każde miejsce, które wybierze Snow. To samo dotyczy daty.

- To bardzo szczerza oferta, doktor Larken, zwłaszcza że ona na pewno i tak bardzo się ucieszy, mogąc panią poznać.

- Wszyscy jesteśmy tu po to, żeby zebrać pieniądze dla szpitala.

- Tak, to prawda. A z tego, co mi wiadomo, pani Gable też bardzo chciałyby nam w tym pomóc. Może dopiero w połowie tygodnia uda mi się oddzwonić do pani w tej sprawie. Pani Gable miała przyjechać do Chicago dziesięć dni temu, dziewiętnastego. Ale z przyczyn niezależnych od niej nie dała rady. Dopiero wczoraj późnym wieczorem albo dziś nad ranem miała wreszcie tu dojechać. Być może jest na balu. Miała się o to postarać. Chyba najlepiej będzie odłożyć rozmowę na ten temat, dopóki nie zadomowi się już w WCHM.

- Tu jesteś!

Snow uśmiechnęła się, słysząc entuzjastyczne powitanie, które padło z ust Helen Wong, producentki z WCHM odpowiedzialnej za *Godzinę Kopciuszka*. Poznały się, kiedy Snow przyleciała do miasta na spotkanie ze swoimi przyszłymi współpracownikami - i żeby znaleźć jakieś mieszkanie - a od tego czasu wymieniały e-maile i rozmawiały często przez telefon.

Snow cieszyła się na myśl o współpracy z Helen. Miło też było zostać tak ciepło powitaną zaledwie parę sekund po tym, jak w pantoflach na wysokich obcasach wkroczyła na reprezentacyjne piętro hotelu.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniłaś się. Cudownie, że w ogóle mogłaś się pokazać. O której wreszcie tu dotarłaś?

- Koło piątej dziś rano. Ale nic nie szkodzi. Tylko mogę nie dotrzeć do północy.

- Nie ma problemu. Przed chwilą wpadłam na doktora Prescotta. To ten psychiatra, z którym kontaktowałam się w sprawie depresji poporodowej. Chyba ci wspominałam, że pracowałam z nim kiedyś i że tym razem chyba uda nam się go namówić. Umie przybliżyć medyczne informacje słuchaczom laikom, a poza tym jest znanym w kraju autorytetem w sprawach psychicznego zdrowia kobiet.

- Kobiet?
- Zna się na wszystkich działach psychiatrii. Ale jego główny obszar zainteresowań to psychiczne zdrowie kobiet. Uważa, że to odrębna dziedzina. Wzajemne relacje naszych hormonów z neuroprzekaźnikami, takimi jak serotonina, to procesy jedyne w swoim rodzaju, twierdzi, i powinno się je właśnie tak traktować. Bardzo chętnie wystąpi w *Godzinie Kopciuszka* i jest do dyspozycji od jedenastej trzydzięci pierwszego.
- Listopada?
- Tak. W ten wtorek.
- Możemy więc to wtedy zrobić? - spytała Snow.
- Możemy. Po twoim wczorajszym telefonie rozmawiałam z gościem, którego umówiliśmy wcześniej. Chętnie zgodził się przełożyć występ.
- Dziękuję, że to załatwiłaś.
- Nie ma za co! Zresztą, to moja praca. Blaine bardzo chce cię poznać. I, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, omówić jego występ w programie.
- Jak to, dziś wieczorem?
- Tak. Jego żona nie mogła przyjechać na bal. On zjawił się tu tylko dlatego, że jest dyrektorem Grace Memorial; zresztą już niedługo. Bardzo chętnie skorzysta z okazji, żeby usiąść w jakimś spokojnym kąciaku i porozmawiać z tobą, z nami. Chciałabym przy tym być, jeśli się zgodzisz.
- Oczywiście, że tak! I bardzo chętnie omówię z nim program. Kłopot polega na tym, że nie zdążyłam zebrać tylu informacji o depresji poporodowej, ile chciałam mieć przed rozmową z ekspertem.
- Chcesz powiedzieć, że nie przeczytałaś wszystkich dostępnych w sieci artykułów na ten temat...
- Nie przeczytałam żadnych.
- Nie miałaś kiedy. Byłaś zajęta realnymi życiowymi sprawami. Snow, ja znam Blaine'a Prescottta. Nie obrazi się, że nie opanowałaś tematu tak, jak go opanujesz przed programem. A to idealna okazja, żeby z nim porozmawiać.
- Rzeczywiście.
- No to zaczekaj tu. Zaraz go złapię i sobie pogadamy.

Rozdział 9

Mira już spełniła swoją misję na ten wieczór i z największą ochotą wróciłaby do domu. Miała nadzieję, że Blaine w miarę wcześniej się wyrwie.

Na razie nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, a jednocześnie miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują. Nieciekawe połączenie. Oba problemy można było jednak rozwiązać. Znajdzie sobie spokojny kątek, najlepiej gdzieś przy oknie, i stamtąd popatrzy na nadciągającą burzę, i wysili pamięć, szukając brakujących rozdziałów historii Vivian i Luke'a.

Nie oczekiwała, że te wysiłki przyniosą jakieś imponujące rezultaty. Ale nic więcej na razie zrobić nie może. Luke jest nieosiągalny aż do powrotu z okolic powodzi, a Vivian może nigdy nie być szczerą na temat Luke'a i Snow. A przynajmniej nie wobec Miry.

Znalezienie spokojnego kąta powinno być łatwe. Okien tu mnóstwo. I wolnych krzeseł także, które można przy takim oknie ustawić.

Było też sporo ludzi, a wielu z nich zna chyba Vivian. Za nic nie uda jej się przejść od drzwi do okna któregoś salonu bez wyjaśnień typu: „Nie jestem Vivian, lecz jej siostrą”.

Dobrze. Żaden problem.

Podjąć wyzwanie, jak tylko znajdzie jakiś salonik, gdzie zobaczy wolny kąt przy oknie.

I proszę, znalazła. Nie za bardzo zatłoczony, goście - siedzący przy stolikach po czworo - sączyli szampana i rozmawiali przyciszonymi głosami. Podawano też latte.

Idealnie. Nieważne, ile wyjaśnień w rodzaju: „Zabawne, prawda? Vivian i ja wcale nie jesteśmy do siebie zbyt podobne” będzie musiała złożyć po drodze.

Nie mogła przewidzieć, ile takich rozmów ją czeka, póki nie ruszy między stolikami. Właśnie to ją tak irytowało. Wszystkie twarze były obce. Nie mogła z góry przewidzieć, kto z obecnych weźmie ją za Vivian.

A jednak w salonie, w którym chciała usiąść, znalazł się ktoś nie do końca obcy, mężczyzna dobrze znający Vivian... A Mira zorientowała się, że chciałaby, żeby on ją zauważył i uśmiechnął się do niej, nie myśląc jej z nikim innym.

Skąd jej się to wzięło? Przecież spotkała doktora Thomasa Vaila tylko raz i tylko przelotnie.

- To jest Mira - powiedziała Lacey Flynn pół roku temu na ślubie Vivian, w kolejce do składania życzeń. - Siostra Vivian, weterynarz. Miro, to jest doktor Thomas Vail.

Co prawda, Mira już zdążyła sporo o nim wcześniej usłyszeć. Lacey, w typowy dla siebie sposób, mnóstwo opowiadała o lekarzu, z którym się związała mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Blaine i Vivian zakochali się w sobie.

- Ten facet to chodząca recepta na trudny rozwód - odpowiedziała Lacey, zapytana na wieczorze panieńskim o swoje życie uczuciowe. - Chociaż nie jest jeszcze żoną.

Lacey uchodziła za specjalistkę w dziedzinie rozwodów. Była kiedyś świadkiem paskudnego rozwodu własnych rodziców i z tego powodu później została prawnikiem do spraw rozwodowych.

Miała wyrobione zdanie na ten temat. Mąż zawsze jest winny i musi za rozwód zapłacić. Cieszyła się też, że prowadzą z Vivian wspólną praktykę. Bo przecież ktoś musi zajmować się dziećmi rozwodników - i dopilnować ojców rozwodników. Vivian zwykle dążyła do ugody co do wspólnego sprawowania opieki nad dzieckiem. Lacey odnosiła się do tego nieco sceptycznie, chociaż przyznawała, że czasem taka wspólna opieka leży w interesie dziecka.

- Żona Thomasa, którą, tak przy okazji, nie zostanę, będzie dowodziła, że doszło do uczuciowego rozpadu w małżeństwie. Zarzut okaże się nieuzasadniony. Ale kiedy ktoś nie daje żadnych uczuć, nie ma się co rozpadać - ciągnęła Lacey. - Żadnych uczuć, ale wystarczająco dużo intensywnej terapii, żeby cię przekonać, że jesteś najbardziej pożądaną kobietą pod słońcem.

Thomas pracował na oddziale intensywnej terapii szpitala Grace Memorial. Zaczynał kiedyś od chirurgii urazowej, ale doszedł do wniosku, że intensywna terapia stawia przed lekarzem większe wyzwania.

- Dlaczego? - zaciekawiła się Mira.

- Nie wiem, nigdy nie pytałam. Zakładam po prostu, że w większym stopniu wiąże się z kwestiami życia i śmierci niż chirurgia. Człowiek ma pod opieką cały oddział krytycznie chorych pacjentów i przez trzydzieści sześć godzin, bez przerwy, podejmuje jedną decyzję po drugiej. Taki podział pracy ustalili sobie z innymi lekarzami, trzydziestosześciogodzinny dyżur, potem trzy doby przerwy, i znów półtorej doby dyżuru. Thomas mówi, że dla pacjentów najlepiej jest, jeśli jak najdłużej pozostają pod opieką tego samego lekarza.

Inne uczestniczki wieczoru panieńskiego wyrażały się na ten temat sceptycznie. Przecież chyba w całym kraju dąży się teraz do skracania dyżurów lekarzom i praktykantom najwyżej do dwunastu godzin?

Mira nie wtrącała się do dyskusji. Ale jej doświadczenie z pacjentami, tymi czworonożnymi, przekonywało ją, że Thomas ma rację. Zmiany w stanie pacjenta często najpierw są widoczne w jego wyglądzie, zanim jeszcze je potwierdzą wyniki analiz. Jeśli obserwuje się pacjenta i zwraca uwagę na to, co się widzi, można zauważyć polepszenie - albo pogorszenie - zanim da się je w ogóle czymś zmierzyć.

Właśnie dlatego chciała prowadzić tę nową praktykę u siebie w domu. Mogła uważnie obserwować te zwierzęta, które zostawały w przychodni na noc.

Stwierdziła, że już lubi tego Thomasa Vaila. Jako lekarza.

A Thomas Vail jako mężczyzna?

Według Lacey był „wymarzonym” kochankiem. A tak samo jak w przypadku stwierżeń o procesujących się stronach przyszłych rozwodów, Lacey wiedziała, co mówi. Doświadczenie miała rozległe. Jeśli twierdziła, że Thomas jest najlepszy, to na pewno miała rację.

- Ale trzeba by zgłupieć, żeby się w nim zakochać. On się nigdy nie zakocha. Jakaś biedna kobieta któregoś dnia bardzo się natnie... Mam nadzieję, że się połapie, zanim za niego wyjdzie... Albo, co gorsza, urodzi mu dzieci. Naprawdę nie wyobrażam go sobie jako ojca.

Mira nie zastanawiała się zbyt wiele nad poznanym na ślubie Vivian kochankiem Lacey. Gdyby ktoś ją zapytał, co myśli na jego temat, powiedziałaaby, że ze względu na jego pacjentów cieszy się, że tak dobrze o nich dba - i martwi się, że nie rozciąga tej swojej troskliwości na kobiety mniej cwane niż Lacey.

Ale w trakcie tej krótkiej chwili, kiedy ich sobie przedstawiano, poczuła na sobie uważne spojrzenie jego błękitnych oczu...

Chyba nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego. Uczucie to trwało znacznie dłużej niż te trzy sekundy, przez które na siebie patrzyli. Wreszcie, z irytacją, na którą to bardzo przyjemne wrażenie nie zasługiwało, postanowiła o nim zapomnieć.

Sam Thomas też zniknął zaledwie parę chwil po tym, jak się poznali.

Przecież miał nie być pod telefonem, jęknęła Lacey. Właśnie na tym podobno polegały rzekome zalety tego roboczego grafiku. Kiedy pracował, to już pracował. A kiedy miał wolne, jego pager musiał być wyłączony.

To arogancja, stwierdziła Lacey, upierać się, że w razie wątpliwości koledzy powinni do niego dzwonić. Przecież ci inni lekarze z oddziału intensywnej terapii w Grace Memorial nie zostaliby tam zatrudnieni, gdyby nie mieli tak samo wysokich kwalifikacji jak Thomas Vail.

Ale Thomas jednak się przy tym upierał. Od czasu do czasu, włącznie z dniem ślubu Vivian, koledzy korzystali z jego dyspozycyjności. Thomas wyszedł z uroczystości - ale przedtem zdążył wyrzucić na Mirze takie wrażenie, że pół roku później nagle zapragnęła, żeby oderwał wzrok od trzech pięknych kobiet, z którymi siedział przy stoliku, zauważył ją stojącą w wejściu i uśmiechnął się, rozpoznając w niej nie Vivian, ale ją samą.

Nie jestem szalona, zapewniła szpitalną urzędniczkę od funduszy Mira. Ha!

Miała już zamiar zawrócić, zde gustowana samą sobą, kiedy do tego stolika podszedł kelner.

Jedna z kobiet była najwyraźniej w środku jakiejś anegdoty i flirtu z Thomasem. Musiała zauważyć kelnera. Stał obok Thomasa. I cierpliwie czekał.

I wcale nie próbował przerywać.

Mira zawsze przerywała rozmowę, kiedy podchodził kelner czy kelnerka. Tak samo robił Luke. I Bea. Mira nigdy o tym z nimi nie rozmawiała, ale zakładała, że robią to z podobnego powodu. Obsługa wykonuje swoją pracę. Dlaczego miałyby czekać, aż ona skończy to, co ma do powiedzenia?

Ale, tak jak ta kobieta, która flirtowała z Thomasem, nie wszyscy przerywali w takiej sytuacji rozmowę. Rodzice Miry, a już zwłaszcza jej matka, jak najbardziej ciągnęli wątek. Blaine też to robił. A Vivian?

Nie, zdała sobie sprawę Mira. Jej siostra nie kazała czekać kelnerowi.

A Thomas... Thomas uniósł dłoń, przerywając mówiącej kobiecie.

A kiedy podniósł wzrok na kelnera, zauważył stojącą w drzwiach saloniku Mirę.

Zauważyła, że rozpoznał ją dopiero po chwili. Najpierw zmarszczył czoło.

A potem się uśmiechnął.

Mira też się uśmiechnęła. A potem się wycofała.

Rozdział 10

Blaine, Helen i Snow znaleźli stolik w salonie, w którym dla gości bawiących się na balu przygotowano znakomity bufet. Salon nie był jeszcze zatłoczony, wieczór dopiero się zaczynał.

- Panie doktorze, bardzo się cieszę, że zgodził się pan wystąpić w naszym programie.

- Blaine. Mów do mnie po imieniu, Snow, i to ja ci dziękuję. Doceńm każdą okazję podzielenia się swoją wiedzą z ludźmi, którym może się ona przydać. Tak się składa, że podzielałam opinię coraz większej liczby ginekologów, że depresja poporodowa jest jedną z głównych, a może właśnie najważniejszych komplikacji związanych z ciążą. I najrzadziej wykrywaną. Ogromnie się cieszę, że będę mógł porozmawiać o tym z zupełnie dla mnie nową grupą słuchaczy. Kiedy Helen zadzwoniła, powiedziała mojej asystentce, że chcesz poruszyć ten temat jak najszybciej ze względu na kryzysową sytuację, w jakiej znalazła się twoja znajoma z Atlanty.

- Tak.

- Możesz nam o tym opowiedzieć?

- Dobrze. Na imię ma Christine. Jest lekarzem pediatrą i często występowała w *Godzinie Kopciuszka* w ciągu ostatnich siedmiu lat. W przeddzień mojego początkowo planowanego wyjazdu z Atlanty, zorganizowaliśmy sobie w stacji wieczorem takie pożegnalne spotkanie. Mała grupka, pracownicy i kilku stałych gości naszego programu - spośród których najczęstszym gościem była Christine. To fantastyczna osoba. I prywatnie, i na antenie, zawsze chętnie odpowiada na pytania słuchaczy na tematy związane z dziećmi. Zawsze też bardzo otwarcie mówiła o swoim życiu. Po czterech latach prób udało jej się zająć w ciąży. Tak bardzo się cieszyła. Dla niej i dla męża, który jest pilotem cywilnym, była to wielka radość.

Blaine i Helen nic nie powiedzieli, kiedy Snow przerwała, aby zacerpnąć tchu.

- Dziecko, zdrowy chłopczyk - nazwali go Rory - urodził się dwa miesiące temu. Przesłałam prezent dla małego i dostałam uroczą kartkę z podziękowaniem. Ale nie widziałam się z Christine i nie rozmawiałam z nią od jakichś trzech tygodni przed porodem. Załatwiła sobie pół roku wolnego, żeby zajmować się tylko dzieckiem. Przynajmniej pół roku.

Całe swoje zawodowe życie poświęcała dzieciom innych kobiet i nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła trochę czasu spędzić z własnym. Tego wieczoru przyniosła ze sobą Rory'ego na nasze spotkanie.

- Pozwól, że ci na moment przerwę - powiedział Blaine. - Powiedz mi, czy Christine się jakoś zmieniła. Czy zauważyłaś jakieś zmiany, które rzuciły się od razu w oczy.

- Szczerze mówiąc, niespecjalnie. Już udało jej się zrzucić całą nadwagę z okresu ciąży. A poza tym, była jak zwykle sobą: urocza i bezpośrednia. Miała na sobie jasne, kolorowe ubranie, jakie sama doradzała swoim pacjentkom, i była nieskazitelnie zadbana. Tak samo Rory. Nawet owinęła go kocykiem, który dostała ode mnie, i ubrała go w ubranka, które podarowały jej osoby obecne na tym spotkaniu. Wypytywała naszych pracowników o ich dzieci, zupełnie jakby podejmowała rozmowy przerwane wczoraj, a nie parę miesięcy temu.

- W jaki sposób trzymała dziecko?

- Nie trzymała go. Leżał w nosidełku... Ustawiła to nosidełko na stole konferencyjnym.

- A jeśli ktoś chciał je wziąć na ręce?

- Christine wyjaśniała, jak mają podnosić Rory'ego, jak chronić kark i główkę.

- Wyjaśniała czy pokazywała?

- Wyjaśniała.

- A miała coś przeciwko temu, żeby obecne na spotkaniu osoby brały dziecko na ręce?

- Ależ skąd. Wydawało mi się, że czuje ulgę, kiedy ktoś je przytulał.

- Dobrze. Powiedz, co się potem stało.

- No cóż, po mniej więcej dwudziestu minutach powiedziała, że zaraz wróci i pokazała ręką że idzie do łazienki. Z jakiegoś powodu poszłam za nią.

- Niepokoiłaś się.

- Chyba tak, chociaż nie wiedziałam, dlaczego. W każdym razie, zamiast do łazienki, poszła do kuchni. Nie zapytałam jej, czego szuka, tylko patrzyłam. Znow, nie wiem, dlaczego. Przeszukała wszystkie szuflady, wyjmując z nich noże, nawet te plastikowe. Kiedy już wszystkie zebrała, wspięła się na blat kuchenny. Wiszące szafki nie sięgają tam do samego sufitu. Stała na palcach i wszystkie te noże wepchnęła jak najgłębiej w szczelinę między szafkami a sufitem. A potem zeszła na podłogę - i zauważyła mnie.

- I? - zapytała Helen.

- Nie spieszyła się tym, że tam stoje, a kiedy zapytałam ją, czemu pochowała noże, odpowiedziała całkiem jakby nigdy nic, że nie chce, żeby Rory'emu stało się coś złego.

- Aha. Słyszała głosy, które kazały jej zabić syna?

- Nie. Lekarze powiedzieli, że to depresja, ale nie stan psychiatryczny.

- Ale...

Tym razem wtrącił się Blaine:

- Niepokój, że dziecku się zrobi coś złego - albo przypadkiem, albo umyślnie - może być jednym z najważniejszych objawów depresji poporodowej. Młoda matka może zacząć o tym myśleć wręcz obsesyjnie, bez przerwy. A jeśli upuści dziecko? Sparzy je czymś? Położy je w łóżeczku jakoś niewłaściwie? Albo jeśli mimo ciągłego, wręcz kompulsywnego szorowania całego domu jeszcze nie jest dość czysto, i dziecko złapie jakąś infekcję, i umrze?

- A więc Christine nie ugodziłyby nożem swojego dziecka?

- Nie - odparł. - Prędzej zabiłaby samą siebie i matki cierpiące na depresję poporodową często to robią. Co jej powiedziałaś, Snow?

- Powiedziałam, że moim zdaniem potrzebuje pomocy, i że postaramy się jej taką pomoc znaleźć. Na szczęście się zgodziła.

- Bardzo dobrze się stało, że za nią poszłaś. Może nawet uratowałaś jej życie i Rory'emu.

- Mówiłeś, że Christine by go nie skrzywdziła - odezwała się Helen.

- Nie zrobiłaby nic, żeby zrealizować te swoje obsesyjne lęki. Ale mogłaby, na przykład, zabrać Rory'ego ze sobą, gdyby chciała się zabić. W tym depresyjnym stanie mogłoby jej się wydawać, że tylko w ten sposób zapewni mu bezpieczeństwo. Bardzo prawdopodobne, że zdecydowałyby się na samobójstwo. Doszłyby do wniosku, że jest beznadziejną matką. Nie nawiązałyby tej emocjonalnej więzi z dzieckiem i dokucałyby jej myśli, że zrobi mu jakąś krzywdę, że popełniła wielki błąd, sprowadzając go na taki okropny świat, że może to naprawić, zabierając go ze sobą w to lepsze miejsce. Tak się przejawia cała wspaniałość instynktu macierzyńskiego, tylko spustoszonego przez mgłą depresji.

- To przerażające - powiedziała Helen. - Mówiłaś, że Christine wydawała się taka sama, jak zwykle?

- Naprawdę tak było.

- To też nic niezwykłego - stwierdził Blaine. - Właśnie dlatego depresja poporodowa bywa taka groźna i tak rzadko jest rozpoznawana,

dopóki nie dojdzie do jakiejś tragedii. Często się zdarza, że młoda matka sama jest swoim największym wrogiem. Nie umie rozpoznać, że ogarniające ją uczucia to depresja. Dlaczego miałyby wpadać w depresję? To powinny być najszcześniejsze chwile w jej życiu, Umie to sobie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że z nią samą jest coś z gruntu nie w porządku i że to nie pozwala jej stać się taką dobrą matką, jaką miała nadzieję być. Ogarnia ją wstyd i poczucie winy. Ukrywa swoje uczucia za fasadą pozorowanej pogody ducha, zupełnie tak jak Christine, a przez cały czas coraz głębiej pogrąża się w depresji.

- To naprawdę niesamowite, Snow, że wyczułaś, że coś jest z nią nie tak.

- Nie jestem pewna, co wyczułam, ale Christine rzeczywiście ukrywała objawy swojej choroby. Nawet jej przyjaciele lekarze byli zdumieni, kiedy się dowiedzieli, że ma depresję.

- Trudno przyznać się do zaburzeń umysłowych osobie bliskiej lub kochanej - wyjaśnił Blaine. - I nie ma tu znaczenia, czy objawy są widoczne. Problemem może być samo zrozumienie, że człowiekowi coś dolega. To tak, jak z utratą wagi przez kogoś, kogo widzi się codziennie, zmiana może być tak subtelną - tak powolną - że osoba bliska nie zauważa jej tak łatwo, jak ktoś z zewnątrz. No i istnieje jeszcze zaprzeczenie. Nikt nie chce, żeby najbliżsi cierpieli na depresję ani żeby przyjaciel cierpiał na jakąś manię, ani żeby nastolatka prześladowały stany samobójcze. To nie tyle kwestia jakiegoś napiętnowania, ile chęci, żeby nadal byli tym, kim byli zawsze. To ten sam instynkt obronny, który każe nam nie dostrzegać, że matce czy ojcu doskwierają zaniki pamięci, albo zaprzeczać niepokojącym objawom, jakie zauważamy u nas samych.

- Przerazające - powtórzyła Helen.

- I to dobrze - dodał Blaine - że Snow przejęła inicjatywę. Trzeba odwagi, żeby interweniować w takiej sytuacji.

- W tym, co zrobiłam, nie było nic odważnego. Wybór wydawał mi się oczywisty. To znaczy nie istniała inna możliwość. Zastanawiałam się, czy Christine nie przyszła do stacji, licząc na to, że jej pomożemy.

- Jeśli tak, to był to instynkt przetrwania równie silny jak macierzyński.

- A jak ona się teraz czuje? - spytała Helen.

- Jest w szpitalu, na lekach antydepresyjnych. Lekarze mówią, że niedługo zupełnie do siebie dojdzie. Dawna Christine, jak nowa. Czy tak jest we wszystkich przypadkach?

- Tak jest - potwierdził Blaine. - Na Boże Narodzenie znów będzie tą szczęśliwą mamą, którą być powinna.

- Chyba że wtrąca się jej teściowie. Już kombinują, jak nie dopuścić, żeby jeszcze kiedykolwiek zobaczyła na oczy ich wnuka.

- Pewnie naoglądali się telewizyjnych horrorów, w których matka cierpi na depresję z epizodami psychozy i słyszy głosy - Boga albo szatana - rozkazujące jej pozabijać własne dzieci.

- Lekarze robią, co w ich mocy, by wyjaśnić, że Christine nie cierpi na tego typu depresję. Jej mąż to rozumie. Tylko teściowie nie chcą słuchać.

- Psychozy nie da się leczyć? - zapytała Helen.

- Da się. Chociaż już nie tak łatwo. W przeciwieństwie do depresji poporodowej, często wskazuje na istnienie poważnych zaburzeń psychicznych. No i, w przeciwieństwie do depresji poporodowej, psychoza występuje rzadko.

- A depresja poporodowa często?

- Bardzo. U mniej więcej dziesięciu do dwudziestu procent rodzących kobiet. - Blaine spojrzął na Snow. - Daj mi znać, jeśli lekarze Christine nie zdołają przekonać tych teściów, że ona nie stanowi dla dziecka żadnego zagrożenia. Moja żona z przyjemnością znajdzie dla niej najlepszego prawnika do spraw rodzinnych w Atlancie. Chyba zresztą znasz moją żonę, Snow.

- Naprawdę?

- Vivian Larken.

Vivian. Żona Blaine'a, nie Luke'a - pomyślała.

- Tak, oczywiście. To znaczy, znałyśmy się wiele lat temu. Co u niej słyhać?

- Wszystko świetnie, tak ogólnie. Niestety, dzisiaj dopadła ją grypa. Mamy nadzieję, że szybko wyzdrowieje.

- Też mam taką nadzieję. Przekaż jej, proszę, pozdrowienia.

- Jasne. - Blaine rozejrzał się po salonie. - Wygląda na to, że gości dopada głód. Zanim ktoś nam przerwie, chciałbym cię zapytać, czy zastanawiałaś się już nad planem programu?

- Jestem otwarta na sugestie.

Blaine uśmiechnął się z ulgą.

- Jak na pewno się domyślasz, mam jedną. Uważam, że powinniśmy zacząć od twojego doświadczenia z depresją poporodową - tego, co widziałas u Christine. Oczywiście, będziesz musiała zmienić dane

i okoliczności, żeby ochronić jej prywatność. Ale ta jej historia jest fra-
pująca. Jeśli depresja poporodowa może się zdarzyć takiej Christine, to
może wystąpić u każdej kobiety. Poza tym, według mnie, bardzo ciekawe
jest twoje zaangażowanie i chęć uświadomienia słuchaczom, jaki to waż-
ny problem. Twoje osobiste powody, dla których ten temat wybrałaś.

Moje osobiste powody, pomyślała Snow. Christine? A może...

- Snow?
- Tak się tylko zastanawiam - powiedziała. - Czy depresja poporo-
dowa zdarza się po poronieniu?

Rozdział 11

Tak bywa - przyznał Blaine. - O to często. Także po zabiegach aborcji.
W obu tych przypadkach depresja poporodowa może być równie ciężka
- i groźna dla życia - jak wtedy, kiedy następuje po donoszonej ciąży.
Jest też bardziej prawdopodobne, że sama kobieta ją przeoczy albo zlek-
ceważy. Ten smutek wydaje się przecież uzasadniony. Straciła dziecko.
Rozpacz da się wyjaśnić. Może być szczególnie dla siebie surowa za to,
że nie potrafi uporać się ze stratą tak szybko, jak według niej powinna.

- No, to jest kolejna sprawa, którą trzeba będzie się podzielić ze
słuchaczami - powiedziała Helen. - To bardzo szeroki temat, prawda?
- Jeśli jest to zaproszenie do uczestniczenia w więcej niż jednym
programie, chętnie je przyjmę.

- To bardzo miłe z twojej strony, Blaine. Dziękujemy.

- Snow, powtarzam, to ja tobie dziękuję.

Blaine wstał, mówiąc ostatnie słowa. Podchodził do niego właśnie
jakiś kolega.

Doktor Prescott miał obowiązki towarzyskie.

Helen musiała zająć się własnym mężem.

A Snow jednak czekało zmierzenie się z upiorami.

Ale w mieszkaniu, nie tutaj. W jej mieszkaniu... później.

Nie zdążyła się jeszcze przywitać z kierownictwem WCHM, a oni
nie zdążyli przedstawić jej tym znakomitościom, którym przedstawić
chcieli.

Upiory czekały szesnaście lat. Poczekają jeszcze trochę.

Snow zdecydowała, że obejdzie salę balową dookoła. Spróbuje porozmawiać ze wszystkimi z WCHM.

A potem ucieknie.

Ale najpierw zauważyła jeszcze kogoś, lekarza z oddziału intensywnej terapii, który zajmował w Wind Chimes Towers mieszkanie po drugiej stronie korytarza. Spotkała go sześć tygodni temu, kiedy przyleciała do Chicago na rozmowy ze swoim zespołem z WCHM i żeby znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Apartament wydawał się idealny. A sąsiad z przeciwka sympatyczny.

Po raz drugi zobaczyła Thomasa Vaila dziś o piątej nad ranem. Wracił ze szpitala i pomógł jej wyjąć walizki z samochodu.

Mężczyzna, którego zobaczyła teraz Snow, w niczym nie przypominał tego spotkanego wcześniej. Zupełnie jakby sam zobaczył jakiegoś upióra...

Albo z nim rozmawiał.

- Zbiorę się do wyjazdu w godzinę - podsłuchiwała jego słowa, zanim skończył rozmowę przez telefon.

Wpatrywał się w trzymaną w dłoni komórkę, jakby dziwiąc się, że takie ważne i może druzgocące wiadomości da się przekazać za pomocą prawie nic nieważącego przedmiotu.

- Thomas?
- Snow.
- Czy mogę ci w czymś pomóc?

Pokręcił głową.

- To był szeryf z małego miasta na drugim krańcu stanu. Mój znajomy, na imię miał Daniel, utonął dzisiaj.

- Tak bardzo mi przykro.
- Nie znaleźli jego ciała i może nigdy nie znajdą. Ratownik, który uratował życie Wendy, widział, jak powódź porwała Daniela.

Wendy. Uratowana.

- Wendy?
- Czteroletnia córeczka Daniela. A teraz - dodał cicho Thomas - moja córeczka. Daniel wyznaczył mnie na jej opiekuna.

- Bo znasz Wendy, a ona zna ciebie.
- Nie. Poza zdjęciami, które Daniel wysyłał na Boże Narodzenie, nie widziałem Wendy, odkąd została wypisana z Grace Memoriał w wieku dwóch miesięcy. Od tego czasu Daniela też nie widziałem ani z nim nie rozmawiałem.

- Ale wyznaczył cię na opiekuna Wendy.
- Tak.
- I nie uprzedził cię o tym?
- Podjął tę decyzję dzisiaj, kiedy się zorientował, że może nie wyjść z tego cało.
- Ostatnie życzenie.
- Ostatnie życzenie.
- I co masz zamiar zrobić?
- Uszanuję to życzenie. Zabiorę ją do siebie. Zrobię, co się da.
- Thomas, jestem po drugiej stronie korytarza. I chętnie pomogę ci we wszystkim.

Po drugiej stronie korytarza, myślała Snow, patrząc, jak odchodził, jestem tam ze swoimi duchami, ze swoją własną Wendy - z duchami, które nie chciały poczekać aż do jej powrotu z balu.

Snow zaczynała się domyślać, dlaczego zauważyła w zachowaniu Christine coś, czego nikt inny nie dostrzegł. Zrozumiała też, co wtedy zobaczyła. Siebie samą. Dziewczynę, którą po poronieniu dręczyły obsesyjne myśli - co będzie najlepsze dla Wendy, co będzie dla niej najwłaściwsze, co Wendy by chciała, żeby dla niej zrobić. Dziewczynę, która wiele razy zastanawiała się nad każdą podejmowaną decyzją... I która, pragnąc, żeby Wendy było wygodnie, wciąż na nowo składała i rozkładała różową jedwabną sukienkę.

Straciła wtedy poczucie czasu.

Ani nie jadła, ani nie spała.

Tylko jednego jej zdezorientowany mózg pewien był bez najmniejszej wątpliwości, że jest beznadziejną matką. Nie udało jej się zapewnić dziecku bezpieczeństwa. Wendy na pewno to wiedziała, przeczuła, że Snow zupełnie się do tej roli nie nadaje. Nie chciała spędzić swojego życia ze Snow ani trochę bardziej niż chciał tego Luke.

Snow nie myślała za wiele o tym, żeby się zabić. To nie było konieczne. Może musiałyby się zabić, gdyby Wendy żyła. Ale Wendy nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Karą dla Snow, za tę jej całą bezwartościowość, miało być życie z ciągłym bólem.

- Snow.

A więc miała wtedy depresję okołoporodową. Teraz to zrozumiała. Wiedziała też, że tak jak Christine chorowała na depresję bez epizodów psychozy. Nie słyszała żadnych urojonych głosów.

Wtedy nie.

Ale teraz, szesnaście lat później, zaczynała słyszeć taki wyimaginowany głos. Słuchowe omamy dobiegały ją gdzieś zza pleców. I to były całkiem wyszukane omamy. Głos należał do Luke'a, ale był zmieniony, tak samo jak Luke zmieniłby się przez te lata.

Głos wydawał się starszy.

Głębszy.

Mroczniejszy.

- Popatrz na mnie. - Usłyszała te słowa wypowiedziane rozkazującym tonem.

Wystarczyłoby tylko unieść głowę. Te słowa nie były omamami.

To on przed nią stał. Starszy. Jeszcze przystojniejszy.

I nadal ukochany.

Przepraszam cię, Luke! Tak strasznie mi przykro, że straciłam naszą Wendy.

To byłyby tylko połowa przeprosin, dla których złożenia Snow wróciła do Chicago. Ta prawdziwa połowa. Reszta tego, co zamierzała mu powiedzieć, jej przeprosiny za to, że złamała swoją część obietnicy i nie została w Quail Ridge do jego powrotu z Los Angeles stała się tego wieczoru fałszem.

Snow nie było przykro, że uciekła. Luke dostrzegłby jej depresję, gdyby została i zaczekała, żeby pożegnać się z nim twarzą w twarz. Niezależnie od tego, jak próbowałyby ukryć swoją rozpacz, Luke by jej nie przeoczył i nie zaprzeczyłby jej.

Należałby na znalezienie dla niej jakiejś pomocy, tak jak ona uparła się, że trzeba pomóc Christine. Zabrałby ją do Grace Memorial, gdzie kiedyś uratowano mu życie. Być może do doktora Blaine'a Prescottta.

Znalazłaby się pod doskonałą opieką, Blaine'a czy kogoś innego. Luke by tego dopilnował. Znów stałaby się sobą. Nie tą dawną Snow, oczywiście, nie tą dziewczyną, którą była przed utratą dziecka. Ale stałaby się nową Snow - matką, która zachowała stratę w sercu, które jednak jakoś nauczyło się nadal bić. Stałaby się nią o wiele szybciej niż po tych dwóch latach, które zajęło jej wygrzebanie się z nieleczonej depresji.

Ta nowa Snow nawet w wieku piętnastu lat mogła przetrwać bez Luke'a - tak samo, jak przetrwała bez niego przez ostatnich szesnaście lat. Ale czując, że odpowiada za jej psychiczne załamanie tak samo, jak czuł się odpowiedzialny za samą ciężę, przekonywałby ją, żeby za niego wyszła za męża - przekonywałby ją, że sam tego chce. A ponieważ tak strasznie go kochała, pozwoliłaby sobie, żeby mu uwierzyć.

Snow spojrziała na mężczyznę, za którego mogła kiedyś wyjść, tworząc małżeństwo oparte - dla niego - na obowiązku i litości. Oczywiście, które napotkały jej spojrzenie, nie zdradzały żadnych uczuć, ale domagały się od niej całej prawdy.

A kiedy ta prawda zmieniała się w jej duszy z poczucia winy w zadowolenie, że wyjechała z Quail Ridge właśnie wtedy, kiedy to zrobiła, Snow poczuła... spokój.

- Luke. Witaj.

- Jak się masz, do diabła?

Zakląłeś! - pomyślała odruchowo.

- U mnie wszystko w porządku, Luke. A jak ty się, do diabła, masz?

- Nie mogłoby być lepiej.

- To dobrze. - Spokój zaczął jaopuszczać. Ten mężczyzna mógł zostać jej mężem. Byłby jej wierny, dochowałby małżeńskiej przysięgi. Ale chciałby, potrzebowałby seksu. Kochałby się, i to często. Czy znalazłby w tym kochaniu szczęście, poczucie uczuciowej bliskości wykraczające poza prostą potrzebę znalezienia ujścia dla żądzy? - Cieszę się.

- To dlaczego masz taką smutną minę?

- A mam? Jestem zmęczona. Całą poprzednią noc siedziałam za kółkiem, a w ciągu dnia rozpakowywałam rzeczy. Ale ty też wyglądasz na zmęczonego. - Ta uwaga była chyba zbyt osobista. Pełna troski. Wywołała na jego twarzy wyraz aż za dobrze jej znany. - Ty możesz mi mówić, że jestem smutna, ale mnie nie wolno powiedzieć, że ty jesteś zmęczony?

Lekki uśmiech złagodził ostre rysy tej jego starszej, bardziej seksownej twarzy.

- Zgadza się.

- No cóż, to fatalnie! Lucasic Kilcannon, ty wcale nie wyglądasz, jakbyś był zwyczajnie zmęczony. Ty padasz z nóg!

Snow nie sięgnęła dłonią, żeby musnąć ciemne kręgi pod jego oczami. A on zerknął na jej dłoń, jakby się spodziewał, że może to zrobić - jakby przez chwilę pragnął, żeby tak się stało.

To była tylko ulotna chwila.

Rysy mu stwardniały, kiedy przyglądał się tym palcom, w których z całej siły ścisnęła wieczorową torebkę.

Nie nosiła obrączki.

Ma piękne dłonie, pomyślał. Zawsze takie były. Szczupłe i poznaczone liliowymi żyłkami. Paznokcie nadal obcinała krótko, tak krótko,

że nie zostawiłyby śladów na skórze niezależnie od stopnia roznamietnienia... Tak jak nie zostawiły śladów tamtego jesiennego dnia na ich polance, gdzie pieściły, a nie drapały, jego blizny.

- Szkoda, że nie widziałaś, jak byłem wyczerpany po powrocie do Quail Ridge z mitingu pływackiego w Los Angeles.

Wyczerpany i rozwścieczony, pomyślała Snow, patrząc na towarzyszący tym słowom wyraz zimnej furii na jego twarzy.

- Musiałam wyjechać, Luke. Tak było najlepiej.

- Istotnie?

- Tak.

- Może zechcesz mi to wyjaśnić?

- Nie ma tu nic do wyjaśniania.

- Mylisz się. Jest mnóstwo.

- Straciłam dziecko - powiedziała. - Nic innego się dla mnie nie liczyło. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

- Dla mnie to się liczyło, Snow. Obiecałaś mi coś.

- To nie miejsce ani czas, żeby o tym rozmawiać.

- Świetnie. Powiedz, gdzie i kiedy będzie takie miejsce i czas.

- Dlaczego?

- Dlaczego chcę, żebyś mi podała powód, dla którego złamałaś obietnicę? Nie wiem. Zrzuć to na karb pustej ciekawości. A może interesują mnie twoje wnioski z lektury na temat tego, jakim mężem i ojcem zostanie kiedyś prawdopodobnie syn Jareda Kilcannona.

- Niczego nie czytałam, Luke. Nawet gdybym coś czytała, mój wyjazd nie miałby nic wspólnego z żadną lekturą. Przecież nie możesz wierzyć, że tak było.

Luke mógł próbować wmawiać sobie, że właśnie dlatego go porzuciła. Łatwiej byłoby w to wierzyć, mniej by bolało uznać, że uciekła ze względu na przeszłość, na którą nie miał wpływu, niż ze względu na przyszłość, której z nim nie chciała. Ale wiedział, że to nie byłaby prawda.

- Masz rację, nie wierzę w to. A więc wracamy do mojej ciekawości. Określ jakieś dogodne dla ciebie miejsce i porę.

Pokręciła głową. Nie będzie nigdy takiej dogodnej pory.

Bo, jak zrozumiał nagle Luke, Snow się boi.

Prawie mu ulżyło. Chciał odpowiedzi. Ale jeszcze bardziej chciał, żeby była szczęśliwa, a nie przestraszona.

Pozwól jej odejść. Pozwól temu odejść.

Ale ten strach był strachem przed nim.

Nie mógł tego znieść.

- To może ja takie miejsce i czas wybiorę? Pójdźmy gdzieś po moim występie w twoim programie. Na jakąś kolację. Na drinka. Cokolwiek wolisz.

- Twoim... występie w moim programie?

- To będzie w tym tygodniu. Tak obiecywała broszura aukcji. Wysłałem ofertę. Nie byłem pewien, czy uda mi się tu dziś wieczorem dojechać. Jeszcze dwadzieścia minut temu moja oferta wygrywała. Jeśli ktoś ją przebije, postawię więcej. Moim zdaniem to dobry temat, twoi słuchacze powinni się nim zainteresować teraz, kiedy idzie zima.

- Jaki temat?

- Ochrona przeciwpożarowa.

- Pożary. Jesteś...

- Strażakiem.

Wiele lat temu Luke zaczął znów pływać, mimo że nie cierpiał każdego pociągnięcia ramionami w wodzie. Jeśli chciał chodzić, musiał pływać. Ale żeby zdecydować się wybrać taki zawód, żeby przez całe życie wciąż na nowo budzić wspomnienia nocy, kiedy omal nie zginął...

- Dlaczego, Luke? To znaczy, to ci nie przeszkadza?

Zapomniała o swoim strachu. O swoim strachu o siebie. Teraz troszczyła się wyłącznie o niego.

- Zupełnie nie, Snow. To ze względu na Noaha.

- Noaha - szepnęła. - Noah.

- Umarł dwa lata temu. We śnie.

- Byłeś przy nim?

Luke skinął głową, potwierdzając, że był wtedy przy łóżku Noaha i że kochał tego człowieka, który bronił go przed sceptycznie nastawionym miastem.

- Mieszkałem z Noahem wtedy, kiedy umarł. Od tamtej pory mieszkam w domu, który mi kiedyś podarował i zapisał w testamencie.

A więc Luke zdecydował się walczyć z pożarami przez pamięć o człowieku, którego pokochał, a nie ojca, którego nienawidził.

- Załóż się, że Noah był bardzo szczęśliwy, że poszedłeś w jego ślady.

- Wiele się od niego nauczyłem.

- Też zajmujesz się śledztwami w sprawach podpaleń?

- Uczę się od doświadczonych śledczych, ile razy mam po temu okazję. Tym się zajmę wtedy, kiedy już nie będę w takiej formie fizycznej, żeby dłużej pracować jako strażak.

Snow nie potrafiła wyobrazić sobie Luke'a, który straci formę fizyczną. Ale nagle wyraźnie zobaczyła w wyobraźni tego żywotnego mężczyznę o posrebrzonych włosach, bawiącego się w piłkę z wnukiem... I podrzucającego na barana wokół oświetlonego słońcem ogrodu zachwyconą wnuczkę. Sprawilo jej to wielki ból.

- Co się stało, Snow?

- Muszę już iść.

- Dobrze. - On też musiał iść. W środku umierał z chęci, żeby jej dotknąć, żeby ją pocieszyć. I żeby wściekać się na nią? Tak, to też. Dlaczego porzuciła tę ich miłość? - Snow?

- Tak?

- Nie będę domagał się od ciebie wyjaśnienia.

- Dziękuję.

- Ale - dodał cicho - nigdy nie przestanę go potrzebować.

Rozdział 12

Do czasu, kiedy Blaine był już gotowy do odjazdu, Mira zdążyła nieźle się zirytować. I nie dlatego, że udaremnilo jej te poszukiwania spokojnego kąta. Bo to jej się udało.

Nie udało jej się jednak odnaleźć żadnego wspomnienia z czasów, kiedy była nastolatka, dotyczącego Vivian albo którejś z jej przyjaciółek, mówiących o Luke'u czy Snow. Oczywiście, to możliwe, że Snow i Luke stanowili stały temat rozmów w czasie ostatniego roku Vivian w Liceum Larkena. Ale Mira nic takiego sobie nie przypominała. Siostry Larken żyły zupełnie osobno. A nawet wtedy, kiedy Vivian i jej świta bywały w zasięgu słuchu, Mira starała się zagłuszyć czymś ich paplaninę.

Zełostościło ją to, że kiedyś była taka mało spostrzegawcza. Ale wszystko bładło w porównaniu z jej irytacją na własne zachowanie dziś wieczorem.

Kiedy Thomas uśmiechnął się do niej, wycofała się z salonu i natychmiast poczuła niepokój. Ale przez jakiś czas przechadzała się, nie zawróciła od razu. Wymyśliła też sobie pewien plan na dowód, że umie zachować się jak osoba dorosła.

Wróci do tego salonu i podejdzie do stolika, przy którym siedział Thomas z tymi swoimi wielbicielkami. Kiedy jej obecność skłoni

Thomasa do przerwania rozmowy, co zrobił już z taką uprzejmością dla kelnera, przedstawi się:

- Jestem Mira, siostra Vivian. Spotkaliśmy się na jej ślubie. Wątpię, żebyś pamiętał. Ale pomyślałam, że kiedy stanęła w drzwiach, pewnie ci się wydawało, że to ona. Ona, nie ja. Cały czas mi się to przytrafia. Ludzie biorą mnie za Vivian, z pewnej odległości. Nie chciałam, żebyś sobie pomyślał, że Vivian wycofała się na twój widok.

Plan Miry zakładał, że przyłączy się do tej czwórki, jeśli ją o to poproszą, i chwilę z nimi porozmawia...

Niestety, za długo zwlekała z powrotem. Thomasa już nie było, chociaż te panie nadal tam siedziały.

Już do nich nie wrócił.

Zanim Blaine zdecydował się odwiedzić Mirę do domu, jej irytacja na samą siebie za to, że nie porozmawiała z Thomasem, zaczynała przerażać się w irytację na Luke'a za to, że nie podzielił się z nią brakującymi rozdziałami sagi o Snow, Luke'u i Vivian - zakładając, że w ogóle je znał.

- Poznałem Snow - powiedział Blaine, kiedy już siedzieli w jego samochodzie, kierując się na północ.

Nadeszła burza. Padający deszcz spowalniał ruch na zatłoczonej w sobotni wieczór trasie.

- Ach tak?

- Miro, ona jest niezwykła. Tym bardziej niepokoję się o Vivian.

- Moim zdaniem nie powinieneś się za bardzo przejmować. Tak, była wytracona z równowagi. Ale upora się z tym. Cokolwiek zaszło, stało się to dawno temu.

- Tym bardziej powinienem się niepokoić. Wspomniałem Vivian w rozmowie ze Snow.

- I?

- Albo jest najlepszą aktorką na świecie, albo nie ma najmniejszego powodu wierzyć, że Vivian żywi do niej jakiegokolwiek niezycziwego uczucia. W swojej praktyce widuję kobiety, które przez całe życie usiłują udawać, że są kimś innym niż w rzeczywistości. Nazywam jej aktorkami dnia powszedniego. Ale to nie dotyczy Snow Gable. Ona niczego nie ukrywa.

- Może zrobiła coś Vivian niechcący.

- To chyba możliwe. Na pewno warto mieć nadzieję, że tak było.

- Co masz na myśli?

- Niepokoję się, że wrażenie Vivian co do tego, co zrobiła jej Snow jest właśnie tylko jej wrażeniem.

- Masz na myśli, że to nic realnego?

- Możliwe.

- Mówisz, że Vivian ma jakieś urojenia?

- Mówię, że się niepokoję.

- No cóż, ja nie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Blaine zwiększył szybkość wycieraczek przedniej szyby. - Naprawdę chciałbym wiedzieć, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Luke.

Ja też. Powinna czuć, że są z Blaine'em w jednej drużynie. Oboje szukali brakujących rozdziałów. Ale Mira miała nastrój na zdobywanie informacji, nie na dzielenie się nimi.

- Luke?

- Chyba go będę musiał wreszcie poznać.

- Bo tyle o nim słyszałaś?

- Tak.

- Na przykład?

- Oczywiście opowieści z wieloma szczegółami o tym pożarze. Od chwili, w której wspomniałaś, że chcesz kupić starą posiadłość Kilcannonów, Vivian robiła co mogła, żebym ją wspierał w przekonywaniu cię, abyś z tego zrezygnowała. Myślałem wtedy, że jej sprzeciw wynika ze snobizmu, że po prostu chciałyby, żebyś mieszkała w bardziej prestiżowej dzielnicy niż Pinewood. Ale okazuje się, że chodzi o samo miejsce, o to miejsce, gdzie Luke Kilcannon mieszkał - i o mała nie zginął. Ona nigdy cię tam nie odwiedziła, prawda?

- Tak. Ale to też nie tak. Nie ma zwyczaju wpadać do mnie do domu, niezależnie od tego, gdzie mieszkam. Co jeszcze mówiła ci o Luke'u?

- No cóż, rzuciła parę mocnych słów, kiedy nie przyjął zaproszenia na nasz ślub.

- Vivian zaprosiła Luke'a na wasz ślub? - zdziwiła się Mira. A przecież mimo wielu naszych rozmów o tym ślubie, pomyślała, włącznie z sugestią, że mógłby tam ze mną iść jako „osoba towarzysząca”, Luke nie powiedział, że także dostał zaproszenie o złoconych brzegach.

- Tak. Jak sobie może przypominasz, zaprosiła prawie całe miasto. Ale zareagowała bardzo dziwnie, kiedy otworzyła kopertę z odpowiedzią Luke'a.

- Co zrobiła?

- Popatrzyła na nią. Z oburzeniem. A potem podarła ją na strzępy.
- Blaine pokręcił głową. - Zaproszenie byłego chłopaka na ślub to jedna rzecz, ale wściekanie się, kiedy on odmówi, to już coś zupełnie innego.

Dawnego chłopaka? - pomyślała Mira zdumiona.

- Czy powiedziała ci, czemu tak się tym przejęła?

- Nie chciała, ale nalegałem. Miałem prawo interesować się tym, czy nie żywi jakiegoś nieodwzajemnionego uczucia do innego mężczyzny. Wyśmiała taką sugestią, a potem wygłosiła całą mowę o niewdzięczności Luke'a.

- Niewdzięczności?

- Według niej zrobiła mu wielką przysługę, zapraszając go na najważniejsze towarzyskie wydarzenie roku. Nie mogła uwierzyć, że miał czelność je odrzucić.

Mirę zaczynało ogarniać niedowierzanie. Luke powinien znać te brakujące rozdziały. I dawne, i obecne. Najwyraźniej po prostu zdecydował, że z nią się nimi nie podzieli.

- Vivian już od jakiegoś czasu nie wspominała o Luke'u - powiedział Blaine. - Przed dzisiejszym wieczorem, ostatni raz to było wtedy, kiedy zobaczyła jego nazwisko w gazecie po jakiejś kolejnej akcji ratowniczej, której nie podjąłby się żaden strażak o zdrowych zmysłach. Muszę się z nią zgodzić, ten człowiek wyraźnie szuka śmierci. Tym bardziej chciałbym go poznać -jako psychiatra.

Mira pomyślała, że jeśli ktokolwiek bardziej od niej lubi pozostawać w cieniu, to właśnie Luke. Niekoniecznie znaczy to, że uciekałby przed analizą Blaine'a. W zależności od nastroju mógłby się nawet na zgodzić. A przynajmniej Luke, którego ona знаła, zgodziłby się na coś takiego. Ale może ten Luke jednak nie istnieje - bo to przecież ten sam Luke, który już całe lata temu powiedziałaby jej, że kiedyś spotykał się z Vivian, a całkiem niedawno, że dostał zaproszenie na ten ślub.

Mira przestała myśleć o Luke'u. Blaine był prawdziwą kopalnią informacji, którą chciała, póki się da, wykorzystać.

- A co ze Snow? - zapytała. - Czy Vivian kiedyś coś o niej mówiła?

- Nigdy. Aż do dziś wieczorem. Pamiętasz, co powiedziała o tych obscenicznych telefonach, które dostajesz? Wyrzuciła przypuszczenie, że może za nimi stać Snow?

- Oczywiście.

- To nie jest sprawka Snow.

Mira usłyszała, co powiedział, ale dopiero po chwili dotarło do niej, czego nie powiedział.

- Uważasz, że to Vivian?

Blaine westchnął.

- To możliwe. To moja prawdziwa motywacja kryjąca się za propozycją, żebyś dała mi spisane słowo w słowo wypowiedzi tego człowieka.

- To absolutnie wykluczone. Vivian nie posługuje się językiem, jakiego używa ta osoba.

- Nie znasz swojej siostry zbyt dobrze, prawda?

- Myślę, że to ty jej nie znasz.

- Znam ją, Miro. I kocham z całego serca. Dlatego tak rozpaczliwie usiłuję zorientować się, co się dzieje. Tylko w ten sposób będę jej mógł pomóc wyzdrowieć.

- Vivian nie ma żadnych urojeń! I nie jest autorką żadnych obscenicznych telefonów. To śmieszne, a poza tym bez sensu. Vivian nie ma żadnego powodu, żeby kogokolwiek prześladować, a już najmniej mnie. To piękna, błyskotliwa, odnosząca sukcesy...

- Ona zupełnie nie ma poczucia własnej wartości.

- Co takiego? Vivian to najbardziej pewna siebie osoba, jaką znam, i nie bez powodu. Powtórzę to jeszcze raz. Jest piękna, błyskotliwa i odnosi sukcesy. Nie rozumiem, dlaczego mówisz takie rzeczy, Blaine. Ale nie podoba mi się to.

- Mnie też się to nie podoba. Ale mówię prawdę. Istnieje olbrzymia różnica między pewnością siebie a wiarą w siebie. Vivian ma dużo pewności siebie. Wyznacz jej jakieś zadanie, a ona przejdzie samą siebie. Studia. Szkoła prawnicza. Praktyka w prawie rodzinnym. Jeśli spytasz ją wcześniej, czy zamiar jej się powiedzie, ona potwierdzi. Vivian wierzy w to, co potrafi osiągnąć. Ale nie wierzy w to, kim jest.

- Powiedziała ci o tym?

- Nie. I nie poruszałem z nią tego tematu. Ale wiem, o czym mówię, Miro. Często tak bywa, że właśnie kobiety pozornie odnoszące największe sukcesy mają najniższą samoocenę. Mierzą swoją wartość tym, co robią, a nie tym, kim są.

Mira musiała przyznać, że to bardzo prawdopodobne, że Vivian się mierzy taką miarą.

- A ty, dla kontrastu, nie masz takich problemów z samooceną.

- Nie mam?

- Nie - powiedział Blaine. - Czujesz się dobrze z tym, kim jesteś. Osiągasz to, co chcesz osiągnąć. Podejmujesz decyzje, opierając je na tym, co jest najlepsze dla ciebie, a nie na tym, czego inni od ciebie oczekują lub chcą. Vivian uważałaby się za kompletną nieudacznicę, gdyby nie została szkolną prymuską. Tobie to by było obojętne. Ale ty byłaś, prawda?

- Prymuską? W szkole weterynaryjnej, owszem, ale z tego, co o mnie mówisz, wynika, że jestem egoistką.

- Bo podejmujesz decyzje, opierając się na tym, co jest najlepsze dla ciebie? To nie jest egoizm, dopóki nie podejmiesz takich decyzji kosztem innych osób. A podejmujesz takie?

- Mam nadzieję, że nie.

- Jestem pewien, że nie. Jesteś uosobieniem kwitnącego zdrowia psychicznego.

- A Vivian nie?

- Nie. Ona nie. - Blaine zawahał się przez chwilę. - Ona ma powody, żeby nękać cię takimi telefonami, Miro. Wyrosłyście w tej samej rodzinie, ale ty masz wiarę w siebie i we własną wartość, jakich jej brakuje.

- Chcesz powiedzieć, że jest o mnie zazdrosna?

- Tak. Obawiam się, że to się dzieje na poziomie podświadomości. Odreagowuje, i nie wie dlaczego - albo, co gorsza, w ogóle do niej nie dociera, że to robi.

- To szaleństwo, Blaine. Ta rozmowa, nie ma nic wspólnego z moją siostrą. Tylko dlatego, że Vivian jest nieco wytracona z równowagi ze względu na powrót do miasta dawnej koleżanki...

- Tu chodzi o coś więcej. O wiele rzeczy. To, co zaszło dzisiaj wieczorem, przekonało mnie, że cała moja miłość, całe moje wsparcie, nie wystarczą. Vivian potrzebuje terapii prowadzonej przez kogoś innego niż ja. Znajdę dla niej taką osobę. Ale chciałbym najpierw jaśniej zrozumieć wszystko, co ją trapi, zanim kogoś takiego poszukam. - Zerknął na Mirę, a potem znów na zalaną deszczem drogę. - Presja odnoszenia sukcesów jest dla mnie oczywista. To spadek po Edwinie Larken. Vivian przez całe życie usiłowała wynagrodzić ojcu rozczarowanie, że nie jest pierworodnym synem. Ona to dostrzega. Jak powiedziałaś, jest błyskotliwa. Decyzja, że odsunie się od biznesu aukcyjnego, kiedy już drzwi domu Larken & Syn zostały przed nią zamknięte, dowodzi wielkiej siły. Ona chce być szczęśliwa. Dokonywać takich wyborów, które okażą się dla

niej najlepsze. Ale potrzebuje pomocy. Moją już ma. Miałem nadzieję, że ty też zechcesz jej pomóc.

- Oczywiście, że chcę, żeby Vivian była szczęśliwa!
- Pomóż mi zatem.
- Jak?
- Przeanalizuj ze mną te obsceniczne telefony. Słowo po słowie.

Mówię o czymś więcej niż przesłanie mailem zapisu rozmów. Chcę, żebyś mi opowiedziała, w jaki sposób ta osoba mówi. Wiem, że głos da się zniekształcić, i że jesteś trochę skrupowana tą całą sytuacją..

Mira czuła coś więcej niż tylko skrupowanie. Perspektywa z konieczności utrzymywanego w sekrecie spotkania z Blaine'em, żeby rozszyfrowywać telefony, których autorką - jego zdaniem - mogła być jego żona, wydawała jej się czymś niewłaściwym. Zupełnie jakby szpiegowała Vivian. Musi się nad tym zastanowić.

- Coś jeszcze?
- Mam zamiar namówić Vivian, żeby opowiedziała mi o tych swoich problemach ze Snow. Nie jestem pewien, czy mi się uda. I wątpię, czy Snow zdoła rzucić na to jakieś światło. Szczerze sędzę, że o niczym nie wie.
- Ale Luke mógłby wiedzieć.
- Tak się właśnie zastanawiałem.
- Znam go, Blaine. Porozmawiam z nim. -A jeśli to, czego się dowiem, nie będzie sprawiało wrażenia, że szpieguję Vivian, pomyślała, to ci wszystko powtórzę. - Moim zdaniem ja też powinnam porozmawiać z Vivian.

- Obawiam się, że to nie jest dobry pomysł. I jest coś jeszcze, Miro. Coś, o czym nie chciałem wspominać. Od czasu do czasu Vivian wyraża przekonanie, że ty i ja mieliśmy jakiś romans, zanim ją poznałem - i że nadal to ciągniemy.

- Powiedziałeś jej...
- Że to nonsens? Oczywiście. Mówiłem to wiele razy.
- Dlatego podsunąłeś pomysł, że te telefony może wykonywać kobieta, z której byłem mężem się spotykam.
- Chciałem zobaczyć, jak Vivian na to zareaguje.
- Nie zareagowała.
- Nie. Nie zareagowała. Ale ona jest jedną z tych aktorek, Miro.

Umie ukrywać swoje uczucia, jeśli chce.

Muszę porozmawiać z moją siostrą. I ty mnie przed tym nie powstrzymasz.

Uderzyła ją gwałtowność tej myśli. A już zwłaszcza zdumiewająca była niechęć do Blaine'a, którą ta gwałtowność sugerowała. Źle skierowana niechęć, tłumaczyła sobie. Chciała odłożyć na później zastanawianie się nad Lukiem, ale czuła różne skłębione emocje. Była trochę zła - nawet bardzo zła - na tego swojego niby przyjaciela, który aż tyle przemilczał.

- Przepraszam cię, Blaine.

- Za co?

- Podważam to, co mówisz.

- Ja chcę, żebyś to podważała. Bardzo chciałbym musieć przyznać, że myliłem się w tym swoim niepokoju o Vivian. Będzie taki moment, kiedy będę ci wdzięczny, Miro, za dotrzymanie jej towarzystwa - nie uprzedzając jej o tym. Odmówiłaby, gdybyś ją uprzedziła.

Chociaż ją to zasmucało, Mira musiała przyznać mu rację.

- Będę przy niej. Kiedy?

- We wtorek wieczorem, wtedy będę występował w programie Snow. We wtorek wieczorem nie uda mi się wrócić z kliniki do domu przed porą, na którą wyznaczono przeprowadzenie wywiadu. Udzielę go ze swojego biura. Jeśli Vivian nie uprze się, żeby pojechać do szpitala mi towarzyszyć - a będę ją do tego zniechęcał - zostanie wtedy sama w domu.

- Nie będzie sama, Blaine. Dotrzymam jej towarzystwa.

Rozdział 13

Kiedy pielęgniarka opiekująca się Wendy Hart dowiedziała się od szeryfa, że opiekun prawny osieroconej dziewczynki jest lekarzem ze szpitala Grace Memorial, zadzwoniła do dawnej koleżanki ze szkoły pielęgniarskiej, zatrudnionej tam na oddziale pediatrycznym. Koleżanka miała ciekawe uwagi na temat trzydziestoosmioletniego Thomasa Vaila. Świetny. Nieżonaty. Wspaniały lekarz. Kiepski kandydat na ojca.

Pielęgniarka Wendy nie miała zamiaru podważać ostatniego życzenia Daniela Harta. Byłaby nawet gotowa dowodzić, że z punktu widzenia Wendy zamiana jednego samotnego ojca na innego samotnego ojca będzie łatwiejsza do zaakceptowania niż przenosiny do domu, gdzie jest mama, tata i inne dzieci.

Pielęgniarka postanowiła zrobić, co się da, żeby te przenosiny przebiegły jak najłatwiej. W czasie, kiedy Thomas jechał z drugiego końca stanu, zajęła się zebraniem dla Wendy wszystkich potrzebnych i ważnych rzeczy. Zrobiłaby to samo dla każdego ze swoich pacjentów. Ale gotowość innych do pomocy pokazywała, jak bardzo śmierć Daniela poruszyła miasto.

Nie musiał przecież zgłaszać się do ochotniczej pomocy w czasie tej powodzi. Mógł zostać na swojej farmie dyń z córeczką, pilnując swojej dość wysoko położonej posiadłości w razie, gdyby woda miała się jednak podnieść.

Ale Daniel zgłosił się do pomocy i stracił życie. Gdyby nie tak fatalnie połamane ręce, udałoby mu się chwycić ratownika, który trzymał Wendy. Udałoby się uratować i ojca, i córkę.

Jeśli ciało Daniela się znajdzie, zostanie pochowany jak bohater.

A tymczasem ci, których życie i majątek zostały oszczędzone dzięki temu, że Daniel zdecydował się dołączyć do walki z powodzią, robili, co tylko mogli dla jego córki.

Byli nawet tacy, którzy czuli wobec Wendy tę samą wdzięczność, jaką czuli do Daniela. Kiedy jej ojciec walczył z powodzią, Wendy demonstrowała własną szczodłą naturę w sali gimnastycznej miejskiego ośrodka.

Ona pierwsza biegła uściskać nowo przybyłych w ich tymczasowym schronieniu - wszystkich, którzy potrzebowali uścisków niezależnie od wieku. I z zadziwiającym wyczuciem umiała ocenić, czego każdemu z ewakuowanych brakuje najbardziej -jedzenia, ciepła, prywatności, towarzystwa - i prowadziła ich do odpowiedniego kąta sali.

Wystrasżonym dzieciom Wendy pozwalała poprzytulać się do puszystego kłębka sierści kotki, Eileen.

Imię kociaka wywoływało wygłaszane szeptem komentarze dorosłych zgromadzonych w ośrodku dla ewakuowanych. Tak miała przecież na imię matka Wendy, której dziewczynka nigdy nie znała. Czy to nie jest trochę dziwne? A nawet niestosowne? Co ten Daniel sobie myślał? Jakim był ojcem?

Wendy odpowiedziała na te pytania samym swoim zachowaniem, zanim jeszcze zdążyła odezwać się choć słowem. Musiał być dobrym ojcem, cudownym ojcem, jeżeli wychował taką uroczą córeczkę. Poza tym to było szczęśliwe dziecko, a nie takie, na którego życie padłby cień smutku i żałoby Daniela.

Wszystkie pozostałe wątpliwości na temat środowiska, w jakim wychowywała się Wendy, rozwiązała sama Wendy, opowiadając o imieniu, jakie nadała kociakowi.

Kiedy odkryła, że tata miał jeszcze inne imię niż Tata - on ma na imię Daniel! - zapytała go, jakie inne imię miała Mamusia. Mamusi nie mogła zapytać. Mamusia była w niebie, skąd uśmiechała się do niej kochająco spomiędzy gwiazd.

Na to drugie imię Mamusia miała Eileen. Wendy uznała, że to idealne imię dla jej kotka. Miała pewność, że Mamusia będzie się teraz uśmiechała jeszcze ładniej - chociaż w pierwszej chwili Tatuś chyba się z tym nie zgadzał. Ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył, jak tego wieczoru świeciły gwiazdy nad ich dyniowym polem.

Eileen-kotek miał pojechać z Wendy do jej nowego domu. Ci sami mieszkańcy miasta, którzy zapełniali kartonowe pudła ubraniami, lalkami i pościelą dla Wendy, zaczęli pakować zabawki, jedzenie i żwirek dla Eileen.

Thomas z wdzięcznością przyjął te pakunki - i przez wzgląd na kociaka, i na Wendy. Jak wyjaśnił kobietom, które go przywitały, kiedy przyjechał o czwartej nad ranem, chętnie posłucha, jak Wendy żyło się przed tą tragedią. I ucieszył się, kiedy usłyszał, gdzie zdaniem dziewczynki przebywa jej matka.

Kiedy Thomas szedł po Wendy, zastanawiał się, jakim człowiekiem zostałaby, gdyby mu kiedyś powiedziano, że jego rodzina jest w niebie i uśmiecha się do niego z miłością spomiędzy gwiazd. Ale jemu powiedziano tylko brzydką prawdę. Jego najbliżsi zostali zmasakrowani, padając ofiarami wojny domowej, i wrzucono ich do masowego grobu.

Buzię śpiącej Wendy oświetlały światła padające ze szpitalnego korytarza.

Kiedy Thomas na nią patrzył, zmarszczyła brwi przez sen, a potem jej czołko wygładziło się, jakby te myśli, które przelatywały przez jej podświadomość, zostały zastąpione przez jakieś radośniejsze obrazy.

Bardzo się bał, że dziewczynkę obudzi jakiś koszmar, którego nie będzie umiała zrozumieć.

Wtedy poruszyła rzęsami i otworzyła oczy pod wpływem promienia księżycy i wzroku mężczyzny, który stał w pobliżu.

Zmrużyła oczy w świetle.

- Tatuś?

Nie, kochanie. Tak mi przykro. Ale postaram się, obiecuję, pomyślał. '

- Tatuś?!

Thomas dosłyszał jej przestroch i poczuł też własny lęk. A jeśli jego starania nie wystarczą?

Podniósł ją, razem z kocem, i przytulił mocno. Nie stawiała oporu. Objęcia silnych męskich ramion były dla niej czymś znanym. Modlił się, żeby jego głos, stłumiony otulającym ją kocem, zabrzmiał uspokajająco.

- Wszystko dobrze, kochanie. Wszystko w porządku.

- W porządku - mruknęła.

- Tak właśnie, Wendy. Wszystko w porządku. Jesteś senną dziewczynką, prawda? Prawda, tak. Śpij dalej. Zanim się obudzisz, będziemy już w domu.

Snow miała stanowczy zamiar spędzić niedzielny poranek, robiąc to, co powinna robić prezenterka *Godziny Kopciuszka*: czytając od deski do deski gazety.

To był jeden ze sposobów, które pozwoliły osiągnąć jej taki sukces w Atlancie. Trzymała rękę na pulsie spraw ważnych dla tamtejszych mieszkańców, znała zarówno tematy ważne jak i te drobne, i mówiła o nich na antenie.

I, jak w przypadku depresji poporodowej, poruszała też problemy mniej znane, o których jej zdaniem słuchacze powinni się czegoś dowiedzieć.

Na szczęście, pierwszy tydzień programu miała już opracowany.

Zupełnie nie potrafiła się skoncentrować na tym, co czyta w niedzielnej gazecie. Mogła znów usiąść do komputera i przejrzeć w sieci kolejnych sto artykułów na temat depresji poporodowej, ale to by było jak dolewanie oliwy do ognia. Jak rozniecanie na nowo pożaru we własnym sercu.

A może od razu zadzwonić po strażaka? I wyznaczyć mu tę najbardziej przynębiającą prawdę? Kocham cię, Lucasie Kilcannonie. Nadal. Zawsze. I tylko ciebie.

- Nie mogę.

Snow wypowiedziała te słowa na głos. Często jej się to zdarzało. Objaw samotności, mówiła sobie, a nie szaleństwa.

Było to zresztą ćwiczenie strun głosowych. Trzy godziny na antenie przez pięć wieczorów tygodniowo wymagało ćwiczeń. Gdyby nie

mówiła sama do siebie, zwłaszcza w weekendy, głos by jej chrypl z braku ćwiczeń.

To nie jest szaleństwo.

Zwyczajna samotność.

Snow odsuwała od siebie niedoczytaną gazetę, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo?

- Cześć, Snow. Tu Helen. Mam nadzieję, że nie dzwonię za wcześnie.

- Helen. Cześć. Nie, nie jest za wcześnie. - Snow zerknęła na zegar. Dwunasta. Prędzej by się spodziewała, że dziewiąta. Z reguły traciła wycucie krótkich odcinków czasu - kwadrans tutaj, trzech kwadransów tam - kiedy przygotowywała się do programu. Ale trzy godziny... Zaczęła tłumaczyć sobie, że wcale nie grozi jej, że zaczną jej umykać dni, tygodnie, miesiące przeznaczone na uporanie się z depresją sprzed szesnastu lat. - Nigdy nie jest za wcześnie, Helen. Ani za późno.

- Świetnie. Pomyślałam sobie, że trzeba coś ustalić z tym drugim gościem na wtorek, tym po Blainie. Trzymałam to miejsce dla osoby, która wygra aukcję.

- Luke.

- Och! Skąd wiedziałas?

- Znamy się z Quail Ridge. Widziałam go wczoraj wieczorem. Oznajmił, że jego zdaniem, wygra tę aukcję.

- Powiedziałabym, że sam o to zadbał, kosztem tych dwudziestu pięciu tysięcy. Mówił ci, o czym będzie chciał rozmawiać?

- O ochronie przeciwpożarowej.

- Tak. To właśnie napisał na kartce dołączonej do oferty.

- Coś cię w tym wszystkim martwi, Helen?

- Nie. To tylko znaczy, że mamy dwa poważne tematy w ten sam wieczór. Oczywiście, przejście od depresji poporodowej do czegoś lekkiego i zabawnego wydawałoby się dziwne.

- Zgadza się.

- Dobrze. W takim razie sprawdzę, czy odpowiada mu czas od dwudziestej trzeciej trzydzieści do pierwszej we wtorek wieczorem. Jeśli nie, umówię go na jakiś inny, lepszy termin.

Od dwudziestej trzeciej trzydzieści do pierwszej. Dokładnie ten sam czas, pomyślała Snow, który zdecydował się kiedyś spędzić z Vivian - zamiast z nią - po Balu Szklanego Pantofelka.

Snow nigdy nie spędziła z Lukiem tej pory nazywanej godziną Kopciuszka. Nawet w tamtą noc pożaru przy Meadow View Drive.

Dochodziła już północ, kiedy przecisnęła się przez tłum i zeszała na dno basenu. Ale Luke odesłał ją stamtąd... Jakby wierzył, że o północy ona zmieni się w kogoś, na kogo nie będzie chciał patrzeć.

- Znakomicie, Helen. - Dwudziesta trzecia trzydzieści do pierwszej, pierwszego listopada. Rocznica pożaru. Ona i Luke będą razem o północy. Czy rzeczywiście? - Czy to będzie rozmowa prowadzona w studiu?

- Umówię go tak, żeby tobie było wygodnie. Mogę załatwić, że udzieli wywiadu przez telefon, tak jak to robimy z Blaine'em, albo zapytam Luke'a, czy woli przyjść do studia. Jak myślisz?

- Wolę studio. - Luke założy, że spotkanie twarzą w twarz będzie znaczyło, że ona ma zamiar powiedzieć mu to, czego chciał się dowiedzieć. I powie mu to. Prawdę ukrywaną przez szesnaście lat, włącznie z tym męczącym ją upiorem. A jeśli chodzi o to, co teraz jest prawdą, może nie będzie chciał tego wysłuchać? Jeśli oboje nie zamienią się w zupełnie innych ludzi z wybiciem dwunastej, nie przejdzie jej przez usta, że go kocha.

- Niech będzie. Spróbuję skontaktować się z nim dzisiaj - niezależnie od tego, jak bardzo to będzie trudne.

- Trudne?

- Jego telefon będzie się dziś urywał, chyba że go wcześniej wyłączy. Nie czytałaś dzisiejszej gazety? Jest tam niesłychanie dramatyczne zdjęcie strażaka, Lucasa Kilcannona, który opuszcza się ze śmigłowca, ratując czteroletnią dziewczynkę.

Snow zerknęła na nieprzeczytaną gazetę, ale nie wzięła jej do ręki.

- Podane jest nazwisko dziewczynki?

- Zaczekaj. Mam tu gdzieś pod ręką gazetę. Zdjęcie łatwo znaleźć. Jest obok całostronicowej reklamy *Godziny Kopciuszka*. Sekundkę. Dobrze. Mam już. Nazywa się Wendy Hart. Jej ojciec nie miał tyle szczęścia. Zginał, zanim zdążyli go uratować. Co za tragedia.

- Tak. - Tragedia dla wszystkich zainteresowanych... Włącznie z Lukiem. Uratował małą Wendy. Ale nie udało mu się uratować jej ojca. Będzie się tym zadręczał. Na pewno się tym zadręcza. Dostrzegła ten wyraz rozpacz w zmęczonych zielonych oczach Luke'a.

- W każdym razie, kiedy uda mi się do Luke'a dodzwonić, poproszę go, żeby przyjechał do studia we wtorek wieczorem. A skoro już cię

złapałam, chcę ci powiedzieć jeszcze o czymś, nad czym pracuję. Jak wiesz, nasz program będzie dostępny w realnym czasie w Internecie, będzie też w Internecie archiwizowany i nagrywany na taśmę. Ale uważam, że twój wywiad z Blaine'em powinien zostać dodatkowo odtworzony z taśmy. Jeśli się zgodzisz, chciałabym prosić prezenterów programów porannych i popołudniowych, żeby zgodzili się go puścić. Na pewno się zgodzą.

- Byłoby cudownie, Helen.

- Moja szwagierka jest w ciąży. To jej pierwsze dziecko. Oboje z moim bratem nie posiadają się ze szczęścia. Ona będzie fantastyczną matką, a on świetnym tatą. Ale od lat cierpiała na bardzo silne PMS-y, takie, że mój brat żartował, że trzeba przed nią wtedy chować ostre przedmioty. Dziś rano przeczytałam, że to może być czynnik ryzyka dla depresji poporodowej. To nawet sensowne - taka zwiększona wrażliwość na wahania hormonów. Zadzwońię do nich i każę im wysłuchać, i nagrać wtorkowy program. I porozmawiać z jej lekarzem. W tym tygodniu. Chcę, żeby każda ciężarna kobieta na świecie mogła otrzymać tego typu ostrzeżenie, lub pomoc lekarską.

- Ja też tego chcę.

- Wiem. No cóż, to tyle, na razie. Chyba że... Będziesz oglądać dziś po południu mecz Niedźwiedzi? Jeśli tak, to serdecznie cię do nas zapraszam. Mąż i jego koledzy z radością uraczą cię swoimi soczystymi komentarzami.

- Jeszcze uprzejmiej żaden producent nigdy mi o niczym nie przypomniał! I nie martw się, na pewno obejrzą mecz. Wiem, że jutro wieczorem mam wywiad z trenerem. Ale chyba zostanę w domu i w przerwach na reklamy skończę się rozpakowywać. Niemniej dzięki.

- Nie ma za co. Aha, jeszcze ostatnia rzecz, dla dodania ci otuchy. Kiedy sprawdzałam, kto wygrał na aukcji udział w programie, urzędniczka z biura funduszy wspomniała o jeszcze jednej ofercie. Miranda Larken, lekarka weterynarz z Quail Ridge, chce zapisać szpitalowi piętnaście tysięcy dolarów za przyjemność zabrania cię na lunch. Urzędniczka z biura funduszy zadzwoni do ciebie w tygodniu, żeby omówić szczegóły.

- Miranda Larken?

- Znasz ją?

- Nie.

- Urzędniczka z biura funduszy powiedziała, że ona jest bardzo miła.

Jestem pewna, że jest miła, pomyślała Snow, wspominając, jak dawno temu bardzo miła pani Evans nie mogła się doczekać dnia, kiedy Snow pozna Mirę.

Rozdział 14

Mira nie miała zamiaru poświęcać niedzieli na spisywanie, słowo po słowie, obrzydliwie obscenicznych telefonów. Stwierdziła, że nigdy nie spisze takiego podsumowania dla Blaine'a. Ani dla policji, przynajmniej na razie.

Jeśli ten ktoś znów do niej zadzwoni - a wczoraj, kiedy Bea została na gospodarstwie, nie odezwał się - to ona, zanim powiadomi policję, najpierw znajdzie jakiś sposób, żeby upewnić się, że to nie Vivian. A jeśli nie uda się na pewno wykluczyć, że autorką tych telefonów jest jej siostra?

Policja w ogóle nie musi się dowiadywać, że ona takie telefony dostawała. Blaine'owi - i Bei też - powie, że domysły Vivian, iż sprawcą jest jakiś nastolatek-dowcipniś, okazały się trafne... I, dzięki Bogu, znudził się zwracaniem jej głowy, a teraz psoci już gdzie indziej.

Mira na ten dzień wymyśliła sobie inny plan do zrealizowania, kiedy trójkolorowa Agatha wróci już do swoich państw.

Agatha przywitała swoich właścicieli w sposób dla kota typowy, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że czuje się dobrze. Żółtozielonymi oczyma z wyniosłą obojętnością spoglądała na przymilających się do niej właścicieli. I kogo to obchodzi, że za nią tęsknili? I że przez cały ranek mościli dla niej jak najwygodniejsze, cudowne gniazdko w nogach swojego łóżka?

Kiedy już zabrali Agathę, Mira sięgnęła po telefon i zadzwoniła do jedynej osoby, która była dla niej nieraz prawdziwą matką. W chwili, w której Blaine po balu odstawił ją do domu, Bea od razu wyczuła szarpiące ją wątpliwości.

- Co się dzieje? - spytała ją wtedy.

Mira zareagowała głębokim westchnieniem połączonym z niepewnym kręceniem głową i jakimś desperackim pochrząkiwaniem.

A Bea pożegnała się z nią w doskonałym humorze, dodając:

- Daj mi znać, jeśli będziesz chciała porozmawiać.

Kiedy więc Bea podniosła słuchawkę, Mira powiedział tylko:

- Teraz.
- U ciebie czy u mnie?
- Zajrzę do ciebie, jeśli można.
- To ja wstawiam wodę.

Kiedy Mira stanęła pod drzwiami, czajnik już gwizdał.

Zaczęła mówić, zanim jeszcze Bea napełniła kubki.

- Tak naprawdę zdecydowałam się wziąć udział w tym balu ze względu na mojego rzekomego przyjaciela, Luke'a.

- Jak to rzekomego?
- Beo, bądź poważna.
- Luke jest twoim przyjacielem, Miro. A ty jesteś jego przyjaciółką.

Mów dalej.

- Do Chicago wrócił ktoś, kto kiedyś był dla Luke'a bardzo ważny.

Bea pokiwała głową.

- Snow.

Mira uniosła ręce w geście desperacji.

- Poddaję się! No i tyle jeśli chodzi o to, że Luke w ogóle kiedyś powiedział mi o sobie coś naprawdę osobistego.

- Wiem o Snow i Luke'u, ale Luke nigdy mi się nie zwierzał. Zgaduję na podstawie tego, co widziałam na własne oczy przed laty.

- Opowiedz mi. Proszę.

- W noc tamtego pożaru zesłałam do basenu razem z sanitariuszami. Nikt inny nie chciał nawet zbliżyć się do Luke'a. A potem pojawiła się Snow. Nie wiedziałam, że ona i Luke się przyjaźnili. Oboje chodzili do podstawówki w Pinewood, ale aż do tamtej nocy nigdy ich razem nie widziałam. Snow miała wtedy dziewięć lat, Miro. Ale miłość, którą zobaczyłam - jej miłość do Luke'a - to była miłość dojrzałej kobiety. Gdyby mogła zamienić się z nim na miejsca, zrobiłaby to. Zrobiłaby wszystko, żeby mu ulżyć w bólu. Wydało mi się, że Luke czuje do niej to samo. Dlatego tamtej nocy odepchnął ją od siebie. I wciąż na nowo potem ją odpychał.

- Listy wracały ze szpitala, nieotwierane - powiedziała Mira. Jej cichy głos przypominał głos, jakim Luke opowiedział jej o tych listach. Zatrzymywał je czasem na dzień czy dwa, bez otwierania - nigdy sobie na to nie pozwolił, mimo że bardzo pragnął je otworzyć.

- Jest jeszcze coś, o czym Luke na pewno nikomu nie powiedział.
- Ale ty o tym wiesz.

- Bo Snow używała mojego adresu jako adresu zwrotnego. Była upartą małą osobką. I strasznie martwiła się o Luke'a. Czy przeżyje? Czy będzie mógł jeszcze chodzić? Czy nie czuje się samotny? Cała jej troska dotyczyła dobra Luke'a, nie jej własnego. A on odtrącał ją za każdym razem. Chciałam im jakoś pomóc. Ale nie mogłam się do niej zbliżyć ani trochę bardziej, niż on pozwalał jej zbliżyć się do siebie. Widziałam ją kilka razy, kiedy chodziła do gimnazjum. Nie miała pojęcia, że wiem o tym, że się zapisała do klubu dyskusyjnego, i że dlatego wybrałam się na kilka ich debat. Starła się żyć dalej, jak najlepiej potrafiła. Nie wiedziałam, że ona i Luke znów nawiązali kontakt, kiedy Luke wrócił do Quail Ridge na ostatni rok nauki w Liceum Larkena. Z tego co mówisz wynika, że właśnie do tego doszło.

- Tak, Beo, Luke ją kochał. To, co widziałas, rzeczywiście miało miejsce. On wierzył, że Snow też go kochała. Był zdruzgotany, kiedy się dowiedział, że wyjechała z miasta bez słowa wyjaśnienia.

- O!

- Co takiego?

- Zaczynam mieć dziwne przeczucia a propos tego, co się stało wczoraj wieczorem. Proszę, nie mów mi tylko, że rozmawiałaś ze Snow.

- Nie zrobiłam tego.

- Dzięki Bogu.

- Ale przygotowałam sobie grunt.

Mira wyjaśniła swoje plany związane z lunchem za piętnaście tysięcy dolarów, w czasie którego miała zamiar dać znać Snow, jak głęboko zraniła Luke'a.

- Intencje masz dobre - powiedziała Bea. - No, ale to zawsze było wiadomo.

- Ale mam kłopot z głową, tak? Co ja sobie, u diabła, wyobrażałam?

- Nie wyobrażałaś sobie. Ale to się da naprawić.

- I naprawię to, jak tylko jutro otworzą szpitalne biuro zbierania funduszy. Powiem im, że prześlę datek czekiem i że nie muszą się kontaktować ze Snow w sprawie tego lunchu.

- To jedna możliwość.

- Uważasz, że nie powinnam się wycofywać?

- Z lunchu ze Snow, nie. Z konfrontacji, owszem. Przy okazji, mogłabyś mnie też zaprosić. Bardzo bym chciała znów ją zobaczyć. I powiedzieć, że to ja wpadłam na pomysł tego naszego wspólnego lunchu.

- A co powiem Luke'owi, jeśli zobaczy się ze Snow, a ona mu o tym wspomni?

- Po prostu nie kłam. I porozmawiaj z nim, zanim on się o tym dowie.

- Będzie wściekły.

- Rozzłości się. Na trochę. Ale szybko zrozumie, że kierowały tobą czyste intencje. Widziałś jego zdjęcie w dzisiejszej gazecie, prawda?

- Tak. Ale tu nie chodzi o bohaterstwo Luke'a, Beo. Wiemy, że on zawsze jest gotowy ryzykować własne życie dla obcych ludzi.

- Jak sądzisz, co by zrobił Luke Kilcannon, gdyby jakiś mężczyzna - który ciebie by głęboko zranił - wrócił z powrotem do miasta? Nie możesz sobie wyobrazić, że decyduje się przeprowadzić małą męską rozmówkę z takim bydlakiem?

Mira się uśmiechnęła.

- Mogę.

- No więc sama widzisz. Będzie wzruszony tym, że chcesz chronić jego uczucia tak, jak on chciałby chronić twoje.

Mira przestała się uśmiechać.

- Przed wczorajszym wieczorem zgodziłabym się z tobą. Ale najwyraźniej nie znam Luke'a tak dobrze, jak to sobie wyobrażałam. On nie chce, żebym go znała, Beo. Zdecydował się nie mówić mi o rzeczach, o których naprawdę powinien mi powiedzieć.

- Na przykład?

- No cóż, na początek, kim była ta jego druga dziewczyna z Liceum Larkena...

Rozdział 15

Posiadłość Larkenów

Quail Ridge

niedziela, 30 października, 14.00

Dzień dobry. - Blaine wstał zza biurka w swoim gabinecie, żeby przywitać się z żoną. - Długo spałaś.

- Wzięłam pigułkę. No dobrze, dwie. I popiłam kieliszkiem wina.

Vivian rzadko piła. Już wiele lat temu odkryła, że aż za bardzo lubi tę formę ucieczki i zdecydowanie nie podoba się samej sobie, kiedy jej ulega.

Od czasu do czasu brała pigułki nasenne przepisane przez Blaine'a. Jedna taka pigułka, jeśli zażyła ją wieczorem, potrafiła zdziałać cuda. W przeciwnym razie leżałaby bezsennie i rozmyślała nad zaplanowanym na następny dzień przesłuchaniem w sprawie odebrania komuś praw do opieki nad dzieckiem.

Ale dwie takie pigułki, popite kieliszkiem wina...

- To dlatego nie obudziłaś się, kiedy wróciłem do domu.

- Przepraszam. Chciałam na ciebie zaczekać, ale stwierdziłam, że marne byłoby ze mnie towarzystwo...

- Wykluczone.

- No cóż, wydawało mi się, że rozsądnie będzie trochę pospać. Jak udał się bal?

- Świetnie. Snow Ashley Gable tam była - dodał.

- Poznałeś ją?

Blaine skinął głową.

- Porozmawialiśmy chwilę na temat programu. Powiedziałem też, że jestem twoim mężem.

- No i?

- Prosiła, żeby cię pozdrowić. Wyglądało to na szczery odruch. Nie ciskała oczami żadnych gromów. Wydawała się szczerą, Vivian.

Vivian westchnęła.

- Polubiłeś ją.

- Na tyle, na ile zdążyłem ją poznać, owszem.

- Czy Mirze się spodobała?

- Nie miały okazji się poznać. Chociaż powinny. Pomyślałem, że byłoby zabawnie - i może terapeutycznie sensowne - gdybyśmy wydali proszony obiad w najbliższy weekend.

- Terapeutycznie?

- W świetle dnia traktujesz kwestię Snow chyba spokojniej, może przemyślałaś więc już to, co się z nią wiązało. A w takim przypadku byłby to po prostu uprzejmy sposób przywitania jej w rodzinnych stronach.

- Chcesz, żebym zaprosiła Snow na obiad?

- Tak - powiedział Blaine. - Zwłaszcza że jednak wcale tak spokojnie tego nie traktujesz. Ona na dźwięk twojego imienia reaguje spokojnie. Jeżeli żywisz wobec Snow jakiegokolwiek niezycliwe uczucia, to

ona ich nie odwzajemnia. Najlepszym sposobem, żeby przekonać się, że nie jest jakimś czarnym charakterem, w który zamieniłaś ją we własnych wspomnieniach, będzie spędzenie przyjemnego wieczoru w jej towarzystwie.

- Zdecydowanie tego nie chcę.
- A ja naprawdę chcę.

Przeszył ją jakiś lęk. Nigdy nie kłócili się z Blaine'em. Nawet nie miewali sprzeczek. A to dlatego, zrozumiała nagle Vivian, że ona zawsze ustępowała jego życzeniom. Na inne rozwiązanie Blaine się nigdy nie zgadzał.

- Chciałbym też zaprosić Luke'a Kilcannona.
- Co takiego? Nie! Dlaczego!?
- Tak dużo o nim słyszałem, że chciałem go poznać. Może Snow też to zrobi dobrze, kiedy go znów zobaczy. Powiedziałaś, że wiele lat temu miała na jego punkcie jakąś obsesję. No i przecież Luke, i Mira się przyjaźnią.

- Luke i Mira się przyjaźnią?
- Ona tak twierdzi. Nie są chyba kochankami. A przynajmniej, nie są nimi w chwili obecnej. Ale mogę się tu mylić. Pewnie sami zobaczymy. Możemy powiedzieć Mirze, że zaprosiliśmy Luke'a, ale że ona może też wziąć ze sobą kogoś do towarzystwa.

- Dlaczego chcesz to zrobić?
- Mówiłem ci. Dla rozrywki, która przy okazji może okazać się terapeutyczna. Diagnostyczna. A przy tym okażemy się uprzejmi.

- To znaczy, że twoim zdaniem to możliwe, że Snow jest autorką tych obrzydliwych telefonów do Miry - powiedziała Vivian. -I że jeśli zobaczysz ją z Lukiem i Mirą pod tym samym dachem, to być może uda ci się to stwierdzić na pewno.

- Nie jestem pewien, czy te obsceniczne telefony w ogóle mają miejsce, Vivian. Moim zdaniem niewykluczone, że Mira je sobie wymyśliła.

- Mira nie wymyśla takich historyjek.

To ja jestem tą z siostr Larken, która kłamie, pomyślała Vivian.

- A ty skąd to wiesz?
- To moja siostra.
- Ale, jak mi powtarzałaś niezliczoną ilość razy, ledwie ją znasz.
- Tak. Ale znam ją na tyle dobrze, żeby akurat to wiedzieć. Poza tym, z jakiego niby powodu miałyby podobne rzeczy wymyślać?

- Bo brak jej wiary w siebie. Bo rozpaczliwie potrzebuje uwagi.

Brak wiary w siebie? Chęć zwrócenia na siebie uwagi? U Miry?!

- myślała z niedowierzaniem.

- Blaine, to wszystko co mówisz nie ma najmniejszego sensu. Czekam, aż powiesz, że to prima aprilis - czy może raczej: „Słodczyce za psikusą”. W końcu dziś jest Halloween, prawda? Proszę, powiedz mi, że to jakiś żart... Zaczynając od tego proszonego obiadu, który chcesz zorganizować.

- To żaden żart, Vivi. I przynajmniej część z tego wszystkiego to poważne sprawy.

- Mówisz o swojej trosce o Mirę.

- Tak.

- A czego mi nie mówisz?

- Ona tobie zazdrości.

- Nieprawda! Przecież to niemożliwe. Ona jest tak zadowolona z tego, kim jest, że kiedy nie dostaje tego, czego pragnie jej serce, ustępuje z wdziękiem, a nie okrutnie się mści. Mira nie jest o mnie zazdrosna.

- Ona chce tego, co masz ty.

Chce odczuwać ciągły przymus zdobywania osiągnięć w pracy? - pomyślała. Nigdy nie pozwalać sobie na załamanie, niezależnie od tego, jak bardzo czuje się znużona?

- Na przykład?

- Zastanów się.

Vivian nie musiała się zastanawiać. Wystarczyło, że spojrzała mu w oczy.

- Ciebie?

- Do niczego nie doszło, Vivian. To się rozumie samo przez się. I wydaje mi się, że tym razem udało mi się dać Mirze do zrozumienia, że nigdy do niczego nie dojdzie.

- Tym razem?

- Mówiłem ci, że ona jest zdesperowana. Już wcześniej byłem wobec niej szczery, ale bez skutku. Niemniej, wczoraj wieczorem... Wydaje mi się, mam nadzieję, że wreszcie zrozumiała. To ze względu na nią zaproponowałem ten obiad i dlatego chciałem, żeby poszła na bal w naszym towarzystwie. Im częściej będzie widywała nas oboje razem, tym lepiej.

Czy to dlatego jesteś wobec mnie szczególnie czuły, szczególnie dbały i pełen miłości właśnie wtedy, kiedy w pobliżu jest Mira? - zastanawiała się Vivi.

- Muszę chyba wrócić do łóżka - mruknęła. -I spróbować jeszcze raz się obudzić.

- Mogę do ciebie dołączyć, Vivi?

- Tak. Oczywiście.

Ale zmarszczyła brwi. A Blaine się uśmiechnął.

- Może pozwolę ci się w jakiś sposób przekonać, żeby to przyjęcie z obiadem odłożyć jeszcze o jakiś tydzień czy dwa.

Rozdział 16

Wind Chimes Towers
niedziela, 30 października, 17.00

Thomas siedział w salonie swojego mieszkania, kiedy Snow zastukała do drzwi.

- Cześć - szepnęła. - Nie chcę ci przeszkadzać, ale może potrzebujesz pomocy.

- Dzięki. Wejdz. Mała śpi.

-I jak?

- Jest oszołomiona. Zmęczona. Nie może zrozumieć, co się właściwie stało.

- Jak miałyby zrozumieć coś, czego się zrozumieć nie da?

- Też zakładam, że tego się zrozumieć nie da. Dlatego nawet nie próbowałem nic wyjaśniać. Mam nadzieję, że uda mi się zapewnić jej tyle poczucia bezpieczeństwa, ile tylko zdołam.

- Więcej zrobić nie możesz - powiedziała Snow. - To i tak trudne zadanie.

- Na razie całkiem wykonalne. Budzi się tylko na krótko i znów zasypia. A kiedy nie śpi, jest półprzytomna. W końcu oprzytomnieje i zacznie się zastanawiać, co się stało z jej światem.

- Odkryje nowy, ale nie do końca nieznanomy świat. Zostaną w nim te wszystkie chwile, w których już się czuła przy tobie bezpieczna.

- Zobaczymy.

- A jak ty się masz, Thomas?

- Usiłuję zrozumieć coś, czego zrozumieć się nie da.

Snow pokiwała głową.

- Znam strażaka, który uratował Wendy.

- Luke'a Kilcannona?

- Tak. A ty go znasz?

- Nie. Jego nazwisko było w raporcie z akcji ratowniczej. Mam u niego dług wdzięczności. Może kiedyś będę mógł mu to powiedzieć. Daniel też byłby mu bardzo wdzięczny.

- Tatusiu!

Thomas pobiegł w stronę gabinetu, teraz przerobionego na sypialnię Wendy.

Snow ruszyła za nim, ale przystanąła.

Wendy wystarczy już tego życiowego zamieszania, widoku coraz to nowych obcych ludzi. W najbliższej przyszłości wszystkie jej bezpieczne - i pełne miłości - chwile powinny kojarzyć się z Thomasem.

„Cichutko jak myszki pójdziemy i zbudujemy mały śliczny domek dla Wendy”.

Właśnie to robił Thomas... I powinien to robić sam.

Cicho jak mysz, Snow zawróciła do siebie.

Wendy siedziała na łóżku wyprostowana jak struna, rozglądając się wystraszonymi, dzikimi oczami.

Żaluzje w pokoju były opuszczone, zasłaniając widok na szalejącego deszcz, który najpierw zniszczył jej życie, a potem przesunął się na wschód stanu. W świetle z korytarza dostrzegła mężczyznę, który wbiegł do pokoju i przykleknął przy łóżku.

- Gdzie tatuś?

Nie po raz pierwszy stawiała to pytanie. W czasie jazdy przez Illinois, kiedy obudziła się i zaczęła je zadawać, Thomas zatrzymał samochód, usiadł na tylnym siedzeniu obok niej i próbował odpowiedzieć, nie odpowiadając.

- Cześć, Wendy - mówił wtedy. - Mam na imię Thomas. Jestem przyjacielem twojego tatusia. Prosił mnie, żebym się tobą zajął. Zatrąszczę się o ciebie, Wendy. Chcę zostać twoim przyjacielem.

Thomas nie zakończył pytaniem: „Dobrze?” Mała rozumiała jeszcze mniej niż on i nie trzeba jej zmuszać do szukania pod presją jakichś niemożliwych odpowiedzi.

- Twoim przyjacielem, powtórzył, i przyjacielem Eileen.

Wyjął rozbudzonego kociaka z podróznego koszyka. Kotek znalazł się w bezpiecznym schronieniu, w ramionach dziewczynki. Wendy przytuliła

jasnowłosa głowę do szarego łebka i zastygła bez ruchu, a Thomas raz po raz powtarzał swoje zapewnienia:

- Twoim przyjacielem, Wendy, i przyjacielem Eileen.

Żeby to do niej chociaż dotarło, myślał. I żeby w to uwierzyła.

Ale nie Wendy ponosiła za to odpowiedzialność, tylko on. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc jej uwierzyć. Trzeba będzie zapewnić jej dwudziestoczerogodzinną intensywną opiekę - do takiej opieki zupełnie go nie przeszkolono, ale nie szkodzi, wywiąże się z zadania.

Zaszokowała go własna pewność. Jak to możliwe, że właśnie on taką pewność czuje?

Bo Wendy nie ma nikogo poza nim. Jej przetrwanie zależy od niego.

Mógł uciec od tego obowiązku. Biologiczni rodzice często rzucają się do szaleńczej ucieczki przed odpowiedzialnością. Ale Thomas wziął na siebie tę odpowiedzialność z takim samym przekonaniem, z jakim Wendy tuliła swojego kociaka.

- Twoim przyjacielem, mała Wendy.

Twoim ojcem, pomyślał.

- Twoim i Eileen.

W samochodzie znów zasnęła, pod wpływem jego głosu i kryjącej się w słowach obietnicy zapadła w jakiś przyjemny, miał nadzieję, sen.

Teraz znów była rozbudzona i przerażona.

Thomas od nowa zaczął swoją uspokajającą litanię.

- To ja, Wendy, Thomas. Twój przyjaciel. I przyjaciel Eileen.

Kotka też siedziała czujnie wyprostowana, wyrwana ze snu krzykiem Wendy. Skuliła się na widok Thomasa, przysuwając się do dziewczynki.

Kiedy Thomas wymówił jej imię, Wendy wzięła kociaka na rękę.

- Gdzie tatuś?

I tyle, jeśli chodzi o stworzenie solidnego fundamentu poczucia bezpieczeństwa, żeby, po obudzeniu się na dobre, w tym nieznanym nowym świecie, Wendy mogła ucześcić się czegoś w miarę znajomego.

- Jest z mamusią, kochanie.

- W niebie.

- Tak właśnie. Jest w niebie, z mamusią, i wiesz, co? Uśmiecha się stamtąd do ciebie, tak samo jak mamusia.

- Kocha mnie.

- Tak - szepnął Thomas. - Kocha cię, Wendy. Tak samo jak mamusia. Zawsze cię będzie kochał.

Wendy wpatrywała się w łeppek Eileen. Szare futerko drgało w rytm mruczenia kotka.

Wendy zbierała się w sobie, żeby powiedzieć coś trudnego. Thomas bał się tego i przysięgał sobie, że zrobi wszystko, żeby ta niepokojąca myśl, czymkolwiek się okaże, poszła precz.

Spojrzał na jej delikatne rączki, odruchowo, uspokajająco głaszczące kocie futerko i wspomniął wielkie dłonie farmera hodującego dynie, którego poznał cztery lata temu.

Jak delikatnie dłonie Daniela dotykały jego umierającej, wciąż walczącej Eileen! A kiedy przegrała walkę ze śmiercią, z jaką miłością dotykały maleńkiej, walczącej o przetrwanie Wendy.

I z jaką miłością, jak troskliwie te dłonie pisały o Wendy w rozsyłanych przez niego bożonarodzeniowych kartkach.

I jak okaleczone były, kiedy adresował kopertę, którą razem z kocia-kiem włożył do plecaka Wendy.

Prawny opiekun Wendy, doktor Thomas Vail, szpital Grace Memorial, Chicago.

Połamane palce wiedziały, że śmierć nadchodzi. Zmusił niepewne dłonie, żeby napisały te najważniejsze słowa - i te, które umieścił w środku listu.

„Kochaj ją, Thomas. Kochaj moją malutką.

A jeśli nie będziesz mógł, proszę, znajdź kogoś, kto ją pokocha”.

Będę ją kochał, przysięgał Thomas, czekając, aż Wendy się odezwie. Ja już ją kocham.

- Tata utonął.

Kto jej to powiedział? Kto mógł być aż tak okrutny?

Nikt, domyślił się. Najprawdopodobniej czyjaś nieuwaga, a nie okrucieństwo, zdradziła córce Daniela, jak zginął jej ojciec. Pewnie podsłuchiwała jakąś rozmowę nieprzeznaczoną dla jej uszu, prowadzoną przez dorosłych, którzy zakładali, że jest za bardzo zszokowana, żeby słuchać, i na pewno za mała, żeby zrozumieć.

Może i była za mała. Może nie ma pojęcia, co to znaczy: utonąć.

- To prawda, utonął - powiedział Thomas cicho. - To tak, jakby odpłynął w sen, Wendy. Odpłynął w sen, na chmurze. A wiesz, gdzie się znalazł, kiedy się obudził?

- W niebie.

- Tak właśnie.

- Z mamusią.

Podniosła oczy na niego... Jakby czegoś właśnie od niego potrzebowała. Miłości. Thomas uśmiechnął się w stronę tych poszukujących, błękitnych oczu.

- Znałem twoją mamusię i tatusia - powiedział cichym głosem.

- Naprawdę?

- Tak. Zanim jeszcze przyszedł na świat. Ogromnie się cieszyli, że urodzi im się taka malutka córeczka. I podzielili się ze mną tą radością. I wiesz, co jeszcze? Byłem tam tego dnia, kiedy się urodziłaś.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Za nic bym nie chciał być wtedy gdzie indziej. Byłaś bardzo małeńka. O wiele mniejsza niż Eileen. Taka malutka, że musieliśmy cię ułożyć w specjalnym małym pokoiku, który nazywa się inkubator, gdzie było ci ciepło i wygodnie, kiedy sobie rosłaś. A wiesz, co się działo zawsze, kiedy cię odwiedzałem?

- Co?

- Wkładałem palec do inkubatora. - Thomas uniósł wskazujący palec prawej dłoni. - I wiesz, co ty wtedy robiłaś? Chwytałaś za palec i ścisкалаś go.

- Czy to bolało?

- Kiedy mnie ścisкалаś za palec? Nie, kochanie. To było cudowne.

W taki sposób się ze mną witałaś.

Nie cofnął palca, który zawisł między nimi w powietrzu, trochę poza jej zasięgiem. Ale trzymał go tak, że gdyby wykonała najmniejszy gest, przysunąłby rękę do jej szukającej dłoni.

Zastanawiała się nad tym. Być może zaczynała rozumieć - być może - że ten palec, że sam Thomas, już zawsze tu zostanie.

A może jej mina znaczyła coś innego.

To była mina zamyślona, nie zmartwiona.

- Czy mamusia i tatuś są teraz aniołkami?

Thomas się uśmiechnął.

- Och, tak, Wendy. Mamusia i tatuś z całą pewnością są teraz aniołkami.

W tej samej chwili, w drugim krańcu stanu, wiele kilometrów od domu na farmie, z którego powódź porwała Daniela Harta, helikopter obniżył lot nad sylwetką przypominającą upadłego anioła. Jego jasne, białe skrzydła unosiły się na powierzchni wezbranej rzeki. Rozpostarte były szeroko, jak w locie. Ale sam anioł - czy to był on, czy ona - za-

czepił o jakąś gałąź. I trwał bez ruchu. Głowa spoglądała w inną stronę, skierowana w dół.

Na pewno nie żył.

Utonął, mimo białych skrzydeł, które utrzymywały ciało na powierzchni.

Rozdział 17

Remiza strażacka

Quail Ridge

wtorek, 1 listopada, 13.00

Hęj, Luke? Ogarnąłeś się? Idzie do ciebie na górę piękna kobieta!

Snow. Luke podniósł się szybko z łóżka, na którym leżał, myśląc o niej, i przeszedł parę kroków do zamkniętych drzwi pokoju, z którego korzystał w czasie swoich dyżurów w remizie.

Otworzył drzwi, ale za nimi zobaczył inną twarz z przeszłości.

- Vivian.

- Cześć. Mogę wejść?

Łóżko było zasłane, a w pokoju żadnych prywatnych rzeczy. W przeciwieństwie do swoich kolegów strażaków, Luke nie przynosił tu żadnych osobistych drobiazgów. Biurko, krzesła, komputer i telewizor - tak wyglądało typowe wyposażenie remizy strażackiej Quail Ridge. Nie był to duży pokój. Ale dwie dorosłe osoby mogły w nim przebywać, nie naruszając nawzajem prywatnej przestrzeni. Mimo to zapytał:

- Po co?

- Chcę z tobą porozmawiać. Na osobności.

- O czym?

- O dziewczynce, którą uratowałeś w sobotę po południu.

- Wejdz.

- Dziękuję.

Vivian Larken, adwokat, podeszła do biurka w swoich eleganckich butach na wysokich obcasach. Postawiła na biurku teczkę i usiadła na krześle. Dłoń z idealnym manikiurem położyła na teczce, ale jej nie otworzyła.

Patrzyła na Luke'a, który zamknął drzwi, a teraz stał, opierając się o nie.

- Skontaktował się ze mną doktor Thomas Vail - zaczęła Vivian.
- Mężczyzna, którego Daniel Hart wyznaczył na opiekuna Wendy w liście napisanym na krótko przed śmiercią. List nie był podpisany przez świadków ani notariusza. Wydaje się, że to jedyny testament Daniela.

- Nie jest legalny?

- Ostatnie życzenie umierającego można traktować jako legalny testament, podobnie jak w sprawach kryminalnych słowa wypowiedziane pod wpływem dużych emocji będą miały większą wagę niż zwykła plotka.

- Można traktować jako legalny testament - powtórzył Luke. - Ale można je też zakwestionować?

- Albo podważyć.

- Jesteś tu, bo Thomas Vail podważa ostatnią wolę Daniela? - Jeśli tak, pomyślał Luke, jeśli on nie chce zająć się Wendy, to ja chcę to zrobić. I zrobię. Snow i ja...

- Wprost przeciwnie, Luke. Thomas poprosił mnie, żebym zgodnie z prawem dała mu gwarancje, że jego opieka będzie niepodważalna. Pierwszym krokiem jest poświadczenie autentyczności ostatniej woli Daniela poprzez uzyskanie pisemnego oświadczenia ostatniej osoby, która widziała go żywego. Jak rozumiem, tą osobą jesteś ty.

- Tak.

- Według raportu szeryfa, który Thomas mi przefaksował, Daniel powiedział ci o liście - zaadresowanym do Thomasa - umieszczonym w plecaku Wendy.

- Tak. Krzyknął do mnie, że list tam jest. Jeśli trzeba potwierdzić, że moim zdaniem Daniel tego właśnie chciał dla Wendy, to ja jestem gotów to potwierdzić.

- Trzeba. Napiszę krótki tekst potwierdzenia, a kiedy już go podpiszesz, poświadczymy dokument u notariusza i przedstawię go sądowi - zakładając, że do tego czasu znajdują już ciało Daniela. Jeśli nie, będzie mi potrzebne twoje kolejne pisemne oświadczenie. Kiedy nie ma zwłok, dopiero po siedmiu latach można kogoś prawnie uznać za zmarłego. W tym przypadku będę zwracała się do sądu o wcześniejsze wydanie aktu zgonu. W raporcie szeryfa jest napisane, że byłeś świadkiem śmierci Daniela.

- Widziałem, jak go porывała fala powodzi. Nawet jeśli był silnym pływakiem, wątpię, żeby przeżył. A z tym gipsem na rękach... Nie widziałem samego momentu jego śmierci, Vivian. Ale wierzę, że byłem

świadkiem ostatnich chwil jego życia. Ostatnich chwil miłości i jego pragnień związanych z Wendy.

- Dobrze. Przygotuję i to oświadczenie. Dziękuję, Luke.

- Nie ma za co. Znasz go, Vivian?

- Thomasa? Jest lekarzem z Grace Memorial. Przez jakiś czas spotykał się z Lacey. Z Blaine'em parę razy jedliśmy z nim obiad.

- Lubisz go?

Vivian powinna Thomasa nie lubić. Kiedy już Lacey zrywała z jakimś mężczyzną tak, jak z Thomasem w dzień ślubu Vivian, natychmiast zapominała o wszystkich jego ewentualnych zaletach. A jako przyjaciółka Lacey Vivian też miała o nich zapominać.

Z Thomasem nie powinna mieć kłopotów. Lacey do tej pory wyrażała się o jego zmysłowości, która zaskakiwała nawet ją samą.

Lacey oburzyłyby się, widząc, że Vivian zwleka z odpowiedzią na pytanie Luke'a. Niech szlag trafi lojalność adwokata wobec klienta! Lacey byłaby zdumiona, że Vivian w ogóle zgodziła się reprezentować Thomasa. Vivian znała opinię Lacey o Thomasie jako kandydacie na ojca. Jako specjalistka od prawa rodzinnego, Vivian Larken powinna więc zakwestionować prawa Thomasa do opieki nad Wendy Hart, a nie popierać jego wnioski.

Blaine wyraziłby podobną dezaprobatę. Chociaż nigdy tego nie powiedział, widać było wyraźnie, że Thomas nie należy do jego ulubionych współpracowników. A Vivian miała wrażenie, że to uczucie jest odwzajemniane. Najprawdopodobniej, szpitalna polityka. Jakiś spór dotyczący pomieszczeń albo funduszy między specjalistą od intensywnej terapii a szefem personelu.

Odpowiedź Vivian na pytanie Luke'a rozwścieczyłyby i jej męża, i przyjaciółkę. Tak samo jak fakt, że poczuła się dziwnie zadowolona, kiedy Thomas zadzwonił do niej z prośbą o pomoc.

- Lubię go - powiedziała. - Jest... dobry.

- Dobrze.

- Dzięki, że zapytałeś mnie o moje zdanie, Luke. I że mówisz to tak, jakby ono miało jakieś znaczenie.

- Dlaczego miałyby nie mieć?

Luke rzucił to pytanie lekkim tonem. Pytanie retoryczne.

A to dało Vivian znakomity pretekst, żeby poruszyć tę drugą sprawę, z którą tu przyszła, tę, którą obawiała się poruszyć, ale czuła, że nie ma wyjścia.

- Ze względu na to, co jeszcze muszę ci powiedzieć.
 - O Thomasie?
 - Nie. O Snow.
 - Cokolwiek to jest, Vivian, ja nie chcę tego słuchać.
 - Musisz.
 - Nie sądzę. - Luke sięgnął dłonią do klamki drzwi.
 - Widziałam was dwoje tamtego wieczoru. Na tarasie klubu. Widziałem, jak dotknąłeś jej brzucha. Nie słyszałam, co mówiłeś. Nie próbowałam podsłuchiwać, nie musiałam. Widać było wyraźnie, że jest w ciąży.
 - To była prywatna sprawa, Vivian. Jakim prawem uznałaś, że w ogóle wolno ci się temu przyglądać?
 - Źle postąpiłam. Wiem to. Przykro mi.
 - Świetnie. Mamy to więc z głowy.
 - Nie, Luke. Jest jeszcze coś.
 - To już historia starożytna. Nie ma sensu jej wspominać.
 - Trzeba. Wiem, że będziesz się widział ze Snow wieczorem, po jej rozmowie z Blaine'em. Zanim ją zobaczysz, muszę ci powiedzieć, co jej powiedziałam - co jej nakłamałam - rano po Balu Szklanego Pantofelka.
 - Nakłamałaś?
 - O tobie. O nas.
 - O nas, Vivian? Przecież nigdy nie było żadnego „my”.
 - Starczy już tej herbaty. - Bea odstawiała kubek na kuchenny stół Miry. -I starczy już tych kasztanków.
- Bea sama przyniosła talerz smakołyków z masła orzechowego i czekolady. Już od dziesiątków lat dzieciaki z Pinewood w Halloween pukały do drzwi Bei, wiedząc, że czeka je tam poczęstunek ulubionymi słodyczami.
- Dzieci pojawiły się, w oczekiwanej liczbie, wczoraj wieczorem. Burza z deszczem przyszła i poszła, zostawiając po sobie czyste niebo i księżyc w kształcie dyni. Matki tych dzieci, które w dzieciństwie same biegały do Bei po słodycze, też przyszły licznie, jak można się było spodziewać. Ale, jak zwykle, Bei i tak zostało mnóstwo słodyczy do rozdania.
- Świetnie się mrozą - poinformowała Mirę. - To wyjaśniało, dlaczego Mira miała wrzucić do swojej zamrażarki tyle pojemników. Resztę,

miała nadzieję, zjedzą w ciągu dnia osoby, które przyniosą zwierzęta do kliniki.

Mira zaplanowała sobie lekki dzień. Jedna kontrolna wizyta „zdrowego szczeniaka” i dwie „zdrowych kociaków”, poza tym sprawdzenie, jak goi się rana, usunięcie szwów i badanie ucha po infekcji. Chciała mieć sporo czasu na „wysyp” chorych zwierząt, które zostały nakarmione słodyczami ze święta Halloween - albo same je sobie znalazły.

A jednak wysyp wcale nie nastąpił.

- Herbaty wystarczy - zgodziła się Mira. - I kasztanków też, jeszcze tylko jeden... Musisz przyznać, że było przyjemnie. Opychać się smakołykami jak rozleniwione damy, którymi przecież powinnyśmy być.

- Pożaluję tych kasztanków. Już czuję, że żaluję. Ale bardzo się cieszę, że twoja ulotka dla właścicieli zwierząt domowych z Pinewood przyniosła takie efekty. Nawet jednego przejedzonego zwierzaka.

Mira pokiwała głową.

- Też jestem zachwycona.

- A więc? - Wyraz twarzy Bei dopowiedział resztę. Przez ostatnich czterdzieści osiem godzin wykazała niesłychane opanowanie. Przez całe dwa dni ani razu nie zadała ani jednego pytania o „sama wiesz kogo” albo „sama wiesz co”.

Ale przecież wszystko ma swoje granice.

- A więc - odparła Mira, - żadnych obscenicznych telefonów. Dziś wieczorem minie tydzień od ostatniego. Znudziło mu się, Beo. Wyniósł się gdzieś indziej. Może nawet dorósł.

- Mam taką nadzieję. I co jeszcze?

- Nie rozmawiałam z Lukiem.

- Ale masz zamiar porozmawiać dzisiaj.

- Pod warunkiem że sam do mnie zadzwoni.

- Nie słuchałaś wczoraj *Godziny Kopciuszka*, prawda?

- Nie. O dziesiątej już spałam. A ty też miałaś się wcześniej położyć?

Ostatnie dzieci pożegnałyśmy jakieś piętnaście po dziesiątej.

- Owszem. Ale słuchałam programu dziś rano. W sieci.

- Aha. I jak?

- Świetny. Ona jest świetna. Dojrzała wersja tej myślącej dziewczynki, którą kiedyś znałam. Jej rozmowa z trenerem Niedźwiedzi była znakomita. Jestem pewna, że z ulgą porozmawiał sobie z nią po tym, jak przez cały dzień maglowali go o przegraną w meczu z Wikingami.

- Nie rozmawiała z nim o meczu?

- Ależ tak. I widać było, że obejrzała mecz. Nawet go zapytała o tę kontrowersyjną decyzję dotyczącą zdobycia punktu strzałem na bramkę zamiast przez przyłożenie. Ale nie przypominało to maglowania. W każdym razie, pod koniec programu wymieniła gości zaproszonych na dzisiejszy wieczór. Blaine, oczywiście, a po nim Luke.

- Ach.

- Wygrał aukcję na czas antenowy w jej programie. Snow tego nie powiedziała. Przeczytałam to w opisie programu w Internecie. A skoro już mowa o składaniu ofert na czas Snow...

- Ta urzędniczka od funduszy nie odzywała się do mnie.

- Ale mogła się kontaktować ze Snow. A ona może o tym wspomnieć Luke'owi.

Mira wiedziała, że jeśli sama nie zadzwoni, wątpliwe, żeby miała porozmawiać z Lukiem, zanim on zobaczy się ze Snow. Nie odzywał się do niej od powrotu z akcji przy powodzi. Ale to jej nie zdziwiło. Nie lubił dzwonić z pracy. A na pewno siedzi w pracy - prawie mieszka w remizie - odkąd wypoczął na tyle, że znów może przydać się zespołowi. Chce odwdziżyć się kolegom, którzy przejęli jego obowiązki, kiedy on zgłosił się na ochotnika do pracy w drugim końcu stanu.

Wcale nie musiał się odwdzięczać. Przecież nie wziął sobie nadprogramowego urlopu. A jeśli chodzi o wzajemne zasługi, strażacy, koledzy Luke'a i tak nie zdołają mu się nigdy odwdziżyć za te wszystkie święta, które przepracował, żeby oni, mogli być ze swoimi rodzinami, i te wszystkie urlopy, których nie wziął, chociaż oni swoje wykorzystywali.

A co zrobił Luke z pieniędzmi zarobionymi z nadgodzin i oszczędnościami z niewykorzystanych wakacji? Za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów kupił półtorej godziny na antenie radiowej ze Snow - a co ważniejsze, pomyślała Mira, także te minuty poza anteną, na które być może potem liczy. Jest szansa, chociaż niewielka, że Snow wspomni wtedy ofertę, jaką Mira też złożyła na jej czas poza anteną. I zaskoczy Luke'a, a tego wieczoru powinien koncentrować się na Snow, a nie na takich niespodziankach.

- A więc... - Tym razem Bea wstała. - To ja teraz podrepczę do kliniki, a ty idź porozmawiać z Lukiem. Dam ci znać na pager, jeśli ktoś będzie cię potrzebował.

Rozdział 18

Eileen tonie!

To był inny okrzyk niż ten, z którym Wendy zwykle się budziła.

Thomas starał się być tuż obok za każdym razem, kiedy otwierała oczy, żeby ją pocieszyć. Udawało mu się to od czasu, gdy w niedzielę po południu zapytała: „Gdzie tatuś?”

Nie miał wprawy w przewidywaniu, kiedy się będzie budziła ze swoich częstych drzemek. Siadał po prostu obok niej, kiedy zamykały jej się oczy, a w nocy, kiedy zasypiała, spał na podłodze.

Od niedzieli, zawsze, kiedy usiłowała zrozumieć, gdzie jest, pojawiał się przy niej, zanim zdążyła zawołać.

- Cześć, Wendy - szeptał. - Jesteś bezpieczna, kochanie. Wszystko w porządku. Ja jestem Thomas. Pamiętasz? Jestem tu i Eileen też tu jest. A mamusia i tatuś są w niebie, i uśmiechają się stamtąd do ciebie z miłością.

Ona kiwała główką i czekała na kolejne słowa, które zaczynały tworzyć podstawę jej nowego świata: o przyjaźni Thomasa z mamusią i tatusem, o tym, jak bardzo niecierpliwie rodzice kiedyś jej oczekiwali, jak Thomas był przy jej narodzinach... I odwiedzał ją, kiedy była taka malutka, że ledwie mogła rączką objąć palec Thomasa.

Robiła postępy. Oboje je robili.

W to wtorkowe popołudnie oboje siedzieli w salonie - ona kolorowała książeczki, a on podziwiał jej wysiłki, zanim odłożyła kredki i wyszła bez słowa.

To, że zniknęła w milczeniu, nie było czymś nowym. Ostatnim razem poszła do swojej sypialni po książeczkę do kolorowania. Poprzednim razem, żeby się zdrzemnąć.

A jeszcze przedtem, żeby przebrać się z koszulki nocnej i szlafroczyka w T-shirt i dżinsy.

Thomas zaczekał, aż zniknie mu z oczu, i dopiero potem wyszedł na korytarz, czekać na jej powrót - albo, jeśli przedłużająca się nieobecność podpowie mu, że wśliznęła się do łóżka, usiąść obok, kiedy już zaśnie.

Nie zniknęła na długo.

A kiedy znów się pojawiła, widać było, po co przyszła.

Chciała go znaleźć.

- Eileen tonie.

To nawet nie był krzyk. To było stwierdzenie faktu, wypowiedziane przez dziewczynkę, dla której utonięcie i śmierć były tym samym i oznaczały odpłynięcie do nieba kogoś bliskiego.

- Tonie, Wendy?

Pokiwała główką.

I sięgnęła po palec wskazujący jego prawej dłoni.

Ściskając go mocno, poszła przodem.

- Luke, musisz zrozumieć. Zrobiłam to dla ciebie!

„To” wyszło na jaw. Ze wszystkimi szczegółami. Co do słowa. Vivian starannie sobie zaplanowała tamto swoje spotkanie ze Snow. Nawet decyzję, że zawiezie ją na Meadow View Drive, gdzie Luke już raz kiedyś uszedł straszemu losowi, podjęła już wcześniej.

Luke milczał, kiedy Vivian wyjawiała mu prawdę o swoim karygodnym zachowaniu w tamten styczniowy poranek. Milczał i ani drgnął. A przynajmniej Vivian, która nie odrywała oczu od swojej teczki, nie słyszała, żeby się poruszył.

Opowiedziała, jak zakończyło się to ich spotkanie - Snow odmówiła przyjęcia pieniędzy, Vivian odjechała - ale ciągle jeszcze broniła swojego postępowania.

- Tak wiele osiągnąłeś - tłumaczyła. - Miałeś przed sobą świetną przyszłość. Nie mogłam znieść myśli, że to wszystko odrzucisz. Troszczyłam się o ciebie. I to bardzo. Gdyby Snow cię kochała, myślałaby tak samo jak ja. Chciałaby tego, co było dla ciebie najlepsze, i wiedziałby, że ojcostwo i małżeństwo to najgorsze rozwiązanie.

- Wynos się.

Vivian miała nadzieję, że on podejdzie bliżej, słuchając jej wyznania, że zrozumie i wybaczy. Ale jego głos brzmiał tak, jakby odsunął się jeszcze dalej, chociaż to było niemożliwe.

Luke ani drgnął.

Ale był jeszcze dalej.

- Proszę cię, Luke. Proszę, wybac mi. Kiedy zobaczyłam, jaki jesteś zrozpaczony, próbowałam ją dla ciebie odszukać. Zatrudniłam najlepszych prywatnych detektywów, jakich można było znaleźć za pieniądze. Szukali Snow - i Leigh - przez dwa lata. Żadnej z nich nie udało się odnaleźć. One nie chcą dać się znaleźć, mówili detektywi. W jakimś momencie Snow przestała się ukrywać. Pewnie powinnam kontynuować

poszukiwania. Ale ty też mogłeś jej szukać. Mogłeś ją znaleźć wiele lat temu, kiedy już gotowa była dać się znaleźć.

- A co ci każe myśleć, że jej nie znalazłem?

- Już byś wiedział o tym, co ci dzisiaj powiedziałam.

- I miałbym cię ścigać, żeby ci powiedzieć, jak mnie to rozgniewało? Nie pochlebiaj sobie, Vivian. Nie zmarnowałbym nawet sekundy swojego życia - czy życia Snow - żeby ciebie szukać. Nie jesteś tego warta.

- Nie mów tak!

- Powiedziałaś Snow, że ja nie chcę swojego dziecka.

- Ja... Dałam to do zrozumienia. Nigdy nie mówiłam, że chcesz, żeby zrobiła skrobankę.

- Ale ty właśnie tego chciałaś.

- Nie. Podsunęłam jej myśl o adopcji, to wszystko.

- I twoje życzenie się spełniło, prawda? Jeśli Vivian czegoś chce, Vivian to dostaje. Snow nasłuchiwała się twoich kłamstw i straciła dziecko.

- Nie chciałam, żeby poroniła, Luke! Musisz mi w to uwierzyć.

- Nigdy w to nie uwierzę. Była załamana tym, co jej powiedziałaś. Zdruzgotana. Zostawiłaś ją tam, na zimnie, oszalała z rozpacz. Wiedziałaś, co się stanie, miałaś nadzieję, że tak będzie. Jesteś odpowiedzialna za poronienie Snow.

- Nie, proszę. Ja wcale na to nie liczyłam. Nigdy bym nie liczyła na coś tak okrutnego. Ja po prostu chciałam, żeby Snow z dzieckiem wyjechała. Tak bardzo mi na tobie zależało.

- Nie oszukuj się.

- Nie robię tego. Jak możesz mówić, że nigdy nie było żadnego „my”? Tamtego lata...

- Uprawialiśmy seks.

- To było coś więcej!

- Dla mnie nie.

- Słuchałeś tego, co mówiłam, Luke. Współczułeś mi, że czułam się nieszczęśliwa, żyjąc pod ciągłą presją perfekcyjności.

- Z tego wszystkiego co miałaś mi do powiedzenia, interesowało mnie wyłącznie to, że chcesz się spotkać i iść do łóżka. A teraz wynoś się stąd.

- Ty nie rozumiesz!

- Nie, Vivian. To ty nie rozumiesz. Nie chcesz już być ze mną w tym pokoju.

- Ja ciebie kochałam! Nadal cię...
- Nawet nie próbuj kończyć tego zdania. Jeżeli ty stąd nie wyjdiesz, to ja wyjdę.

Wyraz jego twarzy ostrzegał Vivian, żeby nie próbowała iść za nim. Luke Kilcannon najchętniej nie oglądałby więcej na oczy Vivian Larken Prescott.

Bea miała rację, pomyślała Mira, parkując samochód na bocznej uliczce w pobliżu remizy strażackiej. I to pod każdym względem. Musi powiedzieć to Luke'owi dzisiaj i chociaż on się rozgniewa, to przecież ich przyjaźń przetrwa.

Bo przecież są przyjaciółmi. Co do tego Bea też ma rację. Owszem, nie wspomniał jej o kilku ważnych sprawach. I co z tego? Przecież dla niego wcale nie musiały być istotne. Jeśli jej związek z siostrą wydawał się tak ważny, to jeszcze nie znaczy, że taki rzeczywiście jest.

Przyjaciół Mira stał przed remizą, najwyraźniej ciesząc się ostatnimi promieniami jesiennego słońca i orzeźwiająjącym chłodem wiatru.

Luke stał na skraju parkingu, żeby w razie czego móc szybko zdążyć do samochodu. Wpatrywał się w jakiś niewidoczny horyzont.

Mira wyczuła w nim niepokój, chęć wyrwania się z zamknięcia. Luke był w pracy, i to pracy, którą kochał, ale tego listopadowego popołudnia sprawiał wrażenie, jakby wolał znaleźć się gdzie indziej.

- Witaj, nieznamy.

Jej głos zaskoczył człowieka, którego niełatwo było zaskoczyć. Kiedy się odwrócił, wrażenie, że cieszy się zaletami pięknego jesiennego dnia, przysło.

- Co się stało?
- Na pewno nie chciałaś wiedzieć.

A ja tobie nigdy tego nie powiem, pomyślał. Mirze bardziej zależało na związku z siostrą, niżby to skłonna była przyznać, może nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Nic niewarta siostra... ale mimo wszystko siostra.

- Owszem, chcę. Zaczynając od tego, o czym myślałaś, kiedy się z tobą przywitałam.

O tym możemy porozmawiać.

- Zastanawiałem się nad popełnieniem krzywoprzysięstwa przed sądem. Nie byłoby to trudne. Musiałbym tylko powiedzieć, że Daniel Hart w ostatniej chwili życia zmienił zdanie co do oddania córki Thomasowi Vailowi.

Thomas? Córka? Mira na chwile oniemiała ze zdumienia.

- O czym ty mówisz?

- Jest taka mała dziewczynka. Na imię ma Wendy. Straciła ojca w powodzi w sobotę wieczorem.

- Widziałam zdjęcie w gazecie. Thomas jest jej prawnym opiekunem?

- Jeszcze nie według prawa. Jeszcze nie. Zeznanie bezpośredniego świadka mogłoby to raz na zawsze powstrzymać.

- Dlaczego miałbyś to zrobić?

- Bo może Thomas nie jest najlepszym kandydatem na ojca dla Wendy.

- Znasz go?

- Nie. Ale wysoko ceni go osoba, której ja ani nie cenię, ani nie wierzę.

- I to ma być winą Thomasa? Czy Wendy? Luke, co się dzieje?

- Nic, Miro. Zapomnij o tym. To nie jest dobry moment na rozmowę.

- Nie zgadzam się z tobą. Od tego właśnie ma się przyjaciół. Potrzebujesz z kimś porozmawiać. A ja chcę posłuchać.

- Nie potrzebuję rozmowy, Mira. Nie teraz. Dobrze?

Chociaż był wytracony z równowagi, jego prośba zabrzmiała grzecznie. W innych okolicznościach, natychmiast by ją spełniła.

- Oczywiście, że dobrze, Luke. Problem polega na tym, że ja muszę ci coś powiedzieć. To nie potrwa długo, obiecuję. Ale muszę to powiedzieć. Wiem, że dziś wieczorem będziesz się widział ze Snow. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Dziękuję. Też mam taką nadzieję.

- Być może szpitalna urzędniczka od zbierania funduszy powiedziała jej, że zaproponowałam szpitalowi datek za prywatne spotkanie ze Snow.

- Dlaczego?

- No cóż, wymyśliłam sobie, że upewnię się, czy ona rozumie, jak bardzo zraniła pewnego mojego przyjaciela.

- Nie miałas prawa tego robić.

- Nie będę się z tobą spierać o szczegóły, Luke. Chociaż przyjaźń pozwala na pewne...

- To nie jest przyjaźń, Miro, tylko zdrada.

- Nigdy bym cię nie zdradziła!

- Zdaje się, że już to zrobiłaś.
- Nie. Snow nie ma pojęcia, jaki miałam początkowo zamiar. Kiedy zadzwoni, powiem jej, że razem z Beą, która -jak sobie przypominasz - kiedyś Snow znała, chciałybyśmy zaprosić Snow na lunch.
- Nie chcę, żebyś się z nią spotykała.
- Słucham?
- Nie chcę, żebyś się spotykała ze Snow.
- Bo jestem takim strasznym człowiekiem? Bo się ode mnie czymś zarazi? W głowie mi się nie mieści...
- Nie mieszaj się do jej życia, Miro. Mówię serio. Nie mieszaj się do życia Snow. Ani do mojego.

Rozdział 19

Nie mogło być aż tak źle, jak wskazuje twoja mina.

- Może okropnie wyglądam, Beo, ale było jeszcze gorzej.
- Nie wyglądasz okropnie, Miro. Jesteś tylko smutna.
- Tak właśnie się czuję.
- Strasznie mi przykro. I jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży. Luke tylko denerwuje się spotkaniem ze Snow. Kiedy już będzie miał je za sobą...

Mira pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się. To było coś osobistego. Między Lukiem a mną. Naprawdę źle oceniałam to, co nas łączy. Byliśmy najwyżej znajomymi. Nie przyjaciółmi. A więc, trzeba iść dalej. Jakies telefony?

- Ani jednego. Może zamkniemy już na dzisiaj? Prawie trzecia. Przełączę telefon na sekretarkę, a ty przez resztę popołudnia możesz się wymoczyć w kąpieli z pianą.

- Wykluczone. Ale może przebiegnę z piętnaście kilometrów, najchętniej wkoło remizy, wyrzaskując obelgi pod adresem Luke'a.

- Świetnie. A potem uspokajająca kąpiel w bąbelkach.

- Przydałoby mi się trochę spokoju. Chętnie znów wrócę do swojego monotonnego, przewidywalnego życia. Tego, nad którym przynajmniej wydaje mi się, że mam trochę kontroli. Od tych obscenicznych telefonów zaczęła się cała seria zupełnie zbędnych urozmaiceń, a ja z żadnym

nie poradziłam sobie dobrze. Żebym chociaż po prostu przejrzała broszurę tej aukcji i wspomniała Luke'owi, że Snow wraca do domu. Ale nie - mruknęła. - Ja musiałam rzucić się do nieprzemyślanego działania, idąc na Bal Jesiennego Księżyca i wplątując się w coraz to nowe niespodziewane sytuacje, które źle rozegrałam.

- Mam wrażenie, że mówisz o niespodziewanych sytuacjach, o których nic mi nie wiadomo.

- Thomas.

- Thomas? Ten od fajerwerków na ślubie siostry?

- Ten od urojeń na ślubie siostry. Tak, ten Thomas. Widziałam go z daleka na balu.

- I co?

- No, a niby co? Fatalnie to rozegrałam. Uśmiechnął się do mnie, na pewno myśląc mnie z Vivian. Uśmiechnęłam się i uciekłam.

- I?

- W końcu tam wróciłam. Ale jego już nie było. Koniec historii, dopóki Luke nie wspomniał go dzisiaj. Thomas został opiekunem tej dziewczynki, którą Luke uratował z powodzi w sobotę po południu. Na pewno dostał tę wiadomość zaraz po tym, kiedy go widziałam. W jakiś dziwny sposób to sprawia, że moja ucieczka wydaje się jeszcze bardziej idiotyczna. Może przydałaby mu się moja pomoc? - Mira westchnęła. - Wiesz, czego mi potrzeba, Beo? Miałaś rację; długiego moczenia się w kąpieli z bąbelkami, a potem porządnie przespanej nocy. Ostatnio nie sypiam dobrze. Do jutra Luke będzie już po spotkaniu ze Snow, i... Och.

- Przypomniałaś sobie, że dziś wieczorem ma być ta niespodziewana wizyta u Vivian: „Pomyślałam, że będzie fajnie posłuchać wywiadu Blaine'a wspólnie”?

- Na pewno tak samo miło mnie przywita jak dzisiaj Luke.

- Ale obiecałaś Blaine'owi, że to zrobisz.

- Owszem. I się nie wycofam.

- To na pewno Luke - stwierdziła Bea, kiedy odezwał się telefon kliniki.

- Nie, Beo. Na pewno nie. - Mira podniosła słuchawkę. - Klinika Weterynaryjna Pinewood, w czym mogę pomóc?

- Mira?

- Tak.

- Mówi Thomas Vail. Nie jestem pewien, czy mnie pamiętasz. Poznaliśmy się na ślubie Vivian.

- Oczywiście, że cię pamiętam. - Mira rzuciła Bei zaskoczone spojrzenie.

- Dzięki. Potrzebuję twojej pomocy. Mam tu u siebie uroczą małą przyjaciółkę. Na imię na Wendy. A jej przyjaciółka, mała kotka Eileen, zachorowała.

- I obie te małe urocze przyjaciółki są tam przy tobie? - domyśliła się Mira. -I słuchają każdego twojego słowa?

- Tak właśnie.

- Kotka jest bardzo chora?

- Trzeba ją zobaczyć. Moim zdaniem ma zapalenie płuc. Zastanawiałem się, czy możemy podjechać, żebyś ją obejrzała?

- Oczywiście. Jestem w Pinewood, w Quail Ridge, przy Meadow View Drive.

- Wziąłem adres z książki telefonicznej. Już wyjeżdżamy tylko zapakuję je obie do samochodu.

- Czy to może być kłopotliwe, Thomas? Zdaję sobie sprawę z tego, że Wendy i chyba Eileen też miały ostatnio trudne przejścia.

- Tak, Eileen też. Nie wiem, czy to będzie kłopot. Być może. Możemy też trafić na korek, jadąc na północ. Ale dotrzemy do ciebie.

- Gdzie jesteście?

- W Wind Chimes Towers. Moim zdaniem kotka może bezpiecznie odbyć tę długą drogę. W mieście też są weterynarze, ale tylko ciebie znam. Chociaż, jeśli wolisz polecić kogoś innego...

- Nie. Wolałabym przyjechać do was. Na dziś tu już skończyłam, a na południe jedzie się łatwiej. Dojadę do was szybciej, niż wy do mnie, a nie ma sensu dokładać dalszych stresów Wendy ani Eileen.

- Miro, byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Zabiorę parę rzeczy i ruszam w drogę.

Na południe jechało się łatwo, a odzwierny w Towers czekał na nią. Odprowadził ją do właściwej windy, a potem dał znać Thomasowi, że zaraz u niego będzie.

Thomas czekał na korytarzu przed swoim mieszkaniem.

- Cześć. - Mira napotkała intensywne spojrzenie błękitnych oczu. To były zmartwione oczy, oczy ojca. Ale kiedy uśmiechnęły się do niej, wróciły wszystkie szalone uczucia z tamtego ślubu.

Jeszcze bardziej szalone było wrażenie, że Thomas doświadcza podobnych uczuć. Miał tak samo ogłupiałą minę, jak ogłupiała czuła się

Mira. Tak samo ogłupiała, zrozumiała nagle, jak w czasie tego ślubu. Jakby wtedy też coś podobnego odczuwał.

Czymkolwiek to „coś” było.

- Cześć - powiedział wreszcie. - Dzięki, że przyjechałaś. - Dłonią wskazał uchylone drzwi mieszkania. - Są obie w sypialni Wendy.

W drodze do pacjentki Miry doktor Larken i doktor Vail omówili przypadek kociaka.

- Rano czuła się dobrze. Była głodna i chciała się bawić. Nie martwiłem się nawet wtedy, kiedy nie obudziła się razem z Wendy po drzemce po lunchu. Ale Wendy się zaniepokoiła. Kiedy poszła sprawdzić, jak kotka się czuje, zastała ją już w tym stanie, w jakim jest teraz. Zmiana wydaje się wręcz dramatyczna. Powinienem zauważyć, że coś się dzieje.

- Nie wiem, jakim sposobem, Thomas. Kociak jest zdrowy, a za parę minut może być umierający, zupełnie bez ostrzeżenia. Mówiłeś, że twoim zdaniem to zapalenie płuc?

- Tak przypuszczam. Kiedy ją osłuchiwałem stetoskopem, wydawało mi się, że słyszę szumy. Nie mogę być pewien, czy to nie był tylko szelest futerka. Kiedy ją badałem palpacyjnie nie reagowała, jakby ją bolało, ale może to dlatego, że jest bardzo apatyczna. Oczy ma szkliste i pojawiła się taka biała błona, której wcześniej nie widziałem.

- Trzecia powieka. Widać ją, kiedy są chore.

Kiedy doszli do pokoju Wendy, Thomas przystanął, żeby przepuścić Mirę przodem.

Wendy siedziała na łóżku, szepcząc coś uspokajająco do trzymanego na kolanach kociaka. Spojrzała na Thomasa idącego za Mirą.

- Wendy, to jest Mira. Pani doktor dla kotka, o której ci mówiłem.

- Cześć, Wendy.

Wendy odpowiedziała bez słów, spojrzeniem raczej zrezygnowanym niż pełnym nadziei - mała dziewczynka, już świadoma, że życie niesie niespodziewane smutki.

Mira usiadła obok Wendy. Zostawiła biały kitel w Quail Ridge, ale miała ze sobą swoją czarną walizeczkę i torbę różnych zapasowych środków.

- Cześć, Eileen. - Mira przy tych słowach przyjrzała się kotce. Przyspieszone oddychanie sugerowało, że Thomas dobrze ją zdiagnozował. - Mogę jej dotknąć, Wendy?

Dopiero kiedy Wendy pokiwała główką, Mira zaczęła badanie. Mówiła przy tym i do kociaka, i do dziewczynki:

- Zobaczmy, jak wyglądają uszka Eileen. Dobrze. Dobrze. I jej pyszczek. Nie denerwuj się, kochanie, tylko zjrzyj. No już. Tam też w porządku. A brzusek Eileen jest bardzo mięciutki? Tak. Bardzo. Tak właśnie powinno być. I nic nigdzie nie boli, ani przednie, ani tylne łapki?

Mira przerwała, osłuchując serce i klatkę piersiową Eileen. Potem wzięła kociaka na ręce, oceniając jego wagę. Czuła, że zwierzak ma gorączkę.

- Ma infekcję płuc - Mira wyjaśniła Wendy. - Zapalenie płuc, dokładnie tak, jak powiedział mi Thomas przez telefon. Możemy ją wyleczyć. Mam ze sobą lekarstwa.

Mira wyjęła z walizeczki małą szklaną fiolkę.

- Dasz jej zastrzyk dożylny? - zapytał Thomas.

- Nie. Domięśniowo. Chciałabym jej też podać płyny. Jest odwodniona. Jak wszystkie chore dzieci, kociaki bardzo szybko się odwadniają. Podam jej płyny podskórnio. Może ty i Wendy zaczekacie na mnie w salonie?

Wendy, która słuchała uważnie, natychmiast zareagowała. Jedną rączką nakryła Eileen, drugą wyciągnęła do Thomasa.

- Mira będzie musiała zrobić Eileen zastrzyk, żeby jej podać potrzebne lekarstwo.

- To nie będzie bolało - powiedziała Mira. - Nie sprawię jej bólu. Ale czasem trudniej patrzeć, jak przyjaciel dostaje zastrzyk, niż samemu dać się ukłuć.

- Eileen chce, żebyśmy została.

Mira zerknęła na Thomasa, a on pokiwał głową.

Mira już wiele razy dawała zastrzyki domięśniowe. Antybiotyk, który zamierzała podać Eileen, nie urazi mięśni, a samo ukłucie igłą będzie ledwie odczuwalne. Powiedziała Wendy prawdę - to nie będzie bolało. Nie powinno boleć. Ale może wywołać strach, odruch panicznej ucieczki.

Najpierw Mira podała antybiotyk. Eileen nawet nie drgnęła.

- Jaka grzeczna koteczka. Zaraz po zastrzyku o wiele lepiej się poczujesz. Po podaniu płynów też. Wstrzyknę je między łopatki - wyjaśniła Mira, mocując plastikową strzykawkę do sterylnej igły, a z drugiej strony podłączając wypełniony płynem pojemnik. - Mnóstwo tam miejsca pod skórą, a bardzo mało zakończeń nerwowych.

- Jak długo potrwa kroplówka? - spytał Thomas.

- W zależności od tego, jak szybko się będzie wchłaniać, w przypadku Eileen jakieś pięć minut, może mniej. To mała koteczka. Niewiel-

ka ilość płynu na długo jej wystarczy. Potrzebny mi stojak do kroplówki.
- Spojrzała na Thomasa. - Ty się nadasz.

Thomas trzymał pojemnik z płynem na wysokości ramienia, a Mira naciągnęła skórę na karku kociaka, a potem wbiła igłę. Wendy nadal trzymała rączkę na grzbiecie Eileen - nie cofnęła jej ani teraz, ani przedtem, kiedy Mira podawała antybiotyk. Mira wierzyła, że czteroletnia Wendy rozumie konieczność jej działań. Być może to właśnie uspokajający dotyk rączki Wendy pozwolił Eileen bez najmniejszego strachu poddać się zabiegom.

Kiedy płyn z kroplówki spływał powoli, doktor Larken poczuła tę samą napędzaną adrenaliną euforię, której pacjenci często doświadczają zaraz po zabiegu.

- Możesz już zawsze być moją asystentką przy zabiegach - powiedziała do Wendy. - Ty też - zwróciła się do niebieskookiego stojaka na kroplówki.

Parę minut później wyjęła igłę.

- Na razie nic więcej jej nie trzeba. Powinniśmy dać jej pospać, póki lekarstwo nie zacznie działać.

Wendy puściła dłoń Thomasa. A potem położyła się na łóżku i przyciągnęła Eileen blisko do piersi. Thomas nakrył kocem dziewczynkę i kotkę. Obie po chwili zaczęły zasypiać.

- Kochanie, będziemy w salonie. Bliziotko, jeśli ty i Eileen będziecie nas potrzebować.

Rozdział 20

Bliziotko, ale poza zasięgiem słuchu - chyba że to oni mieliby usłyszeć jakiś przestraszony krzyk. Wendy nie obudzi się prędko, pomyślał Thomas. Zmęczyła się niepokojem o Eileen.

- Zakładam, że mogą się bezpiecznie do siebie tulić? - zapytał Mirę.
- Żadnego ryzyka zarażenia?

- Moim zdaniem nic takiego jej nie grozi. Nigdy nie mów nigdy, ale... Chyba nie.

- Rokowanie?

- Moim zdaniem dobre. Następných parę godzin pokaże. Gdybyście ją przywieźli do kliniki, należałabym, żeby kotka została na noc. Na

pewno będzie potrzebowała drugiej dawki antybiotyku i jeszcze jedną kroplówkę. Sam możesz je podać, a potem obserwować kociaka i informować mnie o jego stanie.

- Jeśli lepiej będzie, żebyś zabrała kotkę ze sobą, to powinnaś ją wziąć. Wyjaśnię to jakoś Wendy.

- Dziś wieczorem o dziesiątej muszę być u Vivian. Ale do chwili wyjazdu chętnie popilnuję Eileen z wami. Jeśli przez następnych parę godzin jej stan się ustabilizuje, nie zabiorę jej ze sobą.

- Będę cię racyzył jedzeniem, kawą, czymkolwiek chcesz.

- Nic mi nie trzeba, Thomas. Nie musisz mnie karmić. Ani zabawić. - Rozejrzała się po salonie. - Mogę poprzeglądać *Dzienniki Intensywnej Terapii*. Pobawić się lalkami. Pokolorować parę książeczek. Na pewno masz jakieś zajęcia.

- Nie mam nic do roboty. Od niedzieli Wendy jest moim życiem. Kiedy śpi, muszę tylko być gdzieś blisko.

- Mam wrażenie, że nieźle sobie radzisz.

- Radzimy sobie od drzemki, do drzemki. Siadaj, Miro. Pogadaj ze mną. - Udowodnij mi, pomyślał, że te uczucia nie są realne. Udowodnijmy to sobie nawzajem. A jeśli nie uda się tego udowodnić? Niemożliwe.

- Zgoda?

- Jeśli ty ze mną też pogadasz.

- Jasne.

Thomas opowiedział jej o swoim życiu od tego niedzielnego poranka, o życiu poświęconym dziewczynce po ciężkich przeżyciach. Jedyne żal, jaki w jego słowach usłyszała Mira, był żalem nad Wendy, nad wielką stratą, jakiej doświadczyła. A praca, z której Thomas wziął bezterminowy urlop, i cała ta wolność osobista, którą zawsze sobie cenił?

Wydawało się, że to nie jest dla niego żadna strata.

- Ty i Daniel musieliście bardzo blisko się przyjaźnić.

- Cztery lata temu widywaliśmy się bardzo często. Żona Daniela ostatnich sześć tygodni życia spędziła na oddziale intensywnej terapii.

- Co jej się stało?

- Potracił ją pijany kierowca. Wiedzieliśmy, że nie przeżyje, ale chcieliśmy dać szansę jej nienarodzonemu dziecku.

- Podtrzymywaliście ją więc przy życiu, do czasu, gdy Wendy mogła się urodzić bezpiecznie.

- Robiliśmy, co się dało, a już zwłaszcza sama Eileen. Tak, tak miała na imię. Nigdy nie odzyskała przytomności. Ale widać było, że walczy.

Trzymała się, aż do drugiego tygodnia siódmego miesiąca ciąży. Tylko że, jak nam się wydawało, trochę pomyliła daty. Ciąża była nieco młodszą. Ale mała walczyła tak samo dzielnie jak matka. Jej ojciec też. Daniel w ogóle nie chciał odchodzić od łóżka Eileen ani od inkubatora Wendy na oddziale intensywnej terapii, chyba że go do tego zmuszaliśmy.

- Ale Eileen nie zostawała sama. Byłeś z nią i z Wendy, kiedy Daniel wychodził.

Mira nawet nie pytała. Ona wiedziała.

- Kiedy tylko mogłem. Owszem.

- To dlatego Daniel chciał, żeby Wendy została z tobą. Wiedział, że zajmiesz się nią tak samo, jak zajmowałeś się nią i Eileen wtedy. Ma szczęście, że na ciebie trafiła, Thomas.

- Mam taką nadzieję, Miro. Mam nadzieję. To ja mam szczęście, że na nią trafiłem. Choć jestem przerażony.

- Właśnie dlatego tak jej się poszczęściło.

- No cóż. - Thomas pokręcił głową. - Porozmawiajmy o tobie. Widziałem cię na Balu Jesiennego Księżyca. Uśmiechnąłem się i wydawało mi się, że też się uśmiechnęłaś. Ale chwilę później zniknęłaś.

- Byłam pewna, że wzięłaś mnie za Vivian.

- Ale dlaczego tak pomyślałaś?

- Bo z odległości ludzie często nas mylą.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Cały czas nas mylą.

- A nie powinni, jeśli są choć trochę uważni.

On rzeczywiście patrzył na nią uważnie. Lacey mówiła, że to jego mocny punkt i w pracy, i w zabawie. Przewidywała, że któregoś dnia jakaś niezbyt cwana kobietka skoczy na głęboką wodę dla Thomasa Vaila. Ale lądowanie będzie miała twarde, bo nawet cwane serce może tego nie przetrwać.

Ale przed upadkiem lot byłby upajający.

- O czym myślisz?

Ma nadzieję, że nie pozwolisz mi roztrzaskać się o ziemię, że żadne z nas nie pozwoli temu drugiemu się roztrzaskać.

- Nie umiem tego wyjaśnić.

- Trudno. To może opowiesz mi, o czym myślałaś, kiedy Vivian i Blaine składali przysięgę małżeńską?

Thomas ją wtedy obserwował? Próbował czytać w jej myślach? Najwyraźniej tak. Oczywiście, może minę miała taką, jakiej nie powinna

mieć druhna panny młodej, że każdy, kto by spojrział na nią zamiast na Vivian, zauważyłby to.

- Nie jestem pewna, o czym myślałam.

- To było fascynujące - powiedział Thomas. - O czymkolwiek myślałaś. Byłaś zmartwiona, ale współczująca. Przyszło mi do głowy, że kwestionujesz decyzję Vivian co do małżeństwa z Blaine'em.

- Zdecydowanie nie. Zmartwiona, ale współczująca? Niech sobie spróbuję przypomnieć; ach, już wiem. Myślałam o moim pacjencie, cocker spanielu, Imbirku. Poprzedniego dnia usunęłam mu narośl na karku. Po wstępnym badaniu wydawało się, że to jakiś złośliwy guz, choć w czasie zabiegu wyglądał na łagodny. Ale wyniki badania tkanki miałam dostać dopiero w poniedziałek. - Mira się uśmiechnęła. - Były dobre. Imbirek wyzdrowiał.

Thomas uśmiechnął się na myśl o zdrowym cocker spanielu i lekarce, która się z tego ucieszyła. A potem, już bez uśmiechu, odezwał się:

- Więc nie myślałaś, że Blaine powinien się żenić z tobą, a nie z twoją siostrą?

- Ja? Skąd! Dlaczego?

- Bo pierwsza się z nim spotykałaś.

- Nie, nieprawda. Ja się z nim nigdy nie spotykałam. Znałam go pierwsza, ale to była tylko zawodowa znajomość, nie prywatna. Zawodowa, to znaczy znajomość między weterynarzem a szpitalnym szefem personelu, a nie psychiatry z pacjentką.

- Ten projekt dotyczący psów - powiedział Thomas. - Ty się w to zaangażowałaś?

- Służyłam za pośrednika. Autorką pomysłu była kobieta, która przyprowadziła dwa psy rasy golden retriever do kliniki, w której pracowałam. Powiedziała, że cieszą się znakomitym zdrowiem, ale chyba się nudzą. Czytała gdzieś, że retrievery dobrze się czują, kiedy mają dużo zajęć i że lubią pomagać, a poza tym są świetnymi psami do towarzysstwa, dobrze się sprawdzają, odwiedzając domy spokojnej starości i szpitale. Przyszedł jej do głowy pomysł, że mogłaby zabierać swoje psy do szpitala, na przykład do Grace Memorial. Jej matka była przez jakiś czas pacjentką ich oddziału neurologicznego i miała tam znakomitą opiekę. Ale pobyt w szpitalu byłby jeszcze lżejszy, gdyby ta zakochana w psach kobieta mogła przyjmować odwiedziny swoich czworonożnych przyjaciół. Ta pani chciała, żebym się wstępnie skontaktowała ze szpitalem. Uważała, że jako weterynarz zostaną potraktowana poważniej niż

ona. Kiedy zadzwoniłam, skierowano mnie do Blaine'a, który właśnie został szefem personelu. Spodobał mu się ten pomysł, umówił parę spotkań i tyle tego było. - Przerwała na moment. - Dlaczego pomyślałeś, że się spotykaliśmy?

- Takie odniosłem wrażenie, kiedy coś powiedział. Mylne wrażenie. Powiedziałbym ci co mówił, gdybyś tak nie marszczyła brwi.

- Blaine kiedyś zaprosił mnie na randkę. Przynajmniej wydaje mi się, że o to chodziło. To zaproszenie na kolację padło tak swobodnie, że potem zawsze czułam się trochę skrępowana moją odpowiedzią. Musiała mu się wydać arogancka. Powiedziałam, że nie umawiam się na randki, bo zrobiłam sobie permanentną przerwę w związkach.

- Aż tak źle?

- W tych związkach? Nie w tym sensie, że to byli jacyś źli mężczyźni. Czy trudne rozstania. Zawsze rozchodziliśmy się na stopie przyjacielskiej. Ale... Dlaczego ja ci opowiadam, że mam na swoim koncie nieudane związki?

- Bo to wcale nie były nieudane związki. Sama powiedziałaś, że rozstawaliście się jak przyjaciele.

- A ty nie?

- Czy po swoich nieudanych związkach rozstawałem się po przyjacielsku z tymi kobietami? Nigdy.

- Namiętność.

- Proszę?

- Widocznie twoje kobiety odczuwały wobec ciebie większą namiętność niż mężczyźni, z którymi się spotykałam, do mnie. - Uśmiechnęła się szeroko, kręcąc głową. - To nawet gorzej, niż przyznać się, że ma się na koncie wiele nieudanych związków.

- Nie mogę się nie zacząć zastanawiać, czy to raczej nie ty byłaś wobec tych mężczyzn obojętna.

W spojrzeniu Thomasa nie było widać najmniejszej wątpliwości w jej zdolność do odczuwania namiętności.

Ani odrobiny wątpliwości. Co do obojga z nich.

- Masz rację - powiedziała. - Byli mi obojętni.

- Twoja namiętność lokuje się gdzie indziej.

- Tak. Odkąd byłam już wystarczająco duża, w każdej wolnej chwili pracowałam jako ochotniczka w klinikach weterynaryjnych i schroniskach dla zwierząt. Dopiero na przedostatnim roku studiów zaczęłam się w ogóle umawiać na randki. Nagle dotarło do mnie wtedy, że wiele

koleżanek z mojego rocznika już się zaręczyło. Wszystkie były bystrymi młodymi kobietami, planowały karierę zawodową. Wierzyły, że mniej się będą rozpraszać w pracy, jeśli sprawę małżeństwa już będą miały załatwioną. Mnie jakoś nigdy nie dotyczył taki owczy pęd, ale poddałam się ogólnej gorączce i uwierzyłam, że jeśli nie wyjdę za mąż do końca studiów, to już nigdy nie znajdę męża.

- Chciałaś wyjść za mąż?

- Traktowałam małżeństwo jako coś, z czego nie zamierzałam rezygnować tylko dlatego, że od dwudziestu lat byłam sama sobie sterem. Zapraszano mnie na randki. Prawie zawsze odmawiałam.

- Ale na przedostatnim roku studiów zaczęłaś się zgadzać.

- Zgadzałam się na każdą propozycję. Musiałam przecież znaleźć mężczyznę swoich marzeń wśród tych jeszcze niezajętych. Oczywiście, było mnóstwo wspaniałych i wolnych mężczyzn. Ciągłe próbowałam sobie wmawiać, że to właśnie to, że się zakochałam. Z perspektywy czasu widzę, że byłam od tego bardzo daleka. A ci faceci, z którymi się spotykałam, też się wcale we mnie nie kochali. Lubili mnie, ja też ich lubiłam. I chyba wyczuwali, że jestem zdesperowana. - Mira wzruszyła ramionami. - Teraz to się wydaje takie niemądre. Ale wtedy było bardzo bolesne. Na szczęście, nie mogłam się już doczekać studiów na weterynarii.

- Którą pokochałaś.

- Jeszcze bardziej, niż się tego spodziewałam.

- A po skończeniu weterynarii też chodziłaś na randki.

- Jasne. Czasami. - Uśmiechnęła się. - Od przypadku do przypadku.

- Nie można więc powiedzieć, że sobie robisz przerwę od związków. Po prostu mówisz coś takiego, kiedy na randkę zaprasza cię mężczyzna, który wydaje ci się mniej atrakcyjny niż perspektywa spędzenia czasu w samotności albo ze swoimi zwierzętami, albo z kimś innym niż ten facet.

„Podejmujesz decyzje, opierając się na tym, co jest najlepsze dla ciebie samej - powiedział wtedy Blaine. - A nie dlatego, że inni się spodziewają czegoś po tobie lub czegoś oczekują”.

- Chyba masz rację.

- Blaine był jednym z tych mężczyzn - powiedział Thomas. - Czwartym w kolejce, z punktu widzenia atrakcyjności, po byciu samej, z pacjentami lub z kimś innym.

- Chyba nie byłby zadowolony z takiego rankingu. - Mira zamyśliła się. - Ale wszystko się dobrze skończyło. Kiedy Blaine i Vivian spotkali się, oboje zakochali się od pierwszego wejrzenia.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - powtórzył Thomas. - Wierzysz w coś takiego?

- Chyba tak. A ty?

Zaczynam wierzyć, pomyślał, a potem odpowiedział.

- Ja zaczynam wierzyć w różne rzeczy, które kiedyś wydawały mi się niemożliwe.

- Na przykład, że możesz być wspaniałym ojcem?

- Na przykład, że znajdę w sobie odwagę, żeby w ogóle próbować.

- A dlaczego nie miałbyś jej znaleźć? Poświęciłeś swoje życie troszeczkę o innych ludzi. A teraz twoja kolej, Thomas. Opowiedz mi o sobie.

Rozdział 21

Stacja WCHM

Wind Chimes Towers

wtorek, 1 listopada, 17.00

Hełn? Tu Blaine. Nie martw się, nie dzwonię, żeby odwoływać wywiad.

- Dzięki Bogu.

- Nie wiesz czasem, czy Snow miała okazję zerknąć na szkic, który jej przesłałem?

- Wiem, że go czytała. To bardzo przydatne zestawienie najważniejszych spraw, które trzeba omówić. Na tej podstawie przygotowała pytania do ciebie.

- Cieszę się, że to pomogło. Ale w zasadzie dzwonię, żeby spytać, czy możemy zorganizować próbę dźwięku trochę wcześniej, niż planowaliśmy. Mam spotkanie z pacjentami spoza kliniki, które skończy się o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Możliwe, że jedna z pacjentek przed wyjściem zechce zajrzeć do mnie, do gabinetu. Gdybyśmy mieli

próbę głosu za sobą, mógłbym tę linię przełączyć na oczekiwanie, kiedy będę z nią rozmawiał.

- Zadzwoń, o której sobie życzysz.

- Zrobmy to zatem o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Powinniśmy skończyć do jej przyjścia, zakładając, że ona w ogóle zdecyduje się przyjść. Jeśli przyjdzie, to będę musiał ją stąd wyprowadzić, zanim Snow będzie gotowa zacząć wywiad. Możesz mi podać, kiedy najwcześniej to może być?

- Wiadomości, a po nich reklamy, lecą do dwudziestej drugiej pięć. Po swoich wstępnych uwagach Snow przejdzie od razu do historii Christine, zmieniła w niej imiona. Sądzę, że to potrwa jakieś sześć, siedem minut. A więc... Najwcześniej dwudziesta druga jednaście, dwudziesta druga dwanaście. Może tak być?

- Znakomicie, Helen. Czekam na twój telefon o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. A jeśli ty lub Snow będziecie miały jakieś pytania w ostatniej chwili, proszę, dzwońcie.

Według opinii Lacey Thomas Vail był czystej krwi bostończykiem - a przynajmniej tak zakładała ta dziedziczka fortuny z Hilltop. Sugero- wało to jego wykształcenie, podobnie jak wymowa, sposób ubierania się i manieri absolwenta uczelni należącej do Ligi Bluszczonej.

A Thomas Miry? Prawdziwy Thomas?

- Pochodzę gdzieś z Europy Wschodniej. Nigdy nie dowiedziałem się, skąd dokładnie. Mam tylko jakieś wspomnienia skalistych wzgórz, na których pasły się owce. Mój ojciec chyba był pasterzem owiec. Nie mam żadnych wspomnień, mglistych czy nie, ani o nim, ani o mojej matce czy trójce rodzeństwa. Ale może to lepiej. Cała piątka została zastrzelona.

- Ach, Thomas.

- Tego też nie pamiętam. Po prostu tak mi powiedzieli w sierocińcu, w którym mieszkałem do dwunastego roku życia... I gdzie moim obowiązkiem było pilnowanie pozostałych dzieci.

- A więc byłeś pasterzem. Jak twój ojciec.

- Możliwe. To stadko często chorowało. Nikt tam nie był zupełnie zdrowy. Wierzyłem, że im pomagam, informując dorosłych, kiedy chorowali.

- A nie pomagałeś?

- Nie. Zabierano ich i nigdy nie wracali.

- Uważasz, że ich...

- Dobijano? Nie wiedziałem tego, a chciałem się dowiedzieć. Powiedziałem administratorom, że sam też mam bardzo podobne objawy. Zaraz potem znalazłem się na leżance, gdzie przedtem kładziono umierające dzieci, za zamkniętymi drzwiami. Dali mi koce. Obok mnie postawiono jedzenie i picie.

- Drzwi były zamknięte na klucz?

- Nie. Mogłem wstać i wyjść. W przeciwieństwie do dzieci, które były naprawdę chore.

- To okropne!

- Nie robili tego z okrucieństwa. Zarządzający domem dziecka nie otrzymywali żadnej pomocy dla chorych dzieci, żadnych lekarstw. Jeśli w pobliżu był jakiś szpital, jego skromne zasoby środków zostałyby przeznaczone dla kogoś wartościowszego dla wioski niż dziecko zbyt słabe do pracy. W tej części świata, w tamtych czasach, przeznaczeniem chorego dziecka była śmierć. Stosując wobec nich kwarantannę, pracownicy sierocińca mieli nadzieję zapobiec zarażaniu pozostałych.

- Ale żeby ci dorośli obarczyli cię odpowiedzialnością za stwierdzenie choroby u twoich kolegów, twoich towarzyszy zabaw...

- Miro, w sierocińcu nie było żadnych zabaw. Ani przyjaźni. Wszystkich pochłaniała walka z zimnem, głodem i chorobą.

- Walka o przetrwanie.

- Tak to miało wyglądać. Gdzieś po drodze ktoś doszedł do wniosku, że choroba oznacza nieprzystosowanie. Nie jestem pewien, dlaczego nie uwierzyłem w tę zasadę. Przecież to działo się wiele lat przedtem, zanim dowiedziałem się, że przechodząc jakąś chorobę, można się na nią uodpornić.

- Po prostu wiedziałeś, że nie możesz już żadnemu dziecku pozwolić umrzeć w tym pokoju. Co zrobiłeś?

- Zacząłem zwracać baczną uwagę na objawy i symptomy. Dostrzegając jakąś chorobę we wczesnym stadium, mogłem sam odizolować takie dziecko albo grupę dzieci o podobnych objawach i zmniejszyć rozprzestrzenianie się choroby. A jeśli karmiłem chore dzieci, trzymałem je w ciepłe i zapewniałem dużo wody, niektóre przeżywały.

Twój własny oddział intensywnej terapii, pomyślała Mira. Gdzie pod twoją opieką, dzieci, którym w przeciwnym razie groziła śmierć, mogły przeżyć. Niektóre dzieci.

- Ale nie wszystkie... - szepnęła.

- Nawet nie większość, Miro. Ile razy ktośś umierało, czekałem, aż inne zasną, i dopiero wtedy zносиłem zmarłe dziecko administratorom.

Nigdy mnie nie pytali, czemu wcześniej nie zauważyłem choroby. Nie mieli medycznego wykształcenia, nie byli tego nawet ciekawi. Prowadzili przepelniony ośrodek, gdzie znajdowały się dzieci, których nikt nie chciał. Większość z nich też cierpiała zimno i głód.

- Brzmi to tak strasznie beznadziejnie.

- Nie znaleźliśmy żadnego innego świata. Aż do czasu, kiedy pojawili się amerykańscy żołnierze. Kiedy wspominam tamten dzień, widzę, jak ciągle szary świat napełnił się nagle kolorami. Mówię dosłownie. Naprawdę nie pamiętam, żeby przedtem niebo było niebieskie, słońce złote, a jego zachód lawendowy.

- Co się stało, kiedy przybyły te wojska?

- Dostaliśmy pomoc medyczną. Uświadomiono też sobie, że sieroty z Europy Wschodniej potrzebują domów.

- Kto cię zaadoptował?

- Nikt. Rodziny adopcyjne szukały mniejszych dzieci albo rodzeństw w różnym wieku. Ja zostałem ostatni i już mi zapowiedziano, że jestem dość duży, żebym sam zadbał o siebie.

- Miałeś dwanaście lat.

- Dwanaście tu to nie to samo, co dwanaście tam. Miałem zamiar zaciągnąć się do nowo sformowanej armii, w nowo sformowanym państwie. W ostatniej chwili dwoje Amerykanów, lekarzy, zaprosiło mnie do swojego domu - i dało mi swoje nazwisko. Ich dzieci już dorosły. Mieli mnóstwo miejsca. Chyba nie spodziewali się, że będę taki, jak każde inne dziecko czy ich wnuczeta. Nie chciałbym dowiedzieć się, że ich zawiodłem. To byli - to są - cudowni ludzie. I wiedzą, jak bardzo im jestem wdzięczny. Ale zawsze istniał między nami jakiś dystans, jakieś oddalenie w związku z tym, kim jestem.

- To przez to, skąd pochodzisz, Thomas. I co kazano ci robić. Administratorzy sierocińca wiedzieli, że zauważysz najdrobniejszy objaw choroby u innych dzieci i że o tym kogoś poinformujesz, przekonany, że postępujesz dobrze. Jak miałeś po czymś takim komuś jeszcze zaufać?

Mira spodziewała się, że Thomas uśmiechem odgradzi się od jej gniewu za tego chłopca, którym kiedyś był... I w ten sposób zapewni ją, że przetrwał. Więcej niż tylko przetrwał.

Thomas nie uśmiechnął się jednak. Ale po jego przystojnej twarzy przemknęły inne uczucia - uczucia, które pewnie uważał za stracone na zawsze od tego dnia, kiedy odkrył, co spotykało dzieci, które próbował ratować. Uczucia, których zdaniem Lacey mu brakowało. To dlatego

Lacey uważała go za niezawodny przepis na bolesny rozwód: „mężczyzna, który nie mógłby przestać kobiety obdarzać uczuciami, bo żadnych uczuć od początku w nim nie było”.

- Zaufać? Okazuje się - powiedział cicho - że mogę.

Słowa te były równie wyraźne jak uczucia, które ani nie zaginęły, ani ich mu nie brakowało. Thomas Vail, który nie miał powodu nikomu ufać, zaufał jej.

Jego ciemnobłękitne oczy powiedziały Mirze nawet więcej. Zaczynał ufać zupełnie niemożliwym uczuciom. Zaczynał poddawać się zachwytowi.

Rozdział 22

Moje Śluby
Peachtree Road
Atlanta, Georgia
wtorek, 1 listopada, 19.20

Klientka Ellen O'Neil była dwadzieścia minut spóźniona na wizytę. Spóźnienie się przedłużyło.

Spóźniona matka panny młodej wreszcie zadzwoniła. W panice. Tego rodzaju przedślubną panikę trzeba będzie zdusić w zarodku, pomyślała Ellen.

Zawsze umiała wszystkiego dopilnować. Znana była z tego, że potrafi zrezygnować z irytującej klientki, a nawet w ogóle z góry odmówić współpracy.

Mogła sobie pozwolić na taki luksus. Była organizatorką ślubnych przyjęć, za którą uganiała się cała Atlanta. Jeśli w jakimś dniu nie miała czasu, ślub się przekładało na termin, który jej odpowiadał - nawet jeśli ślub by się odbył w Halloween.

Ellen właśnie wczoraj dopilnowała takiej ceremonii ślubnej, zaplanowanej na trzydziestego pierwszego października. W Savannah. Zadbowała o każdy szczegół nieskazitelnej uroczystości, aż do chwili, kiedy młoda para wśród życzeń udanej podróży wyruszyła dziś po lunchu na swój miodowy miesiąc.

Powrotny samolot wylądował na Hartsfield o piątej. O szóstej, z komputera w swoim butik, załogowała się na stronę internetową *Godziny Kopciuszka* i sprawdziła, jakie są tematy wieczoru.

I kim będą goście programu.

A zwłaszcza jeden z gości. Na widok jego nazwiska przeszedł ją zimny dreszcz. Znała ten dreszcz. Pojawiał się za każdym razem, kiedy usiłowała wydobyć tamto wspomnienie z mroku niepamięci. Często podejmowała te próby, odkąd dwa tygodnie temu niespodziewanie zapowiedziano na antenie, że Snow Gable z *Godziną Kopciuszka* przynosi się do Chicago.

Przenosiny planowano już od jakiegoś czasu, przyznała Snow, kiedy słuchacze zaczęli dzwonić do programu, sygnalizując swoje niezadowolone. Nie chciała robić z tego wielkiej sprawy ani żeby ktokolwiek czuł się zawiedziony. WCHM będzie nadawało *Godzinę Kopciuszka* na żywo w Internecie, numer telefoniczny z Atlanty pozostanie bezpłatny, tak samo jak do tej pory, a Snow ma nadzieję, że słuchacze nie przestaną dzwonić.

Ellen siedziała w taksówce, wracając do domu po próbie ceremonii w posiadłości na Tuxedo Road, kiedy Snow powiedziała swoim słuchaczom, że odchodzi. Taksówkarz próbował nawiązać z nią rozmowę, chciał, żeby mu współczuła, bo jego dyżury późno wieczorem będą o wiele mniej zabawne - i mniej pouczające - bez możliwości posłuchania Snow. Ale Ellen milczała, pogrążona we własnym zmartwieniu.

We własnym lęku.

Przez cały wieczór przekonywała samą siebie, że ten lęk jest bezpodstawny. Tak, w Chicago mieszkają mężczyźni, którzy w głosie Snow dosłyszają Leigh Gable - i którzy będą się może kontaktować ze Snow w nadziei, że odszukają Leigh. Snow powie im prawdę. Ani nie widziała swojej matki, ani nie miała od niej żadnych wiadomości od szesnastu lat.

A ponieważ Snow wie, że któryś z nich może być tym agresywnym mężczyzną, przed którym uciekła Leigh, będzie unikała kontaktów z nimi.

Snow dotrzymała obietnicy, którą dała Leigh. Dziecko urodzone w walentynki stało się dzieckiem urodzonym w Święto Flagi Państwa. Data jej urodzin, 14 czerwca, była ogólnie dostępna. Taka mała ciekawostka dla fanów.

Snow będzie w Chicago bezpieczna. Widziała kiedyś siniaki matki. Musi wiedzieć, że powinna mieć się na baczności.

To Ellen chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Zrobiła nawet pewne postępy. Ale wspomnienie wydarzeń nocy, kiedy poczęła Snow, ciągle pozostawało mgliste - Ellen zresztą raczej niechętnie próbowała do niego wracać.

Nie miała pojęcia, co zrobi z tym wspomnieniem, jeśli je kiedyś odzyska. Najprawdopodobniej tylko potwierdzi, że natknęła się kiedyś na agresywnego mężczyznę, jak już dawno temu powiedziała Snow, i nic więcej nie trzeba będzie z tym robić.

Wspomnienie wracało w słowach, nie w obrazach - jako elementy historii, którą jej opowiedział. Te pierwsze trzy elementy nie budziły niepokoju. Matka, panna młoda i... jajka. Ellen bez kłopotu wyobrażała sobie różne scenariusze, w których wszystkie mogły odegrać rolę.

Gdyby nie ten dreszcz, może przestałaby drażnić temat. Ale nie ustępowała i w ten poranek w Savannah nagle z cienia wyłonił się element czwarty.

Truczna.

A dziś wieczorem, w Chicago... Ale dzwonek przy drzwiach zapowiedział wizytę Lucindy Buchanan i jej wchodzącej za męża córki, Lucy.

Ellen podzieli się z nimi skróconą wersją swojej zwykłej, trzygodzinnej prezentacji - tak szczegółowej, że nigdy nie musiała borykać się z podsuwanymi w ostatniej chwili przez kuzynkę pana młodego pomysłami opartymi na czymś, co tamta właśnie wyczytała w „Vogue”.

Tak, Ellen mogła wyjść z butiku o dwudziestej drugiej dwadzieścia i jak najbardziej liczyć, że zdąży do domu na czas. Ale nie wystarczy liczyć, że zdąży.

O dwudziestej trzeciej w Atlancie - dwudziestej drugiej według czasu w Chicago - po prostu musi być przy komputerze i wysłuchać każdego słowa. Usłysz ten głos, który zapamiętała w swoich wspomnieniach. Może kiedy usłysz go znowu, wszystko stanie się jasne.

I wtedy będzie wiedziała, czy coś trzeba zrobić.

Mira i Thomas rozmawiali o wszystkim i o niczym - i to wszystko wydawało się niesłychanie istotne - w końcu przyszła pora zajrzeć do śpiących małych.

Mira, klęcząc na podłodze, położyła dłoń na ciałku Eileen. Rączka Wendy cały czas przytulała kociaka.

Kotka lekko poruszyła się pod dotykiem palców Miry. Dobry znak. Ospałość się nie pogłębiała. Oddychała trochę szybciej.

Za wcześniej było, żeby stwierdzić poprawę. Ale Eileen się nie poddawała.

Mira miała już wstać, kiedy Wendy otworzyła oczy. Czy krzyknie z przestraszu?

Nie. A Thomas, który podszedł bliżej, nie zauważył u niej paniki ani nawet lęku.

Wendy zmarszczyła czoło, patrząc na Mirę i usiłując zorientować się, gdzie właściwie jest. Chyba znalazła odpowiedź w uśmiechu Miry.

- Mira.

- Cześć, Wendy. Sprawdzam tylko, jak czuje się Eileen. Wszystko jest dobrze.

- Potrzebuje jeszcze trochę płynów?

- Później. Za jakieś dwie godziny. Na razie wystarczy.

- Wendy powinna już coś zjeść - stwierdził Thomas.

Wendy do tego momentu nie spojrzała na niego. Ale widać było, że doskonale wie, że on tam jest.

- Nie jestem głodna, Thomas.

- Ale wiesz, co? - powiedziała Mira. - Naprawdę chciałabym chwilę poprzyglądać się Eileen. Nie dam jej żadnych zastrzyków, Wendy. Nie bez twojej pomocy. Chciałabym tylko na nią popatrzeć, jeśli mi pozwolisz. Położę się tu, gdzie leżałaś, i dotrzymam jej towarzystwa, kiedy ty i Thomas pójdziecie poszukać czegoś do jedzenia...

Teraz to Mira zmarszczyła czoło, budząc się z różnych snów i zastanawiając się, gdzie właściwie jest. Odpowiedź znalazła w poważnych, młodych oczach, które przyglądały jej się ponad unoszącym się i opadającym futerkiem śpiącego kotka.

- Wendy.

- Zasnąłaś.

- I to jak mocno. Która godzina?

- Dwadzieścia czterdzieści pięć - powiedział Thomas. - Mówiłaś, że o dziesiątej musisz być u Vivian.

- Muszę. - Mira podparła się na łokciu i pogłaskała Eileen. Skończywszy badanie palcami, dodała: - Nadal się trzyma. Zostawię ją tutaj. Będzie potrzebowała płynów o jedenastej i kolejnej dawki antybiotyku o drugiej trzydzieści.

- Dobrze. Wendy i ja zajmiemy się tym.

- A więc... - Mira usiadła. - Będę się zbierać.

- Dlaczego?

To nie była żadna żałosna dziecięca prośba typu: „Nie odchodź, Miro!” „Mamusiu! Nie odchodź, proszę!” Ale zaciekawienie Wendy jej bliskim wyjściem było bardziej obiecujące, niż gdyby złapała czarną walizkę Miry i uciekła z nią za drzwi.

- Mam dziś wieczorem, z moją siostrą, Vivian, słuchać pewnego programu radiowego. - Polubisz Vivian, pomyślała, a ona polubi ciebie. A Bea, która nie miała szczęścia i nie mogła mieć własnych dzieci, będzie najlepszą babcią pod słońcem.

Mirę zaskoczyły własne myśli. Takie aroganckie. Jakby nadal śniła. Ale kiedy napotkała spojrzenie Thomasa, miała wrażenie, że on też planuje właśnie ich wspólną przyszłość.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie Wendy.

Bo zaczynamy się w sobie zakochiwać, bo się już w sobie zakochaliśmy... A łądowanie będzie tak mięciutkie, jak tylko sobie można wyobrazić. On nigdy nie pozwoli mi się rozbić o ziemię, myślała.

- Bo mąż Vivian - on ma na imię Blaine - będzie udzielał wywiadu w tym programie. Vivian i ja chcemy wysłuchać, co powie.

Wendy pokiwała głową. Wystarczyły jej te informacje. Wsunęła się z powrotem do łóżka, z którego wstała Mira.

Przed wyjściem Mira powiedziała Thomasowi, jak ma się z nią kontaktować telefonicznie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Jego oczy mówiły, że jest mu potrzebna... Już wtedy, gdy odprowadzał ją do drzwi.

- Będiesz jechała ostrożnie?

- Oczywiście. Obiecuję.

- I zadzwonisz do mnie, kiedy dojedziesz do Vivian?

- Tak zrobię.

- Miro...

Mira też nie zamierzała pozwolić Thomasowi roztrzaskać się o ziemię.

- To mała dziewczynka, Thomas. A ja już jestem dorosła.

Thomas dotknął jej zarumienionego od snu policzka.

- Tak, jesteś.

- Mogę zaczekać. Na ciebie. Na nas. Zaczekam.

- Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się.

- A proszę cię bardzo.

Rozdział 23

Pierworodnej córce Treya Larkena odmówiono możliwości prowadzenia firmy Larken & Syn. Ale w prezencie ślubnym dostała rodzinny dom, postawiony jeszcze przez Edwina Larkena.

Mira spodziewała się, że zastanie Vivian w tym wielkim domu, gdzie kiedyś jako dziewczynki żyły każda własnym życiem. Ale tam jej nie było.

Mira uznała, że siostra jest może z Blaine'em. Mimo że ją do tego zniechęcał, mogła pojechać do niego, do biura. Będzie siedziała z podwinętymi nogami na kanapie obok niego i trzymała go za rękę, a on pełnym zachwytem spojrzeniem będzie starał się wzmocnić to, co uznawał za jej rozpaczliwie niską samoocenę.

A może jest z Lacey, najlepszą przyjaciółką, która na pewno od samego początku zna ze szczegółami tę historię o Luke'u, Snow i Vivian i z chęcią razem z Vivian będzie rzucać drwiące uwagi na temat Snow przez cały czas trwania tego wywiadu.

Vivian może też siedzieć u siebie w biurze i pracować nad jakąś sprawą, zupełnie zapomniawszy o tym wywiadzie, bo w jej pełnym pewnością siebie życiu nie ma miejsca na martwienie się Snow. Albo Lukiem. Albo czymś, co się zdarzyło kiedyś.

To był najbardziej prawdopodobny scenariusz. Doktor Blaine Prescott jest wprawdzie błyskotliwy, ale co do Vivian się mylił. Lekarzom nie wolno leczyć swoich bliskich. Niemądrze byłoby oczekiwać, że zachowają obiektywizm. I to bardzo prawdopodobne, że każda najdrobniejsza troska Blaine'a o Vivian jest wyolbrzymiona tą jego głęboką miłością do niej.

Mira nie miała pojęcia, gdzie jest Vivian - wiedziała tylko, gdzie jej nie ma: nie chowała się lękliwie w domu, czekając na wywiad Blaine'a ze Snow.

Mira wiedziała też, kim Vivian nie jest - kobietą, która potrzebuje wsparcia siostry.

Siedząc w samochodzie zaparkowanym na kolistym podjeździe rezydencji, Mira sprawdziła, czy ma jakieś wiadomości na domowej sekretarce. Elektroniczny głos poinformował ją, że są dwie, jednak nie informował, kim był dzwoniący ani jakie to wiadomości, obsceniczne czy przyjazne.

Pierwszą wiadomość o wpół do piątej zostawiła Bea:

- Zdecydowałam się zamknąć interes i włączyć alarm. Daj mi znać, jeśli przywieziesz do domu tego chorego kociaka. Zajmę się nim, kiedy będziesz u Vivian. A dla twojej informacji, rozumiem już twój odruch, żeby nagadać Snow za to, że zraniła Luke'a. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie podejść do remizy i nie przywołać Luke'a Kilcannona do porządku po tym, jak zranił ciebie. No bo naprawdę, jak on śmiał? Na razie udało mi się oprzeć pokusie. Nawet znalazłam kolejne wytłumaczenie - nie jakąś wymówkę - dla jego zachowania. Dziś jest pierwszy listopada, rocznica nocy, kiedy Jared usiłował go zabić. Takie emocjonalne rocznice potrafią człowieka zaskoczyć. Serce coś sobie przypomina, zanim przypomni sobie mózg. Ogarnia cię nagły smutek - albo, jak w przypadku Luke'a, gniew - a ty nie rozumiesz, dlaczego. Przychodzi mi na myśl, że to może nie najlepszy dzień na spotkanie Luke'a ze Snow. Ale kto wie? Może oboje sobie przypomną, co wtedy do siebie nawzajem czuli. A więc na razie Luke'owi się upiekło. Ale jeśli jutro do południa nie zgłosi się z przeprosinami, to biada mu!

- Dzięki, mamie - powiedziała Mira, z uśmiechem czekając na drugą wiadomość. Przyszła o szóstej piętnaście z jakiegoś nieznanego jej numeru z Chicago.

- Cześć, Miro. Mówi Snow Gable. Bardzo ci dziękuję za to zaproszenie na lunch. Chętnie się spotkam - wszystko jedno, kiedy. Już od lat chcę cię poznać. Pamiętasz panią Evans, szkolną pielęgniarkę z podstawówki Hilltop, do której chodziłaś? Była też pielęgniarką w Pinewood i naszą sąsiadką. I to taka miła osoba. Opowiadała mi o tobie i nawet wróżyła, że w Liceum Larkena się zaprzyjaźnimy. W każdym razie, proszę, zadzwoń do mnie. O dowolnej porze. Mój numer to...

Mira zachowała na sekretarce tę wiadomość i oddzwoniła do Bei.

- Gdzie jesteś?
- Parkuję przed drzwiami Vivian. I jeśli się tu nie pojawi w ciągu najbliższych pięciu minut, wracam do domu.
- Bez kociaka?
- Bez kociaka. Thomas go dopilnuje.
- Ach tak.
- Co, ach tak?
- Twój głos, kiedy wymieniłaś jego imię. Kolejne fajerwerki?
- Chyba dla nas obojga.
- Chyba?

- No, całkiem na pewno. Ale na razie i tak długo, jak będzie trzeba, żeby Wendy całkowicie uwierzyła, że jest dla niego najważniejszą osobą w życiu, będziemy musieli radzić sobie z tym tak, jak Thomas radzi sobie w stosunku do Wendy - od jednej drzemki do drugiej. Ale mam przecucie, że kiedy będzie spała, nam uda się rozmawiać.

- Zakochałaś się.

- Tak.

- A on zakochał się w tobie.

- Nie powiedział tego, Beo. I może ja kompletnie źle odczytuję to, co się dzieje. Kiedy tam byłam, wszystko wydawało się takie rzeczywiste, ale jadąc do domu, zaczęłam się zastanawiać, czy ja sobie tego nie wyobraziłam. Nie wydaje mi się, ale...

- To cudownie! - ucieszyła się Bea.

- Dzięki. Zobaczmy... Och, zaczekaj, ktoś tu jedzie, widzę światła. Może to Vivian... Nie, to jakaś dostawcza furgonetka. Trochę to dziwne o tej porze, wieczorem.

- Jesteś w bezpiecznym miejscu?

- Tak. I to znana furgonetka, Beo. Z Wypożyczalni Smokingów Berta.

- On sam prowadzi?

- Nie zauważyłam, zresztą już pojechała dalej.

- To pewnie był on. Bierze za wiele na swoje barki i jeździ po ciemku, bo wyobraża sobie, że jego sześćdziesięcioosmioletnie oczy są tak samo sprawne jak wtedy, kiedy miał osiemnaście lat.

Mira wiedziała, że dla Bei punkty orientacyjne, które ułatwiały jazdę za dnia, po zmroku stawały się cieniami. Bea mogła jeździć nocą, ale jak większość jej przyjaciół wolała już tego nie robić.

Czy Bert Wells był jej przyjacielem? Bea nigdy wcześniej o nim nie wspominała. Ale teraz, w tym jednym zdaniu, zdołała zawrzeć troskę, sympatię i zażyłość obejmującą całe pięćdziesiąt lat.

- Znasz Berta, odkąd miał osiemnaście lat?

- Znałam go, kiedy miał osiemnaście lat. Od tamtej pory czasem na siebie wpadaliśmy.

- Rok temu zostawiła go żona - powiedziała Mira.

Recepcjonistka z Kliniki Weterynaryjnej Hilltop żyła plotkami. Rozpad czterdziestoletniego małżeństwa Berta stanowił temat atrakcyjny i plasował tego atrakcyjnego, rzutkiego starszego pana wysoko na miejscowej liście „kawalerów do wzięcia”.

Kiedy po uwadze Miry po drugiej stronie słuchawki zapadła niespodziewana cisza, Mira podsunęła kolejną ploteczkę, której nie można było nie usłyszeć.

- Związała z instruktorem tańca.

- Nie z żadnym instruktorem. Z wdowcem z Lake Forest, który też chodził na lekcje. Oboje szlifowali taneczne umiejętności przed planowanym rejsem wycieczkowym.

- A Bert się nie wybierał na ten rejs?

- Chyba tak. Ale on nie potrzebował lekcji tańca.

- Beo!

- Och, no dobrze. Bert zawsze tańczył wspaniale. Wiem, bo zaprosiłam go na Bal Szklanego Pantofelka. Nie chodziliśmy ze sobą. On był związany z jakąś dziewczyną ze starszej klasy. Ale z kilkoma przyjaciółmi zgłosili się na ochotnika jako partnerzy dla tych dziewczyn z pierwszej klasy, które nie miały kogo zabrać na bal. Ładnie z jego strony i ta właśnie okazja mogła mu podsunąć pomysł założenia wypożyczalni smokingów. Zresztą na bal nie przyszedł za kasę. Z jego strony to był tylko gest dobrej woli.

- Dobrze się bawiłaś.

- To porządny facet.

- To porządny wolny facet.

- Wiedziałam!

- A może byś mu podarowała parę pudełek tych kasztanków, które wpakowałaś do mojej zamrażarki?

- Vivian się nie pokazała?

Mira się uśmiechnęła.

- Nie. Powiedziałybym, że czas jechać do domu i zadzwonić do Thomasa. A może wpadnę i posłucham *Godziny Kopciuszka* razem z tobą? Jeśli obiecuję, że nie będę wspominała o kasztankach... ani o Bercie?

- Wysłucham wywiadu z Lukiem jutro rano. Tego z Blaine'em nie zamierzam słuchać. Wiem, że powinnam, jako pielęgniarka, ale nie mogę.

- Ze względu na twoje poronienia.

- Tak.

- Bo sama miałaś depresję?

- Naprawdę ją miałam. Ale to nie była depresja poporodowa. No bo niby skąd? Przecież ja nigdy nawet nie donosiłam do porodu. To była po prostu zwykła, uporczywa depresja, z której nie mogłam się otrząsnąć. - Zwyczajna, uporczywa depresja, która po każdym kolejnym poronieniu

trwała dłużej. To w czasie depresji po ostatnim poronieniu - kiedy wybiła już ostatnia godzina jej małżeństwa - Bert Wells znalazł ją, kiedy błąkała się bez celu po Main Street. Wziął ją tego wietrznego popołudnia za rękę i poszli na długi spacer, gadając godzinami.

- Brzmi niezłe - powiedziała Helen do Blaine'a o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. - Głośno i wyraźnie.

- Ja ciebie też dobrze słyszę. A więc przełączamy tę linię na oczekiwanie do mniej więcej dwudziestej pierwszej jedenaście?

- Tak. Do usłyszenia potem.

O dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć Luke zawrócił w dozwolonym miejscu na Larken Avenue. Jeszcze miał czas zajrzeć do Miry i zdążyć do WCHM na dwudziestą trzecią.

To, co miał do powiedzenia, nie zajmie dużo czasu. Ale musi to powiedzieć sam.

Nie miał żadnego prawa tak jej atakować. A ona miała pełne prawo zrobić to, co zrobiła. Sam by tak postąpił, gdyby chodziło o jakiegoś faceta, który by ją skrzywdził.

W tej chwili Luke był takim właśnie facetem. Przez całą resztę dyżuru i trzy kwadransy, które minęły od jego zakończenia, biczował się za to i za inne rzeczy.

Eileen ma się lepiej, uznał Thomas tuż przed dwudziestą drugą.

I to nie było żadne myślenie życzeniowe. Zaszła w niej subtelna, ale widoczna zmiana, jaką często obserwuje się i u ludzi.

Wendy też tak uważała. Ona też zauważyła zmianę, tak jakby zauważył ją każdy lekarz.

Moja córeczka, specjalistka od intensywnej terapii. To mogły być tylko czułe marzenia Thomasa, ale wiedział, że to coś więcej.

Moja śliczna Wendy. Nasza śliczna Wendy, lekarz weterynarii.

Kiedy zadzwonił telefon, Thomas był pewien, że to sama pani weterynarz zgłasza się przed początkiem audycji.

Ale to nie była Mira.

Niemniej wiadomość okazała się dość niezwykła.

Rozdział 24

Kiedy Blaine wypytywał Mirę o jej telefonicznego prześladowcę, uświadomiła sobie, jak bezbronna jest wobec takiego zagrożenia. Próbuując psychicznie zaradzić tej bezradności, kiedy otwierała frontowe drzwi własnego domu, wyobrażała sobie, że dzwoni do Thomasa. I słyszała w myślach jego głos, idąc krótkim korytarzykiem, żeby wyłączyć popiskiujący alarm przeciwwłamaniowy.

Chociaż podświadomie czuła opary benzyny, nie dotarło to do jej świadomości i się nie zaniepokoiła. A kiedy wystukała czterocyfrowy kod, żeby uciszyć pikanie alarmu, nie wyczuła tuż obok czyjeś obecności.

Instykt przetrwania uruchomił się dopiero, kiedy przesączony benzyną gałgan zasłonił jej usta, a przez pierś objęła ją czyjaś mocna ręka.

Mira była silna i rozgniewana. Ale napastnik okazał się silniejszy. I wręcz wściekły.

Jej opór tylko podsycił tę wściekłość. Dostała parę ciosów w żebra i rozsmarował benzynę po całej jej twarzy. Zapiekł ją oczy, prawie nie widziała. Sapnęła z bólu i załzawionymi oczami dostrzegła błysk czegoś złotego, kiedy napastnik wpychał gałgan w jej wpółotwarte usta.

Wiele lat temu, w tym miejscu i dniu, Lucas Kilcannon, zanim stracił przytomność, usłyszał, jak pękają mu kości. Mira usłyszała, jak jej czaszka uderza o kamienny kominek, który tak bardzo kochała. Ale to było wszystko. Nie usłyszała ani nie poczuła kopniaków w tors, kiedy już leżała na posadzce.

Luke'a Kilcannona nikt nie kopał, kiedy już leżał. A przynajmniej nie tamtej dawno minionej nocy. Była jeszcze jedna różnica.

Luke skoczył z okna, żeby uciec przed płomieniami. Uciekł przed ogniem, zanim doznał tych obrażeń.

Ale Mira straciła przytomność - i jakkolwiek nadzieję, na ratunek - zanim jeszcze napastnik zapalił zapałkę.

- Mówi Snow Gable, zapraszam państwa na *Godziną Kopciuszka*. Dzisiejsze tematy będą poważne. I, mam nadzieję, że państwo się zgodzą, istotne. W obu tematach wypowiedzą się eksperci z danej dziedziny.

Jeden z tych ekspertów, Luke Kilcannon, podkreślił głośność radia w swojej furgonetce. Chciał, jadąc, czuć, że jej głos go otacza, że on się w nim roztapia.

- Moim pierwszym gościem będzie psychiatra ze szpitala Grace Memorial, doktor Blaine Prescott. Moim drugim gościem, który spotka się z nami między dwudziestą trzecią a pierwszą w nocy, będzie strażak z Quail Ridge, Lucas Kilcannon.

Luke doszukiwał się jakichś niuansów w sposobie, w jaki wymówiła jego nazwisko, jakichś przejawów nienawiści, którą musiała do niego czuć. Usłyszał jednak, jak jej głos w znany sposób złagodniał, jak zawsze wtedy, kiedy się do niego zwracała - poza tym wieczorem, kiedy wyjechała z Quail Ridge. Ale nawet wtedy Luke nie słyszał w jej głosie nienawiści. Był w nim tylko smutek - mimo tego, co powiedziała jej Vivian.

Vivian. Od czasu, kiedy wyznała mu te swoje kłamstwa, nie opuszczał go niepokój podszyły wściekłością. Zastanawiał się, czy nie poprosić, żeby ktoś go zastąpił do końca tego dyżuru i nie odnaleźć Snow - nie porozmawiać ze Snow - w czasie, który jeszcze pozostał do programu.

Ale zdecydował, że lepiej będzie poczekać aż do końca programu, kiedy nie będą już ich goniły żadne terminy i kiedy będzie mógł z nią rozmawiać choćby przez całą noc... Jeśli ona mu na to pozwoli.

Ty też mogłeś ją odszukać, zaatakowała go Vivian. Mogłeś ją znaleźć wiele lat temu, kiedy już dałaby się znaleźć.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że naprawdę jej szukał, z pomocą Noaha. Emerytowany śledczy od podpaleń miał wielu znajomych w służbach porządku publicznego. Poszukiwali miejsca pobytu Snow i Leigh Gable z takim samym samozaparciem, jak ci drogo płatni detektywi Vivian - i z takimi samymi rezultatami.

Snow i Leigh nie chciały pozwolić się znaleźć. Luke uznał, że widocznie znów zmieniły nazwisko i że Snow Ashley Gable przestała istnieć. Ale to go nie powstrzymało przed zadreczaniem samego siebie. Wciąż sprawdzał w Liceum Larkena, czy nie zgłosiła się po swoje świadectwa. A od czasu do czasu wpisywał jej nazwisko w wyszukiwarke Google.com.

Nic. Ale sześć lat temu wpisanie „Snow Ashley Gable” wyświetliło w Google.com liczne rekordy. *Godzina Kopciuszka*, w pierwszym roku jej nadawania, znalazła się na ustach całej Atlanty.

Pojechał do Atlanty i przez sześć dni jeździł po mieście wynajętym samochodem, na cały głos słuchając radia, doszukując się - tak jak się doszukiwał teraz - jakichś niuansów w jej głosie. Ale usłyszał tylko, że

powodzi jej się dobrze, że znalazła swoje miejsce w życiu. Szczęście, na które jego zdaniem zawsze zasługiwała.

Zamierzał się z nią spotkać; chciał konfrontacji. Wrócił z Atlanty, nie zrobiwszy nic. No i co z tego, że złamała obietnicę, którą mu złożyła tyle lat temu? Miała wszelkie prawo dokonać takiego wyboru.

Luke wyjechał z Atlanty, nie przeprowadziwszy z nią tej rozmowy, w której mogło wyjść na jaw, że to kłamstwa - a nie wybór - odebrały mu ukochaną.

Kłamstwa, po których miała prawo go znienawidzić.

Ale nie znienawidziła go. Tak samo jak on nigdy nie potrafił jej nienawidzić, mimo że czuł się nieszczęśliwy.

- Jestem im wdzięczna za poświęcony nam czas - mówiła Snow.
- Tak jak i wszystkim z państwa, którzy zdecydowali się zostać z nami dziś wieczorem. Nasze linie telefoniczne już działają i będziemy czytać otrzymane w czasie programu e-maile. Postaramy się odpowiedzieć na jak najwięcej pytań i przekazać słuchaczom jak najwięcej otrzymanych komentarzy. Mam zamiar przedstawić państwu nasz pierwszy dzisiejszy temat, dzieląc się pewną osobistą historią...

Luke pomyślał, że nie wysłucha opowiadania Snow, jeśli zostanie w domu Mirę.

Wkrótce się przekona. Już wjeżdżał do Pinewood, był o przecznicę od skrętu w lewo w Meadow View Drive, kiedy rzucił okiem na niebo i zobaczył zasnuty księżyc - zasnuty tak samo, jak wiele lat temu.

Wtedy księżyc przesłaniały pióropusze dymu. Dziś wieczorem to musiały być chmury - ale przecież niebo było czyste... I wył zainstalowany przez Mirę zgodnie z jego radą alarm przeciwpożarowy.

Na razie tylko jedna osoba tam dotarła. Luke zobaczył ją, jak ubrana w szlafrok i domowe pantofle, przebiegała przez ulicę.

Wyprzedził ją, zahamował, zaciągnął ręczny hamulec i wyskoczył z samochodu.

- Zostań tu, Beo! - krzyknął, biegnąc w stronę płomieni.

W biegu oceniał sytuację. Zapach benzyny oznaczał podpalenie. Ale to był pożar podłożony z zewnątrz, stwierdził z pewną ulgą. Płomień miał z zewnątrz dostać się do środka.

Cały budynek zajął się ogniem, wszystkie ściany obejmowały trzaskające płomień. Ale ściany jeszcze się trzymały, a płonący dach nie zdążył się zapaść. Przy odrobinie szczęścia, to piekło jeszcze nie ogarnęło wnętrza.

W środku, tam gdzie benzyna skapnęła na posadzkę, płonęły wysepki ognia. Luke wśród archipelagu ognia szukał Miry.

Benzyna połyskiwała na jej twarzy, jej opary przyzywały płomienie. Przy prawej skroni dostrzegł strumyczek krwi, która mieszała się ze strumieniem benzyny.

Luke wiedział, że ten uraz głowy jest poważny - uderzenie zadane z taką siłą mogło wiązać się z poważnym urazem kręgosłupa.

Ale wiedział też, że nie ma czasu, żeby usztywniać kark Miry. Jedna iskra, która padnie na jej twarz, może okazać się fatalna w skutkach. Wyniósł ją przed dom, w zebrany tam tłumek ludzi.

Przyjechała policja, pogotowie ratunkowe i straż pożarna.

A syreny i rozmowy telefoniczne ściągnęły gapiów z całego miasta.

Kiedy ostatnim razem zebrał się tu taki tłum, zginął miejscowy bohater. Śmierć, zdaniem wielu, została zadana ręką Luke'a Kilcannona.

Tym razem dłonie Luke'a lepiły się od krwi prawnuczki samego Edwina Larkena.

I teraz, tak jak ostatnio, w samym centrum wydarzeń znaleźli się Luke, sanitariusze oraz Bea. Kręcili się wokół noszy ustawionych na podjeździe, a do ich nerwowej krzątaniny dołączył człowiek mianowany szefem straży, kiedy Luke za ten zaszczyt podziękował, oraz detektyw policji z Quail Ridge.

Kiedy sanitariusze zajęli się pacjentką, Luke zwrócił się do Bei:

- Czy w środku jest jeszcze ktoś?

Jej odpowiedź ubiegł szef straży:

- Już tam nie wejdiesz, Kilcannon.

Luke zignorował jego uwagę tak samo, jak zignorowałyby nawet bezpośredni rozkaz, choćby nawet był na służbie.

- Jest tam ktoś, Beo?

- Nie. Mira miała być sama.

- A zwierzęta?

- Nie. To był wyjątkowo spokojny dzień jak na wczorajsze Halloween. - Bea usłyszała we własnym głosie protest, zaprzeczenie, które często odczuwają bliscy ofiary. To się przecież nie mogło zdarzyć.

- Beo, czy ty mówisz prawdę?

- Tak, Luke.

- Dlaczego tu w ogóle jesteś? - Chociaż pytanie detektywa Roba Lansky'ego zabrzmiało oskarżycielsko, w jego głosie nie było podej-

rzliwości. Luke to przecież kolega, jeden z nich, członek bractwa poświęcającego się ratowaniu ludziom życia, a nie odbieraniem go. Wszyscy pracownicy tych służb szanowali gotowość Luke'a do ryzykowania własnego życia w takich właśnie przypadkach.

- Chciałem odwiedzić Mirę, byłem właśnie w drodze. Zobaczyłem dym. Usłyszałem alarm. To na pewno podpalenie. Niewiele udało mi się zobaczyć, ale chyba go zaskoczyła, zanim jeszcze zdołał podłożyć ogień.

- Piętnaście minut temu była u Vivian - powiedziała Bea. Piętnaście minut...Wydawało się, że to całe wieki temu. - Vivian nie było w domu, Mira postanowiła więc wracać do siebie. Byłam w łóżku, kiedy usłyszałam alarm. - Chwilę później Bea dodała: - Dostawała telefony od jakiegoś zbrojnego.

- Co takiego? - spytał Luke. - Kiedy?

- W czasie tej powodzi. Ale od tygodnia nie miała już żadnego takiego telefonu. Myślała, że dał sobie spokój. Jakie ma ciśnienie?

- Górne około osiemdziesięciu - mruknął sanitariusz. - Musi mieć jakieś obrażenia wewnętrzne. Ma połamane żebra. Być może to śledziona.

- Luke? - odezwał się drugi sanitariusz, stojący przy głowie Miry. - Możesz tu pozwolić na moment?

Kiedy Luke podszedł bliżej, sanitariusz uchylił powieki niewidzących oczu Miry.

Luke zobaczył coś, czego boi się każdy przeszkolony pracownik służb ratowniczych. *Anisocoria*, czyli nierówność źrenic. Jako następstwo urazu głowy i przy założeniu, że ten stan wystąpił niedawno, asymetria źrenic wskazuje, że doszło do gwałtownego zbierania się płynu - zwykle krwi - wewnątrz czaszki.

To było ostrzeżenie przed nadchodzącą katastrofą. Jeśli zwiększone ciśnienie nie znajdowało ujścia, jeśli krwi się nie usunęło, zaczynał się krwotok do mózgu i pacjent umierał.

Mira mogła umrzeć.

- To coś nowego - powiedział cicho Luke. - Lepiej się zbierajcie.

- Już jedziemy. Neurochirurgia w Grace Memorial czeka na nas.

Kiedy Luke pomagał wstawić nosze do karetki, dotknął skronią pokrwawionej skroni Miry i szepnął:

- Wybacz mi, Miro. I walcz. Proszę cię, walcz.

- Czekajcie!

Polecenie, tonem jak zawsze rozkazującym, wydała kobieta, której Luke wolałby już nigdy w życiu nie spotkać.

A która była też siostrą Miry.

- Nie czekajcie - powiedział Luke sanitariuszom i stanął na drodze między Vivian a karetką. - Mira jest ranna. Sanitariusze muszą ją natychmiast zabrać do szpitala.

- Chcę ją zobaczyć.

- Nie ma na to czasu.

- No to z nią jadę. Mogą być jakieś prawne...

W sytuacji zagrożenia życia, jeśli w pobliżu nie było jakiegoś członka rodziny prawnika, lekarze sami decydowali o zastosowaniu niezbędnej pilnej terapii. Ale tych parę minut zwłoki poświęconych na szukanie najbliższych krewnych - co mogli zrobić, skoro w grę wchodziła rodzina tak znana w okolicy jak Larkenowie - mogło drogo kosztować.

Luke skinął głową sanitariuszom i przepuścił Vivian do karetki, udzielając jej w paru słowach rady:

- Zgadź się na wszystko, co będą chcieli zrobić chirurdzy. Nie zadawaj pytań. Nie martw się o to, co jest małym druczkiem.

- Jedź ze mną, Luke. Jedź z nami. Proszę.

- Bea i ja spotkamy się z tobą na miejscu.

Luke czekał na podjeździe Miry, kiedy Bea poszła do domu się przebrać. Powietrze było gorące, mimo że strażacy dogaszali pożar. Jeszcze trochę to potrwa. A ta zadymka popiołu i iskier też jeszcze długo nie opadnie. Ziemia także będzie ciepła.

Kiedy woda gasiła płomień, zaczęły się wyłaniać kształty nadtopionych kanistrów po benzynie. Podpalacz nie próbował ukrywać swojego przestępstwa. Ale zamierzał, myślał Luke, zniszczyć dom i klinikę Miry - nie skrzywdzić samą Mirę.

Nawet gdyby była w środku, kiedy pożar się zaczął, mogłaby stamtąd uciec.

Ofiarą padła przypadkowo.

Bo zaskoczyła przestępcę? Pokrzyżowała mu plany?

Być może. Ale Luke, który sam padł ofiarą najbardziej osobistej agresji z możliwych, dostrzegł tu jej brutalne piętno. Napastnik znał Mirę... Chciał ją ukarać.

- Jestem gotowa.

Głos Bei wyrwał Luke'a z zamyślenia. Kiedy się do niej odwrócił, podała mu wilgotny kuchenny ręcznik.

- Masz tu... - Bea zamiast wyjaśniać, wskazała ręką.

Na twarzy miał rozsmarowaną krew Miry.

Luke wziął ręcznik i starł tę krew.

Kiedy szli do jego furgonetki, Luke usłyszał swoje radio. Ten uroczy dźwięk - łagodnego głosu Snow - cały czas słychać było w tle. Ale zagłuszyły go odgłosy chaotycznej krzątaniny.

Teraz Luke znów słyszał ją wyraźnie. Nie była sama. Właśnie dołączył do niej pierwszy tego wieczoru ekspert, doktor Blaine Prescott.

Ich rozmowa niosła się w stereo w ogrzonym od pożaru powietrzu. Drugie radio, w zaparkowanym naprędce tuż obok samochodzie Vivian, też nadawało tę audycję.

Rozdział 25

Byłem dziś dla niej okropny - powiedział Luke do Bei, kiedy jechali do Grace Memorial.

- Gdybyś nie był, nie zająłbyś do niej dziś wieczorem.

- Ty byś ją stamtąd wydostała, Beo.

- Próbowałabym. Lucasia Kilcannon, i ona i ja, obie oczekujemy jakichś imponujących przeprosin za twoje dzisiejsze okropne zachowanie. Kolacja z siedmiu dań w Chez Marguerite może załatwić sprawę.

- Bea wzięła drżący oddech. - Och, Luke. To się nie mogło zdarzyć. Nie Mirze.

- Wyjdzie z tego.

Bea była zbyt mądra, żeby spierać się z tym stwierdzeniem. Oboje wiedzieli, że to tylko życzenie, nie pewność.

- Ona się zakochała, Luke. Nasza dziewczynka się zakochała. -I to ją na pewno uratuje.

Vivian czekała na nich w izbie przyjęć.

Nikt do tej pory nie podał Vivian Larken Prescott wilgotnego ręcznika, którym mogłaby zetrzeć krew siostry z warg i policzka. Może nikt się nie ośmielił. A może Vivian odmówiła.

- Mów, Vivian - odezwał się Luke.
- Jest w sali operacyjnej.
- Dobrze. Co jeszcze?
- Chcą, żebyśmy przeszli do specjalnej poczekalni. Pokazali mi, gdzie to jest. Tam nam powiedzą, co się dzieje.
- W porządku Vivian, a czego nam nie mówisz?
- Ogień został podłożony umyślnie.
- Zgadza się.
- Została brutalnie pobita.
- Tak.
- Kto mógłby coś takiego zrobić?
- Nie ja, Vivian.
- Luke! Wiem to. I wiesz, że ja to wiem! - Kiedy w jego oczach nie dostrzegła przebaczenia, chociaż tak rozpaczliwie go potrzebowała, zwróciła się do Bei: - Beo, kto mógł to zrobić?
- Nie mam pojęcia. Mira nie miała na tym świecie ani jednego wroga.
- Czy ona naprawdę dostawała te obsceniczne telefony? - zapytała Vivian.
- Oczywiście, że tak - odparła Bea. - Skąd, u licha, przyszło ci do głowy, że sobie wymyśliła?
- Vivian pokręciła głową.
- To wszystko nie ma sensu. Nic tu nie ma sensu.
- Bea położyła dłonie na ramionach Vivian i spojrzała w jej pełne oszłomienia oczy. - Idę poszukać jakiegoś ręcznika, Vivian. Żebyś mogła wytrzeć twarz. A potem poczekamy i zobaczymy, co powiedzą lekarze.
- Luke'a nie ma. - Helen poinformowała Blaine'a i Snow w trakcie ostatniej przerwy na reklamy podczas zaplanowanego wywiadu Blaine'a. -I nie przyjedzie.
- Och? - Snow odezwała się spokojnie. Ale jej serce spokojne nie było. - Dzwonił?
- Tak. Ale tylko połączył się z centralą. Przyjęli wiadomość, nie łącząc go z nikim. Może tylko tego chciał, zostawić wiadomość.
- A co przekazał?
- Mówił, że musi odwołać swój udział w programie i że zadzwoni do ciebie później.
- Ja chętnie zostanę dłużej.

- Byłoby świetnie, Blaine. Dziękuję ci.

Z wypełnieniem kolejnych dziewięćdziesięciu minut nie będzie najmniejszego kłopotu. Temat był daleki od wyczerpania. A Snow przeczytała tylko ułamek e-maili, które dostali, i odebrała zaledwie kilka telefonów.

Jak na razie dobrze trafiała, wybierając rozmówców. Chociaż Blaine upierał się, że nie powinna poświęcać czasu antenowego na telefony od ludzi, którzy chcieli wyrażać mu swoją wdzięczność za uratowanie serca i duszy ich rodzin - ich żon i matek - Snow uznała, że wysłucha, co ci pełni wdzięczności ludzie będą mieli do powiedzenia. I to okazała się świetna decyzja, podyktowana tym instynktem, który z jej programu zrobił przebój.

Pacjentki Blaine'a dzieliły się nie tylko podziękowaniami. Opisywały też własne doświadczenia z depresją, mówiły o tym, jak się z nią zmagają, jak się z niej leczą, jaką im stawiano diagnozę.

Snow zwykle szybko podejmowała decyzję na tak lub nie, zerkając na e-maile od słuchaczy. Ale dziś trafił się jeden, który wciąż odczytywała od nowa.

„Snow,

Poproś Blaine'a, żeby ci opowiedział, dlaczego poświęcił swoją karierę psychicznemu zdrowiu kobiet.

Ellen O'Neil

Atlanta"

Podpowiedź wydawała się dobra i logiczna. Przed programem, Snow zapisała sobie, żeby zapytać Blaine'a o coś podobnego - za jego zgodą - gdyby wywiad zaczął utykać.

Coś jednak w sformułowaniu użytym przez Ellen O'Neil przykuło jej uwagę. I to nazwisko. Snow nie znała żadnej Ellen O'Neil - a jednak nazwisko, tak samo jak styl tej notatki, wydawały się dziwnie znajome.

Wywiad jednak nie utknął. Ale teraz, skoro Blaine miał zostać dłużej, a odpowiedź na pewno zainteresuje jej słuchaczy niezależnie od tego, czy istniało jakieś wydarzenie, które zainspirowało taki wybór kariery, czynie...

- Blaine, mam tu e-mail, który chciałabym odczytać. Ale nie zrobię tego bez twojej zgody.

- Dziesięć sekund - ostrzegła Helen.

- Przeczytam ci to później - powiedziała Snow.

- Jeśli chcesz to przeczytać - odparł Blaine - to czytaj od razu.

- To osobiste pytanie, Blaine i dotyczy ciebie.

- Teraz mnie zaintrygowałaś. Przeczytaj je, Snow. Na antenie. Masz moje pozwolenie.

- Dobrze. - Wyjaśniwszy słuchaczom, że gość zaplanowany na jedenastą musiał odłożyć występ i że doktor Prescott uprzejmie zgodził się zostać dłużej, Snow streściła otrzymanego maila. - Ellen O'Neil z Atlanty pyta, czy jest jakiś powód, dla którego zajął się pan w swojej karierze właśnie zdrowiem psychicznym kobiet.

- Owszem. Bardzo osobisty powód.

- Proszę, naprawdę nie musi pan, jeśli...

- Ależ chcę. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Tak wiele osób dzwoniło dzisiaj i dzieliło się chętnie swoimi osobistymi przeżyciami z nadzieją że pomoże to innym. Z taką samą nadzieją ja chętnie podzielię się swoją historią i historią mojej siostry, Julie.

Kiedy Blaine znów podjął wątek, w jego głosie pojawiła się tęsknota za dawno utraconą siostrą.

- Julie miała w chwili śmierci dwadzieścia trzy lata. Tylko dwadzieścia trzy. Była utalentowaną artystką. Nasza czteroosobowa rodzina była ze sobą naprawdę bardzo zżyta. Ale między Julie a tatą istniała jakaś szczególna więź. On pracował jako kardiolog w szpitalu w Massachusetts. Po pełnych stresu dniach pracy relaksował się, chodząc późnym wieczorem na spacerówkę niedaleko naszego domu na Beacon Hill. Czasami Julie szła z nim. Albo ja. Albo mama. Ale najczęściej ojciec spacerował sam. To była bezpieczna okolica... Aż pewnego wieczoru nie wrócił. Został potrącony przez samochód, kierowca zbiegł z miejsca wypadku i tata umarł. Do dziś sprawcy wypadku nie znaleziono. Jego śmierć wstrząsnęła nami. Ale emocjonalny uraz spowodował u Julie szybki rozwój czegoś, co później rozpoznałem jako chorobę dwubiegunową czyli psychozę maniakalno-depresyjną. Mama i ja z ulgą patrzyliśmy, jak wraca jej energia. Przedtem była pogrążona w okropnej depresji. Kiedy mówiła coś bez sensu albo bez końca opowiadała o swoich wielkich zamierzeniach, przypisywaliśmy to jej artystycznemu temperamentowi i przymykaliśmy oczy na możliwość, że coś się działo nie tak. Byliśmy z Julie dumni i znajdowaliśmy usprawiedliwienia dla jej nietypowego zachowania. Zaręczyła się, a jej narzeczony, początkujący policjant, uwielbiał ją. Uznaliśmy, że u dziewczyny, która szykuje się do wyjścia za męża, taka euforia jest czymś normalnym. Ślub zaplanowano na pierwszą sobotę czerwca. Julie chciała przygotować coś specjalnego na ostatni Dzień Matki, jaki spędzaliśmy wspólnie - tylko we trójkę - zanim ona wyjdzie za męża. Ja

byłem na pierwszym roku medycyny i niedługo miałem zdawać egzaminy. Ale dla Julii bardzo ważne było, żeby mogła spędzić razem z mamą i ze mną ten jeden cały dzień, na który zaplanowała wystawny obiad. Chciała, żebyśmy patrzyli, jak szykuje to „wielkie kulinarne widowisko” - to jej słowa - i wspominali z nią tatę i nasze wspólne rodzinne życie. Tak właśnie zrobiliśmy. Snuliśmy wspomnienia - ze łzami i ze śmiechem - a na naszych oczach Julie szykowała istną ucztę. Jedzenie było przepyszne. Nakłaniania przez Julie, wszyscy zjedliśmy o wiele za dużo. Poprosiła mnie też, żebym przyjął od niej pierścionek, który rodzice podarowali jej na szesnaste urodziny. Chciała, żebym go nosił na małym palcu prawej ręki. Od tamtej chwili go nie zdjąłem.

Blaine odetchnął głęboko, jakby nie chciał, żeby emocje zakłóciły jego opowiadanie.

- Później, tego samego wieczoru, kiedy wróciłem już do akademika, w którym mieszkałem, okropnie się rozchorowałem. Wiedziałem, że to mogło być coś, co zjadłem w ciągu dnia. Ale równie dobrze mogło mi zaszkodzić stołówkowe jedzenie z poprzedniego wieczoru. Nie chciałem urazić uczuć Julie. Odłożyłem na później telefon do domu i sprawdzenie, czy ona i mama też zachorowały. Ale następnego dnia przed południem, poczułem się jeszcze gorzej i wtedy postanowiłem zadzwonić do domu. Kiedy nikt nie odebrał, jeden z kolegów z akademika zawiózł mnie tam. Moja mama i Julie, obie nie żyły. Koroner stwierdził przypadkowe zatrucie pokarmowe. Wtedy nie miałem nic do zarzucenia tej diagnozie. Ale po latach doszedłem do wniosku, że nie było w tym nic przypadkowego. Kiedy Julie dodawała, filizanka po filizance, kolejne składniki do przygotowywanych potraw, mówiła o tym, jak niecierpliwie tata oczekuje, kiedy dołączymy do niego w niebie. Mówiła, że wie, że Bóg też tego chce. Moja błyskotliwa, utalentowana siostra cierpiała na psychozę. Prawdę mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Ale ani moja matka, ani ja nie chcieliśmy jej dostrzec. Zaprzeczaliśmy jej. Mówiła nam, że przemawia do niej sam Bóg, że jego głos stale jest obecny w jej głowie. A my nie zadawaliśmy pytań. Chyba w pewien sposób obawialiśmy się odpowiedzi. Nasza niechęć do zmierzenia się z chorobą Julie kosztowała ją i moją matkę życie. Poprzysiągłem sobie, przez pamięć ich obu, że zrobię, co będę mógł, żeby zapobiec takim tragediom.

- Usunęliśmy krew - pierwsze słowa lekarka neurochirurg wypowiedziała w stronę Vivian. Z czterech osób siedzących w poczekalni,

spotkała wcześniej tylko siostrę Miry. - To zmniejszyło podwyższone ciśnienie wewnątrzczaszkowe.

- To dobrze, prawda?

- To dobry początek.

- A co teraz, pani doktor? - zapytała Bea.

- Mamy jeszcze przed sobą kilka godzin operacji. Musimy podwiązać pęknięte naczynia i zadbać o usunięcie wszystkich fragmentów kości. Chirurdzy zaczęli sprawdzać stan jej klatki piersiowej, a zespół od urazów zastanawia się, jak najlepiej poradzić sobie z pękniętą śledzioną.

- A więc to niskie ciśnienie krwi zostało spowodowane uszkodzeniem śledziony? - zapytał Luke.

- Tak. Straciła sporo krwi, chociaż obszar urazu był niewielki. Dlatego dyskutują teraz, jak najlepiej ją leczyć. Mają nadzieję, że uda im się usunąć tylko część śledziony.

- Żeby ochronić jej system immunologiczny - powiedziała Bea.

- Widzę, że państwo są dobrze zorientowani. - Neurochirurg się nie uśmiechnęła. Wiedziała, że nieuchronnie nadchodzi najważniejsze pytanie.

Zadała je czwarta osoba obecna w poczekalni, funkcjonariusz policji z Quail Ridge, który już badał tę sprawę jako usiłowanie zabójstwa.

- Rokowania? - zapytał detektyw Lansky.

- Rokowania - odparła - są nie najlepsze.

Rozdział 26

Niestety, właśnie dostałam smutną wiadomość - powiedziała Helen do Blaine'a i Snow w czasie przerwy na wiadomości o północy. - Skontaktowała się z nami słuchaczka, która mieszka w dzielnicy Pinewood w Quail Ridge. Nie chciała wchodzić na antenę, prosiła tylko, żeby wam obojgu ją przekazać. Zaczęła słuchać naszej audycji około dwudziestej drugiej i zaraz potem w okolicy usłyszała syreny. Nie zwróciła na to większej uwagi, ale jej mąż poszedł w stronę wozów służb ratowniczych i wrócił mniej więcej pół godziny temu. Od tej pory usiłowała się do nas dodzwonić.

- Ale co się stało, Helen?
- Na Meadow View Drive wybuchł pożar. Tam, gdzie kiedyś mieszkał Luke Kilcannon.
- I gdzie teraz mieszka moja szwagierka. Całe szczęście, że Miry nie było w domu.
- Obawiam się, że jednak była.
- Nie... Mira i Vivian słuchają audycji w naszym domu w Hilltop.
- Dzwoniąca zapewniała, że to była Mira. Tak twierdzi jej mąż.
- Na pewno się pomylił.
- Mam nadzieję. Ale kimkolwiek jest ta kobieta, odniosła poważne obrażenia i została odwieziona do Grace Memorial. Blaine? Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że to naprawdę była Mira. To wyjaśniałoby, czemu w karetce jechała z nią Vivian.
- Vivian tam była?
- Tak. I Luke też. Tak przynajmniej twierdziła ta kobieta. Nie mówiła jak osoba nawiedzona, ale...
- Muszę iść. Muszę to wszystko sprawdzić. Natychmiast.

Blaine ze swojego gabinetu do poczekalni oddziału neurochirurgicznego dostał się w pięć minut. Potrwałoby to dwa razy dłużej, gdyby czekał na windy i zamiast biec, szedł.

- Vivian?
- Blaine!
- Właśnie się dowiedziałem. Jakaś słuchaczka z Pinewood zadzwoniła do radia. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Ani nie przyszłaś po mnie? Przez cały czas siedzę w swoim gabinecie na górze.
- Ja...

Nie potrzebowałam ciebie. Nie myślałam o tobie. Luke tu był, pomyślała.

- To wszystko tak mnie wytrąciło z równowagi... Sądziłam, że będziesz już w drodze do domu, miałam zamiar tam ci zostawić wiadomość.
- W domu Miry wybuchł pożar?
- To było podpalenie - powiedział Luke. Wyciągnął rękę do Blaine'a. - Nazywam się Luke Kilcannon. Jeszcze się nie znamy.
- Luke. - Blaine uściśnął rękę Luke'a, a potem detektywa Lansky'ego. - Podpalenie?

Na pytanie odpowiedział detektyw.

- Zdaniem Luke'a Mira wróciła do domu, kiedy podpalacz miał właśnie podłóżyć ogień.

- Zaatakował ją. - W głosie Vivian pobrzmiwało niedowierzenie.

- Brutalnie.

- Jak ona się czuje?

- Walczy - powiedziała Bea.

- Ale ja nie rozumiem, Vivian, dlaczego ty i Mira nie siedziałyście u nas w domu, słuchając wywiadu.

- A dlaczego miałyśmy tam siedzieć?

- Bo tak się umówiliśmy.

- Kto się umówił?

- Ty, ja, Mira. Zapomniałaś?

- Nie, Blaine, ja...

- Mira nie przyszła do ciebie o dziesiątej?

- Nie wiem. Nie było mnie w domu. Nie wiedziałam, że...

- A gdzie byłaś?

- Jeździłam po okolicy. Rozmyślałam. - Vivian ukradkiem spojrzała na Luke'a. - Miałam wiele rzeczy do przemyślenia.

- Musiała więc pani być blisko Pinewood, kiedy pożar się zaczął - powiedział detektyw Lansky. - Zdażyła pani akurat, żeby wsiąść z Mirą do karetki.

- Jechałam do Miry, kiedy minęły mnie wozy strażackie.

- Jechałaś do Miry? - spytał Blaine. - Po co?

- Chciałam z nią porozmawiać, Blaine. Chciałam porozmawiać z moją siostrą.

- Czy to się panu wydaje dziwne, doktorze Prescott? - zapytał detektyw Lansky. - Ma pan taką zdumioną minę. Jakby pani Prescott nie miała w zwyczaju wpadać wieczorami do siostry na pogawędkę.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. - Blaine opiekuńczo objął ramieniem żonę. - Vivian i Mira są ze sobą bardzo blisko.

- Przecież nie sądzi pan chyba, że ja mam z tym coś wspólnego! Nigdy bym nie skrzywdziła Miry. - Vivian popełniła błąd, szukając wzrokiem wsparcia i potwierdzenia jej kryształowego charakteru u mężczyzny, który na udzielenie go mógł nie mieć najmniejszej ochoty. - Przecież chyba nie wierzysz, że byłabym do czegoś takiego zdolna. Luke?

- Chirurdzy będą ją jeszcze operowali przez kilka godzin. - Luke sięgnął po kurtkę. - Skoro już tu jesteś, Blaine, wyjdę na trochę.

- Chciałabym jechać z tobą Luke. Jedziesz do Wind Chimes Towers?

- Tak, Beo. Ale po co chcesz tam jechać?
 - Bo tam mieszka Thomas Vail.
 - A co Thomas ma wspólnego z Mirą?
 - Wszystko, Blaine. Mira zakochała się w Thomasie. A Thomas
- dodała zdecydowanym tonem Bea - zakochał się w niej.

- Vivian i Mira wcale nie są ze sobą blisko. - Bea stwierdziła oczywistość, kiedy tylko zostali z Lukiem sami.

- Owszem. Nie są.

- Ale chyba nie bierzesz poważnie pod uwagę tego, że Vivian mogłaby zrobić coś podobnego. Prawda? - Nie czekając na jego odpowiedź, Bea podsunęła własną. - No, może podłożyłaby ogień.

- Dlaczego mówisz coś takiego?

- Bo jest coś, co się wiąże z Vivian i tym miejscem, Luke, coś więcej niż te pożary, na których tak dobrze się znasz. Vivian tu nigdy nie zagłądała. Od momentu, kiedy Mira kupiła tę posiadłość, noga Vivian tam nie powstała aż do dzisiejszego wieczoru. Mira chciała, żeby siostra obejrzała klinikę, ale Vivian zawsze miała jakąś wymówkę, żeby tego nie robić. A nawet kiedy nie miała wymówki, jak w tę minioną sobotę, zaczekała w samochodzie, kiedy Blaine poszedł po Mirę. Nie rozumiem, skąd u Vivian takie negatywne nastawienie, dlaczego w ogóle jest taka niechętna.

- Zmarszczyła brwi przy tych słowach. - Vivian miała jakieś dwanaście lat tej nocy, kiedy Jared usiłował cię zabić. Mieszkańcy Hilltop rzeczywiście dołączyli do tłumu, który przyszedł się gapić. Rodzice, nie dzieci. Zapamiętałabym, gdyby Vivian tam była. A od tamtej pory do teraz rodziny, które mieszkały w tamtym domu, to byli zupełnie nieznanymi jej ludźmi. Dla mnie to zagadka, dlaczego ona w taki sposób reaguje. Ale wiem, że tak bardzo nienawidzi tamtego miejsca, że gotowa byłaby je zniszczyć.

Aż do dzisiejszego dnia, wszelkie uczucia Vivian związane z dawnym domem Luke'a z dzieciństwa - tak jak wszystkie uczucia, które mogłaby żywić do samego Luke'a - dla niego również byłyby zagadką. Ale wyznając mu w remizie strażackiej swoje winy, Vivian wspomniała, że zawiozła Snow na Meadow View Drive, żeby jej tam opowiadać te swoje kłamstwa.

Bungalow, który wiele lat później kupiła Mira, stał w tle rozmowy dziewczyn — i właśnie ten widok musiała zobaczyć Vivian we wstecznym lusterku, kiedy zostawiła na mrozie stojącą tam, ciężarną Snow - ciężarną Snow, która straciła dziecko, tak jak chciała tego Vivian.

„Nie chciałam, żeby poroniła”, powiedziała Vivian. - „Musisz mi uwierzyć”.

Czy jej uwierzył? Luke nie zastanawiał się ani przez moment nad odpowiedzią na to pytanie.

A gdyby jej uwierzył? Gdyby jej wybaczył, tak jak go o to błagała? Czy udałoby się wtedy uniknąć dzisiejszego pożaru, bo Vivian nie musiałyby już niszczyć domu, który stał się symbolem jej okrucieństwa wobec Snow?

Mira wcale nie miała paść ofiarą pożaru. Ale jej dom, owszem.

Ale Mira nie padła ofiarą pożaru przypadkiem.

Została zaatakowana i zostawiona tam na śmierć.

- O czym myślisz, Luke? - spytała Bea.

Luke Kilcannon nie lubił w Vivian Larken niczego. Ani jednej komórki jej ciała. Ale...

- Jak było naprawdę? Vivian sama to powiedziała. Nigdy nie skrzywdziłyby Miry.

- A jeśli wynajęła kogoś, żeby podpalił dom, a Mira go na tym przyłapała... Ale ty kręcisz głową.

- Nie pytaj mnie, czemu jestem tego pewien, Beo. Nie umiem na to odpowiedzieć. Gdyby Vivian chciała spalić ten dom, zrobiłaby to sama. A ponieważ jest jaka jest, na pewno by jej się to udało - ale najpierw sprawdziłaby, czy Mira jest daleko stąd. I czy pacjenci Miry są przeniesieni w bezpieczne miejsce. - Jak już powiedział Bei, wierzył, że to prawda. Tak samo jak reszta tego, co miał Bei do powiedzenia. - Vivian nie jest za to odpowiedzialna. Ale ktokolwiek to zrobił, zna Mirę. I jej nienawidzi.

Blaine Prescott zakończył opowiadanie na antenie historii śmierci swojej siostry i matki stwierdzeniem, że poświęcił się zapobieganiu podobnym tragediom w życiu innych ludzi.

- Udało się panu, doktorze Prescott. Robi to pan - podsumowała Snow.

Siedząc w swojej sypialni w Atlancie, Ellen O'Neil miała odmienne zdanie na temat słów Blaine'a.

- Kłamca - szepnęła. - Kłamca.

Przypomniała sobie wszystko. Uzupełniła historię. Słuchając tego głosu opowiadającego kłamstwa, wydobyła go z niepamięci.

Następne trzy kwadranse spędziła, tworząc dokument w programie Word Perfect, spisując wszystko to, co Blaine opowiedział jej tamtej

dawno minionej nocy. Odzyskane wspomnienie nigdzie już nie zniknie. Raz zapamiętane, nie zostanie nigdy więcej zapomniane.

Dokument w komputerze nie był konieczny, dopóki ona żyje.

Zapisała go, skopiowała, wydrukowała.

A potem wykreśliła numer podany jej przez Biuro Numerów jako telefon do komisariatu policji Beacon Hill w Bostonie.

- Chciałabym zgłosić popełnienie podwójnego morderstwa - poinformowała człowieka, który odebrał telefon.

- Chwileczkę, proszę pani. Przełączę panią na numer 91.

- Nie. Proszę zaczekać. To się stało trzydzieści dwa lata temu.

- Trzydzieści dwa lata?

- Tak.

- Znajdę funkcjonariusza, który przyjmie pani zgłoszenie. Poczekaj pani na linii?

- Tak, zaczekam.

Ellen spodziewała się, że będzie musiała opowiedzieć funkcjonariuszowi wszystko. Ale kiedy podała mu datę morderstw, nazwiska ofiar i nazwisko mordercy, znów kazano jej poczekać na linii.

- Powinna pani porozmawiać z porucznikiem Cole - powiedział funkcjonariusz, znów wracając na linię. - On będzie chciał z panią porozmawiać. Ma własne powody, żeby interesować się tą sprawą.

- Świetnie. Proszę mnie z nim połączyć.

- Nie ma go tutaj. Będę musiał go znaleźć. Czy jest jakiś numer telefonu, pod którym będzie pani osiągalna?

Ellen podała swój numer i dodała małą radę:

- Jeśli porucznik Cole będzie chciał ze mną porozmawiać, niech to lepiej zrobi w ciągu najbliższych dwóch godzin. Mam niedługo samolot, na który nie chcę się spóźnić.

Rozdział 27

Odźwierny w Wind Chies Towers pozwolił Luke'owi i Bei wjechać na piętra przeznaczone na wynajem biur. Chociaż spodziewano się go o dwudziestą trzecią, nazwisko Luke'a nadal widniało na liście gości WCHM.

Odźwierny nie mógł ich wpuścić na piętra mieszkalne. Oświadczył, że z przyjemnością zadzwoni do doktora Vaile'a i zapyta, czy pan doktor zaprosi na górę panią Beę Evans. Ale chociaż jest osobą sympatyczną, nie może jej tak po prostu wpuścić pod drzwi doktora Vaile'a - ani pod drzwi żadnego innego mieszkania w Wind Chimes.

- Odłóżmy to o jakiś kwadrans - powiedział Luke. - Chciałbym być przy tobie podczas rozmowy z Thomasem. Ale w tej chwili nie chciałbym przegapić okazji zobaczenia się ze Snow, zanim jeszcze wyjdzie do domu.

- Ja też nie chcę tego przegapić.

Kiedy tylko weszli do WCHM, usłyszeli głos Snow. Recepcjonistka skierowała ich do studia *Godziny Kopciuszka*, do reżyserki, z której mogli ją oboje obserwować i wysłuchać ostatnich końcowych minut programu.

- Często jestem pytana - mówiła Snow, kiedy krążyli korytarzami stacji - czy *Godzina Kopciuszka* ma jeszcze jakieś inne znaczenie poza tym, że to godzina przed północą. Odpowiedź brzmi: tak. Kiedy nadeszła północ, Kopciuszek ucieka z balu. Nie wierzyła w siebie na tyle, żeby pozwolić Księżciu zobaczyć, kim naprawdę jest. Może naszym słuchaczom panom wyda się to trochę dziwnie. Trochę? Wiem, bardzo dziwnie. Ale wierzę, że mówię w imieniu wielu kobiet, kiedy twierdzą, że to dla każdej z nas wyzwanie spróbować zaakceptować samą siebie, w łachmanach, ze wszystkim. Dziś wieczorem chciałbym podzielić się z państwem pewnym odkryciem na temat samej siebie, które dopiero zaczyna do mnie docierać. To niedawne odkrycie, chociaż stanowiło niezwykle ważną część mojego życia przez ostatnich szesnaście lat. Jak wyjaśniał doktor Prescott, depresja poporodowa może występować także po poronieniu. Chciałbym opowiedzieć państwu, jak takie doświadczenie wygląda z punktu widzenia kobiety, która je przeżyła.

Słowa Snow towarzyszyły Luke'owi i Bei zmierzającym do reżyserki. Kiedy już do niej weszli, przez szybę zobaczyli Snow.

Siedziała przy stole dla dwóch osób, obok pustego krzesła dla gościa, z mikrofonem stojącym w miejscu, gdzie na stole zastawionym do kolacji stałaby strzelista świeca. Zdjęła z głowy słuchawkę. Jej cichy monolog miał zakończyć program. Skoncentrowana pochyliła głowę, wpatrując się we własne dłonie.

- Byłam nastolatką kiedy zaszłam w ciążę. Bardzo cieszyłam się, że będę miała dziecko. Wyczuwałam obecność córki w swoim ciele, zanim

jeszcze uwierzyłam, że naprawdę czuję jej ruchy. Mówię „uwierzyłam”, bo się myliłam. Sądziłam, że to ona powoduje to „trzepotanie”, że to trzepocze we mnie szczęście. Tak naprawdę, był to początek poronienia. Od tamtego czasu dowiedziałam się, że moja ciąża była jeszcze za wczesna - zwłaszcza, że to była ciąża pierwsza - żebym czuła ruchy dziecka.

Zamilkła na chwilę i usłyszeli, jak bierze oddech.

- Kilka godzin po tym, jak poczułam tamto trzepotanie - zaczęła znowu - ogarnęło mnie przeczucie jakiegoś nieszczęścia. To był właśnie początek mojej depresji. Jak słyszeliśmy dziś wieczorem, depresja poporodowa może się pojawić aż tak szybko. W tej samej chwili, w której dziecko się rodzi - lub umiera - hormony, które podtrzymywały ciążę, znikają... I zaczynają się zmiany. Moja mała córeczka zmarła krótko przed północą, tuż przed godziną Kopciuszka, ale dopiero po dwudziestu czterech godzinach zaczęłam krwawić, co mi uświadomiło, że ronię. Do tego czasu moja depresja zdążyła się już rozwinąć. Zupełnie straciłam poczucie upływu czasu. I chociaż decyzje, jakie podejmowałam, wydawały mi się rozsądne, wcale takie nie były. Nie miałam pojęcia, że coś mi grozi. Ale nawet gdybym to wiedziała, byłoby mi wszystko jedno. Nie potrafiłam zapewnić bezpieczeństwa swojemu maleństwu. Nie obchodziło mnie, co spotka mnie sama. W pobliżu była pomoc. Pewna uroczą pani, pielęgniarka, mieszkała cztery przecznice dalej. Sama miała kiedyś poronienia. Zrozumiałaby. Mogłam pójść do niej. Ojciec dziecka też by mi pomógł. Nie kochał mnie, ale...

- Kochał cię.

- Luke.

Usiadł naprzeciw niej, w oczach błyszczały mu niewypłakane łzy.

- Kochałem cię.

- Nie musisz tego mówić.

- Ależ muszę, Snow. Taka jest prawda.

Prawda, w którą ona chce uwierzyć, pomyślał. Ale nie wierzy, jeszcze nie może. Przez całą noc będę tak siedział i cię przekonywał, Snow, jeśli mi pozwolisz. Przez całą noc, kiedy tylko zostaniemy sami.

- Mów dalej. Twoi słuchacze i ja chcielibyśmy usłyszeć więcej.

- Ja... Na czym skończyłam?

- Wiedziałaś, że w pobliżu jest pomoc, ale nie pozwoliłaś sobie wyciągnąć po nią ręki - ani na nią nie zaczekałaś.

- Nie wydawało mi się, żebym potrzebowała pomocy. A nawet gdyby jakaś racjonalnie myśląca część mojego mózgu kazała mi jej

poszukać, pewnie bym odrzuciła ten impuls. Przecież nie zasługiwałam na pomoc. Zawiodłam własne dziecko. I ojca mojego dziecka.

- Nigdy - powiedział cicho. - Co zrobiłaś? Dokąd poszłaś?

- Wezwałam taksówkę. Chciałam jechać na lotnisko O'Hare i złapać samolot do Kalifornii... Albo Atlanty. Nie mogłam się zdecydować, dokąd. Byliśmy zaledwie trzy kilometry za Quail Ridge, kiedy konieczność dokonania tego wyboru obezwładniła mnie. Poprosiłam taksówkarza, żeby zatrzymał się przy najbliższym motelu, w którym znajdują się wolne pokoje. Zostałam tam przez kilka tygodni.

- Kilka tygodni?! Trzy kilometry od Quail Ridge? Nie słyszałaś, jak cię wołałem po imieniu?

- Byłam o milion kilometrów od Quail Ridge. I od ciebie.

- Co robiłaś przez te tygodnie?

- Leżałam zwinięta w kłębek na łożku. Nigdy nie podnosiłam żaluzji. Był tam automat. Kiedy potrzebowałam jedzenia, brałam coś z automatu. Dopiero po kilku tygodniach potrafiłam wybrać między Kalifornią a Atlantą. Zdecydowałam się na Atlantę. To miasto miało znaczenie dla mojej matki i dla mnie. Przeprowadziłam się do innego motelu. Potem do kolejnego. Do Atlanty dotarłam dopiero po dziesięciu miesiącach. Potem minął cały rok, zanim wróciłam do szkoły. Depresja, która zaczęła się w mgnieniu oka, wcale się nie spieszyła, aby odejść.

- Tak bardzo mi przykro.

- To nie twoja wina.

- Ani twoja.

- Tak. Ale...

- Ale co?

- Ja nigdy - nawet przez sekundę - nie uważałam, żeby depresja poporodowa mojej przyjaciółki była jej winą. Ani, że te kobiety, które dziś wieczorem dzieliły się z nami swoimi historiami, są winne. Wiedziałam, że tak nie jest, że nie są ani trochę bardziej winne, niż gdyby uderzył je piorun z jasnego nieba. A przecież kiedy chodzi o moją własną depresję poporodową, odczuwam wstyd. Ja nadal się tego wstydzę, Jakby coś było ze mną nie tak i sprawiło, że poddałam się tej depresji.

- Wszystko jest z tobą w porządku.

- Ale wmówiłam sobie piętno choroby umysłowej, prawda? Uważałam, że jest coś zasadniczo innego w zarażeniu się grypą niż w zachorowaniu na depresję.

- Wmówiłaś to sobie, ale tylko w swoim przypadku. Nie w przypadku innych. To dlatego wybrałaś taki temat dzisiejszego programu.

Dzisiejszy program już dawno powinien się skończyć. Ale dopiero teraz, kiedy Snow zerknęła na czerwone światło sygnalizujące obecność na antenie, zobaczyła, że gaśnie.

Na zegarze była pierwsza czternaście.

- Helen? - Snow spojrzała w stronę reżyserki.

Była pusta. Dwie osoby szły stamtąd do studia, do niej i Luke'a.

- Nie mogłam ci tak po prostu przerwać - powiedziała Helen. Prawdę mówiąc, tak ją porwało to, co działo się na jej oczach - historia Snow, miłość Luke'a - że straciła poczucie czasu. Jak się przekonała, kiedy ekran jej komputera zapełnił się listą pierwszych spośród mających potrwać kilka dni telefonów i e-maili, nie była jedyną urzeczoną słuchaczką. „Luke kochają tak bardzo!” - głośno zostały zostawiane wiadomości. „Czy ona też go kocha?” Bo jeśli nie - jeśli nie, to niezliczone młode kobiety były gotowe i chętne zająć wakujące miejsce prezenterki *Godziny Kopciuszka*.

- Nie pozwoliłabym ci jej przerwać - dodała Bea.

- Pani Evans?

- Bea. Tak, kochanie, to ja. Starsza... I, dzięki kilku ostatnim minutom, o wiele mądrzejsza. Ja też to miałam, Snow. Depresję poporodową. Do dziś wieczór nie wiedziałam tego. Wstydziałam się utraty dzieci, których tak bardzo pragnęłam, a nie umiałam bezpiecznie donosić. Wstydziałam się też przyznać, ile czasu zajmowało mi dojście do siebie po takiej stracie.

Bea koniecznie chciała ją uściskać. Snow z przyjemnością na to pozwoliła. Ich twarze zetknęły się, jeden wilgotny od łez policzek obok drugiego.

- Mira - szepnęła Snow, przypominając sobie. - Jak ona się czuje?

- Odniosła poważne obrażenia - powiedział Luke. - Nadal ją operują.

- Zostawiłam dla niej wiadomość na sekretarce trochę wcześniej dziś wieczorem. Zapraszała mnie, żebym z nią zjadła lunch. Zadzwoniłam, żeby jej powiedzieć, że się zgadzam. To bardzo miłe, że wpadła na ten pomysł.

- Tak - zgodził się cicho Luke. - Bardzo miłe.

W oczach Bei pojawiło się jeszcze więcej łez.

- Polubisz ją, Snow.

- Jestem tego pewna, Beo. Zawsze mówiłaś, że ją polubię.
- A skoro już mowa o Mirze... - Luke wziął głęboki oddech. - Powinniśmy się ruszyć i zawiadomić Thomasa o tym, co się stało. Mira zakochała się w mężczyźnie, który mieszka w Towers - wyjaśnił Snow.
- Odzwrotny musi dostać jego pozwolenie, zanim wpuści nas na górę do jego mieszkania.

- Thomas jak?

- Vail.

- Thomas.

I Wendy, pomyślała.

Mieszka na tym samym piętrze, co ja, po przeciwnej stronie korytarza. Zaraz was tam zabiorę.

Rozdział 28

Funkcjonariusz, któremu Ellen przekazała wstępne informacje, był młodym człowiekiem. Tę młodość wyczuwało się w jego głosie i w dość wyraźnym ożywieniu wywołanym jej relacją.

Głos, który usłyszała w telefonie dwadzieścia dwie minuty później, był głosem człowieka dojrzałego. I doświadczonego pracownika służb ochrony porządku publicznego. Ale Ellen, która znała się na mężczyznach, miała wrażenie, że w jego dojrzałym głosie też słyszy ożywienie - dreszcz podniecenia myśliwego, który celuje do upatrzonej zwierzyny.

Porucznik Patrick Cole od razu przeszedł do rzeczy.

- Co każe pani myśleć, że Blaine Prescott zamordował swoją siostrę i matkę?

- Powiedział mi, że to zrobił.

- Kiedy?

- Trzy tygodnie po tym, jak popełnił zbrodnię.

- A pani czekała trzydzieści dwa lata, żeby to zgłosić.

- Aż do dzisiaj wieczorem miałam tylko niejasne wspomnienia tego wyznania. Ale dziś wieczorem... Poruczniku? Może ja po prostu opowiem panu, co pamiętam?

- Proszę mówić.

- Poznaliśmy się w piątek, pierwszego czerwca. Przyjechał do Chicago, miał być na czymś ślubie. On i ja spotkaliśmy się w jego pokoju hotelowym w Drake. W robocie były też narkotyki. Ja znałam tylko przydomek, jakim zwracali się do niego koledzy - Doktorek. On mojego prawdziwego nazwiska też nie znał. Szesnaście lat później, wpadliśmy na siebie przypadkiem na jakimś przyjęciu. Ale wtedy nie zdołałam przypomnieć sobie tego, co mi opowiedział. Przez ostatnie dwa tygodnie usiłowałam sobie odtworzyć tamtą rozmowę tak dokładnie. Przypominałam sobie, ale niewiele. Kiedy jednak usłyszałam dziś wieczorem jak Prescott mówi, jak kłamie, wszystko się ze sobą połączyło.

- Gdzie go pani usłyszała?

- Występował w programie radiowym w Chicago. *Godzina Kopicuska*. Nadają to na żywo w Internecie. Z powodów, których nie umiem wyjaśnić, ale które okazały się słuszne, pomyślałam, że jeśli usłyszę, jak będzie opowiadał o tym, dlaczego zdecydował się poświęcić karierę sprawom zdrowia psychicznego kobiet, to dowiem się tego, co sobie usiłowałam przypomnieć. Wysłałam e-maila z sugestią, że takie pytanie warto by mu zadać.

- Jak rozumiem, zostało zadane.

- Tak.

- I w pewnym momencie Blaine zaczął mówić, jak jego chora na psychozę maniakalno-depresyjną siostra dolewała wcześniej przygotowanej trucizny do potraw, które przygotowała dla niego i dla matki, mówiąc jednocześnie o połączeniu się rodziny w Bogu?

- Rozumiem, że panu też - to znaczy, policji - opowiedział tę historię.

- Mnie - potwierdził Patrick. -I sporej liczbie słuchaczy radiowych.

- To kłamstwo.

- Słucham pani.

- To on był tego dnia szefem kuchni i szykował późne śniadanie na Dzień Matki, nie żaden obiad. To wszystko było jego pomysłem, dopracowanym w najdrobniejszych szczegółach - włącznie z pozostawieniem fragmentów rozbitego jajka w kartonie w lodówce. Chciał stworzyć wrażenie, że to zatrucie surowymi jajkami spowodowało ich śmierć. Sam nawet zjadł parę surowych jajek z nadzieją, że też zachoruje. Nie podziękował. Musiał udawać, że się zatrul.

- To nie surowe jajka je zabiły.

- Nie.

- A wie pani, co?
- Płyn przeciw zamarzaniu. Powiedział, że ten preparat ma słodki smak, jak cukier. Wafle, które upiekł, polewał syropem, który w większości składał się z trucizny, ale smakował dobrze. Matka i siostra zachwyciły się posiłkiem i namawiały go, żeby usiadł i zjadł z nimi. Nie chciał. Powiedział, że to ich dzień, i że cieszy się, mogąc je nakarmić.
- Sam spróbował chociaż tego syropu?
- Tego dnia nie. Próbował, jaki ma smak tydzień wcześniej. Wiedział, że będzie musiał błagać lekarzy sądowych, aby nie wykonywali autopsji. Jako student pierwszego roku medycyny, był już świadkiem takiej procedury, miał powiedzieć, że nie zniesie myśli, iż coś podobnego robi się jego najbliższym. Poza tym skoro on przeżył zatrucie tym, co je zabiło, mogą wszystkie badania przeprowadzić na nim.
- A co się stało z zatrutym jedzeniem?
- Och. Przepraszam. Wybiegam za daleko w przyszłość. Wszystko spisałam. Prześlę panu e-mailem, jeśli pan chce.
- Będę chciał to zobaczyć. Ale na razie chcę, żeby mi pani opowiedziała wszystko, co pani pamięta.
- Dobrze. To dość okropne. On z przyjemnością opisywał te straszne szczegóły. Matka i siostra zachorowały w godzinę po zjedzeniu śniadania. Wiedział, że tak się stanie. Podał im śmiertelną dawkę. To była straszna śmierć. Z tego też czerpał przyjemność. Cierpiały okropne bóle i nie mogły zrozumieć, co się dzieje ani dlaczego on nie robi nic, żeby im pomóc.
- Był tam, kiedy umierały.
- Och, tak. Gotował obiad, który miała przygotować jego siostra. Przecież to on sam zaproponował, żeby tak spędzili Dzień Matki, wspominając ich wspólne życie i patrząc, jak jego siostra gotuje. Blaine ugotował więc obiad sam, następnie wyrzucił tyle, ile zjedliby we troje, a resztki zostawił w lodówce, żeby mogli je przebadac śledczy po śmierci matki i siostry. Oczywiście, wszystkie pozostałości z późnego śniadania usunął.
- O której godzinie wyjechał z domu?
- Nie wiem o której, wiem tylko, że narzekał, iż musiał siedzieć w domu z trupami do momentu, kiedy mógłby już wracać do akademika po obiedzie rodzinnym. Posprzątał dom i oczyścił je obie, czekając. Chciał, żeby to wyglądało tak, jakby umarły spokojnie. To wtedy za-

brał pierścionek siostry. Na pamiątkę, powiedział. Żeby mu przypominał o przeszłości.

Kiedy już byli pod drzwiami Thomasa, Snow zwróciła się do Luke'a:

- Wiesz, że to Thomas zajął się Wendy?

- Wiem. Ona mnie nie pozna. Patrzyła na Daniela, kiedy mi ją podawał, a kiedy uznałem, że lepiej, żeby już nie patrzyła, przytuliłem jej głowę do piersi. Już w śmigłowcu zajęli się nią ludzie z zespołu medycznego. Ja siedziałem obok pilota w czasie lotu do miasta. Znalazła się w karetce, zanim któryś z nas zdążył odpiąć pas bezpieczeństwa.

- Mogłeś...

Usiąść przy niej na czas tego lotu helikopterem, pomyślała Snow, patrząc na ojca, który stracił własną małą córeczkę.

- Nie - szepnęła. - Nie mogłeś.

- Nie, chyba żeby mnie potrzebowała. Ale nie potrzebowała.

- Już i tak zrobiłeś to, czego potrzebowała najbardziej.

Ocaliłeś córeczkę Daniela - chociaż nie mogłeś ocalić własnej. Naszej, myślała.

- Ty też nie mogłaś - powiedział.

- Nie mogłam czego?

- Uratować jej, Snow. Nikt nie mógł.

Luke zakończył swoją uwagę niepewnym uśmiechem rzuconym w stronę Snow - i Bei, która nawet nie próbowała udawać, że nie podsłuchuje. Pokiwała głową z tklivością i wrażeniem jakiegoś deja vu. Była świadkiem ich miłości wiele lat temu. Teraz znów ją widziała.

- Chyba powinniśmy dać znać Thomasowi, że tu jesteśmy - powiedziała Bea.

Kiwając głową, Snow podeszła do drzwi i cicho zastukała.

Thomas był u siebie w salonie. Chodził z kąta w kąt.

Spodziewał się, że do północy Mira zadzwoni, choćby po to, żeby chociaż dać mu znać, że jest jeszcze u Vivian i odezwie się później.

Nie zadzwoniła. A on oparł się chęci zadzwonienia do niej.

Nic jej nie jest, tłumaczył sobie. Ale mimo tej drzemki przy Eileen potrzebuje snu. Wyglądała na zmęczoną i przyznawała, że trochę brak jej wypoczynku. Może położyła się do łóżka, planując, że do niego zadzwoni, i zasnęła.

A może wpadnie do niego późno wieczorem, zamiast dzwonić. Nie dzwoniłaby, żeby go uprzedzić. Wiedziałyby, że jej odmówi - potrzebowała

przecież snu - niezależnie od tego, jak bardzo chciałby się zgodzić. A teraz zjawiała się tu. Thomas pobiegł otworzyć drzwi. Z ulgą pojawiła się też radość, że ją zobaczy.

Oba te uczucia nie trwały długo.

- Snow.

- Cześć. Thomas, to jest Bea Evans i Luke Kilcannon. - Żadne dodatkowe wyjaśnienia nie były potrzebne. Thomas znał oba te nazwiska. Nikt nie musiał dodawać, że taka wizyta w środku nocy nie ma towarzyskiego charakteru. - W domu Miry był pożar - wyjaśniła.

- Och, nie. Jak ona się czuje?

Proszę, niech żyje, błagał w myślach. I niech jej za bardzo nie boli.

Tego jej życzył Thomas, chociaż jako lekarz zajmujący się niezliczonymi ofiarami poparzeń wiedział, że ból to dobry objaw. Oznaczał, że poparzenia nie sięgnęły zbyt głęboko, a zakończenia nerwowe przetrwały.

- Jest operowana - powiedziała Bea.

- Operowana?

- Jej obrażenia nie mają związku z pożarem - wyjaśnił Luke. - Została zaatakowana przez podpalacza.

Nowe zmartwienia zalały umysł specjalisty od urazów i serce Thomasa.

- Jeśli chciałbyś jechać do szpitala...

- Chciałbym.

- ...to ja tu chętnie zostanę z Wendy. Możemy jej powiedzieć, że jestem asystentką weterynaryjną Miry i że przyjechałam zajrzeć do kotki, i dotrzymać im obu towarzystwa, kiedy ty pozałatwiasz parę spraw.

- Dziękuję, Beo. Wendy teraz śpi. Chciałbym was sobie przedstawić, zanim pojedziemy.

A ty pojedziesz, pomyślała Bea, tylko wtedy, gdy Wendy nie zaniepokoi się perspektywą twojej nieobecności. Niezależnie jak bardzo chciał być przy Mirze - a Bea widziała, że bardzo tego chce - nie wyjdzie, jeśli jego mała córeczka zaprotestuje.

- Dobrze - powiedziała Bea. - Poradźmy sobie, Wendy i ja. Zobaczysz.

- Mira chciała, żeby Eileen dostała drugą porcję antybiotyku o wpół do trzeciej.

- Podam go kotce punktualnie co do minuty.

Thomas spojrzął na Luke'a i Snow.

- Wy też chcecie tu zostać?

- Nie - odparł Luke. - Chciałbym wracać do Quail Ridge.

- Do domu Miry.

- Tak. Mam nadzieję, że Snow ze mną pojedzie. - Luke zauważył, że Snow jest zaskoczona jego propozycją. I czemu miała nie być zaskoczona? Słyszała, jak mówił: „Kocham cię”. Ale nie uwierzyła w to. Wiedział o tym. Nie uwierzyła. Nadal był dla niej mężczyzną, którego nie nienawidziła, ale od którego wolała uciekać. - Pojedziesz, Snow?

- Tak, oczywiście. Jeśli tego chcesz.

- Chcę.

Thomas nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł pojechać do Miry, jednak najpierw powiedział:

- Luke, zanim pojedziesz... To, co zrobiłeś dla Wendy i Daniela... trudno wyrazić słowami.

- Zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy.

- Ale to ty tego dokonałeś.

- Nie pomogłem Danielowi.

- Owszem, pomogłeś. Pomógłbyś mu, ocalając Wendy, nawet gdyby umarł. Umarłby spokojnie.

- Nawet gdyby?

- Dziś wieczorem dostałem telefon. Daniel żyje. Przewożą go na oddział intensywnej terapii Grace Memorial. Powinien tam być za godzinę. Jest w kiepskim stanie. Lekarze z miejskiego szpitala, gdzie spędził ostatnie dwie i pół doby, nie spodziewali się, że przetrwa pierwszych parę godzin. Ale on walczy, Luke. Walczy, żeby wrócić do dziewczynki, którą uratowałeś.

Rozdział 29

O czym miał mu przypominać ten pierścionek? - spytał Patrick Cole.

- O jego błyskotliwości. I o tym, jak głupie i niebezpieczne było ze strony jego siostry to, że próbowała się sprzeciwiać jego życzeniom.

- A co zrobiła?

- Doprowadziła go do tego morderstwa. Miała czelność - powiedziała cicho Ellen - chcieć wyjść za mąż w czerwcu.

- Blaine sprzeciwiał się jej małżeństwu. Dlaczego?
- Nic w tym tak perwersyjnego, jak sugeruje pański ton. Wcale nie kochał się w siostrze. On jest niezdolny do miłości. Nawet nie przeciw samemu małżeństwu protestował. Problemem okazały się terminy. Chciał być w Chicago w pierwszym tygodniu czerwca, żeby uczestniczyć w innych uroczystościach ślubnych, zamiast prowadzić siostrę do ołtarza w Bostonie.
- I dlatego ją zamordował?
- I własną matkę. To by było straszne zawracanie głowy, powiedział, pocieszać ją po śmierci córki. Miał ciekawsze rzeczy do roboty. Poza tym zmęczył się już mieszkaniem w akademiku, a nie znalazł w Bostonie żadnego mieszkania, które podobałoby mu się bardziej niż rodzinny dom. Gdyby obie umarły, mógłby mieć posiadłość na Beacon Hill tylko dla siebie. On jest zły. Jest wcielonym złem.
- Tak - zgodził się Patrick spokojnie. - Rzeczywiście.
- To socjopata, żaden z jego kolegów psychiatrów tego nie dostrzegł.
- Trzeba oddać sprawiedliwość tym kolegom - socjopaci często odnoszą sukcesy i bez trudu wtapiają się w społeczeństwo.
- I to z wdziękiem.
- Mimo osobistej psychicznej patologii potrafią też wносить wkład w swoją dziedzinę zawodową. Znaczący wkład, Ellen. Tak jak Blaine.
- Pan go chyba nie broni?
- Jako mordercy? Nigdy. Po prostu mówię, że - jak w przypadku wielu socjopatów - zawodowe życie Blaine'a nie przekłada się na jego życie osobiste. To znakomity psychiatra. Proszę mi wierzyć, sprawdzałem go. Poza tym zwrócił uwagę całego kraju na pewne ważne kwestie związane ze zdrowiem psychicznym kobiet, na przykład na depresję poporodową, którą do tej pory zwykle lekceważono.
- To był temat dzisiejszej audycji. Linie się urywały od telefonów, dzwoniły wdzięczne pacjentki. Cieszę się, że skorzystały z wiedzy medycznej Blaine'a. Mam nawet nadzieję, że jego dokonania nie zostaną zakwestionowane, kiedy wyjdzie na jaw, że jest mordercą, który zabija z zimną krwią i gardzi kobietami. Toleruje je, toleruje nas, jak długo to on zachowuje nad nami kontrolę. Ale w tej samej chwili, w której ośmielamy się nie spełniać jego oczekiwań, na przykład wychodząc za mąż w dzień, który mu nie odpowiada - albo informujemy go, że nie mamy ochoty ponownie nawiązywać znajomości - atakuje.

- Czy to właśnie zdarzyło się szesnaście lat temu?
- Tak. Nie był zbyt szczęśliwy, kiedy powiedziałam mu, że nie mam ochoty się z nim spotykać, jakbym nie miała w tej sprawie żadnego wyboru, żadnego prawa, żeby odmówić. „Niezbyt szczęśliwy” to zresztą eufemizm. Był wściekły.
- Ale dał pani spokój? - odezwał się Patrick.
- Tylko dlatego, że załatwiłam sobie swój własny program ochrony świadka.
- Aż do dzisiejszego wieczoru.
- On nie zna mnie pod nazwiskiem Ellen O'Neil. Ale jestem świadkiem, nieprawdaż? Jakimś świadkiem przeciwko niemu w sprawie o zabójstwo jego rodziny.
- Nie jakimś świadkiem. Jedynym świadkiem... Takim, który nie chce zeznawać.
- Dlaczego pan to powiedział?
- Wydawało mi się, że pani ciężko wzdycha.
- Owszem, ale nie dlatego, że nie chcę opowiedzieć tej historii. Proszę mi wierzyć, niczego bardziej nie pragnę - dosłownie, niczego - niż wiedzieć, że Blaine Prescott znalazł się za kratkami na resztę życia. Ale niech pan zgadnie, kto wygra tę grę w „ona powiedziała, on powiedział” w sądzie? A tak to będzie wszystko wyglądało. Moje słowo przeciwko jego słowu.
- Mogą być jeszcze wyniki ekspertyzy sądowej.
- Naprawdę?
- Lekarz medycyny sądowej zgodził się na prośbę Blaine'a, żeby nie wykonywać pełnej sekcji zwłok. Ale bez wiedzy Blaine'a, chociaż jak najbardziej w ramach swoich uprawnień, wykonał biopsję najistotniejszych narządów, ale nie szukał glikolu etylenowego, składnika płynów przeciw zamarzaniu. Dopiero od niedawna mordercy zaczęli go rozmyślnie stosować. Trzydzieści lat temu płyny przeciw zamarzaniu uważano głównie za powód przypadkowych zatruc u zwierząt domowych.
- Blaine przechwalał się, że wybrał truciznę na której trop, „ci durnie, policjanci” - to jego słowa - nigdy nie wpadną. Miejmy nadzieję, że lekarzowi sądowemu nie pomyliły się próbki.
- Nie pomyliły się.
- Sprawdził pan.
- Owszem.

- Już od jakiegoś czasu wierzył pan, że to Blaine jest winien, prawda? Ten pierwszy funkcjonariusz, z którym rozmawiałam, powiedział mi, że ma pan osobisty powód, by interesować się tą sprawą.

- Wierzę w winę Blaine'a od trzydziestu dwóch lat, od tego poniedziałkowego poranka, kiedy zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że Julie nie żyje.

Nie sposób było nie dosłyszeć smutku w głosie Patricka. Oraz miłości.

- A więc to ty byłeś tym początkującym policjantem, a Julie twoją narzeczoną- szepnęła Ellen.

- Tak - powiedział cicho. - Tak było.

- Strasznie mi przykro.

- Mnie też. Ze względu na Julie. Zasługiwała na szczęśliwe życie.

- Miałaby je u twojego boku.

- Razem byśmy je mieli... Gdybym tylko nie musiał pracować we wszystkie weekendy w maju, żeby mieć wolne w ten jeden weekend w czerwcu. Nie miałem pojęcia, że rujnowało to plany Blaine'a. Wątpię, żeby w ogóle powiedział o tym Julie.

Ellen zastanawiała się w ciszy, która zapadła po tych słowach, czy Patrick nie myśli czasem o tym samym, co ona. Kiedy Julie niechcący stanęła na drodze Blaine'owi, nawet nie dał jej szansy, żeby załatwiła to wszystko inaczej. Po prostu ją zabił. - Dopadniemy go, Patrick. Dopadniemy sukinsyna, jutro.

- Hola, momencik.

- Co?

- Nie bardzo chwytam to „my” i Jutro”.

- Dobrze. Sama go więc dopadnę. Jutro.

Ellen wyobraziła sobie jego uśmiech, ale nie usłyszała w głosie Patricka śladu rozweselenia.

- Nawet jeśli lekarz sądowy stwierdzi obecność glikolu etylenowego...

- Stwierdzi ją.

- ...możemy nie dysponować materiałem zezwalającym na postawienie oskarżenia. Pomiędzy czasem, kiedy Blaine opowiedział ci tę historię, a waszym spotkaniem szesnaście lat później, nie mówiłaś nikomu o tym, co usłyszałaś od niego?

- Nie. Teraz ty wzdychasz. Dlaczego?

- Bo dopiero wiele lat po śmierci Julie i Margaret Blaine zaczął opowiadać historię, którą relacjonował dziś wieczorem. To mu umożliwiło skuteczną obronę przeciwko twoim oskarżeniom.

- To znaczy jaką?

- Powie, że mylą ci się daty i twarze. To zrozumiałe, wspomnienia potrafią płątać człowiekowi takie figle, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi narkotyki. Chętnie się przyzna do spotkania z tobą trzydzieści dwa lata temu. Potem stwierdzi, że nie pamięta szczegółów, bo było to dawno temu i znajdowaliście się pod wpływem narkotyków, ale że nie wątpi, iż sporo rozmawialiście o tych zgonach, bo przecież wtedy dopiero trzy tygodnie minęły od czasu, kiedy stracił rodzinę. Na pewno był rozkojarzony, przybity i potrzebował rozmowy. A potem powie, że kiedy spotkał cię szesnaście lat później, wyjaśnił ci tę swoją teorię, że Julie, w ataku psychozy maniakalnej, zatrąła posiłek. Sam wspomni, że mówił ci nawet, że się zastanawia, czy nie użyła czasem glikolu etylenowego. Bo zapamiętał słodki smak potraw, a poza tym teraz płyn przeciw zamrażaniu jest dobrze znany jako trucizna używana przez morderców. Czy narkotyki wchodziły w grę podczas tego waszego drugiego spotkania?

- Nie z mojej strony. Żadnych narkotyków. Żadnego alkoholu.

- Tak twierdzisz.

- Po czyjej stronie jesteś?

- Julie.

- Ja też. - Julie i Snow. - Jesteśmy po tej samej stronie, Patrick.

- Ale prawo jest po jego stronie.

- Przecież tego nie wiesz!

- Tak się składa, że wiem. Nawet gdyby lekarz sądowy potwierdził obecność glikolu etylenowego, twoje zeznanie nie wystarczy przeciwko domniemaniu niewinności Blaine'a. Prokuratura nie zdołałaby nawet złożyć aktu oskarżenia, a co dopiero mówić o wyroku skazującym.

- A dlaczego jesteś tego taki pewien?

- Jako prokurator miałem swój udział w wielu sprawach o morderstwo w sądzie stanu Massachusetts.

- A więc jesteś prawnikiem, który został gliną.

- Gliną byłem najpierw. Po śmierci Julie potrzebowałem przerwy od przemocy - i smutku - jakie widziałem na ulicach. Szkoła prawnicza wydawała się dobrym wyjściem. Osiem lat pracowałem jako prokurator, zanim znów wróciłem do służby.

- Naprawdę zatem wiesz, o czym mówisz - powiedziała Ellen. - Moje zeznanie nie wystarczy, żeby trafił do więzienia.

- Obawiam się, że nie. Ale ciekawy jestem, czemu tak by cię uszczęśliwiło, gdyby trafił do więzienia.

- To morderca. Jaki inny powód jest ci potrzebny?

- Opowiedz mi o swoim związku ze Snow Gable.

Nie ma żadnego związku, jedynie całe lata żalu, pomyślała.

- A skąd takie pytanie?

- Zastanawiam się, dlaczego słuchałaś w sieci programu nadawanego z Chicago.

- Przez ostatnich siedem lat był nadawany z Atlanty.

- A więc jesteś jego fanką.

- Tak.

- Właśnie patrzę na zdjęcie Snow Gable na stronie internetowej *Godziny Kopciuszka*. Jest bardzo piękna - powiedział Patrick.

- Tak, jest piękna.

- Podobna do ciebie?

- Zupełnie nie.

- Ale jesteś jej matką.

- Słyszałaś jej głos, prawda?

- Nie. Jest taki sam jak twój?

- Dość podobny.

- Czy jest podobna do ojca?

Nie. Nie przypomina nikogo, kogo znam.

- Ale wygląda jak ktoś, kogo ja znałem, Ellen. Twoja piękna córka, piękna córka Blaine'a, wygląda zupełnie jak Julie.

Rozdział 30

Pójdę po płaszcz - powiedziała Snow, kiedy Bea i Thomas weszli do mieszkania Thomasa, a ona i Luke zostali sami na korytarzu. - To potrwa tylko chwilę.

- Nie ma pośpiechu. Nie ja jestem śledczym w tej sprawie. Nie powinienem pojawiać się tam pierwszy. Poza tym mam wrażenie, że ten człowiek, który podłożył ogień, zostawił tam tylko takie ślady, jakie nam chciał zostawić.

- Dlaczego tak myślisz?

- To tylko przeczucie. Mogę wejść?

- Oczywiście! - Snow otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka.

- Przepraszam za ten bałagan. Jeszcze nie zdążyłam się zadomowić.

- Nie martw się tym - powiedział Luke. Ale on sam się martwił. Niepokoił się. Jednak to nie bałagan wytrącał go z równowagi, tylko on sam. - Snow?

Lawirowała między kartonowymi pudłami z takim wdziękiem, z jakim omijała opadłe z drzew gałęzie, biegnąc na ich polankę w tym wąwozie... I tak jak lawirowała między wrogim tłumem, żeby się dostać do wypełnionego szkłem basenu.

- Chcesz się napić kawy? - spytała.

- Nie. Dziękuję.

- To może czegoś innego? Nie mam tu jakiegoś wielkiego wyboru. Ale mogę poprosić, żeby przynieśli nam coś z hotelu. To jedna z dodatkowych zalet mieszkania w Towers.

Kobieta, która lawirowała przez salon, żeby się dostać do kuchni, była równie zdeterminowana, jak dziewczyna, którą kiedyś znał. Ale istniała różnica. Starła się jak najszybciej zwiększyć odległość między nimi, a nie zmniejszyć.

- Snow.

Przystanąła. Odwróciła się.

- Słucham cię, Luke?

- Chcę ci powiedzieć, dokąd poszedłem w noc balu, kiedy już odprowadziłem cię do domu.

Zrobiła krok z powrotem, oparła się o ścianę.

- Nie ma potrzeby. To było tak dawno temu.

- I wydaje ci się, że już to wiesz.

- Bo przecież wiem.

- Nie - powiedział cicho. - Nie wiesz. Wszystko, co Vivian ci powiedziała, to kłamstwa.

Położyła dłoń płasko na gładkiej ścianie.

- Kłamstwa?

- Co do słowa. Nigdy nie kochałem się w Vivian. Nie byłem z nią nawet blisko.

- Dlaczego miałyby kłamać?

- Bo jest podłym człowiekiem.

Kiedy Snow dostrzegła jego pogardę dla Vivian, przypomniała sobie minę Vivian, kiedy mówiła o nim tamtego niedzielnego poranka.

- Ona się w tobie kochała.

- Być może tak jej się wydawało. W taki jej spaczony, samolubny sposób. A może po prostu była zła, że nie przymilałem się do niej jak

wszyscy jej znajomi. Może zdecydowała się ukarać mnie, zranić mnie, raniąc ciebie.

- Nie wydaje mi się, żeby kierowały nią aż tak okrutne pobudki.

- Bronisz jej?

- Nie. Tylko wspominam. Luke, jej naprawdę na tobie zależało. Ona szczerze wierzyła, że jesteś za młody i że masz bardzo obiecującą przyszłość, nie powinieneś więc brać na siebie odpowiedzialności za żonę i dziecko.

- Odpowiedzialności. Snow, to była jedyna przyszłość, o jakiej marzyłem.

Snow stała dość daleko. Ale słuchała.

- Tamtej nocy, kiedy się z tobą pożegnałem, byłem już wpół drogi do Noaha, kiedy poczułem... jakąś niepewność. Jakby to wszystko mogło nagle zniknąć.

- Tak też się czułam następnego dnia rano. Bałam się, że wszystko stracę. A ty miałeś takie wrażenie tamtej nocy?

Luke pokiwał głową.

- Martwiłem się, że nie powiedziałem ci, że cię kocham, że nie wypowiedziałem tych słów. Przedtem nie wydawało mi się, że coś pomijam. To było oczywiste. Niepotrzebne. Zawsze cię przecież kochałem. Poza tym... - powiedział, patrząc na nią, - byłem całkiem pewien, że ty też mnie kochasz.

- Kochałam cię. Też mi się nie wydawało, że trzeba te słowa wyowiadać. Aż do następnego dnia rano. I co zrobiłeś?

- Zawróciłem i pojechałem z powrotem w stronę twojego domu. Pomyślałem, że jeśli ci powiem, że cię kocham i położę dłoń na twoim brzuchu, czekając, aż Wendy się poruszy, to ten strach zniknie.

- Nie spałam. Nie słyszałam, żebyś podchodził do drzwi.

- Zdecydowałem, że nie podejść. Wiedziałem, że wyczujesz mój strach. Nie chciałem cię niepokoić. Ze swoją niepewnością powinienem radzić sobie sam. I wierzyłem, że jakoś znajdę sposób. Zamiast pójść do ciebie do domu, poszedłem do wąwozu i zabrałem pieniądze ze słoja.

- Dlaczego?

- Żeby kupić dla nas obrączki, kiedy będziemy z Noahem w LA.

- Och, Luke.

- Pomyślałem, że jeśli będę miał coś namacalnego, jakiś dowód na to, że nasze plany są prawdziwe... Poszłaś po spotkaniu z Vivian do wąwozu, prawda? I kiedy odkryłaś, że pieniądze zniknęły, uwierzyłaś, że dałem je Vivian, żeby ona przekazała je tobie.

- W pierwszej chwili w to nie wierzyłam. Nie chciałam wierzyć w nic, póki sam mi o tym nie powiesz. Nie zdołałam wytrwać w tej decyzji tak samo, jak nie zdołałam zatrzymać Wendy. Kiedy zaczęłam krwawić, już nie myślałam jasno. Kiedy ją straciłam, straciłam też resztki nadziei.

- Nie powinienem jechać do LA. - Luke zacisnęła dłonie w pięści. - Prawie zrezygnowałem. Do rana ten niepokój przerodził się już w prawdziwy strach. Tłumaczyłem sobie, że to dlatego, że nigdy w życiu aż tak bardzo niczego nie pragnąłem i że boję się to stracić. Uznałem, że najlepszym sposobem, aby zdusić ten strach jest robić wszystko, czego ode mnie wymagano - a nawet jeszcze więcej. W tamto niedzielne popołudnie pobiłem własny rekord na czterysta metrów motylkiem. W nagrodę pozwoliłem sobie złamać jedną małą zasadę - naszą umowę - i zadzwonić do ciebie wieczorem, zamiast czekać do wtorku. Burza śnieżna już zdążyła uszkodzić wtedy linie telefoniczne. O'Hare zamknięto. Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze. Pływałem jeszcze szybciej. Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić miliony razy. Tak bardzo mi ulżyło, kiedy usłyszałem twój głos. Ulżyło mi - powtórzył. - A potem strasznie się zasmuciłem ze względu na Wendy... I zacząłem się strasznie o ciebie bać.

- Usłyszałeś, że jestem w depresji.

- Nie wiedziałem, że to właśnie słyszę. Wiedziałem tylko, że muszę się do ciebie dostać jak najszybciej. Ale nie zdążyłem.

- Nie mogłam na ciebie czekać, Luke. Musiałam wyjechać z Quail Ridge przed twoim powrotem.

- Bo wtedy wierzyłaś już w kłamstwa Vivian.

- Wtedy uwierzyłam nie tylko w słowa Vivian. Byłam przekonana, że zawiodłam cię, Luke. Ciebie i Wendy. Wmówiłam sobie, moja depresja mi to wmawiała, że beze mnie będzie ci lepiej.

- Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak mi się żyło bez ciebie?

- Nie.

Ale nadal go słuchała. I poruszyła się, odrobinę odsunęła się od ściany. Nie spuszczała też już oczu pod jego wzrokiem.

- Ja ledwie żyłem - powiedział, podchodząc trochę bliżej do niej. - Ledwie żyłem, Snow, bez ciebie.

- Czuję się tak samo... Nawet kiedy depresja poporodowa już się skończyła.

- Przecież tak wiele osiągnęłaś.

- Po prostu powtarzałam to, co robiłam, kiedy poprzednio ciebie zabrakło. Ledwie żyłam. Po tamtym pożarze uciekałam w naukę, a potem w debaty. Tym razem, kiedy odkrywałam różne rzeczy w książkach - i gazetach - o których chciałam z tobą rozmawiać, miałam szczęście, bo znalazłam forum, na którym mogłam o nich mówić. Swój pierwszy wieczorny program poprowadziłam na WREK, uczelnianej radiostacji na politechnice stanu Georgia.

- Czy to była *Godzina Kopciuszka*?

- Nie miała jeszcze nazwy. To była po prostu Snow we WREK od północy do drugiej rano. *Godzina Kopciuszka* powstała, kiedy zrozumiałam, że czas już zacząć się zastanawiać nad moim dawnym życiem w Quail Ridge. Uciekałam, tak samo jak Kopciuszek, przed prawdą o samej sobie.

- I od wiary w samą, prawdziwą siebie.

- Tak - powiedziała Snow. - To też.

- Kiedyś wierzyłaś w siebie.

- Owszem. Dawno temu.

- Dopóki depresja poporodowa nie zamieniła cię w niedowierzającego Kopciuszka.

Snow uśmiechnęła się lekko.

- Depresja poporodowa, okrutna przybrana siostra.

- Ale nie znałaś strachu, pokazując się światu.

- Nie światu, Luke. Tobie.

- Kopciuszek nie za bardzo wierzy temu swojemu Księciu, prawda? Nie ufa, że Książę, wiedząc o niej wszystko, co trzeba, nadal ją będzie kochał.

- Chyba nie wierzy. Ale powinna. Właśnie tego się uczy. I tym się kończy bajka.

- To dobre zakończenie.

Luke ruszył z miejsca.

Oboje się ruszyli.

Ku sobie.

- Tak, dobre.

- Kocham cię, Snow.

- Och, Luke.

- Nigdy nie przestałem cię kochać.

Miłość nigdy się nie skończyła. Ale zakochani przystanęli.

- Mogę cię dotknąć? - zapytał.

- Tak. Proszę.

- I przytulić?

I kochać cię, moja Snow. Kochać cię na zawsze, pomyślał.

- O, nie - szepnęła Ellen, kiedy Patrick wyjawiał jej, że Snow, która nie przypominała fizycznie żadnego z rodziców, wygląda dokładnie jak siostra, którą Blaine zamordował.

- Rozumiem, że Snow nie wie, iż Blaine jest jej ojcem?

- Nie, nie wie. I sądziłam, że jest bezpieczna, że Blaine nigdy się nie zorientuje, że to jego córka. Ale jeśli jest podobna do Julie, to on już wie. Muszę jechać - powiedziała nagle Ellen.

- Dokąd?

- Do Chicago.

- Po co?

- To już zupełnie nie twoja sprawa.

- A gdzie się podziało: „Dopadniemy go, Patrick. Dopadniemy sukinsyna jutro”?

- Jak sobie przypominasz, przeszkadzało ci to „my” i „jutro”. A, co najważniejsze, właśnie skończyłeś opowiadać mi, że to, czym przechwalał się Blaine trzydzieści dwa lata temu, zdarzyło się naprawdę. Ujdzie mu na sucho morderstwo.

- I ty zamierzasz wymierzyć mu sprawiedliwość?

- Nie wiem, co zamierzam. Ale na pewno nie będę siedziała bezczynnie.

- Chcesz powiedzieć, jak ja?

W opanowanym głosie Patricka zabrzmiała wyraźnie niebezpieczna nuta.

- Nie to miałam na myśli - stwierdziła Ellen.

- Ale?

- Skoro już o tym mówisz, powiedz, czy nigdy cię nie kusiło, żeby zrobić Blaine'owi coś, co go powstrzyma od skrzywdzenia kogokolwiek innego?

- Na przykład wypadek, którego sprawca ucieknie?

- Takie rzeczy się zdarzają, przecież jego ojciec sam padł ofiarą...

Och. - Przerwała, a potem głęboko zaczerpnęła powietrza. - To nie był wypadek, prawda? Blaine zabił swojego ojca.

- Powiedział ci to?

- Nie. Ale on to zrobił, prawda?

- Tak uważam.
- Julie coś podejrzewała?
- Nie. I ja też nie, aż do śmierci Julie i Margaret, kiedy uwierzyłem, że to on je zabił. Mniej więcej wtedy zacząłem myśleć o wzięciu spraw we własne ręce i wymierzeniu sprawiedliwości.

- A więc cię kusiło.
- Ciągle, codziennie.
- Ale nigdy tego nie zrobiłeś.
- Gdybym to zrobił, już nie byłbym człowiekiem, którego pokochała Julie. Znów wzdychasz. Rozczarowana?

Tym, że nigdy nie spotkałam tak honorowego mężczyzny, pomyślała.

- Tak, że jesteś takim praworządnym wzorem wszelkich cnót - odparła.

- A y ie jesteś?

- Nie.

- No to obawiam się, że nie pozwolę ci jechać do Chicago samej.

- Wracamy do „my” i „jutro”?

- Owszem. Nie zabijesz go, Ellen. Na to jesteś za dobra. Ale mam niepokojące uczucie, że będziesz chciała z nim porozmawiać.

- To uczucie nie będzie już tak niepokojące, kiedy wydobędę od niego zeznanie. I nagram je.

- Pomijając kwestie dopuszczalności dowodu, Blaine się nie przyzna.

- Już raz to zrobił.

- Teraz ma nad sobą o wiele większą kontrolę niż trzydzieści dwa lata temu.

- Ale jeśli go zaskoczę...

- Nie zaskoczysz go - przerwał Patrick. - On się będzie ciebie spodziewał.

- Co takiego?

- Jesteś matką Snow. Słuchasz jej programu, rozmawiasz z nią o jej gościach. Blaine wie, że dowiedziałaś się, że on spotkał się ze Snow.

- Snow i ja nie rozmawiamy o jej gościach.

- Och?

- Nie rozmawialiśmy ze sobą od szesnastu lat.

- Ale jesteś jej matką. Słuchasz jej programu.

- Jaka ze mnie matka.

- Tylko taka, która chce zabić faceta, który mógłby skrzywdzić jej córkę. - Patrick przerwał, ale usłyszał tylko ciszę. - Blaine nie zrobi nic złego Snow.

- Mówisz to z taką pewnością.

- Owszem. Z tego samego powodu, dla którego twierdzę, że Blaine nie zrobi nic złego mnie. Jak wszyscy socjopaci, wykorzystuje ludzi, manipuluje nimi dla własnej rozrywki. Lubi grać w te swoje gry ze mną, i chce też w nie grać z tobą. Snow jest tu łącznikiem. I w tej roli jest bezpieczna. Blaine spodziewa się ciebie, Ellen. Ale nie spodziewa się mnie. Kiedy zobaczy nas razem, zrozumie, że przypomniałaś sobie, co ci opowiedział. Nie przybliży nas to ani trochę do aktu oskarżenia, ale chciałbym zobaczyć, jak on na to zareaguje.

- A więc jutro zajrzemy do niego.

- Zajrzemy. Polecimy samolotami o szóstej rano i spotkamy się przy stanowisku odbioru bagażu United Airlines na O'Hare. Powiedz mi, jak mam cię rozpoznać.

- Będę przy monitorze z listą przylotów, będę sprawdzać, czy twój lot z Bostonu się nie opóźnił. Jeśli się opóźni...

- Powiem ci, jak mnie poznasz. Wyglądam jak glina, który jest całkowicie gotowy aresztować cię za utrudnianie pracy policji, jeśli choćby tylko pomyślisz o tym, żeby się spotkać z Blainem sam na sam.

Rozdział 31

Thomas, zanim obudził Wendy, zadzwonił w dwa miejsca. Najpierw połączył się z blokiem operacyjnym, odebrała pielęgniarka, która dobrze знаła Thomasa. Znała też na bieżąco stan Miry. Dopiero co udzieliła tych samych informacji Vivian i Blaine'owi.

To były dobre wieści. Połamane żebra Miry nie spowodowały głębszych urazów w płucach. Chirurdzy na razie powstrzymują się z decyzją o drenowaniu klatki piersiowej. Chirurdzy od urazu śledzony też są dobrej myśli. Dokładne oczyszczenie jamy otrzewnej ze wszelkich śladów krwi i częściowe usunięcie trzustki okazało się jak najbardziej wykonalne. Będą drenować ranę jeszcze przez dzień czy dwa. I tak jak specjaliści od klatki piersiowej, będą nadal uważnie monitorować jej stan.

Najpoważniejszych obrażeń Mira doznała w obrębie czaszki. Ale tu też można było sobie pozwolić na ostrożny optymizm. Dzięki sprawnej diagnozie jeszcze na miejscu wypadku trafiła na neurochirurgię tak szybko, że powstający krwiak nie zdążył narobić większych szkód. Oczywiście, przekonają się ostatecznie dopiero wtedy, kiedy Mira się wybudzi.

Nie wiadomo było jeszcze, kiedy to nastąpi. Ale do trzeciej powinna już znaleźć się poza blokiem operacyjnym - i w drodze na oddział intensywnej terapii.

To nie były jakieś tam dobre wiadomości. To były fantastyczne wiadomości.

Thomas podzielił się nimi z Beą, która odetchnęła z ulgą.

Thomas martwił się jeszcze czymś, czym się z nią nie podzielił. Chociaż na pewno by go pocieszyła, gdyby to zrobił. Bea była istnym uosobieniem nadziei. I, jako pielęgniarka, wiedziała o wstecznej amnezji - skłonności uszkodzonego mózgu do zapominania o wszystkim tym, co poprzedzało uraz.

Czasami znikwały tylko ostatnie wspomnienia, te związane z samym urazem. Ale zdarzało się, że człowiek tracił godziny, dni, miesiące czy lata.

Thomas zajmował się wystarczająco wieloma pacjentami po urazach głowy, żeby mieć uzasadnioną nadzieję, że dzięki szybkości, z jaką krwiak został usunięty, amnezję Miry da się mierzyć godzinami - w najgorszym razie. Taka utrata pamięci byłaby banalna w porównaniu z całym szerokim tłem jej życia, i zupełnie bez znaczenia w porównaniu ze stratą, jaka mogła ją dotknąć.

Będziecie musieli po prostu zakochać się w sobie od nowa, zapewniłaby go Bea, pocieszyłaby go, gdyby podzielił się z nią obawą, że Mira może stracić pamięć całego tego popołudnia. A na pewno się zakochacie, upierałaby się Bea, nawet wiedząc, że to niekoniecznie musi być prawda. Czasami, po przebytych urazach, serce też zapomina.

A gdyby Mira miała go zapomnieć, gdyby na zawsze ją stracił?

Nieważne. Mira żyje. Tylko to się liczy. Tylko on dozna tej straty. Ona znajdzie sobie jakąś nową miłość.

Drugi raz Thomas dzwonił do specjalistki od intensywnej opieki, która zawiadomiła go, że Daniel Hart nie utonął - nie całkiem utonął - i że przewożą go na oddział intensywnej terapii w Grace Memorial.

Daniela jeszcze tam nie było. Jakiś techniczny problem ze śmigłowcem Lotów dla Życia spowodował opóźnienie. Przewidywano, że przybędzie na oddział w tym samym czasie co Mira.

O trzeciej rano.

Koleżanka Thomasa wiedziała, że Daniel jest uznanym za zaginionego ojcem dziewczynki, dla której Thomas zawiesił swoją karierę. Dlatego właśnie doktor Sandra Davis zawiadomiła Thomasa o tym zdarzeniu kilka godzin temu.

Od czasu ich poprzedniej rozmowy Sandra zdążyła już przejrzeć wyniki badań laboratoryjnych, które przesłano im faksem. Opierając się na tych danych, nadal trwała przy swoim poprzednim zdaniu. Z punktu widzenia osieroconej córki Daniela - i jej opiekuna - Daniela nadal należało uważać za osobę zaginioną.

Jego organizm przeżył potężny szok. Brak tlenu dotknął najważniejszych tkanek, doszło do martwicy mięśni. Ta z kolei pociągnęła za sobą niewydolność nerek. Wątroba też nie wytrzymała.

Szpital miejski nie miał sprzętu pozwalającego na opiekę nad tak źle rokującym pacjentem, znalezionym o czterdzieści osiem kilometrów z biegiem wód od swojej farmy. Ale Grace Memorial takim sprzętem dysponował. I Thomas, i Sandra mieli wiele doświadczenia z takimi, odsyłanymi do Grace Memorial przypadkami.

Na ogół, chcąc szybko pozbyć się takiego pacjenta, odsyłający go lekarz bagatelizował powagę jego stanu. Owszem, pacjent jest chory. Ale dość stabilny, żeby wytrzymać podróż. Często pacjenci byli w o wiele poważniejszym stanie, niż to przedstawiano.

Lekarz Daniela nie bagatelizował jego stanu. A przynajmniej taką nadzieję miała Sandra. Trudno było sobie wyobrazić, że Daniel mógłby być jeszcze bliższy śmierci i nie umrzeć.

Thomas sam się niedługo przekona. Zanim skończył rozmawiać przez telefon, zrobiła się już druga piętnaście. Obudzi Wendy, żeby poznały się z Bea, i zanim wyjdzie - zakładając, że będzie mógł wyjść - dadzą Eileen jej przewidziany na drugą trzydzieści zastrzyk.

Kiedy z Bea zbliżali się do otwartych drzwi sypialni Wendy, Thomas szepnął:

- Może być przestraszona, kiedy ją obudzę. Do tej pory pozwalałem jej spać tyle, ile sama chciała.

- Radzicie sobie od drzemki do drzemki. - Bea uśmiechnęła się.

- Tak Mira cytowała twoje słowa.

Jasne, pomyślał Thomas, kiedy jeszcze pamięć miała sprawną.

- Dobrze jest tak właśnie sobie radzić - dodała Bea.

- Dziękuję... - Thomas spojrzął na łóżko. Było puste. Wendy i Eileen zniknęły. A w mroku... nic. - Wendy? Wendy?!

- Thomas! - Jej głos dobiegł zza zasłony wiszącej u okna.

Siedziała za zasłoną. Ukląkł obok niej i spojrzął, tak jak ona, na śpiące miasto. - Nic ci nie jest?

Wendy wzruszyła ramionami i dalej głaskała przyciskane do piersi zwierzątko.

- Co ci jest, kochanie? Czy coś się stało Eileen?

Jego drugie pytanie na moment wyrwało ją z zamyślenia i powiedziała:

- Ona zamruczała.

- To cudownie, Wendy! Bardzo dobrze się nią opiekowałeś. Szczęściara, że ciebie ma. - Kiedy Wendy znów wzruszyła ramionami, Thomas dodał: - Możesz mi powiedzieć, co ci dolega?

- Martwię się o tatusia.

Czy podsłuchiwała jego rozmowę z Sandrą? Jeśli tak, to zachował się nie lepiej niż ci, którzy mówili w jej obecności o utonięciu Daniela. Ale nie wspominał Daniela z imienia.

- Dlaczego, kochanie? Dlaczego martwisz się o tatusia?

- Bo nie widzę gwiazd, to jak on może mnie widzieć? Może nie wie, gdzie jestem? Może nawet nie udało mu się znaleźć mamy?

- Och, Wendy. Gwiazdy tam są. Co do jednej. To tylko światła miasta są tak jasne, że trochę trudno je zobaczyć. Ale wiesz, co jest dobrego w tych wszystkich światłach? Kiedy patrzysz z wysoka, z gwiazd, łatwiej nas dostrzec.

- A więc tatuś mnie widzi?

- Oczywiście, że tak. - Tata może być nawet w tak niewielkiej odległości, że prawie mógłby cię sam zobaczyć, pomyślał Thomas. Nad miastem przelatywał jakiś helikopter. Jeśli Daniel był na jego pokładzie - i gdyby toksyny w krwiobiegu nie wywołały u niego śpiączki - jednym z tych swoich skrzydeł z białego gipsu mógłby pomachać córeczce.

- Myślisz, że znalazł mamusię?

- Założę się, że to mamusia go znalazła. Przecież jest już w niebie jakiś czas. Zna okolicę.

Wendy nie odpowiedziała od razu. Ale jej kokon emocjonalnego oszołomienia zniknął. Była bardzo przytomna, całkowicie świadoma.

- Pewnie tak - przyznała.

Ale Thomas wiedział, że tak samo jak sprawę gwiazd, omówią jeszcze ten temat wiele razy.

- Wendy? Chciałbym, żebyś kogoś poznała.

Thomas zabrał dziewczynkę spod okna. Bea uśmiechnęła się z nadzieją. Ale Wendy znów stała się czujna. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to przyjaciółka Miry przyjechała odwiedzić Eileen.

- Gdzie jest Mira?

Thomas opowiedział bajeczkę, którą sobie przygotował:

- Mira jest w szpitalu. Nic jej nie grozi, kochanie. Na pewno wyzdrowieje. Ale ponieważ nie mogła przyjechać i zrobić Eileen następnego zastrzyk, chciała, żeby Bea ją zastąpiła.

- Chciała też, żebym mogła cię poznać, Wendy. Mówiła, że świetnie opiekujesz się Eileen. Widzę, że miała rację. I słyszę to. Eileen mruczy jak motorek.

- Co się stało Mirze?

- Uderzyła się w głowę - odparł Thomas. - Ale jest bardzo dzielna. Niestety, na trochę będzie musiała zostać w szpitalu. Jeśli się zgodzisz, to chciałbym ją tam odwiedzić, kiedy Bea zostanie z tobą. Chciałbym powiedzieć Mirze, że Eileen czuje się lepiej i oboje mamy nadzieję, że i Mira wkrótce wyzdrowieje. Co o tym myślisz?

- Pojadę z tobą.

- Nie możesz, kochanie.

- Dlaczego nie?

- Jest taka zasada tam, gdzie jest teraz Mira. Żadnych odwiedzin osób poniżej dwunastu lat. No i żadnych kociaków.

Zasada dotycząca kociaków obowiązywała niezłomnie. Żadnych kotów ani psów na ten oddział nie wpuszczano. Ale przy licznych okazjach doktor Thomas Vail nagiął zasadę dotyczącą wieku, a nawet kompletnie ją łamał. Jeśli w najlepiej pojętym interesie pacjenta leżała wizyta dziecka czy wnuka, Thomas z radością na nią pozwalał - i brał na siebie gromy administracji.

Na widok Wendy Mira uśmiechnęłaby się niezależnie od tego, czy straciła pamięć, czy nie. Ale Thomas miał jeszcze jeden powód do odwiedzin na oddziale intensywnej terapii. W dobrze pojętym interesie Wendy powinien ją chronić, aby nie znalazła się gdzieś blisko umierającego ciała, które kiedyś było jej ojcem. Owszem, personel oddziału nie pozwoliłby, żeby stało się coś nie do pomyślenia. Wendy nie czekał widok wózka przewożącego jej ojca i lekarzy gorączkowo wykonujących masaże serca.

Ale mogła jakoś wyczuć tam obecność Daniela. Przecież wybrała dokładnie ten moment, w którym śmigłowiec przelatywał nad ich głowami, żeby zacząć się zastanawiać, czy ojciec ją widzi.

- Już byłam kiedyś w szpitalu.
- Ja wiem, kochanie, ale nie możesz ze mną jechać. Nie dzisiaj,

Wendy.

- Nie jedź, Thomas! Proszę!?
- Nie pojadę, jeśli nie chcesz.
- Nie pojedziesz?
- Nie. Zostanę tu z tobą i Eileen. Bea może pojechać do Miry i powiedzieć nam potem, jak ona się czuje.

I jak się czuje twój tatuś, pomyślał.

- Dobrze?

- Jak najbardziej. - Bea uśmiechnęła się. - Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zobaczyć, jak z Thomasem dacie zastrzyk Eileen. Wiem, że Mira chciałaby usłyszeć, jak się udał.

- Dobrze.

- Dziękuję.

Eileen, której znacznie się polepszyło od czasu poprzedniego zastrzyku, protestowała przeciwko dziwnej pozycji, w jakiej ją przytrzymano. Ale na szczęście ukłucie igły za bardzo jej nie przerażyło. Jednak już po zastrzyku zrobiła kilka obrażonych kocich kroków, po których zaprezentowała kolejny objaw kociego zdrowia: gwałtowną potrzebę umycia się.

- Mira będzie bardzo zadowolona - powiedziała Bea do Wendy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy jej powtórzę wszystko, co tu widziałam.

- A potem zwróciła się do Thomasa: - Chyba wezmę taksówkę. Jak rozumiem, nocny odźwierny może mi ją zamówić?

- Możemy zadzwonić z domu. - Thomas wyjął książkę telefoniczną z dolnej szuflady biurka w sypialni Wendy. - Jakaś ulubiona firma?

- Nawet nie wiem, jaki mam wybór. Sam zdecyduj.

Thomas przeszukiwał książkę, kiedy nagle poczuł delikatny ucisk na swoją nogę, o którą ktoś się oparł. Położył serdecznym gestem dłoń na drobnym ramionku.

- Cześć, Wendy.

- Ty mógłbyś jej sam powiedzieć - mruknęła dziewczynka.

- Powiedzieć Mirze?

Wendy pokiwała głową, chociaż bez tego entuzjazmu, z jakim zareagowała na jego rezygnację z wyjścia. Ale z równym zdecydowaniem.

- Chcesz powiedzieć, że mam jechać do szpitala, a ty i Bea popilnujecie Eileen? - Znow pokiwała główką. - Jesteś pewna?

- Powiesz nam, gdzie jesteś?

- W każdej sekundzie. Szpital jest o dwanaście minut stąd. Dam tobie i Bei swój numer komórki, gdybyście chciały do mnie zadzwonić, kiedy będę tam jechał. I dam wam jeszcze lepszy numer, pod który dzwońcie, kiedy będę tam w środku. Jeśli tylko zechcesz ze mną porozmawiać, Wendy, albo żebym wrócił do domu, to się da bardzo łatwo zrobić...

Rozdział 32

Będa się kochali zawsze, tak jak zawsze się kochali do tej pory. A kiedyś, później - dziś, jutro, zawsze - będą ze sobą w łóżku.

Ale do końca tej nocy, kiedy pożar znów pochłoniął dom przy Meadow View Drive, Luke zajmie się wykrywaniem tego, co da się wykryć na miejscu przestępstwa. Snow będzie mu towarzyszyć. Już zawsze będzie mu towarzyszyć.

Zanim wyjechali do Quail Ridge, dowiedzieli się, że rokowania co do stanu Miry zmieniły się z niewesołych na całkiem dobre. Podczas jazdy Luke opowiadał Snow o Mirze.

- Ona naprawdę się o ciebie troszczy - powiedziała Snow, słysząc, co się najpierw kryło za jej zaproszeniem na lunch. - Lubię ją.

- Ja też.

- To widać.

- Miałem w życiu troje przyjaciół. Ciebie. Noaha i Mirę. Troje przyjaciół... Ale miłość tylko jedną.

- Mira nie jest w tobie zakochana?

- Nie, i nigdy nie była.

- W przeciwieństwie do drugiej z siostr Larken.

- Brzmi to tak, jakbyś żałowała Vivian.

- Chyba mi jej żal.

- Wyjaśnij mi to. Proszę. Jak możesz czuć coś innego niż nienawiść do osoby, która tyle ci odebrała?

- Co mi odebrała?

- Twoje dziecko, Snow. Nasze dziecko. Naszą Wendy.

- Vivian nie miała nic wspólnego z tym, że straciłam Wendy. Może nie słyszałeś dziś tej części programu, w której mówiłam o tym trzepotaniu, które czułam, jako o pierwszej oznace poronienia.

- Słyszałem.
- Wiesz zatem, że najprawdopodobniej zaczęło się na wiele godzin przedtem, zanim Vivian do mnie przyjechała.
- Najprawdopodobniej.
- To coś więcej niż prawdopodobieństwo. To pewnik. Rozmawiałam z kilkoma ginekologami, Luke. Wszyscy są zgodni. I moment początku mojej depresji to potwierdza.
- Vivian naopowiadała ci kłamstw, a potem zostawiła cię tam, stojącą na mrozie.
- Sama wysiadłam z samochodu. I to nie ona spowodowała moje poronienie.
- Nie musi się o tym nigdy dowiedzieć - powiedział Luke. - Nie zasługuje, żeby to wiedzieć.
- To znaczy, ona wierzy, że jest za to odpowiedzialna.
- Tak mi się wydaje. Chyba nawet ma z tego powodu spore poczucie winy.
- Luke.
- Co?
- Nie możesz pozwolić, żeby Vivian obwiniała się za coś, czego wiesz, że nie zrobiła.
- Jasne, że mogę. Nie mam śladu współczucia dla Vivian. Żadnego. W głowie mi się nie mieści, że ty jej współczujesz. Nie, cofam to. Mieści mi się. Taka już po prostu jesteś.
- Ty też taki jesteś.
- Nie, Snow. Ja nie.
- Dotknęła napiętych mięśni jego szczęki.
- Powiesz jej o tym. Wiem, że powiesz. Jesteś zbyt dobry, żeby tego nie zrobić.
- Do diabła!
- Zakłąłeś - szepnęła.
- A zakłąłem, cholera. - Chociaż zabrzmiało to jak warkot, światła samochodu nadjeżdżającego z przeciwka zdradziły jego uśmiech.
- A dlaczego jesteś taka miła?
- To przez ciebie.
- Luke chwycił jej dłoń i przycisnął do ust. Przytulał twarz do jej ręki, dopóki milczenie Snow nie skłoniło go do mówienia.
- O czym myślisz?
- O mojej matce. Nie pytaj, dlaczego.

- Snow... - powiedział miękko. - Dlaczego?
- Naprawdę nie wiem.
- Kontaktujecie się jakoś ze sobą?
- Nie. Szesnaście lat temu nasze drogi się rozeszły.
- Ale myślisz o niej.
- Tak. Czasami myślę o niej nawet sporo - i o naszym życiu, ale z jej perspektywy.

- Nie była idealną matką.
- Nie była zbyt opiekuńczą matką. Taką, dla których drukują te wszystkie pocztówki z pozdrowieniami. Ale była matką. Moją matką. Nie uciekała przed tym, co to oznaczało. Byłam jej szczęściem. Karmiła mnie, ubierała, dawała mi dach nad głową. Nawet kiedy jej powiedziałam, że sama dam sobie radę, dała mi więcej pieniędzy, niż mogłam kiedykolwiek potrzebować. Nie musiałam radzić sobie w życiu sama, tak jak ona.

- Nie dziwi mnie, że zaczynasz o niej myśleć teraz, wracając do Quail Ridge.

- Zgadzam się. Ale nie czuję się tak, jakby to było powodem tych myśli. A przecież musi być, bo niby co innego? Chyba wspominałam, ile miała lat - zaledwie dwadzieścia siedem lat - kiedy wynajęła ten dom przy Dogwood Lane i zaczęła prowadzić własny interes. To było dla niej takie ryzykowne posunięcie. Ale jeśli się bała, to nigdy tego nie okazała.

- Jaka córka, taka matka.

- Nie. Ona była nieustraszona, Luke. W każdym calu taka Scarlett O'Hara. I taka pewna siebie. Chociaż... - Snow coś sobie przypomniała, ale nie powiedziała, co. - Nie, to niemożliwe.

- Powiedz mi, proszę.

- Trochę ci już o tym opowiadałam. Może nie pamiętasz.

Czy naprawdę wyobrażała sobie, że on zapomni coś, cokolwiek, z tego, co mu kiedyś opowiadała?

- Sama się przekonaj.

- W naszym nowym życiu w Quail Ridge chciała, żebym mówiła o niej: „matka”.

- Byłaś zachwycona. - Luke użył słowa, którego ona sama użyła wiele lat temu.

- Naprawdę zachwycona. No i tu się zaczyna to moje wspomnienie, że jej jakby użyło na widok tej mojej reakcji, jakby wcale nie była pewna, czy się z tego ucieszę... I jakby uważała, że na to nie zasługuje.

- Tego mi nigdy nie mówiłaś.
- Dopiero teraz mi się to przypomniało.
- Może myślała, że wołałabyś słowo „mama” niż „matka”. Może to właśnie teraz wspominasz.

- Tym by się nie przejmowała. Naśladowała przecież Scarlett, której matka, Ellen O'Hara, była właśnie „matką”. Ellen O'Hara - powtórzyła Snow. - Ellen O'Neil. Och, Luke.

- Co się stało?

- Ona jest moją matką. Ellen O'Neil, z Atlanty, jest moją matką.

Zanim powiedziała coś jeszcze, Luke zaparkował furgonetkę na poboczu.

- Opowiedz.

Snow pokiwała głową.

- Ona... Ale dlaczego ja szczękam zębami?

- Adrenalina. - Luke dotknął zziębniętego policzka, uśmiechnął się do jej oczu o rozszerzonych źrenicach. - To przejdzie za chwilę.

- Dobrze. - Minutę czy dwie później wzięła głęboki oddech i znów zaczęła mówić. - Ellen O'Neil z Atlanty napisała e-maila do dzisiejszego programu. Miałam dziwne uczucie, kiedy go przeczytałam. Ten styl przykuł moją uwagę bardziej niż samo nazwisko. Był zwięzły, matka właśnie tak mówiła: zwięzłe, ale swobodnie. Jakbyśmy się znały. Zwróciła się do mnie: „Snow”, nie „Droga Snow” albo „Droga pani Gable”. Dostawałam już tysiące e-maili do *Godziny Kopciuszka*. Prawie zawsze piszą do mnie, używając jednego z tych dwóch ostatnich zwrotów. Kiedy matka zostawała dla mnie jakąś kartkę, zawsze pisała po prostu: „Snow”. I jej kartki były rzeczowe, jak ten dzisiejszy mail. Zwykle to bywało jakieś polecenie, to też w jej stylu: „Poproś Blaine'a, żeby ci opowiedział, dlaczego poświęcił swoją karierę psychicznemu zdrowiu kobiet”. A pod tym podpis.

Snow jeszcze raz odetchnęła.

- Jak ze wszystkimi jej pseudonimami z *Przeminęło z wiatrem*, Ellen O'Neil to połączenie postaci fikcyjnej i prawdziwej, która miała jakąś rolę do odegrania w życiu. Aktorka obsadzona w roli Ellen O'Hara nazywała się Barbara O'Neil - pisane właśnie tak, przez jedno L. Ale jej nazwisko zostało mylnie zapisane - przez dwa L - w napisach do filmu. Matka zdecydowała się na jedno L, żebym na pewno wiedziała, że to ona.

- Ale ten e-mail był instrukcją do Blaine'a. Był do niego.

- Tak.

- Jak on na to pytanie odpowiedział?

- Jego siostra cierpiała na psychozę. Zatrula jedzenie przygotowane na Dzień Matki. Umarła, ich matka też. Blaine zachorował, ale przeżył. Obwinia się za to, że nie dostrzegał symptomów choroby umysłowej swojej siostry.

- Ciekawe, skąd twoja matka o tym wiedziała.

- Wątpię, żeby wiedziała. To całkiem logiczne pytanie pod adresem kogoś tak oddanego swojej karierze jak Blaine.

- Czy to oddanie było w czasie twojego wywiadu widoczne?

- Tak. - Snow urwała. Zmarszczyła brwi.

Przejął ją dreszcz.

- Lepiej podzielić się ze mną tą myślą - powiedział Luke.

- To trochę naciągane. Ale wyjaśniałoby, dlaczego mi wysłała tego e-maila, i dlaczego napisała „Poproś Blaine’a, a nie: „Poproś doktora Prescottta, żeby ci powiedział”.

- Nie zwracałaś się do niego po imieniu w czasie wywiadu?

- Nie. Przedstawiłam go jako doktora Blaine’a Prescottta, ale potem i pacjentki, i ja zwracaliśmy się do niego: „panie doktorze”.

- A zatem twoja matka go zna.

- I chciała, żebym się dowiedziała, kim on jest. Chodzi o to, że tylko jeden mężczyzna w Chicago może nim być.

- Kim?

Pokręciła głową.

- Moim ojcem.

- Twoim ojcem - szepnął Luke. - Kiedy dzwoniłem do ciebie z LA, powiedziałaś mi, że on żyje i jest niebezpieczny. Myślałem, że przemawia przez ciebie rozpacz i myli ci się mój niebezpieczny ojciec z twoim bohaterskim. A więc on naprawdę żyje?

- Naprawdę żyje - powtórzyła Snow. - I jest naprawdę groźny. Moja matka natknęła się na niego na przyjęciu w wieczór przed swoim wyjazdem z Quail Ridge. Chciał znów nawiązać z nią bliższą znajomość, a kiedy się nie zgodziła, wściekł się tak bardzo, że miała sińce, Luke. I rozpaczliwie chciała uciec.

- I zostawić cię na jego pastwę?

- Nie. Chciała, żebym z nią wyjechała. Odmówiłam. Nie wiedziałam, że już straciłam dziecko, i...

- Chciałaś porozmawiać ze mną o kłamstwach Vivian.

- Tak. Matka nie obawiała się tak bardzo, że go spotkam. Powiedziała mi, że moim ojcem jest policjant, którego poznała w Atlancie. A mnie mówiła, że zupełnie nie jestem podobna do ojca.

- Poznałem Blaine'a dziś wieczorem - powiedział Luke. - Nigdy bym nie pomyślał, że wy dwoje jesteście spokrewnieni.

- Bo nie jesteście. On nie może być tym potworem, którego opisywała mi matka. A może jednak? Ale przecież poświęcił całą swoją karierę zdrowiu psychicznemu kobiet. A to nie jest łatwa dyscyplina. Oczywiście, pomagał swoim pacjentkom. Powinieneś słyszeć te telefony, które dziś dostawaliśmy. Ale pomógł też niezliczonym kobietom, których nigdy nie spotkał. Kiedy zbierałam informacje w sieci, jego nazwisko pojawiało się wszędzie.

- Mówisz, że to niemożliwe, żeby ten mężczyzna był agresywny.

Ponieważ Snow znała Luke'a tak dobrze i kochała tak bardzo, w jego spokojnym głosie dosłyszała nutę, której nie wychwyciłby nikt inny - jego wspomnienie o człowieku, o którym prawie cały świat twierdził coś podobnego. Nie ma mowy, upierali się mieszkańcy Quail Ridge, żeby człowiek taki jak Jared Kilcannon znęcał się nad synem, torturował syna i chciał go zabić.

- Tego nie mówię, Luke. - Spojrzała na tę jego ukochaną twarz. - Nie jestem pewna, co powinnam zrobić.

- Chciałaś powiedzieć, co my powinniśmy zrobić. Na początek, może odpiszesz Ellen O'Neil na e-maila?

- E-maile nie są zachowywane.

- No to znajdziemy ją w Internecie i zadzwonimy do niej.

- Być może dowiemy się, że Ellen O'Neil, która wysłała tego e-maila, nie jest moją matką, nigdy przedtem nie słyszała o Blainie Prescottcie i zawsze pisze lakoniczne e-maile.

- Wierzysz w to?

- Nie.

I, pomyślał Luke, wcale tego nie chcesz. Chcesz, żeby się okazało, że odezwała się do ciebie twoja matka - niezależnie od treści informacji.

Ciche wyznanie Snow potwierdziło jego tok rozumowania:

- Ten e-mail był od niej, Luke. I może być tylko jeden powód, dla którego go wysłała. Blaine. Mój ojciec. Człowiek, który ją pobił.

- Nie zaszkodzi się upewnić - powiedział Luke z nadzieją, że się nie myli. Ellen najwyraźniej wiedziała, gdzie jest Snow, i zdecydowała się nie kontaktować z nią, chyba że to się okaże konieczne. Dzisiejszy e-mail był może jedyną formą kontaktu, na jaką zamierzała się zdobyć. To by jeszcze bardziej zraniło kobietę, którą kochał. Ale wiedział, że

Snow chętnie zgodzi się na takie ryzyko. - Pojedziemy do mnie do domu i zaczniemy jej szukać?

- Rano - powiedziała Snow. - Kiedy załatwisz wszystko, co masz załatwić na miejscu pożaru. Powinniśmy już tam jechać.

- Niedługo - powiedział Luke. - Najpierw opowiedz mi, w jakim stanie zostawiłaś dom, w którym mieszkaliście na Dogwood Lane. Jak wyglądał?

- Normalnie wyglądał. Tak jak zawsze. Dlaczego o to pytasz?

- Ktoś się tam włamał.

- Nie!

- Tak. Agentka od wynajmu i ja dotarliśmy tam mniej więcej w tym samym czasie. Drzwi były szeroko otwarte.

- Nie zamykałam ich na klucz. Uznałam, że powinnam zostawić swoje klucze. Matka zostawiła też swoje. Nie myślałam wystarczająco jasno, żeby pamiętać, że agentka będzie miała własne klucze, dzięki którym dostanie się do środka. Pewnie włamywacze wdarliby się do domu siłą, gdyby nie mogli wejść. Ale ja im to ułatwiłam.

- Moim zdaniem to nie byli włamywacze. Wydaje mi się też, że weszła tam tylko jedna osoba. Nic nie ukradziono, Snow. Ani telewizora, ani stereo, ani gotówki z kuchni. Poza tym twój pokój i rzeczy były nietknięte.

- Ale pokój mojej matki... I jej rzeczy?

- Zniszczone. Ubrania podarte w strzępy. Lustra potłuczone. Materac pocięty. Toaletka przewrócona na podłogę z taką siłą, że się rozpadła.

- Myślisz, że to był on. Mój ojciec. Blaine.

- Teraz tak. - Luke westchnął. - Nigdy nie sądziłem, że usłyszę, jak mówię, że dobrze, że wtedy wyjechałaś z Quail Ridge. On nie ścigał ciebie, ale kto wie, co by zrobił, gdybyś tam była.

Teraz to Luke'a przeszedł przenikliwy dreszcz.

Podpalacz wierzył, że będzie w pustym domu Miry sam. Zareagował furią na jej niespodziewany powrót, popychając ją na kominek z taką samą siłą, z jaką rozwścieczony kochanek Leigh trzasnął jej toaletką o posadzkę.

Kochanek Leigh Gable.

Ojciec Snow Gable.

Szwagier Miry Larken.

Snow stwierdziła, że to mocno naciągane - zanim ona i Luke nie przedyskutowali tego szczegółowo.

Na pierwszy rzut oka „naciągany” wydawało się odpowiednim słowem na określenie pomysłu, że to Blaine krył się za napadem na Mirę. Był przecież wiele kilometrów stamtąd, czekając na swój wywiad ze Snow. Nieprawdaz?

Luke sięgnął po telefon.

- Jestem po prostu ostrożny - powiedział do Snow.
- Dobrze.

Dodzwonił się do detektywa Lansky'ego w idealnym momencie. Był u doktor Sandry Davis, która wyjaśniała mu, jakie środki bezpieczeństwa stosuje się w przypadku wszystkich pacjentów znajdujących się na oddziale intensywnej terapii Grace Memorial.

Jak na każdym stanowym oddziale pourazowym, na intensywnej terapii często leczono ofiary brutalnych przestępstw, które przeżywając, stawały się świadkami zbrodni, chyba że zbrodniarz mógł znaleźć jakiś sposób, żeby je na zawsze uciszyć.

Oddział intensywnej terapii był zamknięty i strzeżony. Do środka wpuszczano tylko odwiedzających z odpowiednim zezwoleniem. Sprawdzano ich tożsamość. Policja mogła ustawiać funkcjonariuszy przy pokojach poszczególnych pacjentów, jeśli uznawała taką dodatkową ochronę za konieczną. Ale policja z Chicago do tego stopnia ufała, że pacjenci tego oddziału są bezpieczni, że tylko w wyjątkowych sytuacjach oddelegowywali tam własny personel.

Według standardów policyjnych Mira nie była przypadkiem wysokiego ryzyka. Pewnie w ogóle nie zauważyła tego napastnika, a nawet gdyby po ciemku zdołała go dostrzec, uraz głowy zlikwidowałby to przelotne wspomnienie.

Detektyw miał już powiedzieć doktor Davis, że zajmą się ochroną policyjną dopiero wtedy, kiedy Mira zostanie przeniesiona na oddział ogólny, wówczas zadzwonił Luke, mówiąc, że jego zdaniem funkcjonariusz policji powinien jej strzec - i pilnować odwiedzających - przez cały czas.

- Jakiś konkretny odwiedzający, Luke?
- Nie chcę podawać żadnego nazwiska. To mało prawdopodobny kandydat, Rob. Może nawet nieprawdopodobny. Ale mam wrażenie, że lepiej tu zgrzeszyć nadmiarem ostrożności.
- Zgoda. Dobrze. Damy jej całodobową ochronę. I jeśli będziesz chciał się podzielić swoimi podejrzeniami, znasz mój numer.
- A ty mój.

Luke rozłączył się i popatrzył na Snow.

- Jesteś bardzo ostrożny - szepnęła.
- Tak ostrożny, Snow, że nigdy więcej nie spuszcze cię z oka.

Rozdział 33

Oddział Intensywnej Terapii
Szpital Grace Memorial
środa, 2 listopada, 3.00

Wokół łóżka Miry zgromadziła się ubrana w białe kitle świta. Jej siostra i szwagier zaglądali na salę z korytarza.

Wtedy dołączył do nich Thomas.

- Cześć Vivian, Blaine. Jak ona się czuje?
- Bliżej nas nie dopuścili - powiedziała Vivian. - Jest nieprzytomna, ale źle reaguje na respirator. Zastanawiają się, co robić. Neurochirurdzy martwią się, że tym oporem może sobie podwyższyć ciśnienie wewnątrzczaszkowe.

- Ale chcą też, żeby się obudziła - wyjaśnił Thomas.
- Tak. Zastanawiają się więc, czy nie zrezygnować z respiratora.

Thomas dobrze znał ten dylemat. Jednym wyjściem był farmakologiczny paraliż, który uniemożliwiłby płucom stawianie jakiegokolwiek oporu - a co dopiero walkę - oddechowi narzucanemu przez maszynę. Ale pozostawało pytanie, czy odintubowana będzie w stanie oddychać bez pomocy. Gdyby nie, będzie potrzebowała szybkiej ponownej intubacji, procedury, która sama w sobie może być stresująca dla jej niedawno uszkodzonego mózgu.

- Może powinieneś tam wejść - podsunęła Vivian.

Doktora Thomasa Vaila powitano by z radością. Szanowano go. Ceniło jego opinię. Ale Mira była w doskonałych rękach.

A jeśli Thomas Vail, mężczyzna, znajdzie się blisko niej, rozpocznie się szaleńcza bitwa między jego sercem a rozumem.

I serce wygra. Porwałby ją w ramiona, uwalniając od wszystkich krępujących ruchy urządzeń, i zabrał do domu. Do domu.

- Lekarze wiedzą, co robią - odparł.

Parę chwil potem podjęli decyzję.

Odłączyli ją od respiratora.

A nieco później lekarze Miry odeszli z uśmiechem od jej łóżka. Pacjentka oddychała samodzielnie.

- Możecie teraz wejść - Sandra Davis zwróciła się do Vivian i Blaine'a. - Nadal jest uśpiona. Najlepiej byłoby, gdyby wybudziła się sama. To jeszcze trochę potrwa.

- Dziękujemy - powiedziała Vivian.

- Nie ma za co. Thomas? Cieszę się, że tu jesteś. Nasz przeniesiony pacjent znalazł się tu dwadzieścia minut temu. Będziemy wdzięczni za twoją opinię.

Skóra Daniela była żółtawa... Pomijając te miejsca, w których spurpurowiała. Był niewrażliwy na bodźce bólowe, a te mięśnie, które jeszcze reagowały, drgały w sposób przypadkowy i bezcelowy.

- Gdzie jego opatrunki gipsowe?

Ze wszystkich problemów Daniela ramiona połamane kilka godzin przed zalaniem farmy przez powódź miały najmniejsze znaczenie. Uwaga na temat czystych złamań Daniela w obliczu niewydolności wielu ważnych organów zabrzmiała dziwnie. Żeby oskarżycielskim tonem pytać, czemu usunięto nasiąknięty wodą gips, a nie założono nowego... To było zupełnie niepodobne do Thomasa Vaila, specjalisty od intensywnej terapii.

Ale rzeczywiście, takie pytanie postawił.

Wobec Daniela emocje ponosiły go tak samo, jak wobec Miry. Mirę najchętniej by stąd wyniósł. W sprawie Daniela zachowywał się tak samo nieracjonalnie. Daniel i tak nie pożyje wystarczająco długo, żeby połamane kości zdażyły się zrosnąć.

Już nigdy nie wytnie lampionu z dyni, nie obłoży workami z piaskiem domu sąsiada, nie weźmie na ręce córeczki.

Wendy jest teraz córką Thomasa.

Jego małą dziewczynką.

To nie było przekonanie podszyte emocjami, ale medyczny fakt.

Z którym Thomas nie zamierzał się pogodzić.

Dlaczego nie? Bo nie chciał dbać o Wendy, kochać Wendy?

Oczywiście, że chciał. Ale...

- Ortopedzi mają ustabilizować te złamania. Nie będziemy go ratowali z niewydolności wątroby po to, żeby się z nieróbstwa dorobił otyło-

ści. - Thomas uśmiechnął się do osłupiałych kolegów. - I na pewno go uratujemy.

- Popieram cię, Thomas - odparła Sandra. - Ale masz jakiś pomysł, jak?

- Hej, Luke. - Śledczy od spraw podpaleń oddelegowany do tego pożaru podniósł się z tylnego zderzaka furgonetki, na którym przysiadł, popijając kawę z kubka.

Luke uściśnął rękę następcy Noaha, którego sam Noah wytrenował.

- Kyle. To jest Snow Gable.

- Bardzo mi się podobał pani wywiad z trenerem. I czekałem na wywiad z Lukiem. - Kyle spoważniał na myśl o wypadku, który nie pozwolił na przeprowadzenie tego wywiadu. - Jak się czuje Mira?

- Dobrze, Kyle. Bardzo dzielnie się trzyma.

- Bardzo się cieszę. Chcecie wiedzieć, co tu znalazłem?

- Chętnie.

- Jest w sumie dokładnie tak, jak mówili, że sam stwierdziłeś. Zamierzał podpalić budynek z zewnątrz. Nie przejmował się, że ten plan odkryjemy, ale zadbał, żeby nie dało się rozpoznać, kim jest.

- Użył pospolitych kanistrów na benzynę.

- Takich, które się topią. Znaleźliśmy fragmenty. Ale nie zostawił odcisków palców. Musiał włożyć rękawiczki.

- Masz jakiś pomysł, jak się dostał do domu?

- Od strony lasu. Zostawił ślady stóp - ślady butów - na ziemi. Takich samych, jakich używają strażacy z Quail Ridge.

- Bombowo.

- Ślady urywają się przy ulicy.

- Żadnych więcej tropów?

- Sprawdzimy jeszcze raz w dziennym świetle. Ale wątpię.

- I nikt niczego nie widział?

- Nie. Parkingu, jaki sobie wybrał, nie widać z żadnego z okolicznych domów. Przygotował się na wszystkie ewentualności.

Poza, pomyślał Luke, powrotem Miry do domu.

- Luke, wesz tu, ile chcesz. Może znajdziesz coś, co przeoczyliśmy.

Już drugi raz się budząc, Mira otworzyła oczy i zobaczyła coś dziwnego. Niedawno obudziła się, patrząc w czyjeś młode, szczerze oczy.

Twarz, która patrzyła na nią teraz, wydawała się równie znajoma, jak obca.

Podobna była do Vivian. Ale z tym rozmazanym makijażem? Ta kobieta wyglądała tak okropnie, że dopiero po paru chwilach zastanowienia Mira ją rozpoznała. A kiedy już ją poznała, chciała rzucić się siostrze w ramiona.

Mira wcale nie powstrzymywała tego odruchu. Ale coś go unieruchomiło. Nie mogła poruszyć ramionami. I to wcale nie dlatego, że czuła się taka słaba.

Nadgarstki miała obłożone watą i przymocowane do łóżka.

- Mira?

- Cześć, Vivian. Nic ci nie jest?

- Mnie? Nic. Ale ty? Poznałeś mnie, prawda?

- Oczywiście!

- Tak bardzo się cieszę, Miro. Bardzo.

Ulga zupełnie odmieniła Vivian. Jej twarz z okropnie rozmazanym makijażem rozpromieniła się, a potem załśniła od łez. Na oczach Miry Vivian swoimi zadbanymi dłońmi, pokrytymi teraz czymś, co wyglądało jak zaschnięta krew, ocierała łzy.

- A ja? Mnie też poznajesz?

- Blaine - powiedziała Mira, kiedy wszedł w pole widzenia.

- Cześć, Miro. Nawet nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszymy, że do nas wracasz. Pamiętasz, co się stało dziś wieczorem?

Mira usiłowała się skupić na pytaniu Blaine'a, ale rozproszyło ją to, co działo się z jej dłońmi, jej palcami. Ból był... przeszywający. I nagle zrozumiała, zadaje go sobie sama. Nie mogła zobaczyć śladów, zapobiegły temu pasy. Ale wiedziała, co go spowodowało. A wydawało jej się, że obcina paznokcie tak krótko, że nie mogą nikomu zrobić krzywdy.

Pomyliła się. Zamieniły się w maleńkie noże.

- Dziś wieczorem? Ja... Nie bardzo. A co?

Vivian chciała odpowiedzieć, ale powstrzymała ją dłoń męża, ze złotym pierścieniem na małym palcu, leżąca na jej ramieniu.

- Opowiemy ci później - powiedział Blaine. - Kiedy już wypoczniesz. Na razie, Miro, powinnaś spać.

- Daniel, to ja, Thomas. Jesteś w Grace Memorial na oddziale intensywnej terapii. Nie wiem, czy mnie słyszysz. Mam zamiar do ciebie mó-

wić i będę tak mówił, póki mnie nie usłyszysz. Może to trochę potrwa, zanim dotrą do ciebie moje słowa, może tygodnie, może miesiące. Ale nigdzie się stąd nie wybieram i mam nadzieję, że ty też nie. Mózg masz w porządku. Bez uszkodzeń. Serce też. Ale elektrolity i surowica krwi są do bani. Twoja śpiączka minie, kiedy już je unormujemy. A unormujemy je. Teraz jest czwarta rano, a nad twoją kartą chorobową pochyła się czterech najlepszych specjalistów, jakich znam. Wszystko da się zrobić. Tylko musisz się trzymać. Tyle już wytrzymałeś. Pozwól, że my zrobimy teraz resztę.

Thomas oderwał oczy od drgających mięśni Daniela i spojrzął na nefrologa czytającego wyniki badań laboratoryjnych przeprowadzonych po przywiezieniu Daniela. Nie było tam ani jednej wartości, obok której nie stałby krzyżyk oznaczający, że odbiega ona, i to poważnie, od normy. Strona pełna takich krzyżyków sugerowała, że pacjent niedługo pożyje... Niedługo, jeśli specjaliści od nerek nie zajmą się hemodializą, i to natychmiast.

Specjalista zdawał sobie z tego sprawę. Thomas zobaczył że odkłada wyniki i łapie za telefon.

Thomas zajął się znów jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, żeby próbować ratować życie Daniela.

- Obaj wiemy, dlaczego tak długo wytrwałeś. Z tego samego powodu Eileen wytrwała tak długo, żeby Wendy mogła się bezpiecznie urodzić. Jesteś tu ze względu na Wendy. Ona jest zdrowa. Dzięki tobie uratowała się z powodzi. Zakochałem się w niej, oczywiście. Jestem gotów poświęcić życie roli ojca twojej ślicznej córeczki i każda chwila sprawiłaby mi radość. Mówię ci to, żebyś ani sekundy nie marnował na zastanawianie się, czy dokonałeś dobrego wyboru. Dokonałeś go. Przyznam, że sam bym ci go odradzał. Twoja wiara we mnie to był piękny podarunek. Wendy jest tym podarunkiem. Ale ona należy do ciebie. Ona cię potrzebuje.

Thomas nie spodziewał się, że Daniel zareaguje. I nie zareagował. Prawdziwy ojciec Wendy nie odczuwał w tej chwili miłości tak samo, jak nie odczuwał bólu. Ale tymczasowego ojca Wendy przepełniały oba te uczucia. Thomas musiał kilka razy głębiej odetchnąć, zanim mógł mówić dalej.

- Nie powiedziałem Wendy, że żyjesz. Nie powiem jej tego, dopóki nie otworzysz oczu. Nie zrobię czegoś takiego żadnemu z was. Wtedy ją zobaczysz, obiecuję ci to. W ciągu paru minut ty zobaczysz ją, a ona

ciebie. Prawdę mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy twoja córka się zdziwi. Wcale nie jest przekonana, że patrzysz na nią spomiędzy gwiazd. I może to tylko takie rozpaczliwe życzenie. Ona cię potrzebuje. I walczycie o siebie. Nie chciała, żebym ją dziś zostawiał samą. Zaczyna rozumieć stratę, której doświadczyła. Boi się stracić coś jeszcze. Ale pokonała swój strach.

Z kolejnym głębokim westchnieniem, dodał:

- Jestem więc tutaj i informuję cię, że twoja córka o ciebie walczy... I proszę cię, żebyś ty też walczył dla niej.

Rozdział 34

Luke nie chciał sam szukać śladów na miejscu pożaru. Kyle to najlepszy specjalista z możliwych, bo szkolił go najlepszy z możliwych. Luke owszem, przyjął zaproszenie Kyle'a, żeby razem z nim - i z policją - rozejrzał się po okolicy o dziewiątej rano.

Przez pięć godzin, które do tego czasu zostały, Kyle miał zamiar trochę się przespać.

Może Snow też się prześpi - kiedy już odszuka Ellen O'Neil i zostawi dla niej wiadomość, na jaką się ostatecznie zdecyduje. Luke wiedział, że zastanawia się, czy odszukać matkę i skontaktować się z nią.

Obserwował Snow w czasie swojej rozmowy z Kylem. Próbowano się skupić na ich słowach i na moment jej się to udawało, ale już po chwili zaczynała błądzić myślami gdzieś daleko. Widział jej śliczny uśmiech, kiedy przypominała sobie, jak powiedział, że nigdy już jej nie spuści z oczu, a potem zmartwioną minę, kiedy wspominała, o czym dyskutowali: o Blainie, morderstwach, Leigh, Mirze. Zanim ruszyli w dalszą drogę do Pinewood, Snow przypominała też sobie telefon Luke'a do detektywa Lansky'ego, który miał chronić Mirę przed Blaine'em.

Snow wkrótce zacznie swoje poszukiwania, korzystając z komputera Luke'a w domu, w którym mieszkał Noah, potem Luke i Noah, a teraz sam Luke. Ale przed wyjazdem z Pinewood Luke chciał jeszcze zajrzeć do wąwozu.

- Gdzie do wąwozu? - spytała Snow.
- Wiesz, gdzie.

Luke miał latarkę. Snow pomyślała, że zostawiłby ją w furgonetce, gdyby szedł tam sam. Był taki czas, kiedy potrafiła biec po ciemku przez ten las, kiedy znała, nie patrząc, każdy zakręt i ścieżkę.

Ale to było szesnaście lat temu, a las rósł. Nawet w dziennym świetle potrwałoby to trochę, zanim znalazłaby drogę.

Luke znał drogę, jakby chodził nią, po ciemku, co noc od czasu jej wyjazdu.

- Bywałeś tu ostatnio.
- Parę tygodni temu. Przychodzę, kiedy mogę.

Odwiedzasz Wendy? Och, Luke, odwiedzasz naszą dziewczynkę?

- pomyślała Snow.

- Dlaczego?
- Ze względu na ciebie. Siebie. Odosobnienie.
- Nadal zbierasz monety?
- Nie. A ty?
- Nie. Kiedy przestałeś?
- Po twoim wyjeździe. - Kiedy nie było już Snow i Luke'a. -

A ty?

- Kiedy na tyle wygrzebałam się z depresji, że w ogóle zaczęłam zauważać monety na ulicy. Przez długi czas bolały mnie te wspomnienia. Teraz, kiedy widzę leżącą monetę, myślę życzenie. Życzenie, żeby ktoś, kto ją znajdzie, potrzebował jej tak jak ty, i żeby ją cenił tak samo, jak my je ceniliśmy.

Doszli na polankę, gdzie kiedyś skrywali swój skarb w powalonym drzewie.

Pień nadal tam leżał, oświetlony tylko latarką Luke'a, a on podszedł do niego, zamiast w stronę nieoznaczonego grobu, w którym leżała ich córka.

Luke nie wiedział, że Wendy tam jest.

Oczywiście, że nie wiedział.

Luke wydobył szklany słoik z kryjówki, a z niego wyjął małe niebieskie pudełeczko.

- Kupiłem je tego dnia, kiedy poleciałem do LA. W Westwood znalazłem sklep jubilerski. Miałem czas przed zawodami. Planowałem, że kupię dwie złote obrączki, ale kiedy zobaczyłem ten pierścionek dla panny młodej z szafirami, w kolorze twojego breloczka-pantofelka, zdecydowałem, że moja obrączka może zaczekać. Miałem nadzieję, że kiedy go zobaczysz, przyniesiesz mi rację.

Drżącymi palcami Luke uniósł wieczko.

A Snow drżącymi palcami dotknęła pierścionka, który leżał w nim od szesnastu lat. Złoto nie straciło połysku, a małe szafiry, otoczone jeszcze mniejszymi brylancikami, błyszczą tak, jakby jeszcze tego samego dnia wypolerował je jubiler.

- Nie jest imponujący - powiedział Luke.

- Jest piękny!

- Przydałyby się większe kamienie.

- Nie, Luke. Jest idealny. Na taki pierścionek było nas stać, kiedy prosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła. Tyle zebraliśmy w naszym słoju. To jedyna obrączka, jakiej kiedykolwiek mogłabym pragnąć. - Drżące palce pieściły malutki szafir. - Kolor jest identyczny jak przy breloczku.

- Masz go jeszcze?

- Nie. - W tym słowie zabrzmiała rozpacz.

- Snow, nic się nie stało. Wyrzuciłaś pamiątkę tego Balu Szklanego Pantofelka. Co z tego?

- Wendy go ma.

- Wendy?

- Chciałam, żeby mogła tańczyć, Luke. Pomyślałam, że jeśli będzie miała ten swój pantofelek Kopciuszka, to będzie mogła tańczyć.

- Kocham cię, Snow. Kochałem też naszą Wendy.

- Rozmawiałeś z nią?

- Miliony razy.

- Tutaj?

- Zawsze tutaj.

- Ona tutaj jest, Luke. W swoim malutkim domku, owinięta w sukienkę, którą miałam na tym balu, z breloczkiem, który włożyłeś do słoja przed wyjazdem do LA. Dałam go jej, kiedy umarła.

- Gdzie ona jest, Snow? Gdzie jest nasza maleńka?

Snow wzięta go za rękę i razem podeszli do sosny, która strzegła grobu ich córki.

Z pochylonymi głowami uklękli i szepotali coś. Po twarzach płynęły im łzy.

- Thomas?

Uniósł wzrok znad oszronionych od mocznicy rzęs Daniela i spojrział na stojącą w drzwiach kobietę.

- Vivian.
 - Nie chciałam ci przeszkadzać, ale pielęgniarka powiedziała, że mogę, że uprzedzałeś ją, że Bea może do ciebie dzwonić, albo że Blaine czy ja będziemy chcieli powiedzieć ci coś o Mirze... - Vivian uśmiechnęła się, kończąc te niepotrzebne wyjaśnienia. - Obudziła się.
 - Naprawdę?
 - Na mniej niż minutę. Ale rozpoznała nas, Thomas. I Blaine'a, i mnie.
 - Czy pamięta, co się stało wczoraj wieczorem?
Albo wczoraj po południu?
 - Chyba nie. Wydawała się zdezorientowana tym pytaniem. Ale była ledwie przytomna i zaraz znów zasnęła. Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć i może ją zobaczyć.
 - Bardzo chciałbym ją zobaczyć. Dziękuję ci. Vivian? Wejdz tu, proszę.
 - Naprawdę?
 - Tak. Proszę.
 - Dobrze.
- Podeszła z niepokojem. Im bliżej pochodziła, tym bardziej niepewnie wyglądała.
- Vivian, chciałbym ci przedstawić Daniela Harta.
 - Daniela Harta? Ojca Wendy?
 - Tak właśnie. Mam nadzieję, że słyszy, o czym rozmawiamy. A więc... Vivian, przedstawiam ci Daniela Harta. Danielu, to jest Vivian.
 - Witaj, Daniel.
 - Vivian jest specjalistką od prawa rodzinnego, która miała zapewnić, że napisany przez ciebie list zostanie uznany przed sądem za legalny dokument. Jak widzisz, Vivian, już nie będzie potrzebny. Daniel wraca do zdrowia.
- Nie, przecież to nieprawda!
- Bardzo się cieszę, Thomas. Danielu, miło mi. Czy Luke wie? Mówię o Luke'u Kilcannonie. O tym strażaku, który uratował Wendy z dachu waszego domu. No cóż, to niedokładnie tak. Luke mówił, że to uratowałeś Wendy, że to ty ją ocaliłeś.
 - Luke wie. I cieszy się tak samo, jak ja.
 - Jak my wszyscy - powiedziała Vivian.
 - Siostra Vivian, Mira, też jest na oddziale - powiedział Thomas, znów zwracając się do Daniela. - Nic jej się nie stanie, tak samo jak tobie.

Większość czasu prześpi, ale kiedy zacznie się budzić, będzie mogła przyjmować gości, z którymi przyda jej się małe sam na sam, nawet bez siostry.

Thomas spoglądał na Vivian w taki cudowny sposób. Z aprobatą. Z podziwem. Ufając, że będzie uczestniczyła w jego wysiłkach przywrócenia Daniela do życia. Tak jak zaufała jej, że dopilnuje, by Wendy stała się jego prawną podopieczną.

- Chętnie będę zaglądać tu do ciebie na rozmowę, Danielu, kiedy tylko Mira zaśnie, albo kiedy będzie chciała zostać sam na sam ze swoimi innymi gośćmi.

- Odpowiem za ciebie na tę propozycję, Danielu - odezwał się Thomas. - Będzie nam szalenie miło.

- Nie wiem tylko, o czym Daniel chciałby ze mną rozmawiać.

- Na to też mogę odpowiedzieć. Będzie mu odpowiadał każdy temat, jaki zechcesz poruszyć. Cztery lata temu Daniel i ja na zmianę dostrzymywaliśmy towarzystwa jego żonie na tym samym OIOM-ie. Początkowo martwiłem się, że to, co mam do powiedzenia, znudzi Eileen. Ale Daniel mnie przekonał, że ona się interesuje pogodą, wiadomościami, ozdobami bożonarodzeniowymi na Michigan Avenue i nawet mną. Jestem przekonany, że Daniel z przyjemnością posłucha o tobie, Vivian, i o Mirze, Luke'u, Quail Ridge i praktyce w zakresie prawa rodzinnego. Od czasu do czasu przypomni mi, że już tak długo - wbrew wszystkiemu - wytrwał, i że lepiej niech się cholernie mobilizuje do powrotu. Ale przez większość czasu na pewno będzie wolał słuchać o czymś innym niż jego stan zdrowia.

Niepokój wrócił. Ale nie był to już lęk przed bliską obecnością człowieka, który jest o krok od śmierci. Vivian obawiała się raczej, że mogłaby ich zawieść.

- Vivian?

- Chętnie teraz przez chwilę zostanę, jeśli chcesz zajrzeć do Miry. Blaine jest u niej i będzie nas szukał, kiedy ona się zbudzi. Ale może Mira wyczuje, że jesteś przy jej łóżku...Thomas to jeden z tych gości, Danielu, z którymi moja siostra na pewno chciałaby zostać sam na sam.

Jeśli mnie pamięta, pomyślał Thomas. Jeśli pamięta nas.

- Chyba wezmę cię za słowo, Vivian. Dziękuję ci.

- Ależ nie ma za co.

- Przepraszam. Panie doktorze? - Praktykantka z trzeciego roku medycyny z oddziału chirurgii klatki piersiowej odezwała się od strony

drzwi. - Jedna z pielęgniarek prosiła, żebym dała panu znać, że ma pan rozmowę oczekującą na piątej linii. Jakaś pani Evans.

- Dziękuję. Zaraz tam będę. To Bea Evans, Danielu. Zajmuje się Wendy. Jest cudowna. Ale ona i Wendy dopiero niedawno się poznały. Być może już czas, żebym wracał do domu, do twojej małej córeczki. Wrócę, kiedy tylko będę mógł. - Thomas nachylił się bliżej do ucha Daniela, dłoni opierając na jego ramieniu, ale z dala od połamanych kości.

- Walcz dalej. Ona tak bardzo cię kocha.

Wendy Hart kochała swojego tatę.

Ale teraz potrzebowała tego mężczyzny, który wkroczył w jej życie, kiedy Daniela w nim zabrakło. Według Bei Wendy potrzebowała się przekonać, że on też nie zniknął na dobre.

To była gorączkowa potrzeba, która pojawiła się bez ostrzeżenia.

Bea nie marnowała czasu na wstępy.

- Możesz tu być za jakieś dwanaście minut, prawda? - zapytała.

- Mogę i będę.

- Dobrze. Musisz jej to powiedzieć. Wendy? Masz Thomasa.

- Thomas?

Oczywiście wyobraźni zobaczył jej drżące wargi.

- Cześć, kochanie. Jesteś jakaś zmartwiona. Nie musisz się martwić. Już jadę do domu.

- Naprawdę?

- Tak. A wiesz, co nam dobrze zrobi, kiedy wrócę do domu? Kubek tej czekolady na ciepło, którą tak lubisz. Myślisz, że mogłybyście z Bea przygotować ją dla mnie? Kiwasz główką?

- Yhy.

- Cudownie. No to do zobaczenia za chwilę.

Jestem dorosłą kobietą, powiedziała mu Mira. A ona jest małą dziewczynką. Ja zaczekam.

Thomas przypomniał sobie tę jej obietnicę, kiedy mijał pokój Miry. Nie miał czasu wchodzić do środka - nawet gdyby się obudziła.

Nie obudziła się. Spała pod kocem, który okrywał ją od brody do pięt. Takie koce potrafiły okropnie zakłócać wskazania monitorów akcji serca i innych urządzeń. Starano się temu zaradzić, ale dbano też o zachowanie prywatności - zobowiązanie chętnie podejmowane przez wszystkich członków personelu, starającego się zachować godność tych

osób, które wskutek okoliczności pozostających poza ich kontrolą musiały polegać w tej sprawie na innych.

Mira była okryta, okna jej pokoju zasłonięto. Ale najwięcej prywatności mogła mieć w czasie snu. Była wtedy sama.

Czy to znaczy, że policjant stojący przy drzwiach powinien od nich odejść? Nie. To nie takie naruszanie prywatności przeszkadzało Thomasowi. Złapał się na tym, że jest spokojniejszy, wiedząc, że funkcjonariusz dyżuruje przy jej drzwiach.

To obecność Blaine'a przy łóżku Miry niepokoiła go, kiedy jechał do domu, do Wendy.

Stwierdził, że ogarnia go zazdrość. Blaine siedział tam, gdzie on chciał być. I Blaine już zaliczył ten najważniejszy sprawdzian. Mira go rozpoznała, wiedziała, kim jest.

Był zazdrosny. O swoje terytorium. I czuł się bezbronny.

Świetnie, pomyślał. Poradzi sobie ze swoimi emocjami. Mira może spać spokojnie.

Ale czy spałaby spokojnie, zastanawiał się Thomas, gdyby wiedziała, że Blaine ją obserwuje? Sen to rodzaj intymności, którą dzieli się z kimś tylko z własnej woli - i z tego samego powodu czasem się jej dzielić nie chce.

To Vivian dokonała wyboru za Mirę. Takie było jej legalne prawo, póki Mira nie będzie mogła znów decydować za siebie.

Czterdzieści minut po tym, jak Thomas wyszedł z oddziału intensywnej terapii, Vivian zmieniła decyzję i kazała wyprosić Blaine'a z pokoju Miry.

Najbardziej szalone było to, że już zdążyła opowiedzieć Danielowi, co zrobi i dlaczego.

- Blaine mówi, że Mira się w nim durzy. Nie jestem pewna, czy w to wierzę. Co, jak pewnie sobie myślisz, znaczy tyle, że nie wiem, czy mój własny mąż mówi prawdę. Czy to nie paskudny obraz sytuacji? A jest coraz gorzej. To tylko jedna z rzeczy, które powiedział mi o Mirze, a które wydają się takie... Kłamlliwe. Ona zaczęła dostawać telefony od jakiegoś zbrojnika. Albo, jak powiedział mi Blaine, tylko tak twierdzi. - Przerwała na moment, a potem ściszyła głos. - Sam pomyśl, że Mira miałaby coś takiego wymyślać, jest śmieszny. I mnie się wydaje, że to podłe, że Blaine tak mówi. Podłe wobec Miry. Ona jest niezwykła, Danielu. Pewna siebie, szczodra... Zobaczysz, kiedy sam ją poznasz -

a na pewno ją poznasz. Ona i Thomas są w sobie zakochani. Oboje mają szczęście, prawda? Zawsze czułam, że mogłabym mu się przyznać do swoich najciemniejszych sekretów, a on by ich nie zdradził. Ani by mnie nie ocenił. Ja mu nic z tego nie opowiedziałam, Danielu. Ale mam wrażenie, że opowiadam teraz wszystko tobie. - Pokręciła głową. - Przekonanie, że mąż mnie okłamuje, to nie jest mój najciemniejszy sekret. Ale to jedyny, który mogę jakoś naprawić. Powinnam z nim porozmawiać, prawda? Specjaliści od związków międzyludzkich zawsze zalecają otwarte, szczerze porozumiewanie się, jakby to znaczyło, że wystarczy, jeśli wypowiem głośno swoje zastrzeżenia, a Blaine natychmiast mnie przeprosi... I wyjaśni. Ale stanie się coś wręcz przeciwnego. On tylko sprawi, że poczuję się jak idiotka. Potrafi być trochę, nie, bardzo protekcyjny. Doktor Prescott wie najlepiej. Wolałabym raczej dojść do sedna kłamstw Blaine'a, opowiadając o nich tobie i Mirze. Właśnie to zamierzałam zrobić wczoraj wieczorem. Byłam stamtąd o kilka przecznic, kiedy usłyszałam syreny. Mira wyzdrowieje, Daniel. Tak jak ty. Blaine jest teraz u niej. Ale wiesz co? Mnie się to wydaje niewłaściwe. I zamierzam to naprawić. - Uśmiechnęła się. - Pewnie z ulgą słyszysz, że wychodzę. Wystarczy ci już pewnie tego majaczenia wariatki, której nawet nie znasz! Ale może jednak się nie gniewasz. Może cię trochę rozerwałam. Taka opera mydlana, której miałbyś ochotę jeszcze posłuchać? Szkoda, że nie znam twojej odpowiedzi. Chciałabym jeszcze tu wrócić. Chyba wrócę. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

Mira spała. Vivian stanęła obok funkcjonariusza policji i skinęła na Blaine'a. Nie zastanawiała się nad swoją decyzją. Ale niepokoiła się o to, jak on ją przyjmie.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu policjanta, wyrzuciła to z siebie:

- Moim zdaniem nie powinieneś zostawać z Mirą sam na sam.
- Sama mnie z nią zostawiłaś.
- Wiem. Uważam, że to był błąd.
- Dlaczego?
- Ponieważ... Ze względu na to, co mi powiedziałeś w niedzielę po południu. Biorąc pod uwagę uczucia Miry do ciebie, nie sądzisz, że mogłoby ją to niepotrzebnie zachęcać, gdyby budząc się, zastała ciebie przy swoim łóżku?

Vivian spodziewała się lekceważącego złośliwego uśmiešku. Ale ku swojemu zdumieniu zobaczyła uśmiech pełen zadowolenia.

- Masz całkowitą rację - zgodził się Blaine. - Nie powinienem zostawać sam na sam z Mirą. Powinienem sam o tym pomyśleć. Na szczęście, nie obudziła się w czasie twojej nieobecności.

- Zgadzasz się więc na to?

- Jak najbardziej, Vivian. Cieszę się, że o tym pomyślałaś.

- Ale minę masz zmartwioną.

- Mam pewne wątpliwości co do jej obrażeń.

- Jakie wątpliwości?

- Nie spodoba ci się to, co powiem.

- Jakie wątpliwości, Blaine?

- Czy czasem nie zadała ich sobie własną ręką.

- W głowie mi się nie mieści, że mogłeś w ogóle na to wpaść! Pomijając już fakt, że Mira jest najzdrowszą psychicznie osobą, jaką znam, ona omal nie umarła.

Blaine przyjął tę obelgę dla swojej przenikliwości bez komentarza.

- Czy rzeczywiście? Wygląda na to, że jej obrażenia nie są tak poważne, jak się początkowo wydawało.

- Mamy szczęście, że sanitariusze przetransportowali ją do szpitala tak szybko. Tam na miejscu pożaru była nieprzytomna. Gdyby Luke wtedy nie przyjechał, doznałaby straszliwych poparzeń.

- A dlaczego Luke przyjechał właśnie wtedy?

- Nie wiem, Blaine. Ale Luke nie skrzywdził Miry ani trochę bardziej, niż Mira skrzywdziła samą siebie czy wymyśliła historyjkę o obscenicznym telefonach albo...

Albo jest w tobie obsesyjnie zakochana, pomyślała.

- Naprawdę nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.

- Nie chcesz.

- Nie.

Znow ją zaskoczył.

- Dobrze. Nie usłyszysz więc. Przepraszam, Vivi. To pewnie ryzyko zawodowe przemieszane z myśleniem życzeniowym.

- Z myśleniem życzeniowym?

- Gdyby Mira sama sobie zrobiła krzywdę, wiedzielibyśmy, że jej nie grozi. Oczywiście, potrzebowałaby terapii. Ale to by nie znaczyło, że jest tam gdzieś ktoś, kto chce ją skrzywdzić.

- Policja go dopadnie, Blaine.

- Mam nadzieję.
- Na pewno go dopadnie.

Rozdział 35

Międzynarodowe Lotnisko O'Hare środa, 2 listopada, 7.55

Była jedyną kobietą gniewnie wpatrującą się w monitor przylotów - a konkretnie, przylotów z Bostonu - przy stanowisku odbioru bagażu United.

I jeśli ktoś usiłowałby w wyobraźni wymyślać coś idealnie pasującego do tego seksownego głosu, to byłaby to ta twarz i to ciało. Ale Patrick niczego tak idealnego sobie nie wyobrażał.

- Ty jesteś Ellen, prawda?
- Poruczniku, dlaczego ma pan takie wątpliwości?
- Mogłaś uprzedzić, że będziesz szalenie atrakcyjną kobietą wpatrującą się w monitor przylotów, i że ja dojdę do wniosku, że to nie możesz być ty, bo wyglądasz stanowczo za młodo jak na osobę, która ma trzydziestojednoletnią córkę.

- Ty też wcale nie uprzedzałeś mnie o szczegółach.

A mogłaś wspomnieć, że jesteś aż tak przystojny, pomyślała.

- O jakich szczegółach? - zapytał.
- Mogłaś mnie uprzedzić, że masz ładny uśmiech.
- Usiłuję się odprężyć przed naszym spotkaniem z Blaine'em.
- A kiedy ono nastąpi?
- Ty zdecydujesz, Ellen. Zarezerwowałem dla nas pokoje w hotelu Wind Chimes. Możemy najpierw się zameldować. Pomyślałem też, że pewnie będziesz chciała skontaktować się ze Snow.

- Chcę. Ale potem...

- Jesteś pewna?

- Nie mam zbyt dużego wyboru. Telefon ma zastrzeżony, a Biuro Numerów nie bardzo chciało podać mi jej adres.

- Snow ma mieszkanie w Wind Chimes Towers - poinformował ją porucznik Patrick Cole. -I mam też jej numer telefonu.

Ellen przez kilka chwil wpatrywała się w posadzkę.

- Chyba i tak wolę najpierw zobaczyć się z Blaine'em, a potem ze Snow. - Podniosła oczy. - Chyba jestem tchórzem.

- Nie. Ale powiedz mi, dlaczego.

- Bo o wiele łatwiej będzie mi zobaczyć Blaine'a niż Snow.

- Nie obawiasz się spotkania z nim?

- Z kim, z Blaine'em? Żartujesz chyba. Jestem przerażona. Ale skonfrontowanie się z mordercą to drobiazg w porównaniu ze spotkaniem z córką, która zasługiwała na o wiele lepszą matkę niż ja.

Córka Ellen nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś zobaczy swoją matkę. Ale miała taką nadzieję. Zdecydowała, że zostawi jej wiadomość na sekretarce, ale pod numerem domowym Ellen O'Neil, nie numerem do pracy, i że zadzwoni tam, kiedy Ellen na pewno już pojedzie do swojego butik przy Peachtree Road.

Snow postanowiła, że wiadomość będzie równie lapidarna jak e-mail Ellen. Informacje zdobyte w Internecie podpowiadały jej, że matka jest chyba jak najdalsza od myśli o pojednaniu z córką. W każdej chwili w ciągu tych siedmiu lat właścicielka Moich Ślubów mogła zadzwonić do *Godziny Kopciuszka*, i jej prezenterki.

Zdecydowała się jednak tego nie robić.

Dopiero, kiedy kontakt okazał się konieczny, przerwała milczenie.

Snow omal nie zrezygnowała z lapidarności, kiedy usłyszała na sekretarce nagrany głos matki. Blokując każdy uczuciowy - i niemądry - odruch, wypowiedziała te słowa, które sobie zaplanowała.

- Mówi Snow. Dziękuję za e-maila. Chyba rozumiem, co mi chciałaś przekazać. Co do Blaine'a. Ale chciałabym mieć pewność. Czy mogłabyś do mnie zadzwonić w jakimś dogodnym dla ciebie momencie? Mój domowy numer to...

- Dzień dobry.

Powitanie usłyszała w stereo, od Vivian i Bei. Żadna nie spała. Od powrotu Bei na oddział intensywnej terapii, kiedy Blaine poszedł już do domu, na zmianę czuwały przy śpiącej Mirze i rozmawiały z pogrążonym w śpiączce Danielem.

Obie były w pokoju Miry, kiedy się obudziła o dziesiątej rano. Daniel właśnie miał zabieg hemodializy - wykonywany przez pogodnego technika, który dotrzymywał mu jednocześnie towarzystwa.

- Dzień dobry - odparła Mira. - Jesteście zmęczone.
- Nasza dziewczynka wróciła - powiedziała Bea z czułością.
- Nieco zdezorientowana - szepnęła Mira. - Szpital. Dzień.
- Zgadza się - powiedziała Vivian. - A dziś mamy środę, drugiego listopada.

- Dobrze. Daj mi sekundkę. Wczoraj był zatem pierwszy?
- Pamiętasz to?
- Tak - odpowiedziała Mira. - Sporo się działo.
- A wczorajszy wieczór?
- Niech pomyślę. Rozmawiałam z Beą. Byłam tuż przy twojej bramie, Vivian. Przejechała jakaś furgonetka. To był Bert. - Mira rzuciła szybkie spojrzenie na Beę. - Chwilę rozmawialiśmy o Bercie.

- Tak, rzeczywiście. A potem co?
- Chyba pojechałam do domu. Ale nie pamiętam tej jazdy powrotnej.
- A pamiętasz, jak byłeś w domu?
- Tak jakby. Pamiętam, że otwierałam frontowe drzwi. To dziwne. Widzę samą siebie, jak to robię. Pika alarm przeciwwłamaniowy. Muszę wprowadzić kod. Robię to. A potem... Wyrwam się. Ktoś mnie trzyma, ktoś mnie przydusza. Czuję benzynę. Czuję jej smak. Usiłuję się wyrwać... Żeby odetchnąć, ale on mi wpycha jakiś gałgan do ust. I coś jasnego. Żółtego. I... zielonego. A potem się przewracam. Nie, ktoś mnie przewraca. Potem... Czy ja się już przedtem budziłam? I było wtedy ciemno na zewnątrz? Czy mówiłam coś do ciebie, Vivian i do Blaine'a?

- Owszem, obudziłaś się, na jakieś trzydzieści sekund, a potem znów zasnąłaś.

- Coś się działo z moimi rękoma.
- Nie chcieli, żebyś sobie powyciągała igły od kroplówek, półprzytomna po ogólnym znieczuleniu. Przywiązali ci nadgarstki, bardzo delikatnie, do boków łóżka. Parę godzin temu już te pasy usunięto.

Rzeczywiście, ręce miała swobodne. A pamiętała, że przedtem było inaczej. Ale to „coś” nie miało nic wspólnego z pasami czy delikatnością. Chodziło o ból dłoni, spowodowany wbijającymi się paznokciami.

- Ktoś mnie zaatakował.
- Tak.
- Złapali go?
- Jeszcze nie. To był mężczyzna?
- Nie wiem. Na pewno był wyższy ode mnie. I bardzo silny. - Mira uśmiechnęła się do znużonych twarzy. - Obie jesteście wykończone. A ja

wypoczęłam i mam się świetnie. Idźcie do domu. Proszę. Prześpijcie się trochę.

- Tak zrobimy. Beo, pojedziemy do ciebie taksówką. Mój samochód stoi na podjeździe Miry. Właśnie do ciebie jechałam - Vivian wyjaśniła siostrze - kiedy zostałaś zaatakowana.

- Po co?

- Chciałam z tobą porozmawiać o paru rzeczach.

- A ja też chciałam o paru rzeczach porozmawiać z tobą.

- Najlepiej zróbcie to od razu. - Bea wstała. - A ja się przejdę na drugi koniec oddziału i zajrzę do pewnego dializowanego pacjenta. I tak chciałam to zrobić.

- Naprawdę chciała - powiedziała Vivian po wyjściu Bei.

I ja też chcę, pomyślała. Czuła się dziwnie spokojna i bardzo potrzebna, kiedy mówiła do Daniela. Teraz spokój ją opuścił, ale nie do końca.

- Powiedziałaś, że dzwoniłaś do Bei sprzed naszej bramy. Po co tam pojechałaś?

- Blaine mnie prosił, żebym była przy tobie w czasie tego wywiadu ze Snow. Uważał, że wywiad może cię wytrącić z równowagi.

- A powiedział ci, że mnie uprzedził, że przyjedziesz? I we trójkę to ze sobą ustaliliśmy?

- Wręcz przeciwnie. Mówił, że jeśli będziesz wiedziała z góry, to powiesz mi, że mam nie przyjeżdżać. Ale czemu?

- Po tym, jak zostałaś napadnięta, udawał zdziwionego, że nie siedziałam w domu zgodnie z planem.

Udawał zdziwionego, pomyślała Vivian, w obecności detektywa prowadzącego tę sprawę.

- Nie mam zielonego pojęcia, czemu tak powiedział. - Mira zmarszczyła brwi. - Ale Blaine nie pierwszy raz mówi coś, co mnie szokuje.

- Na przykład?

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci o tym opowiadać.

- Miro, powinnaś. Proszę cię.

- W drodze powrotnej do domu po Balu Jesiennego Księżycy, powiedział mi, że się martwi, że to ty mogłaś być autorką tych obscenicznych telefonów, które dostawałam.

- Co? Absolutnie tego nie robiłam!

- To mu właśnie powiedziałam.

- Dziękuję. Ale że on w ogóle zasugerował taką możliwość... Czy wyjaśnił to jakoś?

- Tak, ale wyjaśnienie jest równie niedorzeczne jak sam zarzut.

- Proszę, powiedz mi.

- Powiedział, że ty wierzysz, iż on i ja mieliśmy romans, zanim się w sobie zakochaliście, i że ty podejrzewasz, iż to nadal trwa.

- To nieprawda!

- Między nami nigdy nic nie było. I nigdy nie mogłoby być. Nawet gdybym go rozpaczliwie kochała.

- On mówi, że tak jest.

- A zatem kłamie, Vivian. Kiedy ci to powiedział?

- W niedzielę po południu.

- Za nic nie mogę zrozumieć, po co on to robi.

- Mówił coś jeszcze?

- Owszem, i to jest już najbardziej absurdalne ze wszystkiego. - I najtrudniejsze do wyjawienia. - On twierdzi, że ty masz niską samoocenę. Powiedziałam mu, że to bez sensu, że jesteś najbardziej pewną siebie kobietą, jaką znam. I nie bez powodu, Vivian. Jesteś błyskotliwa, odnosisz sukcesy...

- I co Blaine na to powiedział?

- Wyjaśniał mi, że wysoka samoocena i pewność siebie to nie to samo. A ty mierzysz swoją wartość, opierając się na tym, co osiągasz, a nie na tym, kim jesteś.

- To prawda.

- Co?

- Naprawdę tak jest. Blaine tutaj ani trochę się nie pomylił.

- Och, Vivian. Tak mi przykro.

- A czy Blaine miał jakąś teorię co do tego, dlaczego moja samoocena jest taka niska?

- Tak. Mówił, że jesteś najstarszym dzieckiem w rodzinie, która wywierała na ciebie dużą presję. Podobno to się często zdarza. Ale przecież dodatkowo obciążało cię to, że nie byłeś pierwotnym synem, zwłaszcza że nic nie mogłaś zrobić, aby to zmienić.

- Próbowałam.

- Wiem, że próbowałaś, Vivian. A teraz, możesz z łaski swojej zacząć wreszcie dobrze o sobie myśleć?

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie ma tego zbyt wiele, o czym dałoby się dobrze myśleć.

- Cała ty. Jesteś dobra i współczująca...
 - Nie, nieprawda. No cóż, czasami taka bywam. Chciałabym taka być. Niestety, wiele lat temu zrobiłam coś takiego... Nie umiem ci o tym nawet opowiedzieć, Miro. Nie umiem się na to zdobyć. Ale kiedy Luke się na to zdobędzie, zgodzisz się z nim - i ze mną - że całe życie dobroci i współczucia nie naprawi tego, co zrobiłam. Nic tego nie naprawi.
 - Vivian...
 - Poproś Luke'a, żeby ci powiedział. Chcę, żebyś to wiedziała.
 - Luke i ja nie rozmawiamy ze sobą.
 - Ależ rozmawiacie. Będziecie rozmawiać. Bea mówi, że on ma straszne wyrzuty sumienia z powodu czegoś, co ci powiedział wczoraj po południu. Miałam ci to powtórzyć, jak tylko się obudzisz. Przepraszam.
 - Vivian, nic się nie stało!
- Jest taka ludzka, pomyślała Mira. I taka skrzywdzona przez życie i męża, który przysięgał ją kochać, a karmi ją kłamstwami.
- Co u licha knuje ten Blaine?
 - Nie mam zielonego pojęcia.
 - Ani ja... Nie, zaraz - powiedziała Mira. - Może jednak mam...
Może to jest dokładnie to, co chciał osiągnąć Blaine.
 - Co, takiego?
 - My, Vivian. Ty i ja. Siostry Larken. Rozmawiamy. Bronimy jedna drugiej w obliczu jego kłamstw i mówimy sobie nawzajem prawdę.

Rozdział 36

**Instytut Psychiatrii
Szpital Grace Memorial
środa, 2 listopada, 11.00**

Recepcjonistka Blaine'a, Louise, nie zauważyła, że Ellen i Patrick wchodzą do poczekalni. Cztery z jej pięciu linii telefonicznych migotały. Z piątej właśnie sama korzystała.

- Dodzwonili się państwo do gabinetu doktora Blaine'a Prescottta
- czytała tekst wydrukowany na kartce. - Ze względu na wczorajszy

wywiad w *Godzinie Kopciuszka* zasypują nas państwo prośbami o umówienie wizyty. Wbrew najszczerzym chęciom, doktor Prescott nie jest w stanie spełnić tych prośb tak prędko, jak jego zdaniem należy w przypadku osób z depresją poporodową. Ale, jak starał się wyjaśnić wczoraj wieczorem, leczenie depresji poporodowej jest proste. Jeśli lekarz pierwszego kontaktu nie jest pewien swojej diagnozy, może wydać skierowanie do specjalisty z zakresu psychiatrii. Najważniejsze jest, żeby trafić pod opiekę lekarza jak najszybciej - i wyjaśnić mu, że dolegliwości...

Louise jeszcze przez jakąś minutę nagrywała porady. Zadowolona z nagranej informacji, odłożyła słuchawkę i linię, z której korzystała przełączyła na oczekiwanie.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że nie jest sama.

- Niech się pani nie martwi - powiedział Patrick. - Nic nie wiemy.

- Odbieranie tych telefonów to czysta strata czasu.

- Nagranie pomoże.

- Mam nadzieję. - Louise spoglądała ze zmarszczonym czołem na parę, która nie skorzystała z telefonu i przysłała od razu do gabinetu.

- Naprawdę nie mogę umówić państwa na wizytę. Kalendarz doktora Prescotta jest pełen.

- Nie przyszliśmy na wizytę - powiedziała Ellen.

- Ale - wtrącił Patrick - rzeczywiście musimy zobaczyć się z Blaine'em. To sprawa osobista. Czy on tu jest?

- W tej chwili nie. Przepraszam, mogę państwa prosić o nazwiska?

- Nazywam się Ellen O'Neill. Blaine i ja poznaliśmy się trzy tygodnie po śmierci jego siostry. Jak widać, znamy się od dość dawna. Na pewno zechce się ze mną zobaczyć.

- Jest na obchodzie. Powinien wrócić koło dwunastej.

- Dziękujemy - powiedział Patrick. - Zaczekamy w jego gabinecie.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Patrick się uśmiechnął.

- Dobry. Naprawdę. Blaine i ja też się długo znamy. Proszę mi wierzyć, bardzo go ucieszy taka niespodzianka.

- Witaj, Thomas.

Ten głos w słuchawce telefonu powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Pamiętała go. Ich oboje.

- Mira - szepnął. - Cześć.
- Cześć. Zadzwońabym wcześniej. Ale nie tak znowu dużo wcześniej. Obudziłam się dopiero koło dziesiątej. Potem, kiedy już przekonałam Vivian i Beę, żeby poszły na trochę do domu, badał mnie jakiś tłum lekarzy i przesłuchiwała policja. Wiem o Danielu. A ty jak się masz?

- Wiele emocji.
- Wendy jest pod ręką?
- Jest tu koło mnie i bardzo się chyba cieszy, że dzwonicz i chyba chce opowiedzieć ci o Eileen. Tak, chce. Podaję jej słuchawkę.

- Mira?
- Cześć, Wendy.
- Już ci lepiej?
- O wiele lepiej, dziękuję. Słyszałam, że Eileen też czuje się o wiele lepiej.

- Bawi się swoją gumową myszką.
- No to na pewno jest już zupełnie zdrowa.
- Przyjdiesz ją zobaczyć?
- Tak. I zobaczyć ciebie, i Thomasa. Ale nie dzisiaj. Niedługo. Jak tylko będę mogła.

- Dobrze. No to cześć.
- Cześć, kochanie.
- To znów ja - powiedział Thomas. - Jak się czujesz?
- Boli mnie! A zwłaszcza - dodała - kiedy nabieram głęboko tchu, żeby coś głośniej powiedzieć. Albo kiedy się śmieję. Każdy, kto mówi, że połamane żebra w niczym nie przeszkadzają, nigdy nie miał połamanych żeber.

- A jak głowa?
- Nie za dobrze. Ale teraz siedzę na łóżku i myślę, że mam mnóstwo szczęścia; myślę o tobie, i o Danielu. Bea i Vivian na zmianę przy nim siedziały, odkąd wyszedłeś.

- Wiem, że siedziały. Jestem im bardzo wdzięczny. I bardzo jestem wdzięczny Bei za opiekę nad Wendy.

- Mówiła, że wszystko było dobrze, aż w jakiejś chwili złapała ją panika, zupełnie bez ostrzeżenia.

- Chyba tak właśnie jeszcze przez jakiś czas będzie.
- Trudno ci więc będzie zostawiać ją samą.
- Po prostu nie mogę.

- Nie możesz siedzieć przy Danielu tak, jak ty i Daniel siedzieliście przy Eileen - powiedziała cicho.

- I siedzieć przy tobie.

- Mnie nic nie jest. Naprawdę wierzysz, że mówienie do Daniela pomoże?

- To już pomaga. Nie da się tego w żaden sposób zmierzyć, ale pielęgniarki są o tym przekonane. Danielowi jest lepiej, kiedy ktoś do niego mówi - szczególnie Vivian. Ten efekt utrzymuje się jeszcze przez jakiś czas po jej wyjściu.

- Szczególnie Vivian. Powiedziały jej to?

- Prosiłem, żeby tego nie robiły.

- Dlaczego!?

- Bo to nie fair wobec niej.

- Nie fair, że się poczuje komuś potrzebna?

- Komuś, kogo nawet nie zna? Kto jest śmiertelnie chory? I kto może trwać w tym stanie całymi tygodniami, a potem też może mu się wcale nie polepszyć?

- Przecież to samo robiłeś dla Eileen. I robiłbyś dla Daniela, gdyby Wendy cię nie potrzebowała. Ja powiem Vivian. Ona będzie chciała pomóc.

- Właśnie o to mi chodzi, Miro. Wiem, że będzie chciała. Ale twoja siostra ma też swoje życie.

- Chyba wyraziłaby w tej sprawie odmienne zdanie. W tej chwili obie jesteśmy trochę rozczarowane Blaine'em.

- Ponieważ?

- Czy ty nie miałeś nigdy wrażenia, że on uważa, że jest boskim darem dla psychiatrii?

- Boskim darem dla każdej dziedziny - mruknął Thomas.

- A więc to prawda, że go nie lubisz. Vivian tak właśnie myślała. W każdym razie odkryliśmy, że on nami manipuluje, że jednej opowiada kłamstwa na temat drugiej - prawdopodobnie w nadziei, że wreszcie usiądziemy i zaczniemy ze sobą rozmawiać. Udało mu się to. Rozmawiamy ze sobą tak, jak nigdy przedtem, a obu nam tego brakowało. Jesteśmy więc wdzięczne za to, co zrobił Blaine. Nie jesteśmy tylko zachwycone jego metodami. - Westchnęła głośno. - Pewnie będzie oczekiwał uznania za swój spryt. A ja nie mam ochoty wygłaszać pochwał na jego cześć. W ogóle nie chcę go tu widzieć.

- Nie musisz.

- Trudno mnie nazwać jakimś ruchomym celem.
- Ale masz całkowitą kontrolę nad tym, kto zostanie wpuszczony do twojego pokoju.

- Przy moich drzwiach stoi bardzo miły funkcjonariusz policji z Quail Ridge.

- Ciesz się, że tam jest, ale to tylko wsparcie dla systemu, który powinien nie dopuścić Blaine'a do ciebie. Nikt nie wchodzi na OIOM, chyba że dostanie odpowiednie zezwolenie. Powiedz im tylko słowo, a Blaine nie przejdzie przez dyżurkę strażników.

- Dostanie szau.

- To już nie twój problem. Miro?

Nie musiała już pytać, czy w pobliżu jest Wendy. Jego ton mówił jej, że na świecie istnieje tylko ich dwoje.

- Tak?

- Kiedy cię spotkałem na ślubie Vivian, przez następne cztery miesiące wmawiałem sobie, że niemożliwe, żebym coś takiego czuł.

- Ja też.

- A kiedy mi się nie udało, powiedziałem sobie, że nawet jeśli te uczucia są prawdziwe, to ja nie mam za dużo - nie mam wystarczająco dużo - do zaferowania.

- A potem pojawiła się w twoim życiu Wendy.

- Nie, Miro. Ty się pojawiłaś. Szukałem cię na tym Balu Jesiennego Księżycy, próbowałem cię znaleźć, kiedy zadzwonił do mnie szeryf.

- A ja właśnie zaczynałam szukać ciebie.

- Może skądś to wiedziałem. Coś mi kazało wierzyć, że poradzę sobie, dając dom tej ślicznej, małej dziewczynce. Mam wrażenie, Miro, że tym czymś byłaś ty.

- Proszę, proszę. Ellen O'Neil, jak mniemam? To imię do ciebie nie pasuje. Tak samo jak Candy. Leigh brzmiało nieźle. Szkoda, że go nie zatrzymałaś. I Patrick jest tu z tobą, jak widzę. Interesujące.

- Doprawdy, Blaine?

- Niezupełnie. Po prostu staram się być grzeczny. Szczerze mówiąc, to trudne zadanie. Patrzę na człowieka, który wierzy, że jestem mordercą. I na kobietę, która odmówiła mi prawa poznania własnej córki.

- Ja też wierzę, że jesteś mordercą.

- Na jakiej podstawie?...

- A jak sądzisz?

- Nie mam zielonego pojęcia.
- No to może na podstawie twojego wyznania w trzy tygodnie po tym, jak otrułeś Julie i własną matkę?
- A masz to wyznanie na taśmie? Bo jeśli tak, to chętnie dowiem się, gdzie schowałeś magnetofon. Jeśli dobrze pamiętam, byłaś ubrana dość lekko, zanim zrobiłaś striptiz.

Patrick ją ostrzegał, że Blaine zrobi się nieprzyjemny. Nie potrzebowała tego ostrzeżenia. Uprowadził ją też, że jeśli straci panowanie nad sobą, Blaine wygra.

Patrick nie powiedział jej nic nowego. Ale były też takie rzeczy, o których powinna Patricia uprzedzić. Nieprzyjemne pociski, jakimi Blaine już zaczynał strzelać w jej stronę, nie wywołały najmniejszego drgnienia na obojętnej twarzy Patrici.

- Magnetofon schowałam w mózgu. Mam doskonałą pamięć. Poza tym wszystko spisałam. Dokument jest podpisany i poświadczony notarialnie.

- Nieważne. Wszystkie twoje wspomnienia o moim rzekomym przyznaniu się do morderstwa są w sposób oczywisty fałszem.

- Wątpię, żeby mój mierny umysł zdołał wymyślić te misterne szczegóły, które sobie przypominałam. Na pewno się ze mną zgodzisz. Jestem przecież kobietą. Nie cenisz nas zbyt wysoko.

- Całe życie poświęciłem pomocy kobietom.

- I napawałeś się ich podziwem. To pęść osobowości prawdziwego mizogina, nie sądzisz? Sprawianie, żeby cię wielbiły? To są retoryczne pytania. Ale nie po to tu przyjechałam. Chciałam cię uczciwie uprzedzić, że nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o tym, co zrobiłeś, o morderstwach, które popełniłeś, przed sądem.

- Coś ci poradzę, Ellen. Twoja nienawiść do mnie, albo może do wszystkich mężczyzn, nie wypadnie dobrze w sądzie. Z własnego doświadczenia wiem, że przysięgli nie ufają świadkom tak wyraźnie uprzedzonym. A przy okazji, mam duże doświadczenie. W wielu sprawach zeznawałem jako ekspert sądowy. Przysięgli mężczyźni mogą uznać, że jesteś atrakcyjna mimo tej pogardliwej postawy. Kobiety cię nie polubią. Dla prostytutki pracującej na rogu ulicy miałyby współczucie. Ale nie dla kogoś, kto zbił fortunę, uwodząc mężów innych kobiet. Oczywiście znasz ten fragment przeszłości swojego najważniejszego świadka, Patrici?

- Wiem o niej wszystko, Blaine. A ona i ja wiemy wszystko, co trzeba wiedzieć o tobie.

- Ława przysięgłych wysłucha mnie - powiedziała Ellen. - Pochłonie ich historia studenta medycyny, który planował morderstwa w najdrobniejszych szczegółach i który reagował furją na najmniejszy, pozbawiony znaczenia drobiazg psujący mu plany. Mówię o tych surowych jajkach, które zjadłeś. Byłeś wściekły, kiedy to nie podziałało. Niezbyt dobrze radzisz sobie z niepowodzeniami, prawda?

- Po wszystkich tych latach, Patricku, tylko na tyle cię stać? Ja nie mam pojęcia, o czym mówi ta kobieta.

- O jajkach, Blaine. Przypomina ci o jajkach.

- Świetnie. Jajka. Twierdzisz więc, że jadłem surowe jajka?

- Jadłeś.

- I że byłem rozczarowany, kiedy nie zachorowałem na?... Jak to się nazywa? Salmonellozę?

- Nie rozczarowany - powiedziała Ellen. - Wściekły. Trzy tygodnie później nadal się z tego powodu wściekałeś.

- Obawiam się, że to cię skompromituje przed ławą przysięgłych - kobiety, które tam zasiada, ostrzegają swoje dzieci przed niebezpieczeństwem zatrucia salmonellą. Wiedziałybyś to, Ellen, gdybyś kiedykolwiek piekła ciasteczka dla naszej córki. Gdybyś kiedykolwiek była matką dla naszej Snow.

- To nie jest nasza Snow.

- Przynajmniej tu mogę się z tobą zgodzić. To moja Snow. A w każdym razie, będzie moja, kiedy dowie się prawdy.

- Tego, że jesteś mordercą?

- Tego, że ja bym jej nigdy nie porzucił. Zwłaszcza w godzinie największej potrzeby. Nie wiesz, kiedy to było, prawda? Bo nie dosłuchałaś do końca wczorajszego programu. Przestałaś słuchać, kiedy wyszedłem, prawda? Mnie też ominęła końcówka. Oczywiście. Ale w przeciwieństwie do ciebie zadałem sobie odrobinę trudu i wysłuchałem jej dziś rano. Oczywiście, wszystkiego już się domyślałem.

- Czego się domyślałaś?

- To takie wzruszające. Ta udawana troska o Snow. Miałaś szansę być dla niej matką. Zawiodłaś. Wiesz o tym. Ona też o tym wie. Ława przysięgłych potępi cię za to. Ubawiłby mnie taki proces. Ale obawiam się, że chaotyczna paplanina na temat surowych jajek nie zdoła przekonać prokuratora okręgowego do wysunięcia oskarżenia. Powtarzam, Patricku, na nic więcej cię nie stać?

- Ja ci tylko przypominam szczegóły - powiedziała Ellen - którymi sam się ze mną podzieliłeś.

- To znaczy, że jest ich więcej? Przykro mi, jeśli cię rozczaruję, ale nie chcę tego słuchać. Smutna prawda jest taka, że moja siostra cierpiała na psychozę. Udało jej się zabić siebie i naszą matkę, i o mały włos, a zabiłaby mnie. Opowiedziałem ci o ich śmierci trzydzieści dwa lata temu. Wtedy wierzyłem, że doszło do tego przypadkowo. Kiedy zobaczyłem cię wiele lat później, uzupełniłem naszą poprzednią rozmowę, opowiadając ci, że moim zdaniem Julie nas otruła. Bo zapamiętałem, jak słodkie były niektóre z tych dań. Za słodkie jak na mój gust. Nie zjadłem aż tyle, ile moja matka i Julie. Dlatego nie umarłem. Jeśli się nie mylę, wspominałem nawet nazwę trucizny, którą moim zdaniem się posłużyła. Glikol etylenowy. Płyn przeciw zamarzaniu. Tworzy w tkankach kryształki. Gdyby lekarz medycyny sądowej pobrał od nich próbki tkanek, moglibyśmy dowieść, że to glikol etylenowy je zabił.

Ellen z trudem powstrzymała się, żeby nie spojrzeć na Patricka. Dokładnie przewidział, co powie Blaine - i dlatego sprawa morderstw rodziny Blaine'a nigdy nie trafi przed sąd.

- Chciałbym już to załatwić - powiedział Blaine. - Raz na zawsze. Dla dobra mojego, i mojej córki. Nie przeszkadzało mi, kiedy Patrick znie-nacka pojawiał się u mnie co parę lat. Moja była żona znakomicie bawiła się jego oskarżeniami. Ona też jest psychiatrą. Patrick ci opowiadał? Zafundowaliśmy sobie przyzwoity, staroświecki rozwód z dość bolesnego, osobistego powodu. Zakochała się w kimś innym. To rodzaj odrzucenia, nie sądzisz? Tymczasem żyje zdrowo i powodzi jej się świetnie. Traktowałem te podejrzenia Patricka z poczuciem humoru. On nigdy nie pogodził się ze śmiercią Julie. Rozumiem, że tym pościgiem za jej urojonym zabójcą zyskiwał sposób, żeby ciągle ją utrzymywać przy życiu.

- Z poczuciem humoru - mruknęła Ellen.

- Tak właśnie. Ale kończy mi się cierpliwość. I jeszcze trzeba przecieć pomyśleć o Snow. No i czas już, żeby Patrick ułożył sobie życie. Te twoje małżeństwa nie udały się, co? Uważam, że powinieneś się zastanowić nad psychoterapią, Patricku. Może to trochę potrwa, ale co masz do stracenia? Ty też zastanów się nad terapią, Ellen. Candy. Leigh.

- Jak proponujesz to załatwić? - spytał Patrick.

- Przed jedynym sądem, przed którym kiedykolwiek można będzie wysunąć tak obelżywe oskarżenia.

- Przed sądem opinii publicznej.

- Bardzo dobrze, panie adwokacie. Ty powiesz, co masz do powiedzenia, Ellen powie swoje. I ja powiem swoje. Wiem, że nie mogę was powstrzymać przed nazywaniem mnie zabójcą. Ale doceniłbym odrobinę powściągliwości. W zamian za to zgadzam się określać eufemizmem zawód Ellen. „Kurwa”, choć to precyzyjne określenie, jest jednak niepotrzebnie pogardliwe. Możemy zadowolić się słowem: kurtyzana. Chciałbym także uniknąć zbyt długiego rozwodzenia się nad psychozą maniackalną Julie. Oczywiście, to zadziała na waszą korzyść. W tym punkcie debaty mógłbym wygrać. Ale będę się zastrzeżał, że Patrick wierzy, iż ona nie cierpiała na żadną ukrytą formę choroby psychicznej, jeśli zgodzicie się z tym, że według mojej profesjonalnej opinii, była chora. Nie będę się nawet podpierał - chociaż mógłbym się podeprzeć - faktem, że przypadki dwubiegunowego zaburzenia osobowości w rodzinie stanowią czynnik ryzyka dla depresji poporodowej - i że Julie byłaby przecież ciotką Snow.

- Snow? A co ona...

- Tak... Snow - przerwał. - Cierpiała na poważną depresję poporodową. Słuchając uważnie tego, co powiedziała na antenie wczoraj wieczorem, sądzę, że miała wyraźne jej symptomy, zanim jeszcze wyjechała z Quail Ridge.

- Kłamiesz. Snow nie była w ciąży.

- Była w ciąży i poroniła. Ale niech zgadnę, czemu to dla ciebie nowina. Za bardzo pochłaniało cię pieczenie ciasteczek, żeby to zauważyć? A może pochłaniało cię coś innego?

- Ty...

- Uważaj, Ellen. A tak dobrze się trzymałaś. Brawo, Patricku. Jej bezwartościowość w roli matki to nadal spory problem. Może to jednak nie ma większego znaczenia dla naszej dyskusji. Pozwolę ci, Ellen, zdecydować samej. Moim zdaniem oboje możemy się zgodzić, że byłoby to ryzykowne: prosić ławę przysięgłych w naszym pozorowanym sądzie o wydanie takiego orzeczenia.

- Ławę przysięgłych? - spytała Ellen. - Jaka ławę przysięgłych?

- Dopiero teraz dociera do ciebie, co proponuję? Proszę, staraj się myśleć sprawniej.

- Chcesz, żeby ta dyskusja odbyła się na antenie, w *Godzinie Kopciuszka* - powiedziała Ellen ponuro.

- No, a gdzieżby indziej? Ale nie sądzę, żeby należało zapraszać Snow do roli sędziego. Niech jej słuchacze zostaną i ławą przysięgłych,

i sędziami. Snow tylko poprowadzi dyskusję, zapewni sprawiedliwy dostęp do mikrofonu. Zgódźmy się, że nie będziemy sobie nawzajem przerywać. To by było nie fair wobec Snow.

- A ta propozycja jest fair?

- Nie obraż się, Ellen, ale gdybyś nie była taką beznadziejną matką, zrozumiałabyś, że ja to proponuję dla dobra Snow. Pod warunkiem oczywiście, że ona się na to zgodzi. Jeśli nie osiągniemy nic innego, to przynajmniej jej wskaźnik słuchalności skoczy pod niebo. Ja tu wiele ryzykuję. Werdykt Snow w sprawie, którą każde z nas przedstawi, zdecyduje też o moim przyszłym z nią kontakcie. To dla mnie ogromne ryzyko. A jeśli ci to jeszcze nie przyszło do głowy - choć to mało prawdopodobne - ja tu jestem jedyną osobą, która coś ryzykuje. Oskarżasz mnie o morderstwo. Ja oskarżam cię jedynie o to, że się mylisz. Ryzykuję, że stracę żonę, córkę i zniszczę swoją karierę.

Blaine przeniósł wzrok z Ellen na obojętne oczy mężczyzny, który mógł kiedyś zostać jego szwagrem.

- Patrick. Nieprzenikniony, jak zwykle. Ale masz teraz mieszane uczucia, co? Ta praworządna część twojej osobowości chciałaby, żeby sprawa została załatwiona publicznie. Od tej pory wszyscy będą mi już patrzeć na ręce. To kolejne ryzyko, które podejmę. Nawet jeśli moja praktyka zawodowa przetrzyma werdykt, za każdym razem, kiedy pacjentki nie da się wyleczyć - albo będzie chociaż trochę niezadowolona z leczenia - obwinię się mnie.

Blaine znów spojrzął na Ellen.

- Porucznik Cole aż się pali, żeby ostrzec porządnych obywateli z Chicago przed tym złem, które wkradło się w ich szeregi. To cholerny problem, ta jego staroświecka wiara w honor. Martwi się o też o twoją reputację. I pewnie trochę dziwi, że nie powiedziałas mu nic o swojej podejrzanej przeszłości. Bo nie powiedziałas, prawda?

- Problemem jest twoja podejrzana przeszłość.

- Teraz rozmawiamy o tobie, Ellen. Zastanawiam się nad twoją sytuacją prawną. Patrick też się nad tym zastanawia. Bo jeśli nadal obsługujesz klientów, to on ma obowiązek cię aresztować. Wątpię, żeby okazał się przekupny. Ale zawsze warto spróbować. Proponowałbym wziąć go do łóżka. To ci wychodzi najlepiej. A tak a propos, czy nasza córka wie, w jaki sposób zarabiasz na życie?

- Kiedy chcesz to zorganizować? - spytała Ellen.

- Im szybciej, tym lepiej. Nie potrzebuję czasu, żeby się przygotowywać do mówienia prawdy. Ale Patrick może uznać, że wam

trzeba go trochę więcej, biorąc pod uwagę, że będziecie opowiadać kłamstwa.

- Mogę mówić sama za siebie - powiedziała Ellen. - Będę gotowa, kiedy tylko chcesz.

- No to załatwmy sprawę dziś wieczorem, jeśli Snow się zgodzi. Będzie pewnie musiała odwołać gości zaproszonych na ten wieczór, ale moim zdaniem mamy tu do czynienia z sytuacją tak pilną, że każdy to zrozumie. Chciałabyś z nią o tym porozmawiać, czy ja mam to zrobić?

- Nawet nie próbuj.

Blaine się uśmiechnął.

- Znakomicie. Jeśli nic się nie zmieni, będę w WCHM dziś wieczorem o dziewiątej. Tam możemy sobie ustalić zasady gry. Zgodzę się na wszystko, co zechce Snow. To jej program. A ona wie, co robi. I nie mówię tego tylko jako dumny ojciec. To obserwacja eksperta, który wielokrotnie udzielał wywiadów. - Uśmiech Blaine'a zmienił się w złośliwy grymas. - A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, mam pacjentów do obejrzenia. Życie do uratowania paru osobom.

Rozdział 37

Nienawidzę go! - krzyknęła Ellen.

- Dobrze sobie poradziłaś.

- Nie tak dobrze, jak ty. To co do ciebie się zwracał, gdy mówił o Julie, i o psychoterapii, i...

- O moich jedenastu małżeństwach?

- Jedenastu?!

Ellen już odkryła, że Patrick Cole umie się uśmiechać. Teraz się przekonała, że umie się też śmiać.

- Żartuję. Byłem żonaty dwa razy, już dawno temu. Za pierwszym razem nie udało się przez Julie. Ożeniłem się za szybko po jej śmierci i ze złego powodu. Usiłowałem jakoś poskładać swoje życie, próbowałem to zrobić na siłę, zanim byłem jeszcze do tego gotowy. Małżeństwo potrwało mniej niż rok. Ale to moja była żona zakochała się we właściwym człowieku zaraz potem.

- Cieszysz się z tego.
- Oczywiście. Nie zasługiwała na to, co przeżyła przeze mnie.
- A drugie małżeństwo?
- Dla nas obojga było drugie. Przyjaźniliśmy się od samego początku i zostaliśmy przyjaciółmi, kiedy już się skończyło. Ona też znalazła miłość swojego życia po rozwodzie ze mną.
- Ale ty... już nie. Nie od czasu Julie.
- Nie od czasu Julie -powtórzył Patrick. -Ale nie przez Julie. Mógłbym się znów zakochać. Chciałbym. To się po prostu nie stało. A ty?
- Ja?
- I miłość.
- Nigdy. - Ellen przyjrzała się linii dachów Chicago. Jechali w kierunku pięciogwiazdkowego, luksusowego podwójnego apartamentu, który Patrick zarezerwował dla nich w hotelu Wind Chimes. Odległy był od slumsów, w których ona i Snow kiedyś mieszkały. Ale znajdował się blisko hotelu Drake, w którym półprzytomna od kokainy striptizerka poczęła dziecko płci żeńskiej. - To, co Blaine powiedział o mojej podejrzananej przeszłości, to prawda. Powinam ci to powiedzieć.
- Czy to już przeszłość?
- Tak. Zmarła nagłą śmiercią rok po moim wyjeździe z Quail Ridge. Pewnego dnia obudziłam się i już nie chciałam się tym zajmować. Ale kiedyś chciałam. Nie byłam żadną ofiarą. Sama dokonałam wyboru. Blaine ma rację. Byłabym bardzo mało sympatycznym świadkiem.
- Nie musisz tego robić.
- Muszę i chcę. To ją ochroni, nie sądzisz? Po dzisiejszym wieczorze, nawet jeśli opinia publiczna rzuci się w jego obronie, te oskarżenia już gdzieś zostaną. Ludzie będą się zastanawiać. Blaine i co do tego miał rację. Nikomu z jego znajomych nie będzie groziła z jego strony żadna przemoc, nawet gdyby coś go kusiło. Chyba że...
- Chyba że dostrzeże w tym nowe wyzwanie? I zechce popełnić idealne morderstwo na oczach wszystkich?
- Tak.
- Nie sądzę, żeby zabijanie dawało mu aż taką satysfakcję. Gdyby tak było, znów by to zrobił. A nie zrobił. Wierz mi, sprawdzałem. Woli torturować żywe ofiary.
- Właśnie o to chodzi w dzisiejszym wieczorze, prawda? Znęcanie się nad tobą i nade mną przed publicznością, na żywo... I przed Snow. Będzie nas wykorzystywał, jak to socjopata, dla własnej rozrywki.

- Moim zdaniem właśnie dlatego to zaproponował. I moim zdaniem właśnie dlatego to się na nim zemści. Nie uda mu się przekonać twojej córki, żeby obróciła się przeciwko tobie.

- Jak możesz tak twierdzić?

- Ja mu na to nie pozwolę. I - powiedział Patrick - nie wierzę, żeby ona mu na to pozwoliła.

- Tego nie możesz twierdzić na pewno. Nigdy nie byłam dla niej matką. A jeśli to, co Blaine powiedział o jej depresji poporodowej, jest prawdą, to ja ją porzuciłam w chwili, w której najbardziej mnie potrzebowała. - Ellen bardziej wyczuła, niż zauważyła reakcję porucznika z wydziału zabójstw. Kiedy na niego spojrzała, dostrzegła, że zmarszczył brwi. - Czego mi nie mówisz?

- To prawda. Po poronieniu, szesnaście lat temu, Snow miała ciężką depresję poporodową. Mówiła o tym wczoraj wieczorem.

- Wysłuchałeś reszty programu?

- Do samego końca. Nagrałem go sobie na płytę CD i odsłuchałem w czasie lotu.

- Masz ją więc ze sobą.

- W hotelu.

- Chciałabym wysłuchać tego nagrania, zanim z nią porozmawiam.

Dobrze, pomyślał Patrick. Usłyszy to, co i on usłyszał, słowa - wypowiedziane przez Snow głosem pełnym emocji - które upewniły go, że córka Ellen sama zdoła oprzeć się zakusom Blaine'a i nie pozwoli się odsunąć od matki. „Wybrałam Atlantę” - powiedziała Snow. - „Miała szczególne znaczenie dla mnie i dla mojej matki”.

- Zamówimy coś do pokoju - powiedział - a potem posłuchamy.

- Myślisz, że zdołam coś zjeść?

- Uważam, że powinnaś spróbować.

Blaine spodziewał się, że wahadłowe drzwi rozstąpią się na oścież, kiedy do nich podchodził. Przecież wszyscy, włącznie ze strażnikiem z OIOM-u wiedzieli, kim jest.

Kiedy zawrócił spod zamkniętych drzwi w stronę tego strażnika, starał się świadomie opanować zarówno niecierpliwość, jak i euforię, - które odczuwał. Euforię opanować było najtrudniej. Od chwili tego bosko zabawnego spotkania z Ellen i Patrickiem czuł się bardzo podekscytowany.

- Doktor Prescott do Miry Larken.

Strażnik sprawdził coś na monitorze komputera.

- Przykro mi, panie doktorze. Nie ma pana na liście upoważnionych do odwiedzin.

- A powinienem być. Proszę sprawdzić jeszcze raz.

- Nie, proszę pana. Pańskie nazwisko z niej usunięto.

- Zechce mi pan powiedzieć, przez kogo?

- Nie mam takiej informacji.

- No cóż, a ja mam. To proste nieporozumienie, które zostanie wyjaśnione, jak tylko będę miał okazję porozmawiać z żoną. Jest u Miry. Może pan poprosić jakąś pielęgniarkę, żeby ją tu podesłała, aby to wyjaśnić?

- Oczywiście.

W ciągu paru sekund strażnik przekazał telefonicznie prośbę Blaine'a. Po przerwie, która zdaniem Blaine'a trwała karygodnie długo, podano mu równie karygodną odpowiedź.

- Pana żony nie ma u siostry, a sama pacjentka śpi.

Blaine'a natychmiast ogarnęła furia.

- A więc będę musiał porozmawiać...

Wrzasnąć, uderzyć, udusić, myślał gorączkowo.

- Nieważne - urwał. - Zajmę się tym później.

Za nic w świecie nie miał zamiaru pozwolić, żeby coś zepsuło mu nastrój. A już zwłaszcza nie Vivian i Mira. Przestały być dla niego ważne, odkąd zauważył, że psychodrama siostr Larken nie chce się rozwinąć zgodnie z jego planem. Nie dojdzie do samobójstwa Vivian. A Mira nie przekona się - zbyt późno - że to ona, nie Vivian, powinna zostać jego żoną. Najpierw był rozwścieczony. Kto mógł przewidzieć, że kompletnie pozbawiona poczucia własnej wartości Vivian zdecyduje się odwiedzić Mirę - porozmawiać z nią - zamiast siedzieć w domu, tak jak to zaplanował i słuchać jego wywiadu ze Snow? Albo że zamiast wprowadzić się do siostry i szwagra - gdzie psychologiczne gierki dopiero by się naprawdę zaczęły - bezdomna Mira będzie miała okazję zamieszkać gdzie indziej, to znaczy u Thomasa Vaiła?

Blaine rozwiódłby się z Vivian w tydzień. Nikt by do niego nie miał pretensji. Po dzisiejszej wieczornej *Godzinie Kopciuszka* mieszkańcy Chicago będą musieli zająć stanowisko. Większość stanie po jego stronie. Ale nie jego żona - a przynajmniej on tak będzie twierdził. Czuł się rozczarowany, że musi pozbyć się Vivian za pomocą rozwodu, zamiast ją zabić. Chętnie by odziedziczył posiadłość Larkenów.

Ale to, co czekało go ze strony Leigh - znów stała się dla niego Leigh, jego Leigh - i Snow, wynagrodzi mu wszystko z nawiązką. Blaine nie czuł się tak dobrze, nie czuł aż takiej władzy, odkąd lekarz sądowy stwierdził, że śmierć jego siostry i matki była wypadkiem.

Nateżenie jego euforii aż zaskakiwało. Spodziewał się tylko łagodnej radości, jak po śmierci ojca. Różnica, uznał, polegała na stopniu trudności poszczególnych przestępstw. Każdy mógł kogoś potrącić i uciec z miejsca wypadku. Niewykrywalne otrucie wymagało już finetneryj.

Tak samo jak nastawienie Snow przeciwko Leigh. Ale kiedy Snow uzależnił się od niego emocjonalnie... Leigh będzie musiała go błagać o pomoc w odzyskaniu uczuć córki. Zrobi wtedy wszystko, czego od niej zażąda. Wszystko...

Blaine odwołał swoje wizyty do końca dnia. Nie miał nastroju, żeby udawać, że obchodzą go jakieś marudne kobiety. Spędzi popołudnie w domu, pozwalając, żeby oczekiwanie bez zakłóceń pompowało mu adrenalinę w żyły.

Może wymyśli jakiś sposób, żeby jednak odziedziczyć posiadłość Larkenów.

Zaraz po wyjściu Blaine'a strażnik zadzwonił, tak jak go proszono. To, co powiedziała mu pielęgniarka Miry, i co powtórzył Blaine'owi, zgadzało się z prawdą.

Vivian nie było u Miry, a Mira spała.

Ale Vivian siedziała na oddziale intensywnej terapii u Daniela. Poinformowano, że Blaine prosi o rozmowę z nią i dlaczego.

- To nie jest żadne nieporozumienie - wyjaśniła, nie wstając z krzesła obok łóżka Daniela. - On nie ma upoważnienia. Chyba lepiej mu to powiem.

- Nie trzeba - odparła pielęgniarka. - My się tym zajmiemy. - A potem, może dlatego, że zauważyła niepokój na wymizerowanej twarzy kobiety, której słowa działały jak cudowny lek na najciężej chorego pacjenta na oddziale, dodała: - Dam pani znać, kiedy on już pójdzie.

I całe szczęście, powiedziała sobie Ellen, kiedy telefon w mieszkaniu Snow nie odpowiadał. Potrzebowała czasu - być może, całego życia - pomiędzy wysłuchaniem, jak Snow opowiada o swojej depresji poporodowej, a choćby tylko próbą kontaktu z nią.

Całe życie... A nie te sekundy, które minęły, odkąd skończyła się płyta CD, a ona sięgnęła po numer, który podawał jej Patrick, i wzięła do ręki telefon.

Po czwartym dzwonku zgłosiła się automatyczna sekretarka. Wiadomość była typowa dla niezamężnych mieszanek dużych miast. Snow podawała numer telefonu, ale nie nazwisko, a na koniec prosiła o pozostawienie wiadomości.

Odłóż tę słuchawkę! - radził jej instynkt samozachowawczy. Odłóż natychmiast.

- Witaj, Snow. To ja. Kimkolwiek jestem. Poznasz mój głos. Nasz głos. Nie mogę sama się nazywać twoją matką. To by była obelga dla wszystkich matek, także dla ciebie. Tak strasznie mi przykro, że nie było mnie przy tobie, kiedy straciłaś dziecko. Mogłam tam być i powinnam zostać. Wiedziałam, że tamtego dnia działo się z tobą coś niedobrego. Coś strasznego. Myślałam, że to przez Luke'a. Gdybym nie była tak skoncentrowana na sobie, na ucieczce, może zadałabym pytania, które zadałaby każda prawdziwa matka. Ale byłam skoncentrowana wyłącznie na sobie. To nic nowego, prawda? Na pewno tak pomyślisz. Czy ja się kiedyś koncentrowałam na tobie? Jest na to odpowiedź. Może w nią nie uwierzysz. Dlaczego miałabyś wierzyć? Ale kiedyś, dawno temu, byłam mamą, Snow, twoją mamą. Nie miałam depresji poporodowej. Wręcz przeciwnie, pierwszy rok twojego życia był najszcześniejszym rokiem mojego. I wydaje mi się, że dla ciebie to też był szczęśliwy rok. Przez cały czas śmiałyśmy się i przez cały czas się dotykałyśmy, i... To nie mogło trwać. Przeze mnie. Przez to, kim byłam. Wtedy nie wiedziałam, dlaczego. Dopiero teraz zaczynam to rozumieć. Ty byłeś lepsza niż ja. Nieskażona i czysta. Dlatego nazwałam cię Snow. Chciałam, żebyś stała się kimś lepszym niż ja. Jesteś za dobra, żeby być córką dziwki. Jesteś za dobra, żeby być moją córką.

Ellen przerwała nagle, przypominając sobie, że nie jest sama. Nie ośmieliła się spojrzeć na Patricka.

- Dzwonię do ciebie ze względu na coś, czego bardzo chciałam ci oszczędzić, ale chyba nie mogę. Wczoraj wieczorem wysłałam do ciebie maila. Ellen O'Neil z Atlanty. Jestem tam organizatorką przyjęć ślubnych. I powiedz, czy życie nie naśladuje naszych kłamstw? Nie wiem, czy zorientowałaś się, że to ja. Wymówiłaś moje nazwisko w taki sposób, że miałam wrażenie, że tak. Jeżeli tak, to domyśliłaś się, że Blaine jest twoim ojcem. Problem polega na tym, że ja nie wysyłałam tego e-maila, żeby cię

ostrzegać. Wiedziałam, że i tak będziesz się miała na baczności. Chciałam usłyszeć, jak on będzie mówił o przeszłości. Pomyślałam, że to mi pomoże przypomnieć sobie, co on mi naopowiadał tamtej nocy. Pomogło, i to jest jeszcze gorsze niż ta jego agresja, o której wiesz. Snow, Julie nie zatrąła posiłku na Dzień Matki. Blaine to zrobił. Zamordował swoją siostrę i matkę. Jesteś podobna do Julie. On już wie, kim jesteś. Na razie nic ci z jego strony nie grozi, niezależnie od tego, czy jesteś z Lukiem, czy nie. Mam nadzieję, Snow, że jesteś z nim, i nie ze względu na bezpieczeństwo, ale dlatego że się kochacie. To, co on do ciebie mówił wczoraj wieczorem, sposób, w jaki to mówił... On cię tak bardzo kocha. To widać, że zawsze cię kochał. Tak samo, jak widać, że zawsze się co do niego myliłam. Zdaje się, że moją mocną stroną jest rozpoznawanie złych mężczyzn, a nie tych dobrych. W każdym razie musimy porozmawiać. Jak najszybciej. Przepraszam, ale to konieczne. Jestem tutaj, w Chicago. Pokój 12-222 w hotelu Wind Chimes.

Rozdział 38

**Oddział Intensywnej Terapii
Szpital Grace Memorial
środa, 2 listopada, 14.00**

Bea.

- Mira.
- Myślałam że się zgodziłyśmy, że wracacie do domu i śpicie przynajmniej do wieczoru. Popraw mnie, jeśli się mylę. Ale zgodziłyśmy się na to zaledwie trzy godziny temu.
 - Ty się zgodziłaś. Ja nie. Tylko poczekaj, aż będziesz miała sześćdziesiąt osiem lat, a wtedy jakaś kobieta mająca trzydzieści jeden lat uzna, że jesteś już zniedołężniała.
 - Nie jesteś zniedołężniała!
 - No i tu masz rację. Jestem także całkowicie zdolna przez dzień czy dwa obyć się bez snu. Ja chcę tu być, Miro. Nie takiego miejsca, w którym wolałabym być teraz. No chyba, że zajmować się Wendy, żeby Thomas mógł przyjść tutaj.

- Jej panika nie miała nic wspólnego z tobą.
- Ja wiem. Po prostu jeszcze dla niej za wcześnie. - Bea wyjęła z torebki liliową kopertę. - Pomyślałam że zabawię cię małym opowiadaniem. To program tańców z mojego własnego Balu Szklanego Pantofelka.

- Jakie to romantyczne! Pokaż.

Breloczek zaprojektowany przez rocznik Bei był złoty, a wstążeczka, którą został przywiązany do karneciku - szmaragdowa.

Złoto i szmaragd. Złoto w szmaragdzie.

Zupełnie jak w tym wspomnieniu, które umykało Mirze.

A teraz się pojawiło.

- O nie! Beo? Ja muszę pomówić z Vivian.

- Zaraz ją przyprowadzę.

- Nie. My pójdziemy do niej. Każda sekunda, w której mówi do Daniela, o jedno bicie serca przybliża go do wyzdrowienia. Może nie powinnam jej tego w ogóle mówić... Nie, muszę. Najpierw jej... A potem policji.

- Policji?

- Tak. - Mira szukała stopami leżących obok łóżka szpitalnych kapci. - Naprawdę uważam, że mogę się przejść do pokoju Daniela, ale obawiam się, że są tu jakieś zasady.

- Co do pacjentów OIOM-u wążających się samopas po oddziale? No jasne.

- Pielęgniarki wierzą, że ci to pomaga, kiedy do ciebie mówię - mruknęła Vivian. - Mam taką nadzieję, Danielu. Doszłam do wniosku, że ty pewnie nie słyszysz, co mówię, i reagujesz tylko na ton mojego głosu. Może jest trochę podobny do głosu twojej żony? Pewnie powinnam ci głośno czytać, zamiast opowiadać o sobie. Ale kiedy mówię do ciebie, pomagam sobie. A jeśli przy okazji to pomaga tobie, a ty i tak nie słyszysz tych konkretnych słów...

Na moment przerwała, opuszczając oczy.

- Nie polubiłbyś mnie za bardzo, gdybyś słyszał, co ci opowiadam. Nie jestem jakąś specjalnie miłą osobą. Już ci powiedziałam, dlaczego. Nigdy nie chciałam, żeby Snow straciła dziecko. Zagłądałam we własną duszę i wiem, że mówię prawdę. Ale zabiłam to nienarodzone dziecko tak, jakbym zaatakowała Snow w podobny sposób, jak zaatakowano Mirę. Nie jestem lepsza niż ten bydlak, który napadł na moją siostrę. Dlatego wiem, że nie słyszysz moich słów. Serce waliłoby ci z gniewu, gdybyś je rozumiał. Tymczasem, kiedy mówię, serce bije ci mocniej

i spokojniej. Nawet ja widzę różnicę w sygnałach monitora. Nie mam odwagi powiedzieć Mirze, co zrobiłam Snow. Ale Luke w końcu jej to powie, i to będzie koniec między mną i Mirą.

Vivian westchnęła.

- Nie chcę, żeby to się skończyło. Teraz się dopiero zaczyna i mnie to daje tyle... nadziei. Jakbyśmy mogły stać się siostrami, którymi chyba obie chcemy być. Powinnam czuć wdzięczność do Blaine'a za to, że wreszcie rozmawiamy ze sobą jak nigdy dotąd. I jestem wdzięczna. Ale mam też podejrzenia co do motywów jego działania. Nawet się zastanawiam, czy rzeczywiście chciał doprowadzić do zbliżenia między nami. Wiem, co sobie teraz pomyślisz. A co niby innego mógł chcieć osiągnąć? Żebyśmy uwierzyły mu w te kłamstwa i zamiast być sobie tylko obce, znenawidziły się? To dość ponury pomysł, nie sądzisz?

Vivian znowu pokręciła głową.

- Ale jeśli kierowały nim dobre i szczerze motywy, to dlaczego nigdy nawet ze mną nie rozmawiał o tej mojej niskiej samoocenie? Bardzo by mi tym pomógł. Gdyby kiedykolwiek powiedział mi, że kocha mnie dla mnie samej... Gdybym mogła się w tej jego miłości poczuć na tyle bezpiecznie, żeby mu się zwierzyć z tego, z czego zwierzyłam się tobie. Posłuchaj bicia swojego serca, Danielu. Równe i spokojne. Czasami żałuję, że mnie nie słyszysz. Dobrze byłoby wiedzieć, że nie uważasz mnie za jakąś okropną, zdradliwą osobę, jeśli powiem, że mój mąż wcale nie jest tym cudownym człowiekiem, za jakiego wszyscy go uważają.

- Bo nim nie jest.
- Mira! Co ty tu robisz?
- Blaine nie jest żadnym cudownym człowiekiem, Vivian.
- Dlaczego to mówisz?
- To on mnie napadł.

Na zmęczonej twarzy Vivian nie pojawiło się zdumienie. I wcale nie dlatego, że zmęczenie tłumili wszystkie inne emocje. W jej znużonych oczach na moment zamigotała nadzieja. Nadzieja i ulga.

- Skąd wiesz?
- Pamiętasz ten błysk czegoś złotego, o którym wspominałam? I wrażenie, że widziałam też coś zielonego? To był pierścionek Blaine'a. Pierścionek jego siostry.

- Nie znaleziono żadnych odcisków palców, Miro. Śledczy powiedzieli, że musiał mieć rękawiczki.

- Miał, Vivian. Blaine je miał. Takie właśnie kupujesz i jak też takie kupuję w dziale z przyborami malarskimi w Home Depot. Zielone i przezroczyste.

Vivian spojrzała na swoją obrączkę, na połyskujący w niej brylant. Sześć miesięcy temu była panną młodą. Ale przedtem pracowała w sądzie jako adwokat. Nadal czuła się prawnikiem.

- Musimy zadzwonić na policję.

Już drugi raz w ciągu dwóch dni Bert Wells musiał dostarczyć smoking do Hilltop. Jak podczas wczorajszej dostawy, smokingi zamówiono dla chłopców. Ojcowie z Hilltop mieli własne. Ich dorastający synowie nie.

Bert był zadowolony, że dzisiejsza dostawa wypadła jeszcze za dnia. Świat jest wtedy wyraźniejszy. On miał lepszy refleks. Nawet stawy mu mniej dokuczały, rozgrzane samym światłem, jeśli nie ciepłem, jesiennego słońca.

W to listopadowe popołudnie Bert cieszył się każdym promieniem słońca. Coś go chyba brało. Jakiś wirus, pomyślał, chociaż parę objawów nie przypominało mu żadnego złapanego do tej pory wirusa. Poza rozkojarzeniem, prawa ręka mu drętwiała i jakoś mniej ostro widział.

W tej chwili najbardziej przeszkadzało mu rozkojarzenie. Miał po posiadłość, do której miał dostarczyć ubranie. Musiałby teraz wjechać na szczyt wzgórza, żeby zawrócić. Podjazd po tej stronie posiadłości Larkenów wydał mu się idealnym miejscem, żeby wcześniej zawrócić.

Bert uznał, że będzie sam na drodze, kiedy wjeżdżał na podjazd. Ulice Hilltop zwykle w ciągu dnia świeciły pustkami. Będzie miał mnóstwo czasu na powolne, bezpieczne manewry, na które pozwoli mu ten półprzytomny umysł, drętwiejąca ręka - a teraz jeszcze i noga.

Potem dostarczy smokingi i wróci do domu. Chociaż... Chętnie zjadłby miseczkę rosołu z kurczaka z makaronem w Jan's Kitchen na Main... Skąd mu coś takiego przyszło do głowy?

Nie był tam od tego dnia, przed laty, kiedy wpadła na Beę. Wydawała mu się tak strasznie smutna. Ale chyba poczuła się lepiej po długim spacerze ręka w rękę i po miseczce zupy i krokietach w Jan's.

Bert miał dzisiaj na tę zupełną ochotę - miał ochotę zjeść ją z Beą. Miał ochotę iść z nią dzisiaj ręka w rękę na długi spacer...

Blaine jechał, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość. Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, zamiast idiotycznie wymaganych

w Hilltop czterdziestu. Nigdy nie schodził poniżej sześćdziesięciu pięciu. Robił tak każdy mieszkaniec, który nie był niedołączy, chyba że jak Vivian, aż do bólu przestrzegał prawa, lub jak Mira, uważał na zwierzęta.

Przy osiemdziesięciu miał pełną kontrolę. Uważał zresztą, że miałyby ją, jadąc nawet z dwa razy większą prędkością.

Ale osiemdziesiątką przyjemnie się jedzie tą krętą drogą. Z radością patrzył, jak jego wóz bierze zakręty, cieszył się każdym momentem tego wspaniałego dnia.

Jego umysł zapominał już o furii, w jaką wpadł na OIOM-ie. Próbował wybiegać myślami w przyszłość do dzisiejszej *Godziny Kopciuszka*. Ale Blaine zapanował nad nimi.

Trzeba było się zająć ważnymi, to nic, że przyziemnymi, szczegółami - na przykład e-mailem, który każe Louise rozesłać do pacjentów, kolegów po fachu, organizacji kobiecych, swoich sprzymierzeńców w Kongresie. W swoim zbiorowym oburzeniu liczni poplecznicy będą przez wiele tygodni podsycać historię tych postawionych mu niedorzecznych zarzutów. Dziś wieczorem odbędzie się pierwsza z wielu publicznych debat z Patrickiem i Leigh. Podczas kolejnego spotkania jego oskarżyciele będą go coraz bardziej szkalować. Ale on, stając ponad tym, wbrew nawoływaniom swoich zwolenników do zemsty, wykaże się wspaniałością i wybaczy im.

Nie może zadzwonić do Louise, póki nie dojedzie do domu. Przez ten niespodziewany powrót Miry do domu wczoraj wieczorem musiał wyrzucić oba telefony komórkowe - ten tymczasowy, na który przełączył swoją gabinetową linię przed próbą dźwięku, i ten oficjalny, z którego bilingi chętnie przedstawi policji do sprawdzenia.

Bilingi były czyste. Ale sam telefon nie. Uporanie się z Mirą zabrało mu kilka cennych sekund z wyliczonego planu. W tym pośpiechu, kiedy chciał pozbyć się odzieży ochronnej, zanim wsiądzie do samochodu - i odbierał przełączoną na oczekiwanie rozmowę, żeby Helen nie zaczęła się zastanawiać, gdzie on zniknął - drugi telefon wypadł mu zza paska na zalaną benzyną ziemię. Wrzucił go do torby z poplamionym ubraniem. Czterdzieści minut później, kiedy jedna z jego wdzięcznych klientek dzieliła się swoją historią poporodowej depresji, on wrzucił torbę na Evanston, do kontenera, który opróżniają o świcie,

Tymczasowy telefon - nie do namierzenia - wytarty z odcisków palców, wylądował w szpitalnym koszu na odpadki w czasie jego sprintu z gabinetu na salę operacyjną, kiedy informacja o wypadku Miry wresz-

cie dotarła do radia. Ta komórka nieźle mu służyła. To z niej dzwonił do siostry swojej żony na Meadow View Drive i mówił jej różne obsceniczne rzeczy.

Blaine nie mógł się już doczekać, kiedy każe Louise zacząć przygotowywać tego maila. Jej bierno-agresywna postawa coraz bardziej go irytowała. Jeszcze bardziej udręczona zalewem telefonów po jego radiowym występie, na pewno myśli, że skoro on mógł sobie zrobić wolne do wieczoru, to jej się też należy przerwa. I to będzie jej nagroda za rozesłanie e-maila, zdecydował. Jej ostatnia nagroda. W poniedziałek Louise zostanie zwolniona.

Blaine docisnął pedał gazu w tej samej chwili, gdy zobaczył przed sobą jakiś samochód dostawczy. Chociaż właśnie wyjeżdżał tyłem na ulicę, poruszał się na tyle wolno, że Blaine mógł swobodnie go ominąć, chociaż furgonetka powoli przyspieszała.

A przy tym słyszał jej klakson, którego ciągłe trąbienie nie zostało spowodowane naciskaniem niecierplivej ręki, ale ciała kierowcy, które osunęło się na kierownicę.

Doktor Blaine Prescott postawił błyskawiczną diagnozę - atak serca - i podjął błyskawiczną decyzję. Jeszcze uda mu się ominąć furgonetkę. A ona zatrzyma się, kiedy dojedzie do drugiego krawężnika. W jakimś momencie nadjedzie tędy ktoś inny i jeśli temu kierowcy pisane jest, żeby przeżył, to przeżyje.

Blaine nie miał ani czasu, ani ochoty mu pomagać. Nie potrzebuje bawić się w samarytanina. Uratował już wystarczająco wielu ludzi - proszę tylko spytać tych jego zwolenników, którzy będą dziś wieczorem dzwonić do *Godziny Kopciuszka* - zakładając, że dostaną tego e-maila.

A jeśli ktoś odkryje ciało na kierownicy i naciśnie dzwonek przy głównej bramie posiadłości? Jeśli będzie mu się chciało, Blaine zabawi się wtedy w bohatera.

Ale nie teraz.

Tak się złożyło, że diagnoza lekarza, tak jak jego decyzja, okazały się błędne. Była to też ostatnia diagnoza - i decyzja - doktora Blaine'a Prescottta.

Cieżarówka wywożąca śmieci, stojąca za bezładnie poruszającą się furgonetką nie zajmowała się opróżnianiem kontenera na tyłach baru szybkiej obsługi w Evanston. Nawet nie należała do tej samej firmy. To był samochód miasta Quail Ridge. Co drugą środę opróżniał pojemniki z posortowanymi śmieciami w okolicy Hilltop.

Ciężarówka stała tam pusta. A kierowca i jego pomocnik szli w stronę furgonetki Berta.

Nie usłyszeli pisku opon samochodu Blaine'a, kiedy wykonywał ten idealny skręt. Wyjący klakson wszystko zagłuszył.

Ale klakson nie zdołał zagłuszyć huku metalu rozbijającego się o metal, kiedy samochód zderzył się z ciężarówką.

Rozdział 39

Hotel Wind Chimes, apartament 12-222
środa, 2 listopada, 22.00

Jestem Snow - powiedziała do przystojnego mężczyzny, który otworzył podwójne drzwi apartamentu.

- Mam na imię Patrick. Poza tym - dodał cicho - wiem, kim jesteś. Proszę, wejdź.

- Snow - szepnęła Ellen.

Snow spojrzała na matkę, której nie widziała przez szesnaście lat, a której głos w nagranej na sekretarkę wiadomości drżał niepewnie. Snow i teraz dosłyszała tę niepewność i poczuła niechęć. Scarlett, którą kiedyś znała, nie bała się niczego.

Ale przecież nie ze Scarlett rozmawiała. Ani z Tara, ani z Melanie, ani z Leigh.

Rozmawiała z matką, która nosiła ją na rękach jako niemowlę, śmiejąc się do niej, dotykając jej, otaczając ją miłością... Aż do czasu kiedy, jak wierzyła, wtrąciło się samo życie.

Snow też drżała, podchodząc przez puszysty dywan do matki. Drżała, ale miała pewność.

Kiedy znalazła się już dość blisko, żeby móc jej dotknąć, uśmiechnęła się, i do tej matki, która czekała na dotyk, miała nadzieję na uśmiech, i zaczynała wierzyć, powiedziała:

- Cześć, mammo.

Jedenaście minut po powrocie Snow i Luke'a do jej mieszkania i dwie minuty po tym, jak skończyła odsłuchiwać - po raz drugi - wia-

domość od Ellen, Luke dostał telefon, który trochę zmienił ich plany. Nie mogli natychmiast iść do apartamentu Ellen.

Planów nie musieliby zmieniać, gdyby detektyw Lansky tu przyjechał z Quail Ridge do Grace Memorial i sam zawiadomił, kogo trzeba. Bez wątpienia to była jego praca. Ale powinien też się zająć oględzinami miejsca wypadku, a Luke był bliżej i z punktu widzenia odległości, i znajomości z żoną i szwagierką Blaine'a Prescottta.

Luke miał więc jechać do szpitala, a Snow chciała się wybrać do apartamentu matki.

Powiedziała mu, że jak najbardziej może iść sama. Cóż bezpieczniejszego niż odwiedziny u mamy? Poza tym zagrożenie, które skłoniło Luke'a do przyrzeczenia, że już nigdy nie spuści jej z oczu, przestało istnieć.

Luke bez kłopotu dostał się na OIOM. Od samego początku był na liście osób upoważnionych do odwiedzin u Miry. A doktor Sandra Davis, w trzydziestej trzeciej godzinie swojego trzydziestosześciodzinnego dyżuru, dostała telefon od policji z Quail Ridge. Luke Kilcannon przyjedzie w osobistej - i bardzo delikatniej - sprawie do Vivian i Miry Larken.

Sprawy tej, uznała doktor Davis, Bea Evans też może wysłuchać. Doszła do wniosku, że żadna z siostr nie miałyby nic przeciwko temu. Bea i Mira były w pokoju Miry, kiedy doktor Davis odebrała telefon. Zanim przyjechał Luke, znalazła jakiś medycznie uzasadniony powód, żeby wyprosić Vivian z pokoju Daniela. A kiedy Vivian nie będzie przy nim, doktor Davis sama dotrzyma Danielowi towarzystwa.

Tak więc Vivian i Bea siedziały przy łóżku Miry, kiedy pojawił się Luke. Jego mina ostrzegała wyraźnie, że to nie jest towarzyska wizyta. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość - nie trzymał ich zbyt długo w napięciu.

- Doszło do wypadku - powiedział. - Z udziałem Blaine'a. Jego samochód zderzył się z ciężarówką. Blaine zginął na miejscu.

- Blaine nie żyje?

- Tak, Miro, nie żyje.

- Powiedziałam policji, że moim zdaniem to Blaine mnie zaatakował. A właściwie nie powiedziałam, że moim zdaniem. Powiedziałam, że jestem tego pewna.

- Nie obwiniaj siebie, Miro. Nie myliłaś się co do Blaine'a. A jego śmierć nie ma nic wspólnego z twoim telefonem na policję. Rob Lansky zastanawiał się, jak najlepiej do niego podejść, jako do podejrzanego, kiedy dostał informację o wypadku.

- A więc Blaine nie był ścigany?

- Nie. I gdyby zatrzymał się, żeby zaoferować pewnemu mężczyźnie medyczną pomoc, zamiast przyśpieszać, żeby go ominąć, na pewno by przeżył. Sam jest winien swojej śmierci. Ty nie jesteś za to odpowiedzialna, Miro. I nie są odpowiedzialni policjanci ani kierowca tej ciężarówki, ani - chociaż wiem, że trzeba go będzie o tym długo przekonywać - nie jest za to odpowiedzialny Bert.

- Bert? - Bea od razu się zmartwiła. - On tam był?

- Był w furgonetce, którą Blaine omijał gwałtownym skrętem.

- Powiedziałaś coś o pomocy medycznej. Czy Bert był ranny?

- Nie w wypadku. Miał lekki wylew, jak Noah. A może udar. Sanitariusze mieli go tu przewieźć. Pewnie właśnie teraz badają go neurologzy. Chętnie z tobą tam pójde, jeśli będziesz chciała go poszukać.

- Będę chciała. Dziękuję. Kiedy już skończysz opowiadać Mirze i Vivian wszystko, co chcą usłyszeć.

- Nie mam żadnych więcej pytań - powiedziała Mira. - Będę je miała. Ale nie teraz.

Luke spojrział na wdowę po Blainie. Wyglądała na zdruzgotaną. Ale w przeciwieństwie do innych owdowiałych osób, jakie już widywał, nie żał, ale poczucie winy dostrzegał na jej twarzy. Poczucie winy za to, że ze wszystkich uczuć najbardziej odczuwa ulgę.

- On był złym człowiekiem, Vivian.

Pokiwała głową.

- Chcesz o coś zapytać?

Pokręciła głową.

- Nie teraz.

- Dobrze. Jestem niedaleko, a Rob będzie tu niedługo. Miro?

- Luke?

- To, co ci powiedziałem wczoraj po południu...

- Nic nie pamiętam! Wygodne, prawda?

Luke się uśmiechnął.

- Dzięki.

- To ja ci dziękuję, Luke, że mnie wyniosłeś z tego płonącego domu.

- Polecam się na przyszłość - powiedział. - Ale umówmy się, że takich usług nie będziesz już potrzebowała.

- Zgoda.

- Snow bardzo chce cię poznać.

- I nawzajem.
- Bea już wstała, chcąc już iść, szukać Berta. Luke rozumiał jej pośpiech, ale...
- Muszę jeszcze zamienić słowo na osobności z Vivian.
- Ze mną, Luke?
- Tak. Zauważyłem, że tu po drodze jest taka wnęka przy oknie. Chodź ze mną.

- Blaine naprawdę był złym człowiekiem - zaczął Luke.
- Wiem. Powiedziałeś to już. A ja sama też zaczynałam dochodzić do takiego wniosku.
- Dobrze.
- A więc... Dziękuję, Luke. Cóż - powiedziała. - Chyba lepiej już wróć do Miry. -I Daniela.
- Jest jeszcze coś, Vivian. Nie odpowiadasz za poronienie Snow.
- Owszem, ja...
- Nie. Nie odpowiadasz. Straciła to dziecko całe godziny przed naszą rozmową. Nie wiedziała tego jeszcze wtedy, a ja dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj wieczorem. Ale to prawda, Vivian. Wiem, że nie zapomniałaś, co ci powiedziałem wczoraj tak samo, jak Mira nie zapomniała, co powiedziałem jej. Proszę cię o wybaczenie.
- Nie powiedziałeś mi nic, czego sama bym nie wiedziała.
- A więc wybacz sama sobie, Vivian.
- Nie chciałam, żeby twoje dziecko umarło.
- Wiem o tym. I Snow też o tym wie.
- Snow wie?
- Wiedziała o tym od początku. Nigdy cię nie obwiniała. Ani wtedy, ani teraz. Wierzy też, że kierowały tobą czyste pobudki, że naprawdę troszczyłaś się o moją przyszłość... I o mnie.
- Troszczyłam się. W tych granicach, w jakich jestem zdolna do miłości, naprawdę cię kochałam.
- Luke pokiwał głową. Łagodnie.
- .- A ja zawsze kochałem tylko Snow.
- Lekki uśmiech uniósł kąciki jej ust.
- Rozumiem.
- Wiem, że rozumiesz. Zaczynaj więc pracować nad tym... Jesteś zdolna do miłości. Bez żadnych ograniczeń. Do kochania, Vivian, i do tego, aby ktoś kochał ciebie...

Rozdział 40

O szesnastej w sobotę, dziewiętnastego listopada, Daniel Hart otworzył oczy. Vivian pierwsza się o tym dowiedziała. Była przy nim w tej cudownej chwili i odeszła od łóżka, zanim jego badawcze spojrzenie zdołało ją odszukać.

Snow była wtedy w Quail Ridge, szukała po sklepach złotej obrączki, którą miała włożyć na palec Luke'a w dniu ich ślubu. Luke też był w Quail Ridge, miał dyżur w remizie.

Kiedy Snow przeglądała obrączki u jubilera, dwa lokale dalej, w Jan's Kitchen, Bea i Bert jedli z miseczek gorący rosół z kurczaka z makaronem.

Spacerowali, ręka w rękę, przez całe popołudnie. Bert z dnia na dzień coraz mniej kulał i śmiał się częściej niż kiedykolwiek od lat, a pewnego zaczarowanego wieczoru w niezbyt odległej przyszłości mieli się oboje wybrać na tańce. Od lat - tak, od dziesiątków lat - Bert dostawał zaproszenia na doroczny Bal Szklanego Pantofelka. Dzięki niemu całe pokolenia księżąt z bajki oczarowywało swoje Kopciuszki w wypożyczonych u niego smokingach.

W tym roku, jeśli ten pomysł spodoba się Bei - a wierzył, że jej się spodoba - przyjmie zaproszenie. Tak dobrze by się bawiła, tak dobrze oboje by się bawili, mogąc pokazać tegorocznym pierwszoklasistkom breloczek, który dostała na tym samym balu, u boku tego samego księcia, pięćdziesiąt lat temu.

W Atlancie była siedemnasta, kiedy Daniel otworzył oczy. Ellen właśnie uspokajała matkę pewnej panny młodej co do zbliżającej się ceremonii. Niech się pani zda na żywioł, radziła. Na ten przypływ uczuć, dodała.

Ellen zaczynała się stawać ekspertką od spraw uczuć. Tych własnych. P czym córka, jej córka, wiedziała. Rozmawiały ze Snow albo przesyłały sobie e-maile, albo robiły i to, i to - codziennie. Mimo wszystko trzeba było jakoś ten ślub zaplanować. Ale zdarzało się, bardzo często się zdarzało, że o ślubie nie rozmawiały wcale.

Córka Ellen pytała, czy do matki odzywał się pewien porucznik policji z Bostonu i czy Ellen nie będzie przeszkadzało, jeśli Snow zaprosi Patricka na swój ślub. Snow polubiła tego człowieka, który w innym życiu poślubiłby pewnie kobietę, która mogła być jej ciotką.

Patrick odzywał się do Ellen. Nie codziennie, ale często. Kiedy mu przekazała, że Snow chce go zaprosić na swój ślub, powiedział, że przyjedzie.

Pewnego wieczoru Patrick zapytał ją, co miała na myśli - w tej wiadomości, którą nagrała na sekretarkę Snow - mówiąc, że życie naśladowe kłamstwa.

Powiedziała mu, że została organizatorką przyjęć ślubnych, którą kiedyś tylko udawała.

- Czy to wszystko? - spytał porucznik z wydziału zabójstw. - Czy tylko to kiedyś udawała?

Ellen mogła powiedzieć, że kłamstwo o organizowaniu ślubów było jedynym, które stało się prawdą.

Ale przyznała się Patrickowi do swojego drugiego kłamstwa - że będąc w Atlancie, zakochała się w pewnym bohaterskim policjancie.

A po drugiej stronie zamiejscowego połączenia usłyszała milczenie, które musiało pokrywać uśmiech.

Po drugiej stronie Atlanty, o siedemnastej, pewna matka o imieniu Christine właśnie znów zobaczyła swojego maleńkiego synka. Znów była sobą, tak jak obiecywał psychiatra, który przepisywał jej leki antydepresyjne. Jej mąż to wiedział, teściowie w to uwierzyli, a Rory z radością klepał rączką jej roześmianą twarz.

Psychiatra Christine nie dziwił się jej wyzdrowieniu. Ale cieszył się ze względu na nią i jej rodzinę. Miło było cieszyć się takim pomyślnym rezultatem, kiedy cała krajowa psychiatryczna społeczność nie mogła się jeszcze otrząsnąć po stracie jednego ze swoich członków. Doprawdy, radość z triumfu Christine nad poporodową depresją to odpowiedni sposób uczczenia człowieka, który poświęcił karierę, żeby takie właśnie triumfy były możliwe.

Psychiatra wierzył, że doktor Blaine Prescott też by się cieszył.

Ta wiara nie miała zostać nigdy zachwiana. Ci, którzy znali prawdę na temat Blaine'a, zdecydowali, że jej nie ujawnią. Potwór zginął. Dobro, którego dokonał, miało żyć dalej.

Thomas i Wendy grali w warcaby, kiedy Daniel otworzył oczy. Eileen łapką podpowiadała im ruchy - a czasem sama je wykonywała. Mira patrzyła na to ze swojego już stałego gniazdko na kanapie w salonie. Wracła jej energia. Powoli. Zgodnie z tym, co przepowiadali wszyscy, z Thomasem na czele.

W mieszkaniu Thomasa nikt nie zwracał uwagi na godzinę. Ani on, ani Mira, wracając do tej chwili we wspomnieniach, nie umieli sobie uświadomić, czy naprawdę dokładnie o szesnastej Wendy podeszła do okna. Oboje przywykli już do jej nagłych chwil milczenia. I oboje wiedzieli, że najczęściej te chwile milczenia miały, jeśli powstała trochę przy oknie. Nie wiedzieli, nigdy nie będą tego wiedzieć, czy przyzywały ją te niewidzialne gwiazdy nad głową... Czy wołanie serca, które biło zaledwie parę kilometrów dalej.

Thomas, jak zawsze, przyklęknął przy niej przy oknie.

Był tam, przy niej, kiedy odezwał się telefon.

Wendy nie poszła za nim, kiedy go odbierał. Ale kiedy skończył rozmowę, stała zwrócona w jego stronę i patrzyła na niego.

- Kochanie, chciałbym ci powiedzieć coś cudownego - szepnął.

To Vivian zadzwoniła do Thomasa. Czekwała w dyżurce pielęgniarek, póki lekarze Daniela nie pozwolili jej zadzwonić.

Obudził się, jest sprawny umysłowo, i po minimalnym uzupełnieniu brakujących faktów, orientuje się co do osób, miejsc i czasu. W ciągu minionego tygodnia jego „cyferki”, czyli wyniki badań, poprawiły się na tyle, że powrót do zdrowia nie pozostawiał wątpliwości. Nawet niedoczynność nerek zaczynała się cofać. Na szczęście nie będzie potrzebował dożywotniej dializy ani transplantacji.

Jego córeczce można już powiedzieć, że ojciec żyje.

Vivian widziała zdjęcia Wendy. Fotki z kartek, które Daniel na Boże Narodzenie wysyłał Thomasowi, stały na widoku koło jego łóżka.

Wychodząc z OIOM-u, Vivian zobaczyła samą Wendy. Mała trzymała Thomasa za rękę. Obok nich szła Mira.

- Vivian. - Mira przywitała się z siostrą łagodnym uściskiem. Wprawdzie Mira dochodziła do siebie po poważnym urazie, a jednak z nich dwóch to Vivian wydawała się słabsza. - Wychodzisz?

Pytanie zaskoczyło Vivian. Oczywiście, że wychodzę, przecież Daniel się obudził.

- Ty na pewno jesteś Wendy.

- Idę zobaczyć tatusia!

- Wiem. Bardzo się ucieszy na twój widok.

- Vivian... - powtórzyła Mira.

- Idźcie. On czeka.

Daniel nie zamierzał umierać, ale wyglądał jak sama śmierć. Skóra, choć już skończyła się żółtaczka, miała niezdrowy ziemisty odcień. Twarz była wyniszczona.

Może za bardzo przerażająca dla małej dziewczynki?

Tym się martwił w chwilach tuż przed jej przyjściem. Może lepiej dla niej, gdyby zaczekali, póki nie zacznie choć trochę przypominać kipiącego zdrowiem farmera dyń, którego znała.

Może pozna tylko te gipsowe opatrunki, które nie pozwolą mu nawet przytulić jej do wychudzonej piersi. Były jaskrawo białe, jak wtedy, kiedy widziała ojca po raz ostatni - i spędziła kilka radosnych godzin, rysując po nich, zanim wody powodzi zaczęły się podnosić.

Daniel próbował przekonać sam siebie, że trzeba przełożyć na później to spotkanie, kiedy stanęła w drzwiach... Puściła dłoń Thomasa... i rzuciła się biegiem.

Jakiś skok też się musiał zdarzyć - bo właśnie ją trzymał, skuloną w tym miejscu między gipsem a wychudzoną klatką piersiową, jakby było jej tam tak wygodnie, jak zawsze, w tym jej specjalnym kąciuku.

- Tatusiu.

- Wendy... Wendy - szepnął. - Wendy, Wendy.

- Nie utonąłeś!

- Nie.

- Ale poszedłeś do nieba? Widziałeś mamusię?

- Widziałem. - Bo widział. W niebie? Być może. Kiedy powaliły go tony wody grzmiącej z zawrotną prędkością. - I wiesz co? Zdecydowaliśmy, że za wcześnie jeszcze, żebym z nią został. Chciała, żebym był z tobą, a ja też chciałem być z tobą. No więc, jestem tu.

- Ale ona będzie nas nadal chroniła, prawda?

- Chroniła nas i kochała. I uśmiechała się do nas, Wendy, Wendy, z gwiazd.

- Czas wracać do domu - powiedziała Mira, kiedy Vivian odebrała telefon w swoim biurze adwokackim.

Była dziewiąta wieczorem, trzy tygodnie po powitaniu Daniela Harta z córką.

- Zaraz wychodzę.

- To dobrze. Chciałabym, żeby Daniel mógł się spotkać z tobą, kiedy będziesz wypoczęta.

- Już o tym rozmawialiśmy, Miro. Daniel nigdy nie pozna żadnej wersji mnie.

- On chce ci podziękować, Vivian. Osobiście. Wie, co zrobiłaś...

- Tylko dlatego, że ty mu powiedziałaś.

- Wszyscy mu to mówili. To nie był żaden sekret. Nie rozumiem twoich wątpliwości.

- To niepotrzebne i wszystko.

- No cóż, Daniel uważa, że potrzebne. Poza tym i tak go w końcu spotkasz. Równie dobrze może to być teraz.

- I tak go w końcu spotkam?

- Tak. Spotkasz. Zdecydował się sprzedać farmę i zamieszkać tutaj. Ziemia ma swoją wartość mimo niedawnych powodzi. Być może nigdy więcej nie zostanie zalana. Ale Daniel nie chce narażać Wendy nawet na najmniejsze niebezpieczeństwo kolejnej powodzi. Poza tym - dodała cicho Mira - Wendy ma teraz rodzinę tutaj.

- Thomasa - powiedziała Vivian. -I ciebie.

- I ciebie, Vivian. Chcę zorganizować wiele takich rodzinnych spotkań, na których masz się pojawiać. A jutro to najlepszy moment, żeby przełamać tę niechęć, jaką czujesz w związku z osobistymi podziękowaniami Daniela.

Jutro?

- Ja naprawdę nie mogę jechać jutro do szpitala.

- Nie musisz. Daniela wypisano dziś po południu. Na ramiona założyli mu lekki opatrunek gipsowy, może na wierzch zakładać koszulę. Jeszcze całe miesiące miną, zanim odzyska siłę mięśni. Będzie spędzał czas z Wendy, szukał domu i dziękował tobie. Jutro, kiedy Thomas będzie w pracy, Wendy, Daniel i ja wybieramy się do Quail Ridge. Kiedy ty i Daniel napijecie się kawy w Jan's Kitchen, Wendy i ja pójdziemy na kasztanki do Bei. A więc, Vivian, o której mam podrzucić Daniela do Jan's?

- Och, Miro.

- Wszystko będzie dobrze, Vivian. To bardzo sympatyczny człowiek.

Wcale się nie martwiła, że nie będzie sympatyczny. A przynajmniej tak jej się wydawało. Nad ranem, po nieprzespanej nocy Vivian doszła do wniosku, że jednak to tym przejmuje się najbardziej. A jeśli drzazgi jej wcześniejszych zwierzeń utkwily mu gdzieś w podświadomości? To będą te najostrzejsze drzazgi, godne największego potępienia - jak jej okrucieństwo wobec Snow.

Daniel nie będzie pamiętał jej słów. Ale dźwięk jej głosu może uwolnić jakieś wspomnienie...

Kiedy Mira naciskała ją, żeby wyznaczyła godzinę, o której może przejść ten kawałek ulicą do Jan's i napić się kawy z Danielem, powiedziała, że o jedenastej rano. To był jej najwcześniejszy wolny termin, i miała wrażenie, że wystarczająco wczesny.

Ale kiedy zarzuciła płaszcz, żeby iść na ten krótki, zimowy spacer, poczuła, że jest za późno. Była wykończona. A zaledwie dochodziła za kwadrans jedenasta. Postanowiła, że przed jego przyjściem wypije filiżankę kawy.

Mężczyzna, który stał w recepcji jej biura, był wysoki. Miał bardzo niebieskie oczy i gęste, brunatne włosy.

Włosy Daniela były takie gęste i brunatne. A te oczy, kiedy się otworzyły - i przed którymi uciekła, zanim zdążyły skupić się na niej - też były niebieskie. Szaroniebieskie.

Ale nie tak niebieskie jak te, które wyglądały, jakby oczyściły się ze wszystkich szarych chmur dla niej... Z jej powodu.

- Daniel?

- Tak. Witaj, Vivian. Pomyślałem, że przespaceruję się z tobą do Jan's.

- Dziękuję. Jesteś za wcześnie.

- Ty też. - Uśmiechnął się. - Dokładnie tak, jak przewidywała Mira.

Dziesięć minut później, siedzieli w Jan's, skąd mieli widok na Main Street. Między nimi na stole stały kubki parującej kawy. Wtedy Daniel wypowiedział słowa podziękowania.

- Nie ma za co. Przecież ja naprawdę nic nie zrobiłam.

- Słyszę na ten temat zupełnie coś innego.

- Pogłoski są znacznie przesadzone.

- Wątpię. Żałuję, że nie pamiętam tego, co do mnie mówiłaś.

- Nie pamiętasz?

- Ani słowa. Ale to musiało być porywające.

- Raczej nie.

- Ciekawe, czy kiedykolwiek mi to powtórzysz.

- To, co ci opowiadałam? Zanudziłbyś się taką paplaniną.

- W to też wątpię. I to bardzo. Ale mam wrażenie, że bardzo chciałabyś zmienić temat.

- Rzeczywiście, wolałabym - zgodziła się Vivian. - Mira mówi, że nie wracasz do domu.

- Ja jestem w domu, Vivian.

Martwiła się, że te drzazgi przebijają się przez jego podświadomość. Teraz coś ostrego, a jednak słodkiego przeszzywało jej serce. Bo wydawało jej się, że dla Daniela dom i Vivian znaczą to samo.

- Wiesz, gdzie zamieszkaż?

- Do dzisiaj nie wiedziałem. A teraz, po wizycie w Quail Ridge, mam zamiar poszukać czegoś właśnie tu. Z zawodu jestem stolarzem. Kiedy już wrócą mi siły, rozejrzę się za pracą.

- Znajdziesz ją. Mnóstwo się tutaj buduje.

- No to w takim razie Quail Ridge. Założę się, że można stąd nawet zobaczyć rozgwieżdżone niebo. - Daniel urwał, czekając na jej odpowiedź. - Można?

- Pewnie tak. Już trochę czasu minęło, odkąd po raz ostatni patrzyłam nocą w niebo.

- Może kiedyś będziesz miała ochotę popatrzeć na gwiazdy z Wendy... i ze mną?

- Chętnie.

- Ja też. - Zamilkli, a za minutę czy dwie ona miała iść na następne spotkanie ze swojego wypełnionego zajęciami kalendarza. I następne, i następne.

Vivian wcale nie chciała odchodzić. Tak samo, jak nie chciała zostawić tego silnego, mocnego serca bijącego na OIOM-ie. Ale będą jeszcze rodzinne spotkania, powiedziała jej Mira. Wiele takich spotkań.

- Chyba muszę już iść.

- Odprowadzę cię. Vivian?

- Tak?

- Nie pamiętam nic z tego, co mi mówiłaś. Ale wiem, jak się czułem, kiedy tam byłaś. Nie pytaj mnie, skąd to wiem. Ja po prostu wiem. Kiedy tam byłaś, ja nie czułem się sam.

- Naprawdę?

Daniel się uśmiechnął.

-Naprawdę. -A potem dodał, już bez uśmiechu. - Przepraszam. Nie chciałem wprowadzić cię w zakłopotanie.

- Nie wprowadziłeś. Ja tylko... Kiedy mówiłam do ciebie, ja też nie czułam się sama.

Epilog

Dziewięć miesięcy po ślubie Luke'a i Snow, urodziła się ich druga córka. W przeciwieństwie do siostry, której nigdy nie poznała, Julie Ellen Kilcannon przyszła na świat zdrowa i rozwrzeszczana.

Julie szturmem podbiła porodówkę, tak samo jak szturmem miała zawojować cały świat. A czy te narodziny sprawiły, że jej matkę ogarnął chaos rozpaczliwych myśli?

Najbliżsi Snow byli przygotowani na atak depresji. Snow również. Wiedziała - wszyscy wiedzieli - że choroba ma prawo się powtórzyć. Interwencja lekarska nastąpiłaby błyskawicznie. A Snow błyskawicznie odzyskałaby radość, którą odczuwała przez cały czas trwania ciąży.

Ale przy Julie nigdy tej radości nie straciła.

Snow i Luke nie szczędzili Julie miłości, której nie szczędziliby też swojej pierwszej córce.

A kochając Julie, jednocześnie kochali też swoją Wendy.

I chociaż nigdy nie dorosła, żeby móc tańczyć i marzyć - tak jak dorosnie Julie - Wendy gdzieś sobie tańczyła, gdzieś marzyła, w różowej balowej sukni i pantofelkach z szafirami.